

JAVIER SIERRA

NIEŚMIERTELNA PIRAMIDA

TRZY DNI Z ŻYCIA MŁODEGO NAPOLEONA BONAPARTE
W EGIPCIE, KTÓRE ODMIENIŁY JEGO LOSY.



JAVIER SIERRA

NIEŚMIERTELNA PIRAMIDA

EGIPSKA TAJEMNICA NAPOLEONA

Z języka hiszpańskiego przełożył
Jerzy Wolk-Łaniewski



WYDAWNICTWO
SONIA DRAGA

Tytuł oryginału:
LA PIRÁMIDE INMORTAL

Copyright © Picatrix, S.L. 2014

Copyright © 2016 for the Polish edition by Wydawnictwo Sonia Draga
Copyright © 2016 for the Polish translation by Wydawnictwo Sonia Draga

Projekt graficzny okładki: Mariusz Banachowicz

Redakcja: Marcin Grabski i Olga Rutkowska

Korekta: Marta Chmarzyńska, Iwona Wyrwisz

ISBN: 978-83-7999-649-0

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione i wiąże się z sankcjami karnymi.

Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo!

Polska Izba Książki

Więcej o prawie autorskim na www.legalnakultura.pl

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp. z o.o.

Pl. Grunwaldzki 8-10, 40-127 Katowice

tel. 32 782 64 77, fax 32 253 77 28

e-mail: info@soniadraga.pl

www.soniadraga.pl

www.facebook.com/wydawnictwoSoniaDraga

E-wydanie 2016

Skład wersji elektronicznej:

virtualo

konwersja.virtualo.pl

SPIS TREŚCI

Dedykacja

Kilka ważnych faktów historycznych

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

Rozdział 29

Rozdział 30

Rozdział 31

Rozdział 32

Rozdział 33

Rozdział 34

Rozdział 35

Rozdział 36

Rozdział 37

Rozdział 38

Rozdział 39

Rozdział 40

Rozdział 41

Rozdział 42

Rozdział 43

Rozdział 44

Rozdział 45

Rozdział 46

Rozdział 47

Rozdział 48

Epilog

Podziękowania

Posłowie od autora

Przypisy

*Antoniowi Riberze Jordzie (1920–2001),
który z drugiego brzegu lepiej niż ktokolwiek inny
doceni wartość tej przygody.*

A także Evie Pastor, która potrafiła ją okiełznać.

KILKA WAŻNYCH FAKTÓW HISTORYCZNYCH

O zmroku 1 lipca 1798 roku trzydzieści sześć tysięcy francuskich żołnierzy, nieco ponad dwa tysiące oficerów i około trzystu kobiet, zarówno żon wojskowych, jak i prostytutek potajemnie wprowadzonych na okręty jednej z najliczniejszych flot wojennych zgromadzonych w dziejach, zeszło na ląd na egipskich plażach Aleksandrii, Rosetty i Damietty. Z wyjątkiem nielicznej oficerskiej elity nikt nie był w stanie z całą pewnością stwierdzić, czego ich kraj oczekiwał od nich po przeciwnej stronie Morza Śródziemnego.

Przewyciężywszy pierwsze niedogodności, w ciągu dwudziestu dni część francuskich sił zdołała opanować deltę Nilu i ruszyła w kierunku Kairu. Tam wojsko natknęło się na imponujące piramidy z Gizy, a w odległości kilku kilometrów od nich w słynnej bitwie rozgromiło pierwsze oddziały wojowników mameluckich.

W ten oto sposób trzy stulecia tureckiej okupacji Egiptu dobiegały końca, region wkraczał zaś w nową epokę polityczną.

Człowiekiem, który dowodził tym równie ogromnym, co niepoznanym podbojem, był obiecujący generał korsykańskiego pochodzenia Napoleon Bonaparte. Jego plan, przygotowany we współpracy z ministrem spraw zagranicznych i konsulem Francji w północnoafrykańskiej stolicy, zakładał przerwanie prosperującego angielskiego szlaku handlowego prowadzącego przez Egipt do Azji. Niebawem jednak Bonapartego czekała pierwsza porażka. Podczas gdy jego wojska posuwały się w głąb lądu, brytyjski admirał Horatio Nelson namierzył i zatopił jego flotę w zatoce Abu Kir. Stało się to 1 sierpnia 1798 roku. W wyniku przegranej bitwy Napoleon stracił ponad tysiąc siedmiuset ludzi i – pozbawiony zaopatrzenia – został odcięty na wrogim i nieznanym terytorium.

Przez kolejnych czternaście miesięcy Bonaparte, nie przejmując się doznany niepowodzeniem, dokonał czynów, które zdecydowanie wykraczały poza osiągnięcia natury wojennej. Zalicza się do nich założenie instytutu poświęconego badaniu tajemniczej przeszłości Egiptu, w którym zaangażował do pracy ponad stu uczonych. Nakazał im pozyskać jak najwięcej z zapomnianej nauki, która fascynowała go od dziecka. Już to posunięcie potwierdzało istnienie „tajemnego planu”, któremu koniec końców zawdzięczamy podwaliny współczesnej egiptologii.

Obsesja zawładnięcia tą częścią świata nie ograniczała się jednak do pradawnych monumentów – niebawem Bonaparte wkroczył również do Ziemi Świętej. Postępował tak, jak gdyby pragnął naśladować wyczyny pierwszych krzyżowców. Niczym templariusz z XIII

wieku przemierzył Palestynę z południa na północ, aż 14 kwietnia 1799 roku – wbrew woli tych, którzy mu towarzyszyli – spędził noc w miejscowości nieopodal Jeziora Tyberiadzkiego zwanej Nazaret.

Nigdy nie wyjaśnił, dlaczego to uczynił.

Kampania prowadzona w Ziemi Świętej również zakończyła się niepowodzeniem. Świadom, że w wypadku następnych błędów może zaprzepaścić karierę, Bonaparte skupił się na zadaniu efektownego ciosu, którym odkupiłby swoje przewiny w oczach paryskiego dyrektoriatu. Oblękł Jafę, zdobył ją z krwawą bezwzględnością, nie był jednak w stanie podbić Akki, przez co jego marzenie o dotarciu do wrót Konstantynopola – później być może również do Indii, co oznaczałoby powtórzenie podbojów tak przezeń podziwianego Aleksandra Wielkiego – spaliło na panewce.

Wówczas jego sytuacja naprawdę się skomplikowała.

Po powrocie do Kairu Bonaparte odkrył, że ponad piętnaście tysięcy Turków wspieranych przez Anglików wylądowało ponownie w zatoce Abu Kir, aby raz na zawsze przegnać go z Egiptu. Lecz 25 lipca 1799 roku, w tym samym miejscu, w którym Nelson upokorzył go rok wcześniej, francuskie wojska odwróciły losy kampanii, pokonując mameluków i tym samym częściowo zmazując zniewagę doznaną od Brytyjczyków.

Upojony tak symbolicznym zwycięstwem Bonaparte skierował się w końcu ku miastu piramid, dokąd tryumfalnie wkroczył 11 sierpnia. Właśnie wtedy doszło do zdarzenia, które jest opisane w niniejszej książce. Przygotowując w tajemnicy swój powrót do Francji, Napoleon Bonaparte postanowił spędzić noc w zdecydowanie mało komfortowych ku temu warunkach – wewnątrz Wielkiej Piramidy w Gizie.

Rzecz jasna, tej decyzji Bonaparte również nigdy nie wyjaśnił, nigdy także szczegółowo nie zrelacjonował, co mu się przytrafiło w ciągu tamtych godzin. Jego biografowie nigdy zresztą nie znaleźli sensownego uzasadnienia dla tego posunięcia. Po spędzeniu samotnej nocy z 12 na 13 sierpnia 1799 roku w trzewiach największej budowli wzniesionej w starożytnym świecie Napoleon Bonaparte nie był już jednak tym samym człowiekiem, co wcześniej. Jego los się odmienił. Ścieżka jego przeznaczenia uległa wyprostowaniu.

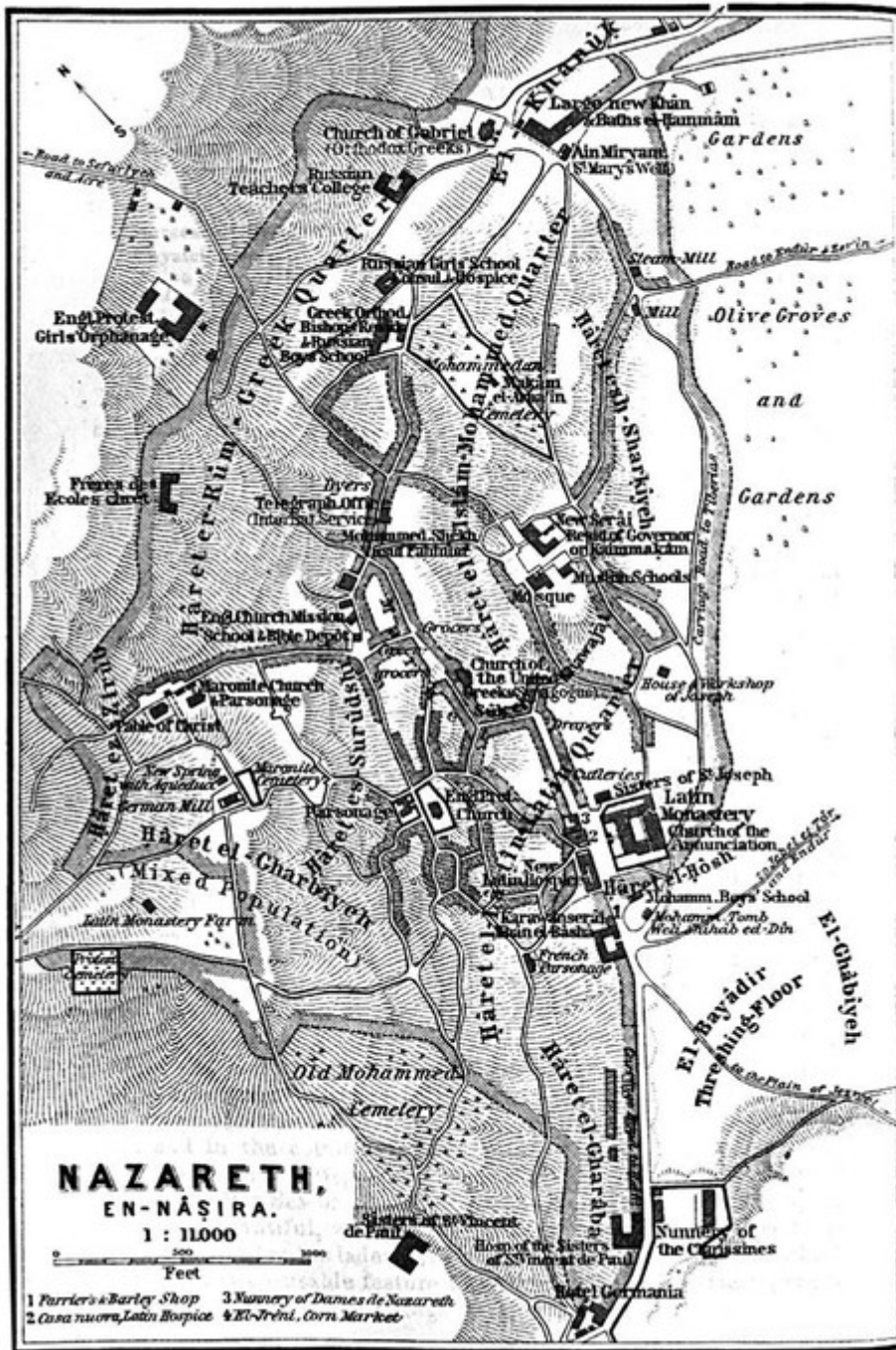
Ta powieść wyjaśnia, dlaczego tak się stało.



MAPA STAROŻYTNIEGO EGIPTU



PLAN STAROŻYTNYCH TEB WRAZ ZE ŚWIĄTYNIAMI W LUKSORZE I KARNAKU NA WSCHODNIM BRZEGU NILU



PLAN NAZARETU

Wiele opisanych niżej wydarzeń jest zgodnych z tym, co mówią nam o nich podręczniki historii. Umieściono je we właściwym czasie, a ich tło zostało gruntownie udokumentowane. Nazwiska większości przewijających się w książce żołnierzy i ich przeciwników, opisy takich miejsc, jak świątynia w Luksorze lub pewne piramidy na kontynencie europejskim, a nawet odniesienia bibliograficzne, mity, opowiadania, bóstwa i rytuały, które pojawiają się w powieści, również nie stanowią wytworów mojej wyobraźni.

Jeśli zaś chodzi o „nieśmiertelną piramidę” boga Tota, to – jak dotąd – nie udało się jej odnaleźć.

ROZDZIAŁ 1

WIELKA PIRAMIDA, PŁASKOWYŻ GIZA

12 SIERPNI 1799 ROKU

Uwięziony...!

Tętno żołnierza przyspieszyło i pulsowało mu teraz w skroniach z siłą uderzeń maczugi.

Wszystko nabrało jednak tempa wraz z chwilą, gdy zgasła jego ostatnia pochodnia.

Ciało żołnierza, które dotąd trzymało się w pionie, osunęło się, jak gdyby szpony ogromnego smoka pociągnęły go ku środkowi Ziemi. Uderzenie nie pozbawiło go przytomności, ale spowodowało dezorientację. Nie był w stanie pojąć, czy został zaatakowany przez coś, czy przez kogoś. Nic go nie bolało. Wszystkie kości miał całe. Nie wydawało się, by był ranny. Z jakiejś jednak przyczyny nie mógł ustać na nogach. Cóż takiego mogło obalić człowieka jego pokroju, silnego i upartego, pośrodku pustego pomieszczenia?

Atak paniki?

Przełknął ślinę.

Ukąszenie owada?

Czyżby został otruty?

Zanim cudzoziemiec zdołał znaleźć możliwą do przyjęcia odpowiedź, jego źrenice rozszerzyły się do granic możliwości. Z przerażeniem zdał sobie sprawę, że nie tylko nogi odmówiły mu posłuszeństwa – tracił również panowanie nad ruchami szyi i palców dłoni.

Na niewiele się zdało ani to, że niespełna trzydziestoletni młodzieniec, jeszcze przed minutą zdrów jak ryba, przyspieszył oddech i rozpaczliwie usiłował się otrząsnąć, ani to, że rozciągnięty na wznak na posadzce młócił ramionami powietrze. Ramiona zresztą także słabły mu niepokojąco szybko, tak jakby wszystko w nim – poza panicznym strachem – miało w jednej chwili zagasnąć.

– Co się ze mną dzieje? – krzyknął ze spojrzeniem wbitym w pustkę, zdobywając się na nadludzki wysiłek. – Wyciągnijcie mnie stąd!

Wówczas odebrało mu również głos. Przeświadczony, że zaraz umrze, ostatni raz zamrugął oczyma.

Wskutek tego nagłego paraliżu zaległ bez ruchu na posadzce na trudny do określenia czas. Pomieszczenie, w którym się znajdował – złożone ze ścian, z podłoża i ze sklepienia z czerwonego, oszlifowanego granitu, mierzące jakieś dziesięć metrów długości na pięć szerokości, rozmyło się zupełnie w ciemnościach. Woń dymu z pochodni zniknęła z jego nozdrzy, stanowiące zaś jedyną dotąd oznakę życia w tym miejscu dwa piskliwe nietoperze

podczepione pod sufitem lub ten czy inny świerszcz zamilkły, jak gdyby były w zмовie z mrokiem.

Po chwili żołnierz nie czuł już nawet twardego podłoża. Jego plecy ułożyły się wygodniej na posadzce, pierś stopniowo przestała mu nerwowo falować. Rozciągnięty na ziemi, niezdolny do jakiegokolwiek reakcji, zdołał oderwać myśli od wyczynów militarnych i misji, za sprawą której znalazł się w tym położeniu.

„Święty Boże! – zniemacka uzmysłowił sobie sytuację. – Ja przecież umieram!”

Młodzieniec rychło zdał sobie sprawę, że za ogarniający go paraliż nie odpowiadają wyłącznie czynniki zewnętrzne. Bez względu na to, co obaliło go na ziemię, własny strach uniemożliwiał mu odzyskanie panowania nad sobą. Musiał przezwyciężyć inercję biegu wypadków. Wyszkolono go, by potrafił zachować zimny umysł nawet w najtrudniejszych sytuacjach, ta zaś bez wątpienia była nader przerażająca. Tak więc, dzięki wielkiemu wysiłkowi zdobywszy się na jasność umysłu, odsunął na bok lęk i skupił myśli na tym, z czego mógłby czerpać siłę.

W pierwszej kolejności przyszły mu do głowy obrazy z dzieciństwa. Morze Śródziemne. Sosny nad brzegiem morza. Pobielone wapnem domy. Ciągące się bez końca zbocza. Korsyka. Czasy, kiedy dzień w dzień schodził z braćmi bawić się na plażę, marząc o tym, aby zaciągnąć się na jeden z wielkich statków, które rzucały kotwicę w Ajaccio. Już wówczas wiedział, że przyjdzie mu przekraczać morza! Po chwili z odsieczą pospieszyły kolejne wspomnienia. Lata studiów w Paryżu. Pierwsze próby flirtu na nadsekwiańskich bulwarach. Jego sny o potędze. A także lektury o bohaterach świata antycznego. Nic jednak nie dorównywało intensywności wspomnieniu ramion Letycji, jego matki.

„Będą ci mówić Napoleon, »Neapollon«, Nowy Apollo... Pamiętaj o tym zawsze, gdy znajdziesz się w niebezpieczeństwie, synu, gdyż jest ci pisane okryć się splendorem. Wszystkich ich zwyciężyć”.

Okryć się splendorem?

Zwyciężyć?

Żołnierzowi chciało się płakać. Gdzieś kiedyś słyssał, że wspomnienie matki nawiedza człowieka zawsze tuż przed tym, zanim wyda on ostatnie tchnienie. Lecz oczy również odmówiły mu posłuszeństwa.

Obywatel Napoleon Bonaparte – czy może raczej to, co z niego pozostało – był w tej rozpaczliwej sytuacji zupełnie sam, odcięty pod tonami głązów, w ciemnościach, bez choćby przekłetej mapy, która wskazałaby mu drogę do wyjścia, bez zapasowego krzesiwa, wody, prowiantu... Bez inicjatywy.

„Jak mogłem być aż tak głupi?”

Gdyby tylko mógł, uderzyłby się własną pięścią.

„Jak to się stało, że ja, który wymknąłem się z tyłu zasadzek, zaniedbałem środki bezpieczeństwa? Jak dałem się przekonać, aby tutaj zostać, w trzewiach najstarszej budowli na Ziemi, sam, bez moich ludzi?”

Wszystkie te wyrzuty w jednej chwili przemknęły mu przez myśl. Jak gdyby jego tożsamość miała się zaraz rozpuścić w potoku emocji, jakie wezbrały w nim wraz z tym niepowodzeniem. Kiedy sparaliżowany cudzoziemiec miał już zamknąć powieki i oddać się w objęcia wiecznego snu, doznał ostatniego przeblysku przytomności.

Coś posłyszał.

Jakiś daleki krzyk.

Ledwie szept.

„Opatrzność!”

Jak gdyby słowo to podświetliło się w najgłębszym zakamarku jego umysłu. Choć trwało to moment, Bonaparte rozpoznał, skąd dobiegał ten głos. Dobrze znał jego brzmienie. Słyszał go niegdyś z ust innej wyjątkowej kobiety. Istoty pod względem urody niemającej sobie równych, o najniezwyklejszych błękitnych oczach, jakie kiedykolwiek dane mu było podziwiać. To, że ten bez mała niebiański obraz pospieszył mu z pomocą w chwili, która zdawała mu się jego ostatnią, przydał mu zniecka wigoru.

„Opatrzność!” – powtórzył sam do siebie.

Nagle potok słów wypowiedzianych tym samym kobiecym głosem – silnym, a jednocześnie zmysłowym – zalał go bez reszty.

„Przeznaczenie!”

„Siła wyższa!”

„Karma!”

„Najwyższy plan!”

Euforia już go nie opuściła.

„Zamysł!”

„Przyszłość!” – wymienił z pamięci.

Naczelną dowódca francuskich wojsk okupacyjnych w Egipcie uchwycił się wówczas z nadzwyczajną determinacją jedyne, w czym – jak w końcu zrozumiał – mógł znaleźć ratunek. Ufności.

„To jest to!” – uradował się.

Musiał odzyskać wiarę. Opatrznościową ufność w zwycięstwo, tę samą, która mu towarzyszyła, gdy rok wcześniej przeszedł przez Alpy i podbił Italię. Nadzieję związaną z tym niezwykłym losem, który już jego matka widziała mu pisany i którą ostatnia kobieta, z jaką miał w życiu styczność, dopiero co w nim umocniła, wynurzając się z odmętów pamięci. Krótko rzecz ujmując, przekonanie, że jego żywot nie może dobiec końca zaledwie trzy dni przed trzydziestymi urodzinami.

„Jest mi pisane okryć się splendorem” – przypomniał sobie.

Bardziej już ożywiony, wydał swojemu ciału kilka szybkich i prostych rozkazów. Najpierw spróbował poruszyć w butach palcami stóp. Nadaremno. Następnie mocno zacisnął zęby i krótkimi, suchymi kasznięciami oczyścił gardło. Podbudowany tymi drobnymi postęпами, zdołał w końcu zgiąć jedno z ramion.

Niestety, na tym postęp się zatrzymał. Stracił koncentrację – wspomnienia władczych kobiet się ulotniły, kiedy zaś zdał sobie sprawę, że wciąż nie jest w stanie się podźwignąć, ponownie pogrążył się w rozpacz.

Nadal żył – przynajmniej tyle dobrego – ale znowu ogarnął go strach.

„A jeśli brak mi przeznaczenia? A jeśli...? Jeśli wszystko skończy się tutaj?”

Nagle zrobiło się zimno.

Temperatura w pomieszczeniu gwałtownie spadła, przez co ciało żołnierza jeszcze bardziej zeszywniało. W rzeczywistości było niepojęte, że stało się coś podobnego. Spoczywał przecież wewnątrz egipskiej Wielkiej Piramidy, u wrót Sahary, był środek sierpnia, panowały najsrozsze upały w ciągu roku. Choć była już noc i upał zelżał, niepodobna jednak, żeby ochłodzenie to można było odczuć wewnątrz tak potężnej budowli, jaką była Wielka Piramida. Młodzieniec uwiązał jakieś pięćdziesiąt metrów ponad poziomem płaskowyzu, oddzielony od świata zewnętrznego przez mur grubości kolejnych co najmniej sześćdziesięciu metrów. Tymczasem nigdy w życiu, nawet nocując pod gołym niebem, nie zaznał podobnego spadku temperatury. Jak gdyby powietrze w tym pomieszczeniu zgęstniało od bezliku lodowatych igiełek, które sprawiały ból przy oddychaniu.

Wówczas Bonaparte zmiarkował – z irracjonalną, choć absolutną pewnością – że za moment przydarzy mu się coś o ogromnym znaczeniu.

Przez następnych kilka sekund nie odważył się choćby zamrunąć.

Nie był w stanie.

W końcu, znowu po upływie czasu trudnego do oceny, zdało mu się, że źrenice zarejestrowały w mroku jakieś delikatne poruszenie.

Było to absurdalne – i zdawał sobie z tego sprawę.

Z własnej woli postanowił dać się zamknąć w tym miejscu. Namówiono go, żeby wystawił swoje męstwo na próbę, która – jeśli mu się powiodło – ogromnie zwiększyłaby jego reputację u żołnierzy, od chwili zejścia na egipski ląd doświadczających tylko kolejnych niedogodności. Był zatem pewien, że nikt – ani Francuz, ani Turek, ani Egipcjanin – nie poważył się sprzeciwić jego rozkazom i nie zagłębił się w ciasne korytarze, które zostawił za sobą, aby przyjść mu na ratunek.

W takim razie...

„Nie jestem tutaj sam!” Myśl ta sprawiła, że nieruchome ciało Bonapartego niemal podskoczyło w miejscu. „Ktoś tu jeszcze jest!”

Roztrzęsiony, choć jednocześnie czujny, zebrał w sobie resztkę sił. Musiał podporządkować organizm własnej woli. Z duszą na ramieniu, zaciskając zęby, nad którymi już zapanował, zdołał przekręcić głowę na bok.

„Okryję się splendorem!”

Usatysfakcjonowany Bonaparte skierował następnie spojrzenie w stronę, gdzie jak sądził, pozostało wejście do jego grobu.

„Boże...!”

Początkowo nie potrafił zinterpretować tego, co ujrzały jego oczy. Było niemożliwe, żeby tuman kurzu z zewnątrz przedostał się tak głęboko do środka. W piramidzie nie występują przeciągi. To jednak nie było tym, na co wyglądało. Jakiś zawieszony w powietrzu obłok, roztaczający blask podobny do łuny księżyca, pojawił się w pobliżu jego policzków. Nie świecił na tyle mocno, by oświetlić cokolwiek dookoła, lecz unosił się, jak gdyby zakotwiczony pośrodku nicości.

Urzeczony Bonaparte przyjrzał mu się ostrożnie i po chwili zdał sobie sprawę, że to coś stanowiło zaledwie zapowiedź czegoś ważniejszego. Otóż w głębi pomieszczenia, daleko za tą jasnością, która zawisła mu przed obliczem, zarysowały się sylwetki dwóch postaci.

Dostrzeżenie ich przyszło mu nie bez trudu.

Podobnie jak obłok, zdawały się składać z jakiejś lotnej substancji. Otaczał je ledwie dostrzegalny, zielonkawy poblask. Nie poruszały się, nie zdawały się także przejawiać zainteresowania leżącym pośrodku pomieszczenia człowiekiem. Musiały stanowić wytwór silnych halucynacji, ale wyglądały tak cieleśnie, że przez chwilę Bonaparte starał się poderwać i rzucić się biegiem w ich kierunku.

– Kim... jesteście? – wybąkał bezsilny z posadzki.

Nikt nie odpowiedział.

Czyżby tracił zmysły?

Wówczas poblady na twarzy Napoleon Bonaparte zrobił to, na co tylko pozwolił mu organizm: zaczerpnął powietrza w daremnej próbie ponownego oczyszczenia umysłu i powrotu do wspomnień, które przydały mu sił. Tak jak nauczył się tego kilka miesięcy temu w Nazarecie, zamknął oczy i opróżnił płuca. Pierwszy raz, drugi raz, wreszcie trzeci. Nic to jednak nie dało. Ani na moment nie był w stanie uwolnić się od myśli, że właśnie został żywcem pogrzebany. A co gorsza – że ktoś z bliska przypatrywał się jego agonii.

Wtedy właśnie wielce szanowany generał Napoleon Bonaparte, władca Egiptu, naczelny dowódca francuskich wojsk okupacyjnych, stracił przytomność.

ROZDZIAŁ 2

Czyżby śnił?

Czy już umarł?

Cudzoziemiec przeciągnął się na posadzce Komory Króla, czując się, jak gdyby obudził się z długiego snu. Wystarczyło, że otworzył oczy i ponownie spojrzął w otaczający mrok, a zdał sobie sprawę, że coś się zmieniło. Mógł się poruszać! Mięśnie były mu posłuszne! Mógł krzyczeć! Lepiej: mógł nawet stanąć na nogi!

Coś jednak nie uległo zmianie – to dziwne poczucie, że nie jest wewnątrz Wielkiej Piramidy sam.

– Tu mnie macie! – krzyknął, odsuwając włosy z twarzy w prostym geście, który jednak dla niego miał duże znaczenie. – Nie lękam się was! Pokażcie się, jeśli się nie boicie!

Lecz z wnętrzości budowli odpowiedziało mu wyłącznie echo jego słów.

Obmacał więc ściany pomieszczenia w poszukiwaniu niewielkiego otworu, przez który tutaj wszedł. Fetor odchodów nietoperza – witający go przed kilkoma godzinami – na powrót wtargnął mu do gardła, utwierdzając młodzieńca w przekonaniu, że oto powrócił do świata żywych.

Ucieszył się.

Gdzie jednak się podzieli tajemniczy przybysze o zielonkawym poblasku, których widział? I co z kobiecym głosem, który pospieszył mu z odsieczą?

A ta srebrzysta mgiełka unosząca się tuż nad ziemią, gdzie się podzielała?

Jak miał komukolwiek wytłumaczyć zjawisko, które dopiero co widział? W miarę jak poszukiwał punktu zaczepienia, absurdalne myśli jedna za drugą napływały mu do głowy. A jeśli wszystko to, czego właśnie doświadczył, stanowiło element próby, której sam zgodził się poddać? A jeżeli jego osamotnienie, paraliż czy nawet doznana wizja stanowiły rodzaj sprawdzianu zaaranżowanego przez ludzi, którzy go tu przyprowadzili? Albo nawet więcej – jeśli wszystko to były elementy pułapki obliczonej na to, aby sprawić, że zwątpi we własny zdrowy rozsądek?

Bonaparte sięgnął pamięcią wstecz: to Elias Buqtur, utalentowany koptyjski tłumacz, który służył mu za przewodnika, odkąd przed rokiem generał zszedł na egipski ląd, zawiódł go na obrzeża pustyni, obiecując wyjawić mu tam coś nadzwyczajnego. Przy wielu okazjach rozmawiali o piramidach i ich sekretach. Niezwykłe budowle, które byłyby w stanie przyćmić samą katedrę Notre Dame, stanowiły nie lada wyzwanie dla takiego umysłu, jak jego. W Egipcie powiadano, że to grobowce, mimo to nikt jeszcze nie zdołał w żadnej piramidzie

napotkać choćby jednego pochówku. Mówiło się również, że skrywały niewyobrażalne bogactwa, wszystkie jednak były opustoszałe. Buqtur wytłumaczył mu, że przekonanie, że ich sekret sprowadza się do czegoś materialnego, namacalnego, było bardzo rozpowszechnionym błędem.

Objął, że w ich wnętrzu znajdowało się coś natury duchowej.

– Naprawdę? To w piramidach nie ma złota? Mam ci uwierzyć? – zapytał Kopta.

– Jak uważacie – odparł ten z uśmiechem.

Właśnie tego dnia, 12 sierpnia, wylał Nil, nanosząc szlam na położone w delcie rzeki pola. Punktualne nadejście dorocznej powodzi zapowiadało kolejny sezon udanych zbiorów. Egipcjan ogarnął radosny nastrój. Świątowali szczodrość Matki Natury. Był to idealny moment, aby udać się w rejon piramid w poszukiwaniu ich niewidzialnych sekretów, nie zwracając zarazem na siebie uwagi.

– Wiecie, panie, co o Wielkiej Piramidzie mawiają starcy z Gizy?

Przenikliwe i głębokie spojrzenie Eliasza Buqtura zdołało pochwycić uwagę Bonapartego.

– Powiedz.

– Że kto ją posiada, ten posiada wszechświat.

Niech więc będzie. Właśnie to – pragnienie władzy – przywiodło go w to miejsce.

Teraz zaczynał sobie to wszystko przypominać.

Dzięki przenikliwej inteligencji i niemal europejskiemu zachowaniu Eliasza – rówieśnik Napoleona, mężczyzna nieco pucołowaty i z zadbaną brodą jak u majątnego szejka – zdołał go przekonać, że poddanie się przezeń rytuałowi piramidy to kwestia fundamentalna.

– Ale nikt nie może wiedzieć o tym, że przyjdziecie – przestrzegł go.

– To niemożliwe! – zaproponował Bonaparte. – Nie mogę przecież przejść przez Kair bez mojej eskorty. To byłoby zbyt niebezpieczne.

– A zatem przybądźcie, panie, w orszaku możliwie dyskretnym. Generał Kléber zaoferował się towarzyszyć wam z grupą ludzi, którzy nie będą zbyt rzucić się w oczy.

– Boisz się czegoś, Eliaszu?

– Boję się, że mogą pojawić się siły pragnące stanąć wam na drodze do piramidy.

– Jeśli wezmę ze sobą straż, tak się nie stanie.

– Zrozumcie mnie dobrze, panie – przerwał mu. – Jeżeli po przybyciu pod Wielką Piramidę wasze wojska nie zostawią was samych w środku, możecie być pewni, że piramida nie wyjawia wam swojego sekretu. Nie przemówi do was. A to będzie niedobrze, równie niedobrze, co wtedy, gdyby te siły nas zdemaskowały.

Napoleon nie dyskutował. Naczelną dowódca francuskich wojsk okupacyjnych postanowił wbrew sobie zaufać temu człowiekowi.

Teraz nachodziły go inne wątpliwości. Skąd Buqtur mógł wiedzieć, że wewnątrz pradawnego monumentu przyjdzie mu coś – lub kogoś – zobaczyć? Czy istniała możliwość, że

go odurzył, pozostawił na pastwę wizji i uknuł poddanie go tej farsie, aby podporządkować go własnej woli? Czyżby tłumacz usiłował wzbudzić strach w nim, oswobodzicielu Egiptu?

Pokręcił głową.

Wciąż czuł się dezorientowany.

W swoich wspomnieniach nie znajdował żadnego dowodu, który pozwalałby obronić takie przypuszczenie. Mistyfikacja, za której ofiarę się uznał, była nazbyt złożona. Za bardzo nierzeczywista. Rzeczywistość przedstawiała się o wiele prościej. On i Buqtur – pod eskortą czterech uzbrojonych ludzi i z czterema osłami obładowanymi prowiantem i kocami – na pokładzie dużego barkasu przepłynęli kilka godzin temu przez wioskę Nazlet-el-Samman ku Wielkiej Piramidzie. Nie było przy tym okazji, aby zjadł czy wypił jakąkolwiek truciznę. Kiedy zaś pokonali zagłębienie terenu, w którym spoczywa Sfinks, skierowali się konno w stronę celu podróży, nie napotykając po drodze nikogo, kto wzbudziłby w nim jakieś podejrzenia. Słońce, jak każdego późnego popołudnia, skąpało tysiącletnie ruiny w odcieniu starego złota, tworząc precudowną scenerię. I tyle.

– Panie – oznajmił mu wytworną francuszczyzną Buqtur, gdy tylko doprowadził go do komory, w której teraz Napoleon to wszystko przemyślał. – Zanim piramida wyjawia wam swoją naukę, wiedźcie, że musicie opróżnić swoją duszę.

– A cóż to takiego ma znaczyć?

– Niebawem się przekonacie – uśmiechnął się. – To bolesny proces. Podołacie?

– Zrobię to – przytaknął Bonaparte.

– W samotności?

– Nie boję się.

Eliasz objął go.

– Panie, ta próba zawsze odbywała się w ten sposób. Takie jest prawo. Tak przewyciężyli ją Cezar czy Aleksander Macedoński. I obaj, jak dobrze wiecie, stali się panami Egiptu. Tak również dziś uczynicie to wy, o ile nadal pragniecie, żeby przypadł wam ten zaszczyt i żebyście mogli władać naszą ziemią.

Tak właśnie generał zgodził się pozostać na łasce piramidy.

„Jak mogłem być aż tak lekkomyślny?” – ganił się teraz w duchu.

Dobrze pamiętał ostatnie spojrzenie Buqtura, pełne pradawnego i zabobonnego lęku. Być może tego samego, który sprawił, że pokonani przez jego wojska mamelucy ochrzcili go mianem „diabelskiego Bunaparta”. Głupcy wyobrażali go sobie jak jakiegoś potężnego dzina o złowieszczym usposobieniu, zbrojnego w długie i ostre szpony, którymi patroszył przeciwników, zdolny samym spojrzeniem obracać ich w kamień.

Bonaparte zdawał sobie sprawę, jak szczerze obszedł się z nim los, stykając go z rodziną Eliasza. Jeśli to, co słyszał, było prawdą, jego klan od pokoleń prowadził żadnych inicjacji do wejścia do Świątyni Sauryda, jak kairczycy zwykli określać Wielką Piramidę. Tymczasem

Buqtur, jeszcze bardziej ufny w opatrność niż jego nowy pan, istotnie w głos dziękował Stwórcy za to spotkanie. Żaden bowiem z jego przodków nie zaprowadził do Wielkiej Piramidy tak potężnego kandydata, jak ten.

– A zatem, Eliaszu, gdzie będziesz na mnie czekał? – napomniał go Bonaparte, widząc, że tłumacz kieruje się ku wyjściu z monumentu.

– Na zewnątrz, mój panie.

– Wy także, Jean-Baptiste? – zapytał następnie, spoglądając w migotliwym świetle pochodni na generała Klébera. Ten wraz z trzema uzbrojonymi dragonami francuskiej piechoty również podążył za nim do tej sali.

– Tylko jeśli tak rozkażecie, panie.

Bonaparte potarł podbródek.

– W porządku. Idźcie sobie – odparł.

Kiedy czarna koszula przewodnika i ostatnia z niebieskich kurtek dragonów zniknęły w korytarzu, który doprowadził ich w to miejsce, Bonaparte poświęcił czas, jaki dawała mu ostatnia pochodnia, na zorientowanie się w otoczeniu. To po tej chwili wytchnienia, być może godzinę później, rozpoczął się ten cały koszmar.

Bonaparte wzdrygnął się na to wspomnienie.

Było to tak, jak gdyby wrota piramidy zatrzasnęły się za nim na zawsze.

Ciemność pochłonęła wszystko bez wyjątku.

Wejście do pomieszczenia, nietoperze, świerszcze oraz zajmująca centralne miejsce w komnacie wielka granitowa skrzynia pogrążyły się w nagłej i głębokiej nocy.

Wszystko zakrył ten sam gęsty czarny całun, który teraz spowijał i jego.

Na siatkówce pozostały mu jedynie kontury drzwi prowadzących do tej sali i ogromny kamienny blok spoczywający w głębi pomieszczenia. Ten ostatni miał formę jakiegoś zdumiewającego koryta wyciętego w jednym kawałku granitu, wypolerowanego niczym zwierciadło i wystarczająco przestronnego, aby pomieścić wewnątrz człowieka.

Czy to tam miał opróżnić swoją duszę?

Po ciemku?

Czy to w tej skrzyni miało się okazać, ile ona „waży”?

A jeśli tak, to w jaki sposób?

– Nie lękajcie się, panie. Piramida was poprowadzi – zapowiedział mu Eliaszu Buqtur. – Dajcie się ponieść świętej mocy, którą pozostawili nam pradawni panowie Egiptu. Nie stawiajcie oporu. Nie próbujcie tego pojąć. Pogódźcie się z tym, co was spotka. I to wystarczy.

Myśl ta wprowadziła go w niepokój.

Nigdy dotąd nie dał się prowadzić samemu instynktowi. Nie był nawet pewien, czy zdoła wyciszyć rozsądek i wziąć udział w tym, co bez wątpienia wyglądało na kolejny etap

„sprawdzianu piramidy”, któremu postanowił się poddać. Generał nie miał już jednak nic do stracenia.

Zdecydowany, wyciągnął ręce przed siebie w poszukiwaniu gładkiego i zimnego granitu.

Namacawszy zbiornik dokładnie tam, gdzie się go spodziewał, wdrapał się na jego brzeg i wyciągnął się na długość w jego wnętrzu. Był gotów zaczekać, aż wypadki potoczą się same, bez jego ingerencji, i wyjść z tej niekomfortowej sytuacji możliwie pasywnie.

„Co miał na myśli Elias, mówiąc, żebym opróżnił tutaj duszę i pozwolił, aby ją zważono?” – spytał samego siebie, opierając plecy o dno zbiornika.

Odetchnął głęboko.

Uczył to raz, drugi, trzeci.

Uwolnił umysł od wszelkich myśli.

Wyciągnął nogi i ramiona, aż zdołał wygodnie je ułożyć i o nich zapomnieć.

I zamknął oczy.

W tym właśnie momencie Napoleon Bonaparte dokonał straszliwego odkrycia – kamienna trumna była idealnie dopasowana do jego wymiarów.

ROZDZIAŁ 3

LUKSOR, SIEDEMDZIESIĄT DWIE GODZINY WCZEŚNIEJ

– Na brodę Proroka! Co tak stoicie, durnie?

W napiętej atmosferze panującej w kawiarni Yusufa straszliwy i gromki głos Omara Zalima rozbrzmiał niczym uderzenie bicia. Lokal pękał w szwach.

– Dalej! – nawoływał, stojąc na stole, zamaszystymi ruchami ramion wskazując ku tacom zastawionym owocami i przyprawionym jadłem. – ŚmieJCie się! Ucztujcie! Palcie! Dziś czeka mnie ważne spotkanie!

Jego ludzie spojrzeli po sobie ze zdumieniem. Dawno już ci fellachowie nie widzieli go równie szczodrego. Tego popołudnia najstarszy z Zalimów bez wyraźnej przyczyny powyciągał ich z odległych grobów, które na jego polecenie przeszukiwali, i zaprowadził, aby jedli i pili w najlepszym lokalu w mieście. Dla większości chłopów opłacanych przez pana tego miasta było to zachowanie równie nowe, co zdumiewające. Dobrze wiedzieli, że Omar bynajmniej nie jest pobłażliwym przywódcą. Wprost przeciwnie. Swoją reputację zbudował na strachu, jaki wzbudzał onieśmielającym wyglądem – był to olbrzym o wydatnych mięśniach i skórze poranej bliznami – a także przez rozpowszechnione przesady dotyczące jego pochodzenia. Omar był synem, wnukiem i prawnukiem starego klanu czarowników i jedyny w całym Luksorze ważył się wchodzić do grobowców dawnych faraonów i plądrować je, nie bojąc się przy tym duchów. Zarazem jednak był pewnego rodzaju przywódcą duchowym. Przewodnikiem na cienistym szlaku. Często mawiał, że aby wyjść nietkniętym z wykutych w kamieniu zaświatów na zachodnim brzegu rzeki, należało opanować *maat*. Według jego słów mechanizm funkcjonowania całego wszechświata sprowadzał się do tego pradawnego egipskiego terminu: równowagi. Kiedy był w dobrym nastroju, rychło zaczynał prawić, że nie może być mowy o życiu bez śmierci. Czy o nocy bez dnia. Albo o wiosnie bez zimy. I że jeśli on sam rabował pochówek zmarłego, znajomość zasady *maat* kazała mu przeznaczyć część zysku na uratowanie przed śmiercią kogoś chorego. Gdy z kolei decydował się pomóc przyjacielowi, wówczas powinien być także gotów zadać śmierć nieprzyjacielowi. Jego poczynania mogły wydawać się złowrogie tym, którzy go nie znali, lecz w istocie wpisywały się w specyficzne, pradawne poczucie sprawiedliwości.

Skoro więc Omar postanowił tego popołudnia zwołać ucztę z okazji pewnego spotkania, bez wątpienia musiało chodzić o coś ważnego. O jakiś nowy przejaw tajemniczej reguły, której podporządkowywał swoją wolę.

Fakt faktem, że zdając sobie sprawę z tej wiary, po raz pierwszy od czasu, gdy wojska generała Desaix zajęły podejścia do stanowisk archeologicznych, tym samym utrudniając im prowadzenie działalności, brudni i budzący przestraszyć ludzi, których miał pod swoimi rozkazami, dali się wyciągnąć na ucztowanie.

– Wystarczy tego! Już wiem, Omarze, co się z tobą dzieje! – wykrzyknął jeden z nich z głębi kawiarni, jednocześnie zaciągając się dymem z fajki nabitej haszyszem. W jego spojrzeniu można było dostrzec nieskrywaną lubieżność. – Czeka na ciebie kochanka! – Zarechotał.

– Pewnikiem to jakaś bogini! – dopowiedział drugi.

Trzeci, jeszcze bardziej pobudzony, dorzucił:

– Tak, o to chodzi! Spójrzcie tylko na niego! Jaki zniecierpliwiony!

Zebrani wybuchli gromkim śmiechem.

Ich przywódca bynajmniej się nie obruszył, a tylko uśmiechnął, podnosząc do ust kiść winogron.

Wieczór nie mógł zacząć się lepiej.

Przyptyw grubiaństwa miał poprzedzać chwilę wzniosłości, której nadejście przeczuwał całym sobą. „Wprowadzanie równowagi, wyważanie przeciwieństw to jedyny sposób na zachowanie panowania nad wszechświatem” – powiedział sobie.

Na tym właśnie polega *maat*.

Yusuf, gospodarz przybytku, pozostający nieco w tyle za tą hałaśliwą gromadą, nie spostrzegł, że zza jednej ze sznurowych zasłonek wychyliło się dwoje dziewcząt, które przyciągnął wszechznany rwetes. Jedną z nich była delikatna i śliczna Nadia ben Raszid, kwiat tego przybytku, którą wszyscy nazywali Doskonałą, drugą zaś, nieco młodszą, około piętnastoletnią, o niewinnym spojrzeniu – jej kuzynka Fatima. Obie już od pewnego czasu pracowały u Yusufa jako tancerki, choć zdawały sobie sprawę, że są tam jedynie na zasadzie swoistego wypożyczenia. W rzeczywistości – podobnie jak niemal wszystko w Luksorze, co miało jakąkolwiek wartość – one również stanowiły własność Omara.

– Cóż to się dziś dzieje? – wyszeptła Fatima, wystraszona, że jeszcze ktoś je nakryje.

– Nie wiem – odparła tym samym tonem Doskonała, usiłując dosłyszeć coś przez ogólny gwar i dźwięki wydawane przez grupę bębniarzy, którzy nie byli pewni, czy mają zacząć grać, ale nasycali pomieszczenie nieskoordynowanymi uderzeniami. – Omar zdaje się nader ożywiony.

– To dobrze...

– Tak sądzisz?

– Tak. Spójrz na niego – powiedziała, wskazując stół, na który Omar się wdrapał. – Cały aż promienieje.

– Na wszelki wypadek nie spuszcza go z oka. Wczoraj zdawał się przybity, ale teraz...

– Być może otrzymał jakieś wieści. Pomyślne nowiny z Kairu.

– To, co dobre dla niego, zazwyczaj okazuje się niepomysłne dla nas...

Nadia wypowiedziała te słowa bardzo poważnym tonem, nie odrywając wzroku od wnętrza lokalu.

– Sądziś, że...? – Fatima, do tej pory radosna, w jednej chwili spochmurniała. – Sądziś, że powinniśmy podnieść alarm? Że to dziś jest ten dzień?

Doskonała wzruszyła ramionami, nie wiedząc, co powiedzieć. Dostatecznie dobrze знаła swojego pana, żeby zawczasu nie oceniać jego działań. W jego wypadku nikt nie mógł sobie pozwolić na przedwczesne sądy.

Wtem zaskoczył je kolejny z okrzyków towarzystwa.

– Mówże, Omarze! Ha, ha, ha! Cóż to za spotkanie? Czyżbyś wreszcie zdecydował się rozdziewiczyć Nadię?

– Jeszcze ci się dziewczę zmarnuje! – wykrzyknął inny. – Ale byłaby szkoda!

Część zgromadzonych zaczęła klaskać.

– Właśnie, właśnie!

– Jak możesz tyle czekać? – nalegał czwarty głos gdzieś po przeciwnej stronie kawiarni. – Toż jest z niej już kobieta jak się patrzy!

– Jeśli sam się nie odważysz, moglibyśmy ci dopomóc... – Kolejna fala śmiechu.

Doskonała, stojąc w kryjówce, zdusiła dreszcz, ściskając w przestrachu dłoń towarzyski. Fatimę ogarnęło współczucie. Od tygodni kuzynki rozmawiały właśnie o tym.

– Ty ich słyszysz? – wyszeptała.

– Nie zwracaj na nich uwagi, Nadia. Są tylko tacy mocni w gębie.

– Że też nie urodziłam się chłopakiem! – rozżaliła się.

Fatima zmilczała. Wiedziała, że nie zdoła jej przekonać. W ciągu dwóch ostatnich lat jej kuzynka przemieniła się w piękną istotę. Natura obdarzyła ją proporcjonalną sylwetką i długimi, ładnymi nogami, nie pozostawiając śladu po niegdysiejszej chudej i niezgrabnej dziewczynce. Odznaczała się tą samą urodą, jaka cechowała boginie uwiecznione na ścianach świątyń. Wykazywała taką samą pewność siebie, roztaczała to samo wrażenie słodyczy i niezależności. Sama Nadia uważała jednak te zmiany za nieszczęście. Nie potrafiła przestać myśleć o tym, jak ułożyłoby się jej życie, gdyby zamiast gładkiego oblicza podbródek pokrywała jej zmierzwiona broda. Byłaby wówczas wolnym człowiekiem, mogącym poruszać się według własnej woli, czytać i pisać tyle, ile dusza zapagnie. Byłaby kimś rzeczywiście przydatnym swojej rodzinie. Nie zaś jak teraz, gdy już od dziewięciu lat była na służbie u Yusufa, który był dla niej kimś obcym, zmuszona pogodzić się z tym, że inni kierują jej losami, i czując, jak z każdym mijającym rokiem trudniej przychodzi jej znosić swoich „znamienitych” klientów.

Omar to zupełnie inna historia. Kiedy jako dosyć chorowita sierota trafiła do Luksoru, tylko on był gotów otoczyć ją opieką. Ten złowrogi człowiek postanowił nauczyć ją, że taniec

stanowi najsubtelniejszy sposób osiągnięcia *maat*. Mawiał, że sami bogowie zesłali tę umiejętność pierwszym Egipcjankom, kobietom obdarzonym zmysłowością, którą wyczytywał również w jej oczach, i utrzymywał, że tańcząc przed jego nieokrzesanymi podwładnymi, przywracała w kosmosie porządek.

„Tańcz, a odnajdziesz swoją istotę. Tańcz, a staniesz się *maat*” – obiecał.

Niezależnie od tego Nadia darzyła go głęboką nienawiścią. Przeczynała, że ten budzący postrach olbrzym o kwadratowej żuchwie i ciele pokrytym bliznami istotnie się przyczynił do nieszczęścia, za sprawą którego trafiła w to miejsce. I choć zawsze odnosił się do niej z szacunkiem, miała wrażenie, że zachowywał ją z myślą o czymś, co nie przypadnie jej do gustu. Mało co tak niepokoiło jej pana, jak obawa, że każdy mężczyzna, który ją zobaczy, w mig się w niej zadurzy. Jej drobne oczka wystraszonej dziewczynki ustąpiły miejsca oczom dużym, głęboko błękitnym, osadzonym w delikatnej twarzy o idealnych rysach i wysokich kościach policzkowych okolonych ciemną czupryną, która sięgała jej niemal do pasa. Lecz ta rzadka uroda oznaczała stałe zagrożenie dla jej bezpieczeństwa. Nadia była świadoma, że mężczyźni jej pożąдали. Że zaczęli na nią czyhać. Wiedziała także, że żadna z kobiet usługujących w lokalu Yusufa nigdy nie stanęłaby w jej obronie. „Ta dziewczyna jest nietykalna – przestrzegł wszystkich Omar Zalim, kiedy przed dziewięcioma laty włączył ją do swojego dobytku. – Wiedźcie, że szykuję jej szczególny los”. I po cóż mówił coś podobnego! Od tamtej pory wszyscy mylnie uznawali jej wyniosłą posturę, wyprostowane plecy i wieczną czujność za oznaki fałszywej dumy. Dlatego zaczęli przezywać ją Doskonałą. Ona jednak taka nie była. Bóg uczynił ją piękniejszą, niżby sama tego chciała, uroda zaś była przyczyną, dla której okazywała rezerwę. Była wrażliwa i marzycielska, inteligentna i pojętna, nie zdawało się jednak – jak teraz ze smutkiem miarkowała – żeby dary te na wiele jej się zdawały.

– Nadię?

Czarne oczy Omara rozbłysły, gdy powtórzył imię wymienione przez podległych mu fellachów, co wyrwało ją z rozmyślań. Żyłka na lewej skroni jej pana nabrzmiała i zaczęła pulsować.

– Jak śmiecie, wy, pomioty, wspominać imię Nadii?

Niespiesznym ruchem podciągnął galabiję, aby się nie potknąć, po czym zszedł ze stołu, na który uprzednio się wdrapał. Jego ludzie zamilkli i na kilka chwil, które wydały się wiecznością, zamarli w bezruchu.

– Wiecie przecież, co wam o niej powiedziałem, prawda?

Mówiąc te słowa, Omar pogładził zawieszony u pasa sztylet.

Znów cisza.

Wtem, spuściwszy stopy na ziemię, olbrzym uśmiechnął się od ucha do ucha.

– Ależ z was jednak bestie! – zaśmiał się. – Naprawdę sądzicie, że gdybym chciał osiąść którąś z moich kobiet, tobym was wezwał, żebyście na to patrzyli?

Westchnienie ulgi przemknęło przez pomieszczenie niczym podmuch świeżego powietrza. Zauważyły to również ukryte za kotarą dziewczęta.

– Hejże, hejże! – zawołał, w jednej chwili odzyskując ducha *maat*, który ich tutaj sprowadził. – Dalej! Cieszcie się uczą!

Placki z mięsem i talerze z hummusem zaczęły przechodzić z rąk do rąk. Lokal wypełnił się smakowitymi zapachami. Kiedy się już jednak zdawało, że pośród zgromadzonych na powrót zapanował spokój, kolejny głos o mało co wszystkiego nie zaprzepścił:

– Nie sądzisz, Omarze, że zbyt długo już rozpieszczasz tę dziewczynę? – wyrzucił mu jeden z biesiadników, który najwyraźniej wypalił zbyt wiele haszyszu. Był to już starszy człowiek, wspierający się o lasce, która w każdej chwili mogła się złamać. – Nauczyłeś ją nawet francuskiego!

Przywódca machnął ręką w powietrzu.

– Nie, Ibrahimie... Moja radość z tego wieczoru nie ma nic wspólnego z kobietami – przerwał fellachowi, ani myśląc się irytować. – Niebawem, przyjaciele, odbędę w świątyni spotkanie z cudzoziemcami, którzy ostatnimi czasy uprzykrzają nam życie. Spotkanie, które wszystko odmieni.

Na twarzy jego rozmówcy odmalował się grymas zakłopotania.

– Ach! Nie dziw się tak, Ibrahimie – dodał uradowany, że zdołał sprawić swoim ludziom tyle niespodzianek. – Wszyscy wiecie, że wojska francuskie blokują nam dostęp do starych grobowców. Od miesięcy strzegą dojść do Doliny Królów i konfiskują nam owoce naszej ciężkiej pracy. – Po sali przeszedł pomruk zgody. – Ile złota straciliśmy? Ile postradaliśmy klejnotów? Sami powiedzcie!

– Mnóstwo! – odpowiedział chór głosów.

– Wiedźcie zatem, że te prowadzone przez najeźdźców patrole nie wynikają ze względów obronnych czy militarnych. Rozkaz odcięcia nam dostępu do grobowców otrzymali oni z samej góry.

– Od sułtana Bunaparta? Jesteś tego pewien?

Ibrahim wymówił jego nazwisko z bardzo miękkim akcentem. W jego ustach zabrzmiało śmiesznie, ale głęboki przestрах, jaki pojawił się w jego oczach, bynajmniej śmieszny nie był. Podobnie jak wielu innych mieszkańców Egiptu, ten biedny fellach sądził, że Napoleon Bonaparte to jakiś dzin z zaświatów, zesłany do kraju, aby oczyścić go z rozlicznych grzechów.

– Bonaparte nie jest bogiem! – skarcił go Omar, u którego Nadia dostrzegła nagły błysk zaniepokojenia. Po chwili jednak, już łagodniejszym tonem, dodał: – Choć pragnie nim zostać za wszelką cenę.

– Co... Co chcesz przez to powiedzieć, Omarze?

– Starcze, ja nie rzucam słów na wiatr. Wiem, że najeźdźca rozesłał po całym kraju nieuzbrojoną armię, legion mędrców, dając im wyraźne rozkazy, aby kopiowali i odczytywali dla niego inskrypcje z naszych zabytków. Czego szuka. A ja dokładnie wiem, czego!

Fatima i Nadia spojrzały po sobie zdumione. Ibrahim, a wraz z nim wszyscy zgromadzeni w kawiarni, czekali, aż przywódca wyjaśni, co ma na myśli.

– Spójrzmy prawdzie w oczy – ciągnął Omar. – Bonaparte to nie taki wojskowy, jak inni. On nie jest jak Turcy. Ściągnął te zastępy naukowców, aby wydobyć pradawne tajemnice naszych bogów... A dzisiejszej nocy, Ibrahimie, naprowadzę dwóch takich mędrców na trop tego, czego szukają. Rzecz jasna – uśmiechnął się enigmatycznie – w zamian za coś, co uczyni nas wielkimi.

– *Maat*, prawda?

Omar przytaknął.

– Ach, mówią o Francuzach! – Po drugiej stronie zasłony oddzielającej kawiarnię od pokojów Yusufa Fatima dała Doskonałej porozumiewawczego kuksańca. – Wiesz, co inne dziewczyny o nich mówią?

– Co? – wyszeptła Nadia.

– Że są cudownymi kochankami!

– Fatimo! – zgała ją. – Za młoda jesteś, żeby myśleć o takich rzeczach.

Wówczas Nadia spojrzała w stronę Omara, częściowo zawstydzona komentarzem kuzynki, częściowo zaś zaskoczona tym, co właśnie powiedział jej pan. Nigdy nie widziała, aby skryty Zalim okazywał zaniepokojenie jakąkolwiek sprawą, tak więc ta krótka chwila słabości wzbudziła w niej zafascynowanie.

– Tak, Nadiu, właśnie tak! – upierała się Fatima. – Gdybyś tylko słyszała, co opowiadają starsze od nas!

– Nie teraz – rzuciła Doskonała, nie odrywając wzroku od wnętrza lokalu i usiłując nie uronić ani słowa z toczonej tam rozmowy. „Czyżby Omar bał się Francuzów?”

– Twoja strata. Te, które z nimi były, mówią, że są mili. A nawet czuli. Nigdy dotąd nie spotkały mężczyzn, którzy bardziej skupialiby się na sprawianiu rozkoszy niż na własnych doznaniach. Kiedy cię pieszczą, mówią o miłości. A do tego opowiadają, że w ich kraju kobiety mogą sobie wybrać mężczyznę, z którym chcą być!

– Naprawdę?

Doskonała na chwilę dała się zbić z pantafyku.

– Przecież mówię, że tak! Nie wierzysz?

– Ja...

Z piersi Nadii wydobyło się wówczas głębokie westchnienie. Nie chciała deprimować kuzynki. Nie odważyła się jej powiedzieć, że żony Yusufa nigdy nie pozwoliłyby im zbliżyć się do najeźdźców. Nigdy nie przyjdzie im zobaczyć tych żołnierzy z bliska.

– A wiesz, co powiadają o Bonapartem? – ciągnęła.

– Nie...

– Że przywódca ich wszystkich jest młody, przystojny i zuchwały. Wyobrażasz sobie, co by to było, gdybyśmy poznały kogoś takiego? – Oblicze Fatimy się rozświetliło.

Nadia pokręciła głową. W kawiarni Yusufa słyszała już wiele komentarzy na temat stojącego na czele najeźdźców generała. Niemal wszyscy opowiadali o jego arogancji, despotycznym usposobieniu i głoszonych kłamstwach, ale – rzeczywiście – wielu mówiło także o atrakcyjnie wyglądającym wojowniku, kimś w rodzaju nowego Cezara, bardzo inteligentnym, a do tego obdarzonym *baraką*¹.

– Bądź ostrożny, Omarze Zalimie! – kolejny niefortunny komentarz starego Ibrahima wyrwał ją z rozmyślań. Starzec stał tuż przed obliczem Omara, wyrzucał ramiona w powietrze i wymachiwał nimi wokoło. – Bez względu na to, co im dasz, oni ci to zabiorą! I w zamian nic ci nie dadzą! Oni nie znają egipskich praw... To barbarzyńcy. Bestie, jak wszyscy cudzoziemcy.

Wówczas Omar wbił w niego drapieżne spojrzenie.

– Naprawdę tak uważasz, Ibrahimie? – zapytał.

Ton, którym wypowiedział te słowa, brzmiał poważniej. Znać w nim było znużenie. Wzbudziło to pośród zgromadzonych falę niepokoju.

– Omarze, oni mają straszliwy oręż! – zawołał starzec, jak gdyby jego rozmówca nie widział go na własne oczy. – Armaty! Muszkiety! To potężne wojsko. Pokonali mameluków. Dlaczego mieliby chcieć z tobą negocjować? Mogą po prostu odebrać to, na co będą mieli ochotę. W tym nawet i życie.

– Wątpię... – zaoponował tajemniczo.

– A zatem? Co zamierzasz im zaferować, czego sami nie zdołają ci odebrać?

– Oj, Ibrahimie, Ibrahimie... – Poklepał go po twarzy. – Wbrew temu, co sądzicie wy, ubogiego ducha, najcenniejszym, co ma człowiek, nie jest jego dobytek, ale jego wiedza. W miejscach, które ci mędracy odwiedzili, można znaleźć teksty, które ja potrafię odczytać, oni zaś nie.

– W miejscach? Jakich miejscach? Egipt jest pełen pradawnych inskrypcji!

– Na przykład w grobowcu Amenhotepa – odparł.

Stary fellach aż podskoczył. Podobnie zrobili stojące kilka kroków dalej Fatima i Nadia.

– W grobowcu w Dolinie Małp? – dopytał, czyniąc gest zdumienia. – W grobie ostatniego faraona, który poznał sekret nieśmiertelności?

Omar przytaknął.

– Kilka dni temu dwaj budowniczywie mostów, dwudziestotrzyletni Jean-Baptiste Prosper Jollois i dziewiętnastoletni Édouard de Villiers, przypadkowo się na niego natknęli.

– Ty... Ty ich znasz?

– Poznanie imion i nawyków przeciwnika, Ibrahimie, to pierwszy krok do jego pokonania. Ja się po prostu dowiaduję.

– I co takiego odkryli w tym pradawnym miejscu?

– Byli dość nieroztropni, przyjacielu. Weszli do środka, zaczęli kopiować znalezione tam rysunki, zachwycili się ścianami, a gdy zaczęli rozpytywać za miejscowym tłumaczem, który pomógłby im je odczytać... koniec końców umówili się na spotkanie ze mną. – Uśmiechnął się złowieszczo. – Zobaczmy się dzisiejszej nocy. W świątyni w Luksorze.

Ibrahim nie był jedynym, który przejął się tymi słowami. Skryte za zasłoną Fatima i Nadia zupełnie zamilkły. Dwa tylko słowa wystarczyły, żeby wprowadzić je w ten stan.

Grobowiec Amenhotepa!

– I...? I co zrobisz? Wyjawisz im sekret tego miejsca? – głos pytającego Ibrahima zdawał się drżeć. Omar Zalim był jedną z nieprzewidywalnych sił natury.

– Tylko wtedy, gdy dadzą mi to, czego oczekuję! – ryknął.

– Jak sądzę, chodzi ci o *maat*? – ponownie domyślił się Ibrahim.

– Otóż to.

ROZDZIAŁ 4

– Mój Boże! Czy ty to słyszałaś?

Gdy plany jej pana dotarły do uszu Nadii, spokojne oblicze dziewczyny wyraźnie się wzburzyło.

Omar zbeczczył grobowiec Amenhotepa!

– Fatimo, nadeszła ta chwila – wyszeptwała, nie mogąc wypuścić z dłoni zasłony. Doskonałą ogarnęła pewność zrodzona w głębi jej jestestwa. – Musisz odnaleźć naszych. Ruszaj jak najszybciej!

Fatima natychmiast pojęła, że jej kuzynka mówi to śmiertelnie poważnie. Intensywne przejęcie sprawiło, że poczuła ucisk w żołądku.

– Do Edfu? – wymamrotała, dokładnie wiedząc, czego się od niej oczekuje.

Nadia skinęła głową.

– Pojedź konno w górę rzeki. Cały czas trzymaj się brzegu. Nie zgubisz się.

Na szczęście Fatima świetnie wiedziała, co ma zrobić. W pewien sposób ona również została z myślą o tym przeszkolona. Obie dziewczyny od lat wymieniały potajemnie listy z jedynymi żywymi krewnymi, jacy im pozostali, a którzy żyli w tej odległej wiosce na południu Egiptu, jakieś sto kilometrów od nich. Utrzymywały z nimi sporadyczną, ale zawsze podnoszącą na duchu korespondencję. Ich krewniacy – ostatni wolni członkowie klanu ben Raszidów – podtrzymywali w nich nadzieję na ratunek i dyskretnie przesyłali im tyle, ile tylko mogli. Żywność, pieniądze, ubrania... Wszystko to, co mogło sprawić, żeby ich niewola była możliwie znośna. Ich pomoc nie była jednak bezinteresowna. W zamian za nią dziewczęta zostały wyuczone, aby podnieść alarm, kiedy pewnego dnia ich nowy pan przekroczy próg pewnego miejsca na zachodnim brzegu Nilu. Próg grobowca wielkiego Amenhotepa. Ich najznamienitszego przodka. Pierwszego w łańcuchu pokoleń, który liczył już sobie ponad trzy tysiące lat. Były więc swoistymi końmi trojańskimi umieszczonymi w pobliżu ich najgorszego wroga, grabieżcy grobów żadnego skarbów i uznania, przeszkolonymi, aby zareagować w takich właśnie okolicznościach.

„Jest czymś niezwykle ważnym, żebyście nas powiadomiły, jeśli dojdzie do takiej profanacji – podkreślano raz po raz w przesyłanych im listach. – Kiedy to uczynicie, będzie to znaczyło, że wszystkie nasze ofiary, a także i wasze, się opłaciły. Odzyskacie wolność”.

– A ty, Nadiu? Co ty zrobisz?

W cienkim głosiku Fatimy można było dosłyszeć większy niż kiedykolwiek wcześniej niepokój. Doskonała odsunęła się od zasłony i zaczęła szperać w starej skrzyni z odzieżą,

starając się znaleźć dla kuzynki jakiś strój podróżny. Izdebka, w której tkwiły godzinami w oczekiwaniu, aż Yusuf wezwie je, żeby zatańczyły, zdawała im się nieznośna niczym więzienna cela.

– Podążę za Omarem aż do świątyni – odrzekła.

– Co? Nie możesz tego zrobić!

– Nie mam wyboru, Fatimo. Nie zdołasz dotrzeć do Edfu przed świtem, a kiedy nasi krewni się tutaj zjawią, będą chcieli wiedzieć, co Omar naopowiadał Francuzom.

– Przecież w mieście roi się od posterunków! Ogłoszono godzinę policyjną! Jeśli Francuzi cię pochwycają, Omar będzie wiedział, że go śledziłaś.

– Muszę zaryzykować. A ty już ruszaj!

W rzeczywistości posterunki stanowiły najmniejsze ze zmartwień Doskonałej. Odkąd wojska generała Desaix przed ośmioma miesiącami zeszły na ląd w antycznych Tebach, zdążyła się z nimi zapoznać. Niemal zawsze były to niewielkie punkty kontrolne, których zadanie polegało – teraz już wiedziała, dlaczego tak było – na ochronie cywilów, takich jak Jollois i de Villiers, przysłanych w celu eksploracji Doliny Królów i pobliskich ruin. Niemniej jednak stacjonujące obecnie jednostki wojskowe z trudem były w stanie zabezpieczyć główne drogi. Cudzoziemcy nie potrafili zapanować nad labiryntem luksorskich uliczek, tak więc przy odrobinie szczęścia mogła bez przeszkód dostać się do ruin... O ile, rzecz jasna, Omar Zalim – człowiek o instynkcie wyczulonym jak u mało kogo – nie domyśliłby się, że jest śledzony.

Z rozmyślań wyrwało je nieprzyjemne rżenie.

Dobywało się z kawiarni.

W mgnieniu oka pojęły, że działo się coś niedobrego. Nadia podbiegła, żeby ponownie wyjrzeć zza zasłony.

To, co ujrzała, sprawiło, że zaniemówiła.

W głębi lokalu, tam, gdzie po raz ostatni widziała Omara, na posadzce leżało rozciągnięte ciało Ibrahima. Stojący w niewielkim półkolu mężczyźni przyglądali mu się oszołomieni, nie próbując nawet przyjść mu z pomocą. Stary upadł na tacę z wiktuałami, a jego członki wygięły się pod nienaturalnym kątem. Dłońmi trzymał się za gardło, twarz zaś – którą z miejsca, gdzie stały Nadia i Fatima, trudno było dojrzeć – zdawała się posiniała. Dziwaczny gulgot, który wydobywał się z ust Ibrahima, pobrzmiwał agonią i wywarł na dziewczynie przerażające wrażenie.

Omar przeszedł tymczasem ku drzwiom wejściowym i stamtąd posłał ostatnie, intensywne spojrzenie w kierunku człowieka, który jeszcze przed chwilą z nim rozmawiał.

– Proszę cię, Omarze! Puść mnie! – błagał Ibrahim między kolejnymi spazmami.

Nadia w pierwszej chwili nie zrozumiała.

Oczy Ibrahima wychodziły z orbit, twarz momentami mu pąsowiała.

– Co się dzieje? Co tam widzisz? – dopytywała Fatima, w wielkim pośpiechu kończąc wiązanie tobołka z odzieniem wierzchnim i odrobiną prowiantu na czekającą ją podróż do Edfu.

Wtem Omar poczynił gwałtowny gest głową. W tej samej chwili, jak gdyby obu mężczyzn łączyła jakaś niewidzialna nić, kark stojącego cztery metry dalej Ibrahima trzasnął.

– Tej nocy będę mówił o życiu – szepnął Omar, z satysfakcją patrząc na bezwładne ciało Ibrahima, na którego lewej skroni było widać nabrzmiąłą żyłę. – Dlatego porządek kosmiczny wymaga śmierci. Twojej śmierci.

I podniósłszy wzrok, który płonął mu teraz jakąś nieznaną wewnętrzną energią, spojrział w oczy Nadii, która obserwowała go oszołomiona zza zasłony.

– Oto jest *maat*. Ma wpływ na nas wszystkich – oznajmił.

Doskonała niemal upadła na ziemię od intensywności tego spojrzenia. Przez chwilę miała wrażenie, że potężny gest jej pana zdołał zmrozić jej serce.

– Ruszaj, Fatimo! – rzuciła przerażona znad posadzki. – Szybko!

Kuzynka, nie zastanawiając się dłużej, pomknęła ku stajniom eunucha Yusufa.

Tak. Wyszkolono je właśnie z myślą o tej chwili.

ROZDZIAŁ 5

Nadia nie od razu otrząsnęła się po doznanym wrażeniu. Choć nie po raz pierwszy w jej obecności Omar Zalim użył magii, to, co się właśnie wydarzyło, sprawiło, że przez dłuższą chwilę nie potrafiła ustać na nogach.

Jej pan zabił człowieka, nawet go przy tym nie tknąwszy!

I odkrył, że go obserwowwała!

Dziewczyna, sama teraz w swojej izdebce, zadrzała od stóp do głów. Słowa „Ma wpływ na nas wszystkich” wbiły się w duszę Nadii. Oddech jej się rwał i czuła, jak galopujące serce dudni jej w piersi. „Uspokój się” – poleciła sobie w myślach. Wiedziała, że stan, w którym się znalazła, wynikał nie tyle ze strachu, ile z nadprzyrodzonej siły tamtego spojrzenia. Bolało ją czoło.

„Uspokój się!”

Kiedy wreszcie udało jej się odzyskać panowanie nad sobą, wypila spory łyk wody, roztarła skronie, wciągnęła powietrze i ponownie podeszła do zasłony, zza której to wszystko ujrzała. Na szczęście w pomieszczeniu nie było już ani śladu po Omarze. Pozostali jedynie jego fellachowie, którzy skrzętnie jak maszyny sprząтали lokal i zawijali zwłoki towarzysza w bełę materiału, aby wynieść je możliwie jak najdalej.

Nadia pojęła, że jej pan musiał już dotrzeć do luksorskiej świątyni, ogromnym wysiłkiem woli podniosła się więc na nogi, okryła bawełnianą galabiją i hidżabem i czym prędzej ruszyła jego tropem.

Uderzenie świeżego powietrza, jakiego doznała po wyjściu na ulicę, wydało jej się cudowne.

Noc była ciepła i bezwietrzna. Wielki księżyc w pełni migotał nad ciemnym Nilem, spowijając w spokojnej poświacie zarys zachodniego brzegu rzeki.

Z łomoczącym w piersi sercem Nadia przystanęła na moment w pół drogi. Rozejrzała się na wszystkie strony, usiłując dostrzec czyjąkolwiek sylwetkę mogącą oznaczać niebezpieczeństwo, a kiedy się upewniła, że okolica jest pusta, przyspieszyła kroku, oddalając się od świateł kawiarni Yusufa.

Gdy to uczyniła, naszło ją dziwne wrażenie ulgi.

Przez ulotną chwilę czuła się sama.

Było to odczucie, jakiego dawno nie zaznała. Nikt jej nie doglądał. Nikt na nią nie czekał. Znajdowała się pośrodku pustkowia, pod nieboskłonem upstrzonym gwiazdami. Była sama. Nikt jej nie towarzyszył.

Była wolna.

„To tylko złudzenie” – zganiła się w myślach.

Bez większego wysiłku dotarła w pobliże świątyni. Opuszczony od pokoleń zespół budowli tonął w palmach i zaroślach, które wyłaniały się ze wszystkich stron. Jego zewnętrzne mury wydały jej się przeszkodą łatwą do pokonania. Ogromne posągi i kolumny były zakopane do połowy w piasku, co sprawiało, że prezentowały się niegroźnie. Niemniej jednak musiała zachować ostrożność. Zwodnicza jasność nocy zwiększała ryzyko popełnienia błędu. Kilkakrotnie źle wyliczyła kroki i w rezultacie odrapała sobie kostki. Nic poważnego, akurat tyle, aby pamiętać, że powinna wyteńczyć czujność i uzmysłowić sobie, że to, co ją w rzeczywistości w tym miejscu onieśmiało, było niewidzialne – a była to panująca wokół cisza.

Otóż to. Nadia przemierzyła ostrożnymi krokami strefę tej świętej ciszy, aż znalazła się w jej centrum. Nie było tam żywej duszy, niczego również nie można było usłyszeć.

W porównaniu z pobliskimi ruinami Teb, gdzie w starożytności urzędowało kilka tysięcy kapłanów i które stanowiły największe i najbardziej ruchliwe „święte miasto” świata antycznego, świątynia w Luksorze była miniaturką. Nadia właśnie zdała sobie sprawę, że choć zamierzała zaskoczyć swojego pana, wymiary zespołu świątynnego nie dawały jej żadnej przewagi. Nie przejęła się tym. Wewnątrz świątyni z jakiegoś powodu czuła się dobrze, nawet bezpiecznie. Luksor – Ipet reset, jak określali go w przeszłości Arabowie – był miejscem przytulnym. I to tak bardzo, że kiedy pokonywała ostatni odcinek dzielący ją od ogromnej sali kolumnowej, nawet się nie spostrzegła, jak intensywny aromat kwiatów *Cestrum nocturnum* porwał ją ku wspomnieniom z minionych czasów.

Uwielbiała to miejsce!

Rodzina przyprowadzała ją tutaj, kiedy była jeszcze małą dziewczynką. Dlatego znała budowlę świątyni jak własną kieszeń. Dawniej bawiła się między kamiennymi murami, zdarzyło się jej nawet nocować tu na ziemi pod osłoną kolumn, jak choćby wówczas, gdy klan musiał stawić się przed obliczem ulemów, aby zeznawać w pewnym niesławnym procesie. Tak. To także pamiętała. Pamiętała hańbę, jaką odczuła, oglądając na ławie oskarżonych swoich rodziców i dziadka, którym zarzucano praktykowanie kultu dawnych bóstw. Islam od wieków wypierał stare wierzenia egipskie z ich terytoriów, nowi muzułmanie zaś, na nieszczęście jej bliskich, wzięli się za demaskowanie ich praktyk religijnych. Ci strażnicy ortodoksji, rezydujący w meczecie wzniesionym na terenie świątynnych ruin, zmusili rodzinę Nadii do publicznego wyparcia się swojej wiary. Oni również popchnęli ich ostatecznie ku zgubie i kazali znienawidzić ich tysiącletnią tradycję kapłaństwa.

Doskonała zdławiła w sobie szloch.

Gabriel, jej znamienity dziadek, uprzedził ją, że choćby świątynia od stuleci pozostawała na łasce i niełasce trzęsień ziemi i rabusiów, pozbawiona uroczystości, które zapewniały ofiary

z jedzenia dla jej świętych posągów, dziewczyna nie powinna dać się zwieść podupadłej powierzchowności zespołu. Miejsce pozostawało żywe i wciąż korzystano z jego mocy. To, że mużłmanie dopuścili się jego profanacji, nie miało najmniejszego znaczenia.

Dziadek nie mówił tego w przenośni, ale w znaczeniu dosłownym.

– Kamienie tętnią, oddychają – szeptał jej z czułością. – Przyłóż do nich ucho, malutka, a sama usłyszysz.

Zdumiona Nadia przykladała głowę tu i tam, aby dosłyszeć niemożliwe do pomylenia tętnienie płaskorzeźb... i je słyszała!

Ostatni raz, kiedy dziadek zabrał ją w to miejsce, wrył jej się szczególnie w pamięć. Było to w noc przed jego śmiercią.

Cóż za wspomnienia!

Wielki kapłan musiał przeczuwać czekający go los, tym razem bowiem poprowadził wnuczkę do wąskiego pomieszczenia przylegającego do części świątyni wzniesionej na polecenie legendarnego Aleksandra Wielkiego i polecił jej usiąść przed wyraźnie przedstawioną sceną wykutą w dolnym pasie ogromnego muru.

– Przyjrzyj się uważnie tym reliefom, moja mała – powiedział bardzo poważnym tonem, zapalając jednocześnie lampę oliwną. – W nich jest zapisana wiedza, która dała tak wielką potęgę naszym przodkom.

– Dziadku, ty rozumiesz te hieroglify?

– Oczywiście – uśmiechnął się. – I widzę w nich twoje poprzedniczki. Spójrz. Widzisz tę kobietę, której podobiznę wykuto u góry?

Dziadek wskazał subtelny profil wykonany dłutem na jednej z kolumn. Przedstawiał Izydę. Bogini, wyprostowana, była okryta cudowną lnianą suknią, która sięgała jej do stóp.

– Jesteś jak ona! – Gabriel westchnął. – Te mury skrywają wielki sekret – oznajmił.

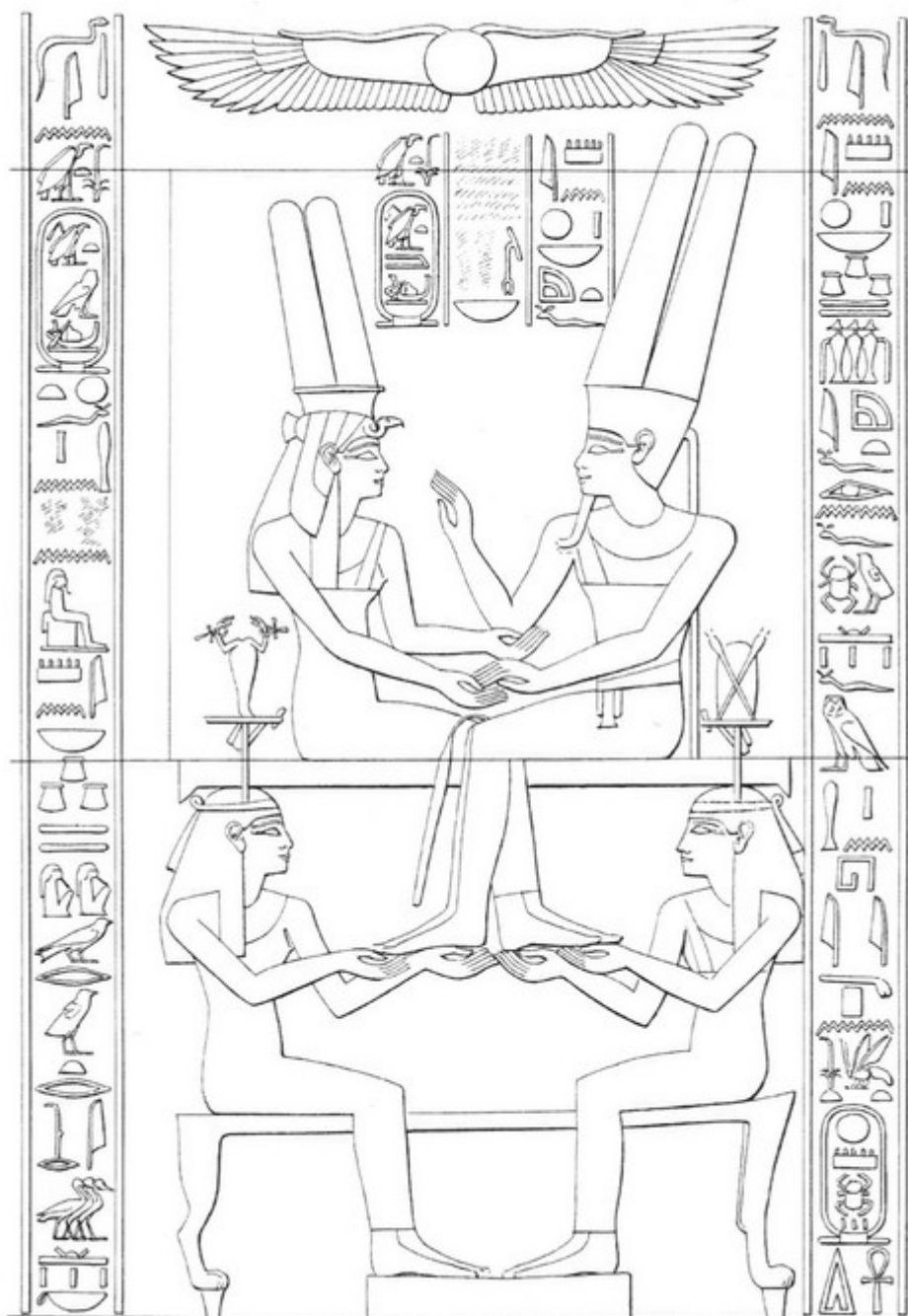
– Uwielbiam sekrety! – uradowała się dziewczynka.

– Lecz ten sekret jest niebezpieczny, moja mała. To sekret, nad którym żaden człowiek od czasów wielkich budowniczych nie był w stanie zapanować. Sekret, który uległ zapomnieniu, kiedy Egipt przed wiekami wpadł w ręce pierwszych najeźdźców. Co zaś najsmutniejsze – ponownie westchnął – nie ma na świecie człowieka, który nie pragnąłby go osiąść.

– Wszyscy... go chcą? – zapytała zaniepokojonym głosem.

Gabriel skinął głową.

– I wiesz co? Bogowie przewidzieli, że będziemy chcieli go zagarnąć, gdy tylko się o nim dowiemy, dlatego postanowili uczynić go mniej przystępnym. Nie wystarczy więc, żeby jakiś człowiek go odnalazł. Musiałby na dodatek go zrozumieć i umieć zastosować w praktyce. Tutaj zaś, na tej ścianie, zapisano, kto posiadał go po raz ostatni i jak go wykorzystał. To jeden z elementów tajemnicy!



KRÓLOWA MUTNOFRET I BÓG AMON. ŚWIĄTYNIA W LUKSORZE

Wspomnienia nawarstwiały się w umyśle Doskonałej, napełniając jej serce bólem i nostalgią. Jej dziadek nie żył. Nikt już później nie opowiadał jej w ten sposób o starożytnych kamieniach. Jego odejście, podobnie jak odejście jej rodziców, przyniosły Nadii tylko nieszczęście. Dlatego teraz, tak blisko tych reliefów niemal już zatartych przez upływ czasu, pamięć wracała wartkim strumieniem. Dziadek wyjaśnił jej również, że „jej ścianę” można ujrzeć jedynie po zachodzie słońca, ustawivszy u dołu lampę. Tworzące ją płaskorzeźby były

tak płytkie, że w promieniach słonecznych stawały się niewidoczne. Dziadek nazywał to zjawisko „woalem Izydy”.

„Czyżby Omar również o tym wiedział?”

Ta myśl sprawiła, że Nadia powróciła do rzeczywistości.

I słusznie. Blask odległych o kilka metrów świateł rozbudził w niej czujność.

„Lampy!”

O ile nie zawodził jej zmysł orientacji, światła znajdowały się właśnie w sali z „woalem”.

„Jest więc przy ścianie dziadka!”

Gabriel nazywał ten zakątek świątyni *mammisi* – komnatą narodzin. Jej ściany, wysokie na cztery piętra, były pokryte scenami, w których ludzie i bogowie uczestniczyli w jakimś tajemnym rytuale.

„Czyżby Omar i to wiedział?”

Jej serce ponownie przyspieszyło.

Nadia dokładnie pamiętała wszystkie te wizerunki. Gdy oglądało się je jeden po drugim, od góry do dołu i od lewej do prawej, zdawały się opowiadać o przyjściu na świat i kształceniu pewnego księcia. W każdej scenie inny bóg zajmował się jakąś czynnością: Chnum – ten z głową barana – lepił z gliny dwa identyczne przedstawienia chłopca, jeden odpowiadający Amenhotepowi III, drugi zaś jego *ka*, czyli niematerialnemu sobowtórowi. Na przylegającym bloku Izyda udzielała swojego błogosławieństwa, podczas gdy rząd niżej Amon i Chnum zdawali się rozprawiać o przyszłości dziecka. Jeszcze dalej Sobek, bóg-krokodyl, ponownie prowadził ludzkie dziecko i...

Z namysłu wyrwał ją dobiegający z niedaleka głos.

– Książę, którego tutaj widzicie – usłyszała i wydało się jej, jakby to przemawiał wiatr – to ten sam, który polecił wykucie dwóch kamiennych kolosów ustawionych przy wejściu do Doliny Królów...

Przez chwilę Nadia czuła się tak, jakby słuchała objaśnień dziadka („Dobrze zapamiętaj imię tego mężczyzny, drogie dziecko: Amenhotep. Znaczy to »Bóg Amon jest rad«. Nasz los jest powiązany z jego losem”).

Wzdrygnęła się.

Zaintrygowana, starając się nie narobić hałasu, zbliżyła się do *mammisi*. Zwinnie jak kotka pokonała zachodnią ścianę obiektu i obeszła tylną część pomieszczenia, aż dotarła do dobrze jej znanej dziury w uszkodzonym murze. Jeśli pamięć jej nie myliła, stamtąd powinna móc dostrzec to, co znajdowało się po drugiej stronie, sama pozostając niezauważoną.

Przynajmniej taką miała nadzieję.

Wstrzymała oddech.

Niedaleko miejsca, w którym się znajdowała, rozległ się trzask, być może spowodowany czymś potknięciem. W tym samym momencie za ścianą zagrzemiał niemożliwy do pomylenia

głos Omara.

Chwilę później ich ujrzała.

Wewnątrz *mammisi* trzech mężczyzn rozmawiało przed jednym z reliefów. W najbardziej korpulentnym z nich rozpoznała swojego pana. Dwaj pozostali, choć odziani w niebieskie mundury wojsk Napoleona, zdawali się w porównaniu z nim nic nie znaczyć. Jednym był chorobliwie wyglądający młodzieniec o bardzo bladej cerze, niedbale przyciętej bródce i wydatnych zakolach, które usiłował zamaskować włosami niestarannie zaczesanymi do przodu. Musiał być niewiele starszy od niej. Drugi, nieco bardziej atrakcyjny, miał z kolei duży i szpiczasty nochał, który przykuł jej uwagę. Nieszczęsny – bez przerwy pocierał oczy. Cała trójka stała teraz do niej plecami i nie odrywała spojrzenia od niezwyklej sceny, jaka roztaczała się przed ich oczyma: bóstwo rodzaju męskiego ze skórą pomalowaną na wyblakły kolor niebieski trzymało za dłoń królową. Obie postaci przedstawiono siedzące na ławie. Tuż pod nimi zaś dwie inne boginie zdawały się z niezrównaną delikatnością podtrzymywać całą scenę.

– I jak, panowie? Odnaleźliście grób, czyż nie? – zapytał Omar, odstawiając lampę na ziemię dokładnie w miejscu, które wskazał Nadii dziadek.

Młodzieńcy skinęli twierdząco głowami, oniemiałi z zachwytu nad roztaczającym się przed nimi pięknem.

– I widzieliście królewski kartusz? Rysunek z imieniem faraona? – nalegał.

– Tak... Wyglądał identycznie jak ten tutaj – odpowiedział młodzieniec z bródką. Jak się okazało, nazywał się Jean-Baptiste Prosper Jollois. – Mówcie mi Prosper – zaproponował. Władał wykwinną francuszczyzną, o wiele lepszą niż Omar.

– Doskonale, Prosper. – Omar uśmiechnął się z satysfakcją. – A wszystko to nastąpiło podczas Przybycia Hapi². Waszemu odkryciu, panowie, towarzyszą same pomyślne wróżby...

Poświata lamp ustawionych na posadzce sali sprawiała, że profile bóstw rzucały wyraźne cienie, ujawniając swoją majestatyczną obecność.

Nadia się wzdrygnęła.

– Powiedzcie, panowie – Omar Zalim kontynuował zadawanie pytań, nieświadom oczu, które go obserwowały. – Wiecie już, o kogo chodzi? Sprawdziliście, jaki to król został tutaj pochowany?

Na to pytanie nie odpowiedzieli.

– To Amenhotep III – objaśnił.

– Amenho... Jak?

Nadia się uśmiechnęła. Wszyscy cudzoziemcy mieli kłopoty z wymawianiem pradawnych imion.

– Dalejże! Nic nie wiecie o moich władcach? – utyskiwał jej pan, chichocząc przy tym. – Był to bardzo potężny faraon. Był synem Mutnofret, najpiękniejszej spośród królowych

nubijskich, i boga Amona. Ich boski związek przedstawiono jedynie na tym murze, który właśnie podziwiacie. Macie go przed sobą! Przyjrzyjcie się!

Oczy Francuzów błyszcząły, jak gdyby byli pogrążeni w jakimś transie.

– Możecie, panie, przeczytać, co napisano na tych ścianach?

Przewodnik z dumą wyprężył pierś. Nadia nie zdołała dojrzeć wyraźnie jego twarzy, domyśliła się jednak, że błysnął swoimi białymi i ostrymi zębami w charakterystycznym dla siebie grymasie wyższości.

– Co jeszcze możecie nam powiedzieć? – ponaglił go pełni podziwu Francuzi.

– Że wasza długa podróż, panowie, warta była zachodu. Oto przed wami skrywają się największe tajemnice ludzkości.

Omar spojrział na nich chciwym wzrokiem.

– Byłbym w stanie je odczytać... – dorzucił. – Ale każde objawienie ma swoją cenę, którą musicie być gotowi zapłacić.

– Jak sobie chcecie, Omarze – czym prędzej odpowiedział stojący bliżej niego Francuz z ogromnym nosem. Nazywał się Édouard de Villiers i wyglądało na to, że przewodził przybyszom. – Bonaparte hojnie wynagrodzi wasze usługi, jeśli dostarczycie mu to, czego poszukuje.

– Dotarły mnie słuchy o wspaniałości waszego generała.

– Z pewnością więc wiecie, że pragnie poznać wielkie osiągnięcia waszego ludu, aby zabrać do Europy tyle pradawnych tekstów, traktatów, rzeźb i osiągnięć, ile tylko znajdzie. Dlatego założył w Kairze Instytut Egipski i dlatego wysłał nas do Górnego Egiptu.

– Bez wątpienia mądry to człek – w odpowiedzi na litanie Prospera przyznał Omar. – Oby Allah miał go w swojej opiece.

Omar nie skończył jeszcze przywoływać imienia swojego Boga, gdy błyskawicznie wykonał dziwny ruch. Podskoczył i zniemacka się obrócił, wbijając spojrzenie w ciemność, która otwierała mu się za plecami. Był to nagły i gwałtowny ruch, którym zaskoczył Francuzów.

– Co... Co się dzieje? – zapytał Prosper, sięgając po szablę.

Egipcjanin nadal wpatrywał się w mrok, nie wyrzekłszy ani słowa. Nadia miała akurat tyle czasu, żeby skryć się za murem i nie dopuścić, aby blask oczu zdradził jej pozycję.

Omar parsknął, nie zdoławszy potwierdzić swojego przeczucia.

– Nic... – odparł w końcu. – Najwyraźniej się pomyliłem.

– Nic?

– Nie. Panowie, kontynuujmy. Jesteśmy tu sami.

Sparalizowana strachem Nadia przyłożyła dłoń do piersi, dławiąc swój łapczywy oddech. O mały włos jej nie spostrzegł!

Kiedy zebrała się w sobie, aby ponownie się wychylić, jej pan wznowił już rozmowę z cudzoziemcami.

– Zaprawdę, szczęśliwcy z was – kontynuował z pewnością w głosie Omar. – W pieczarze w Dolinie Małp, w której byliście w tych dniach, spoczął na wieczność faraon Amenhotep, najpotężniejszy władca, jakiego kiedykolwiek znał Egipt. To on nakazał budowę tej świątyni i to jemu zawdzięcza się wzniesienie niektórych najwspanialszych konstrukcji, jakie mieliście już okazję podziwiać...

Czarownik przetarł oczy, jak gdyby chciał w ten sposób odpędzić dziwne przeczucie, które naszło go przed chwilą. Nie odwrócił się już jednak w stronę kryjówki Nadii.

– Amenhotep był człowiekiem o wyjątkowej predestynacji. Jedynym w swoim rodzaju, niemal bogiem. W istocie rzeczy jedynie my, którzy potrafimy odczytać święte symbole, wiemy, że jego przyjściu na świat towarzyszyły cudowne zdarzenia.

– Cudowne? – Francuzi wzruszyli ramionami. – Omarze, co takiego nazywacie cudownymi zdarzeniami?

– Ach! – uśmiechnął się czarownik. – Przypatrzcie się uważnie temu reliefowi, a w mgnieniu oka to zrozumiecie. Tutaj wszystko zostało opowiedziane – ciągnął. – Jeśli się przyjrzyjecie, po naszej prawej stronie znajduje się bóg Amon pod postacią człowieka. Gładzi on dłoń królowej Mutnofret, matki Amenhotepa. Ten ostatni nie został jeszcze poczęty... ale zaraz do tego dojdzie.

– Nie... Nie rozumiemy. Gdzie to cudowne zdarzenie?

Poznaczony bliznami przewodnik podniósł jedną z lamp, które uprzednio postawił pod ścianą. W jednej chwili nowe cienie uwydatniły złobienia na murze.

– Przyjrzyjcie się lepiej, panowie. Zbliżcie się. Amon to bóg, którego starożytni Egipcjanie nazywali ukrytym. Tutaj jednak, pierwszy raz w dziejach Egiptu, przedstawiono go z ciałem mężczyzny. Dostrzegacie go, prawda?

Francuzi przytaknęli.

Wizerunek ten wykuto z wyraźną pieczołowitością. Nawet muskulatura przedstawionej postaci była widoczna spod lnianej szaty, która ją okrywała.

– Patrzcie, jak wprowadza swoje nasienie do ciała królowej, istoty ludzkiej, zaledwie muskając ją dłonią – kontynuował Omar. – Czyż nie wykazuje się przy tym nadzwyczajną delikatnością? Nawet Cyrano de Bergerac nie opisałby podobnej sceny bardziej elegancko...

Francuzi zgodzili się, zdumieni poczynioną uwagą.

– Spójrzcie, jak boginie Selkit (ta ze skorpionem na głowie) i Neit (ta oznaczona strzałami) nie dopuszczają, żeby para dotknęła ziemi. To, co dzieje się na waszych oczach, panowie, przynależy do domeny ducha, nie zaś ciała. To wysublimowana scena miłosna! To obraz zjednoczenia boga i samicy naszego rodzaju! Nie wydaje wam się to wystarczająco cudowne?

Wówczas jeden z młodzieńców zbliżył się do ściany i dotknął jej opuszkami palców.

– Istotnie. Jakaż ona piękna! – wyszeptał.

– Jest nawet piękniejsza niż na przedstawieniach ze świątyni w Denderze, Édouardzie – dodał jego towarzysz.

– To nie doskonałość wykonania jest tu najważniejsza, panowie – przerwał im czarownik, odsuwając lampę, przez co połowa reliefu zniknęła. – To, co musicie pojąć, to przesłanie. Śmiertelna kobieta zaszła w ciążę z bogiem, w rezultacie na świat przyszedł mądry i długowieczny król... Amenhotep!

Prosper przyłożył dłonie do brody.

– Chyba nie chcecie nam wmówić, że tej królowej przydarzyło się to samo, co naszej Maryi Dziewicy, prawda?

Omar uśmiechnął się szelmowsko.

– Wyście to powiedzieli, nie ja...

– Powiedzcie nam, Omarze, kiedy powstał ten mur?

– Hm... – Omar wykonał nieokreślony gest. – Jest przynajmniej trzynaście wieków starszy od waszej Miriam.

Czarownik zmrużył oczy. Zdawał się szukać odpowiednich słów, aby mówić dalej. Nadia przyglądała mu się z zainteresowaniem.

– Jest coś jeszcze, co wiem, że się wam nie spodoba – kontynuował. – Zwróćcie uwagę, jakiego Amon jest koloru. Jesteście w stanie to dostrzec?

– Do stu diabłów, ma niebieską skórę...! – wymamrotał ze zdumieniem Édouard de Villiers.
– Co to oznacza?

– To kolor nieba, moi panowie. Stąd się właśnie wywodzi wasza idea błękitnej krwi królewskiej. Królowie to dzieci niebiańskich bogów, takich jak ten. Amon dał syna błękitnej krwi tej oto plebejce o imieniu Mutnofret. Nasza arystokracja, każda arystokracja wywodzi się od bękartów, jakich bogowie dali śmiertelnikom...

– To już przesady, Omarze!

– Widzicie? – zaśmiał się.

Młody Prosper odłożył na ziemię przybory rysunkowe, które miał przy sobie, i podniósł się, aby tym energiczniej zaoponować. Jego towarzysz z taką samą werwą poszedł w jego ślady.

– We Francji już od dawna ścinamy głowy tym, którzy sądzili, że w ich żyłach płynie błękitna krew. I wiecie, Omarze, co stwierdziliśmy? Że ich krew była czerwona. Czerwona! Rozumiecie? Wszyscy jesteśmy równi! Identyczni!

– Nie wszyscy, *monsieur* – odparował czarownik, wbijając swoje ciemne spojrzenie w rozmówcę. I nie oderwawszy odeń wzroku, ciągnął: – Nawet wy bylibyście gotowi prywatnie przyznać, że wasz generał Bonaparte to człowiek inny niż wszyscy, to istota naznaczona przez los. Wszyscy Francuzi tak mówicie!

– Istotnie, Omarze, *touché*. Ale mówimy to w znaczeniu przenośnym. To... Cóż. To poezja.

– Podobnie, *monsieur*, poetycka jest błękitna krew. Poezja to narzędzie, które wynaleźli starożytni, aby dać nam do zrozumienia, że pewne osoby pochodzą z innego, szczególnego rodu. Możliwe, że ze szczepu bogów.

– Cofacie się do mitów!

– A czy mitem jest także to, że cały Egipt wie, że ostatecznym celem, do jakiego Bonaparte dąży na naszych ziemiach, jest zdobyć glorię faraonów?

– Glorię? – zadrwił teraz de Villiers, trąc ponownie oczy z powodu przeklętego stanu zapalnego, jakiego się nabawił przy podróży przez pustynię. – Jakąż to glorię, Omarze? Wszystko w tym kraju legło w gruzach...

– Prawdziwej glorii niepodobna stworzyć ani zniszczyć. To coś wiecznego, *monsieur*. I to właśnie wasz przywódca pragnie zdobyć w naszych stronach. On sam chce być wieczny! Chce być nieśmiertelny!

Jego słowa zadudniły w sali, wrywając ze snu stadko nietoperzy, które zatrzepotały im nad głowami. Zamigotało także światło z ustawionych lamp.

– Bzdury! – zaprotestowali Francuzi. – Nie mamy pojęcia, o czym mówicie! Bonapartego interesuje wiedza naukowa waszych przodków, nie zaś ich oszustwa!

– A zatem, panowie, powiem wam o nim coś, czego najwyraźniej nie wiecie... – odparł wężowym głosem. – Podczas gdy wy przemierzacie cały Egipt z teczkami rysunków pod pachą, wasz generał na własną rękę powtórzył wędrówkę, jaką po naszym kraju odbył prorok Jezus. Generał nie jest człowiekiem religijnym i dobrze o tym wiecie. Niemniej jednak od wiosny stara się dowiedzieć, czego też On się tutaj nauczył.

– On? Macie na myśli Jezusa? Jezusa z Nazaretu?

– W rzeczy samej – wysyczał.

– Niemożliwe.

– Biblia nie jest ulubioną książką naszego generała. Ani też uczonych takich jak my! – z dumą zaoponował Édouard de Villiers.

– Ocknijcie się, przyjaciele! Ja wiem, czego wasz przywódca chce od Egiptu. A proponuję wam, żebyście to wy byli tymi, którzy mu to przyniosą. Jeśli rzeczywiście pragniecie dobrze przysłużyć się waszemu generałowi, wspomnijcie mu o mnie i o tym, jak wiele mogę mu opowiedzieć. On już was za to wynagrodzi.

– Obawiam się, że generał Bonaparte was teraz tutaj nie wysłucha – z żalem zauważył Prosper. – Od tego tygodnia znajduje się w Kairze.

– Doprawdy? – Na te słowa w oczach Omara rozbłysnął niemalże złowieszczy blask. – Doskonale. A zatem zabierzcie mnie do niego.

Nadia spostrzegła, jak Francuzi kręcą z niedowierzaniem głowami.

– Omarze, my w wojsku bardzo słabo znamy się na religii – wymamrotali, jak gdyby usiłowali odwieść go od tak absurdalnego pomysłu. – A wszystko to, co nam opowiadacie, to

niestety, czysta teologia...

– Teologia? Panowie, tu chodzi o wiedzę naukową faraonów!

– Nauka to co innego – zaprotestował Prosper.

– Nauka to narzędzie dochodzenia do wiedzy – odparł Omar. – To prawda, którą się buduje na podstawie informacji. A ja was zapewniam, że Bonaparte z chęcią się dowie, jak wiele wspólnego ze sobą mają historie Amenhotepa i Jezusa.

– Niewykluczone, że to po prostu zbieg okoliczności. Istnieje wiele podobnych do siebie mitów.

– Uparci cudzoziemcy! – Wyrzucił ramiona w powietrze. – Zdziwilibyście się, jak wiele Egipt ma wspólnego z chrześcijaństwem. W obu tradycjach istnieje wiara w takie samo piekło dla grzeszników, obie nawet otaczają wciąż symbol krzyża!

– Krzyża?

– Amenhotep darzył go tak wielkim szacunkiem, że polecił wykuć go tysiącrotnie w swoich świątyniach... A nawet we własnym grobowcu!

Młody Édouard zwrócił się do Omara łagodnymi słowami:

– Uspokójcie się. Choć żadni z nas teologowie, możemy was wysłuchać. Interesuje nas to, co zapisano na tych ścianach.

Prosper nie wykazał się jednak podobną ugodowością:

– Chwileczkę. A zatem, Omarze, co sugerujecie? – zapytał. – Że niby nasz generał zajął Egipt, aby odszukać źródło tej błękitnej krwi? To jakieś idiotyzmy!

Wzrok pokrytego bliznami przewodnika spochmurniał. Omar i Francuz skrzyżowali spojrzenia.

– Panowie, nie marnujcie więcej mojego czasu. Zabierzcie mnie przed oblicze waszego generała, a wszystko osobiście mu opowiem! Wówczas docenicie znaczenie moich słów!

Nadia, wciąż skryta za niewielkim kamiennym murkiem, pobladła. Nagle pojęła, że musi się stamtąd wydostać. Omar i Francuzi zapewne zaraz opuszczą komnatę, jedyne wyjście z *mammisi* znajdowało się zaś kilka metrów od jej kryjówki. Jeśli Omar przejdzie obok niej, z pewnością ją tutaj znajdzie. Tego była pewna. Co jednak miała zrobić? Poszukać schronienia w innym zakątku świątyni do czasu przybycia jej krewnych z Edfu? Jak gdyby nigdy nic powrócić do kawiarni? Czy może najlepiej byłoby czym prędzej umknąć z miasta?

Odpowiedź pod postacią zwinnego cienia jakiegoś dzina, który błąkał się po niedalekim dziedzińcu Ramzesa Wielkiego, miała się jej za chwilę objawić.

Świątynia w Luksorze – o czym Nadia powinna była już wiedzieć – nigdy nie pozostawia nierozstrzygniętych wątpliwości.

Nigdy.

ROZDZIAŁ 6

WIELKA PIRAMIDA, PŁASKOWYŻ GIZA

Czy kamienie mają pamięć? I rozeznanie? A jeśli tak, to czy byłyby w stanie porozumieć się z ludźmi?

„Najwyraźniej odchodzę od zmysłów”.

Skargi Napoleona Bonapartego, wciąż spoczywającego w granitowym sarkofagu w Komorze Króla w Wielkiej Piramidzie, pochłonął mrok. Generał poniechał już prób wydostania się stamtąd i usiłował skupić resztki sił na wykonaniu dziwaczного polecenia „opróżnienia duszy”, jakie otrzymał od swojego tłumacza. Zamiast jednak, jak się tego spodziewał, osiągnąć stan postępującego zagłębiania się w samego siebie, spokój ducha, który pozwoliłby mu stawić czoła próbie, w jego głowie eksplodowały obrazy i uczucia o nadzwyczajnej żywiołowości.

„Co chcesz mi powiedzieć, piramido?”

Nawet go to nie zdziwiło, że zwrócił się do obiektu tak, jakby chodziło o inteligentne stworzenie.

„Odezwij się wreszcie!”

Bonaparte już od ponad godziny zalegał w kamiennej trumnie. Jego świadomość przestała odbierać sygnały od mięśni, nie odczuwał już również chłodu sarkofagu. Jego tożsamość znalazła się tak po prostu w innym miejscu. Czy może lepiej byłoby powiedzieć – w innym czasie. Swoją drogą to, że całą swoją istotą skupiał się na określonym momencie prowadzonej właśnie kampanii egipskiej, nie przestawało go zdumiewać. Jedyne, co był w stanie poddać wizualizacji, to obrazy sprzed czterech miesięcy. Tak jakby jego pamięć uparła się porzucić teraźniejszość i zakotwiczyła we wspomnieniach z minionej wiosny.

„Mów, piramido! Słucham cię!”

Jak gdyby w pewien sposób wolą tego miejsca było posłużyć za zwierciadło. Jednocześnie jednak otrzymany obraz nie był dokładnym jego odbiciem. Odczuwał, że echa wydarzeń związanych z nim, z jego przeznaczeniem, ukazywały mu się za sprawą czegoś lub kogoś, kto zdawał się posiadać absolutną wiedzę o wszystkim.

„Czy to tak opróżnia się duszę?”

Bonaparte nie był w stanie się powstrzymać. I choć początkowo uznał, że ten rwący potok wrażeń stanowił po prostu reakcję fizjologiczną na ciszę i mrok, niebawem porzucił taką myśl. Obrazy te były powiązane z konkretną datą, konkretną godziną, a nawet konkretnym miejscem, i sprawiały wrażenie nieodmiennych, jak gdyby wyjęto je z książki, w której nikt

nie mógł ich zmodyfikować. Jest czymś wiadomym, że ludzka pamięć tak się nie zachowuje. A jednak. Ponad wszelką wątpliwość były to strony z jego życia, które jakaś siła wyższa stawiała przed oczyma jego duszy.

Na co Bonaparte, rzecz jasna, wzmógł czujność.

„Czy taka stara piramida może w podobny sposób oddziaływać na człowieka?”

Buqtur już zawczasu go przestrzegał, że opieranie się budowli nie miało sensu. Piramida poprowadzi go tak, jak tylko zechce.

A on w to nie uwierzył... Aż do chwili, gdy ujrzał te obrazy.

Szczupła postać w mundurze francuskiego oficera, ubrana w spodnie z dzianiny, niebieski surdut i kurtkę z sukna tej samej barwy, z otwartymi kieszeniami i epoletami poobszywanymi złotymi i jedwabnymi nićmi, krążyła nad stołem obłożonym mapami. Mężczyzna gestykulował, aby podkreślić słowa kierowane do dwóch innych oficerów, którzy stali przed nim na baczność.

– Nigdy nie zdobędziemy Akry, jeśli nie zmusimy nieprzyjaciela do wyjścia poza mury miasta... – usłyszał utyskiwania szczupłego mężczyzny.

Oficerowie, których miał przed sobą – dwaj generałowie dywizji – milczeli.

– Czy wy tego nie rozumiecie? – skarcił ich. – Wyłomy poczynione przez naszą artylerię są niewystarczające!

Coś w tym człowieku zdawało mu się znajome. Sposób poruszania się, mocno zarysowany podbródek, wyraziste policzki, usposobienie... Chwilę to trwało, kiedy jednak w końcu Bonaparte zdołał go zidentyfikować, opanowała go dziwaczna radość. W rzeczy samej znał tę osobę bardzo dobrze.

To był on sam.

Patrzył na siebie samego!

Wywołało to w nim nadzwyczajne wrażenie. Nagle przyszło mu na myśl, że może przyjrzeć się swojemu życiu niemal z pozycji Boga. Albo już po śmierci, gdy życie przesuwa mu się przed oczyma, żeby mógł ocenić uczynki swojej duszy.

Nie żył?

Złowroga myśl wzbudziła w nim podenerwowanie.

„Ja żyję! – przypomniał sobie. – Zaprowadzili mnie do Wielkiej Piramidy, abym poddał się próbie odwagi. Muszę opróżnić duszę... Oczyszczyć się. I tyle”.

Przez chwilę Bonaparte miał wrażenie, jak gdyby znalazł się wewnątrz macicy, w wilgotnym brzuchu, gdzie kamień ustąpił miejsca mięsistej i przytulnej błonie. Opanowawszy się trochę, generał zachował spokój, gotów poddać się temu, co miało nastąpić.

To tak, jakby sama piramida postanowiła w ten sposób do niego przemówić. Jak gdyby zapraszała go, żeby raz jeszcze przeżył minioną wiosnę.

Dlaczego nie miały dać się ponieść?

ROZDZIAŁ 7

NAZARET, WIOSNA 1799 ROKU

Już tam był. Teraz miał przed oczyma wszystko. Wszystko!

Generał Jean-Baptiste Kléber właśnie wydał swoim ludziom rozkaz, żeby zatrzymali się na odpoczynek. Bonaparte wyraźnie widział całą scenę. Nagle zrozumiał, że umysł cofnął go do sobotniej nocy 13 kwietnia, kiedy jego wojska znalazły się akurat u bram Nazaretu. Teraz jednak był zarazem świadom, że instynkt ostrzega Klébera, że nieprzyjaciel obserwuje go z bliska i niebawem ruszy do ataku.

„Cóż to za czary?” – zapytał sam siebie.

Bonaparte wiedział, że tego konkretnego dnia nie towarzyszył swojemu ulubionemu generałowi, mimo to obraz jego wojsk wyraźnie napływał do niego z najgłębszych zakamarków jego jestestwa. Widział, jak żołnierze pochłaniają skąpe zapasy sucharów i wody, przeklinając go, że posłał ich na tak straszliwą śmierć, jaką zwykła zadawać pustynia. Znienacka poczuł niepokój ogarniający Klébera. Jego strach. A nawet jego głęboką frustrację, wypływającą z tego, że nie zdołał go zwerbować do klubu oficerów masonów, do którego sam należał. Być może dlatego Kléber czuł się tak osamotniony w swojej niedoli. Bonaparte – człowiek, od którego zależał jego los – nie był „jednym z naszych”. Nie oddałby życia za członka jego bractwa. Dumny zastępca wodza z rezerwą obserwował tumany kurzu, jakie wznosiły się na pobliskich wzgórzach, przekonany, że wzbijają je obserwujące go z bliska mameluckie patrole. Przeczuwał najgorsze – że wpadł w zasadzkę.

Przeciwko sobie miał ludzi przyzwyczajonych do tego nieprzyjaznego otoczenia, ludzi płochliwych i niezbyt wojowniczych, a więc trudnych do pochwycenia dla regularnej armii, takiej jak francuska. Co więcej, Kléber przeczuwał, że wśród nich znajduje się człowiek pragnący jego zguby – postać straszliwa i owładnięta obsesją, stary drapieźnik, którego wszyscy nazywali Rzeźnikiem i o którym wystarczyło napomknąć, żeby zasiać lęk we francuskich oddziałach.

Niebawem otrzymał potwierdzenie swoich obaw. Kilka kilometrów na południe od niego, nieopodal góry Tabor, rozlokowało się czterdzieści tysięcy Turków. Ponad połowę z nich stanowili dobrze uzbrojeni jeźdźcy. Wojska te dysponowały ośmiokrotną przewagą nad jego siłami, a także zapasami prochu i amunicji, towarzyszyło im zaś nieprzebrane mrowie zbrojnych w kije i zastrzone narzędzia rolnicze chłopów, którzy dyszeli żądzą łupu. Generał Kléber uczynił wówczas dokładnie to, czego Bonaparte by się po nim spodziewał. Oceniał własne możliwości, pominął szczegóły, które mogłyby wpłynąć demoralizująco na jego

oddziały, i postanowił postawić wszystko na jedną kartę, jaka mu pozostawała – a był nią element zaskoczenia.

Tego dnia podzielił pięć tysięcy swoich ludzi na trzy równe formacje. Na lewej flance kolumny rozstawił siedemdziesiątą piątą półbrygadę generała Verdiera i uformował z niej czworobok żołnierzy, wewnątrz którego umieścił towarzyszących mu uczonych i zapasy, generałowi Junotowi polecił zaś w taki sam sposób rozlokować siły na prawej flance.

– Jeśli pragniemy zwyciężyć, musimy dotrzeć do pozycji głównych sił nieprzyjaciela przed nastaniem świtu – zapowiedział przed wymarszem. – Ci barbarzyńcy nie wyobrażają sobie, że możemy zaatakować ich jeszcze tej nocy, to pozwoli nam pomieszać im szyki.

W następnych godzinach, podczas gdy strzelcy i jeźdźcy posuwali się naprzód w świetle księżyca, wysunięci obserwatorzy dostarczali dowódcy kolejne niepokojące wiadomości. Najgorsza z nich potwierdzała, że na czele nieprzyjacielskich wojsk stał pasza Ahmed we własnej osobie, rozwścieczony i pragnący czym prędzej na nich runąć. „Tego paszę, mój panie, wszyscy przezywają *Djezzar* – donieśli mu. – *Djezzar* znaczy rzeźnik”.

Jakby tego było mało, armia paszy cieszyła się koszmarną reputacją: była to zdeorganizowana horda okrutnych żołdaków, którzy nigdy nie przyjmowali kapitulacji, jeśli zaś w wyniku jakiejś kampanii brali jeńców, znęcali się później nad nimi, a następnie ich mordowali. Opowieści o losie, który przed laty spotkał niewielką społeczność chrześcijan z Bejrutu, krążyły między Francuzami niczym wino. Powiadano, że Rzeźnik kazał ich wszystkich żywcem zamurować, pozostawiając na widoku jedynie ich głowy. Libańscy mężczyźni, starcy, kobiety i dzieci cierpieli agonię, po czym umierali w straszliwych skurczach, odwodnieni i wygłodniali, tylko po to, żeby pasza miał rozrywkę. I tak był jednak wobec nich wielkoduszny. Zazwyczaj jego ludzie gwałcili i masakrowali pojmanych, aby następnie ściąć im głowy. Rzadko się zdarzało, by komuś darowano życie – kiedy już do tego dochodziło, to bynajmniej nie z litości. Pasza czynił tak, wiedząc, że kiedy ocalały powróci między swoich, jego opowieści podziałają demoralizująco na siły przeciwnika. Nie szukając daleko – pewien młodzieniec rodem z Lyonu, wypuszczony kilka dni temu w okolicy Nazaretu z odciętymi ramionami i wylupionym okiem, opowiedział, jak został zgwałcony przez pilnujących go strażników i zmuszony do przyglądania się egzekucji jego towarzyszy. Jak wyjaśnił, wszystkich w jego oddziale przywiązano za ręce i nogi do własnych koni, a następnie rozerwano na kawałki.

Kléber nie znosił takich historii! „To propaganda!” – utyskiwał. Sam był żołnierzem zawodowym. Technikiem wojny. Strategiem. Dlatego wolał skupiać się na swoich wyliczeniach. Te zaś przyniosły mu właśnie przygnębiające wyniki: w nadchodzącym starciu każdemu z jego ludzi dane było stawić czoła siedemnastu mamelukom.

Tej nocy, przytłoczony sytuacją, Jean-Baptiste Kléber utwierdził się w jednej z najtrudniejszych decyzji podjętych w całej swojej karierze – rozkazał przegrupować wojska

i przygotował się, żeby z zaskoczenia uderzyć na armię Damaszku. Około północy jednak, tuż przed rozpoczęciem marszu w kierunku góry Tabor, wezwał oficera jazdy i powierzył mu zalakowaną kopertę, kładąc mu zadbać, aby dotarła ona do generała Bonapartego. Jeździec musiał pokonać pięćdziesiąt kilometrów przez niepewne tereny dzielące ich od Akry i przekazać przesyłkę do rąk własnych. Wraz z listem powierzono mu podarek, po którego odebraniu oficer gwardii uniósł brwi na znak ogromnego zdumienia.

Rozkazy to jednak rozkazy.

ROZDZIAŁ 8

WIELKA PIRAMIDA, PŁASKOWYŻ GIZA

Bonapartemu – osobliwy to przywilej! – dane było obserwować tę scenę, jak gdyby rozgrywała się na nowo. Teraz zdziwiło go, że więcej nie pomyślał o jeźdźcu wysłanym przez Klébera ani o wspomnianym podarku. Wyciągnięty w kamiennym sarkofagu w Wielkiej Piramidzie, odczuwał podziw wobec fenomenu, jakiego doznawał. Moc, która pozwoliła mu to wszystko widzieć, słyszeć i odczuwać z wyrazistością, jakiej nie doświadczał nawet w prawdziwym życiu, musiała być rzeczywiście potężna. Jej atrybuty wykraczały dalece poza ludzki wymiar.

Choć od dłuższego czasu pozostawał bez ruchu, Bonaparte czuł się naprawdę dobrze. Czuł się silny. Rozpierała go radość. Był świadom, że niewielu ludzi dostąpiło dotychczas takiej wizji, jakiej teraz doznawał.

Spragniony zaś kolejnych obrazów, poddał się temu uczuciu.

„Mów do mnie jeszcze, piramido!”

ROZDZIAŁ 9

AKRA, WIOSNA 1799 ROKU

Paul Battista, dwudziestodwuletni dragon o sowych oczach, wszedł do namiotu Napoleona Bonapartego eskortowany przez kapitana gwardii. To właśnie on został przysłany spod góry Tabor. Był zlany potem i wyczerpany, choć jednak ledwie trzymał się na nogach, było widać, że zależy mu na wypełnieniu rozkazów.

– Panie – zameldował się oficer, gdy stanął naprzeciw Bonapartego. – Ten żołnierz właśnie przyjechał. Przynosi dla was pilną depezę od generała Klébera.

Biedny Battista wystąpił naprzód. Nigdy dotąd nie widział na własne oczy naczelnego dowódcy francuskich wojsk okupacyjnych, w tych okolicznościach Bonaparte musiał mu się zaś wydać bohaterem z kart *Iliady*. Obrazu wodza dopełniały nieogolona broda, koszula rozpięta aż po splot słoneczny i widoczne w gestach wrażenie nieobecności. Nie był starszy od niego, tkwiła w nim jednak – tak przynajmniej pomyślał Battista – bardzo stara dusza.

– Dziękuję, kapitanie – odpowiedział Napoleon oficerowi. – Zostawcie nas samych.

– Mój panie... – wymamrotał Battista, podając Bonapartemu strzeżoną do tej pory kopertę. – To wiadomość szyfrowana.

– Właśnie widzę, żołnierzu. Kléber szyfruje wszystkie swoje depeze do dowództwa. Co do zasady, są one bardzo lakoniczne. Powiedzcie mi, jak się miewa? I jak nasze oddziały?

Delikatne drżenie przeszło dłoń młodzieńca, zanim wypuścił kopertę.

– Nie odpowiadacie? – nalegał Bonaparte.

Battista przełknął ślinę.

– Sytuacja, panie, jest delikatna. Nieprzyjaciel jest bardzo liczny. Generał Kléber zapowiedział, że czeka nas nierówna walka. Panie, ich jest siedemnastu na naszego jednego! – dorzucił przejęty.

Generał nie okazał choćby śladu zaniepokojenia.

– Czy bitwa już się rozpoczęła?

– W czasie, gdy ruszałem, jeszcze nie. – Ponownie przełknął ślinę. – Być może jednak dziś o świcie...

– Czy nasze oddziały odczuwają strach?

Żołnierz opuścił wzrok. Niełatwo było odpowiedzieć na tego rodzaju pytanie Napoleonowi Bonapartemu.

– Rozumiem... – odezwał się generał. – Dobrze wypełniliście swoją misję, żołnierzu. Powiedzcie, żeby dali wam coś do jedzenia, i pokazali, gdzie możecie odpocząć.

– Wedle rozkazu.

– Ach! Wychodząc, przekazacie oficerowi, który wam towarzyszył, że niezwłocznie chcę się zobaczyć z generałem Bonem.

– Tak jest.

Po odejściu młodego dragona Bonaparte przez dłuższą chwilę pozostawał w zamyśleniu. Niedobrze, że Kléber czuł się przytłoczony przez siły Rzeźnika, gorzej jednak, że nie potrafił rozwiązać obaw szerzących się we własnych szeregach. Czyż nie zdążyli już dowieść swojej wyższości strategicznej nad mamelukami? Czyż w bitwie pod piramidami, rozegranej niemal rok temu, nie upokorzyli ich dzięki wsparciu lekkiej artylerii? Bonaparte mlasnął językiem. Jeśli z depeszy od Klébera wyczyta strach, ani trochę mu się to nie spodoba. Jaki jednak inny powód mógł go skłonić do wysłania wiadomości i określenia jej mianem w najwyższym stopniu pilnej?

Zamyślony pogładził kopertę, uprzednio rzuciwszy okiem na wiklinowy koszyk, który dostarczono razem z nią. Jego zawartość wydała mu się... swoista: trzy białe ugotowane kurze jajka spoczywające na wyściółce ze świeżego sitowia.

Kléber – przypomniał sobie z przykrością – uwielbia szarady.

Zawartość koperty okazała się równie zagadkowa. Była nią karta – as z nieznanego mu rodzaju talii – na której widniała postać o egipskim wyglądem. Poza tym choćby jednej cholernej linijki tekstu. Nic. Owoce kryptograficznej pasji generała.

Karta miała krawędzie wygniecione od częstego użytku i przedstawiała wizerunek faraona, który lewą dłonią unosił szatę. Jeśli uważnie się przyjrzeć, można było za nią dostrzec niewielką lampkę oliwną. Umieszczony pod stopami postaci napis głosił idealną francuszczyznę:



IX *La lampe voilée*

„Zasłonięta lampa”.

W tym momencie do namiotu wszedł generał Louis André Bon. Jego stukilogramowe ciało spięło się bojowo, gdy przywitał się z dowódcą. Bonaparte podał mu po prostu otrzymaną kartę.

Rosły oficer, zapoznawszy się z dziwaczną przesyłką z pustyni od generała Klébera, przyjrzał się jej, nie wiedząc, co powiedzieć.

– No i? Rozumiecie coś z tego, generale Bon?

Ten wzruszył ramionami. Bonaparte kontynuował:

– Obsesja Klébera na punkcie bezpieczeństwa jego wiadomości sprawia, że tracę cenny czas. Sami zresztą go znacie.

– *Verbum vincet*, panie...

Bonaparte mu przerwał.

– „Słowo zwycięża”. Otóż to. To hasło naszych kryptografów. Ale w tej wiadomości nie ma słów, Bon.

– A zatem...?

– Aj! Kléber już wcześniej robił takie sztuki! Wiecie, że we Francji ogolił zupełnie jednego ze swoich ludzi, głuchoniemego, przepisał mu na głowie fragment z *Dziejów* Herodota, a następnie poczekał, aż włosy mu odrosną, żeby posłać go do mnie i wystawić moją domyślność na próbę? On wprost uwielbia maskować swoje wiadomości!

– W jakim jednak celu, panie, posłaliście po mnie?

– Generale Bon, ta depeza mnie przerasta. Nie wygląda na to, żeby odczytanie tego przeklętego listu było łatwe – poskarżył się. – Mam tu jedynie kartę i kilka jajek. I nic więcej!

– Cóż, nie widzę, panie, w jaki sposób sam miałbym w tym pomóc... – zawahał się, oddając Bonapartemu tajemniczy kartonik.

– Dalejże, Bon! Znać Klébera tak dobrze, jak ja. Razem uczyliście się w akademii. Jesteście masonem, tak jak on. Należycie do tego samego warsztatu i lepiej niż ktokolwiek inny znacie jego zamiłowanie do symboli. Dlatego po was posłałem. Być może w tej wiadomości jest coś, co dla „brata” o waszej przenikliwości wyda się oczywiste, a co ja sam przeoczyłem.

– Panie, nie drwicie sobie ze mnie – zaproponował Bon. – Cały świat wie, że gardzicie masonerią.

– Ależ nie drwię, Bon! Potrzebna mi wasza rada.

Nagła potrzeba, jaką wyraził Napoleon Bonaparte, natchnęła go nową pewnością siebie.

– Jestem na wasze rozkazy, panie... Popatrzmy. Mogę raz jeszcze przyjrzeć się tej karcie?

– Oczywiście.

Bon przesunął niewielką kartę między swoimi grubymi palcami, jak gdyby ich opuszki mogły wyczuć coś, czego oczy mu nie ukazały.

– To zagadka rodem z tarota – zawyrokował.

– Z tarota? – Bonaparte uniósł ze zdziwienia brwi. – Z talii wróżebnej? Jesteście pewni? Nigdy nie widziałem takiego tarota.

– Wiercie mi, Kléber go uwielbia.

Louis André Bon wyszeptał ostatnie zdanie, nie podnosząc wzroku znad obrazka.

– Wiecie co? – dodał. – Podczas naszego rejsu do Egiptu Kléber i ja spędziliśmy trochę czasu na pokładzie L'Orient, okrętu flagowego naszej floty, rozmawiając o najróżniejszych sprawach. Jednym z jego ulubionych tematów były rozmaite wersje istniejących talii tarota. Wasz generał jest pod tym względem prawdziwym ekspertem. I najwyraźniej musi być klientem co drugiej wróżki w Paryżu!

– Wystarczy! – przerwał mu ostro Bonaparte. – Czy kiedykolwiek opowiadał wam o tarocie takim jak ten? Egipskim?

Bon podrapał się po podbródku.

– Tak, panie. To z niego korzystaliśmy w naszym warsztacie, aby się porozumiewać. Choć tak naprawdę zaprojektowano go we Francji.

– Naprawdę? I po cóż wysyła mi jedną z tych kart, skoro nie jestem waszym „bratem”?

– Wy nie. Jesteście uparci i, niestety, nigdy nie przyjęliście jego zaproszenia. Lecz niemal wszyscy generałowie w waszym sztabie są. – Uśmiechnął się.

– Niech będzie – sapnął Bonaparte z niecierpliwością. – Skoro więc jest to jakaś wasza gierka, powiedz mi w końcu, co, u diabła, ta karta oznacza.

Bon jeszcze przez chwilę pozostał jakby zahipnotyzowany przez rysunek na karcie.

– To nie takie proste, panie... – wyszeptał w końcu, kątem oka spoglądając na koszyk z jajkami. – Symbole przyjmują różne znaczenia w zależności od kontekstu, w którym są używane. I choć może się to wam wydać dziwne, być może dla rozwiązania tej zagadki wcale nie trzeba wkraczać na ścieżki ezoteryzmu. Jesteśmy najpierw wojskowymi, dopiero później masonami. To zaś, panie, jest zaszyfrowana depecha wojenna. Karta musi stanowić klucz do jej odczytania.

– To ją odczytajcie!

– Kod musi być prosty – Bon zignorował jego pośpiech. – Sądzę, panie, że skoro Kléber wam ją przysłał, to dlatego, że dosłownie chce, żebyście podnieśli jakiegoś rodzaju zasłonę. Widzicie? Tak, jak to czyni faraon na karcie. Być może gdybyśmy wiedzieli, do czego odnosi się ta metafora, wówczas...

– Nie mamy czasu na masońskie gierki, Bon! – skarcił go Bonaparte.

– Proszę się uspokoić. Jeśli Kléber w ten sposób przesyła wam wiadomość, a wie, że nie czytacie hieroglifów ani nie należycie do jego warsztatu, rozwiązanie musi być znacznie prostsze.

Bonaparte nie dopuścił do siebie ataku gniewu.

– W porządku. Co zatem proponujecie? – burknął.

Generał Bon uniósł kartę, aby również Napoleon mógł się dokładnie jej przyjrzeć.

– Przekonajmy się, panie, czy podążycie za moim rozumowaniem. Człowiek na karcie sprawia wrażenie starca...

- Za sprawą brody, owszem.
- Starcy zaś to uniwersalny symbol wiedzy, czyż nie?
- Kontynuujcie.

– Ten tutaj trzyma lampkę, którą osłania płaszczem w celu zachowania dyskrecji... Poza tym karta przedstawia dwa bardzo jasne symbole astrologiczne, które umieszczono na górze rysunku.

- Symbole astrologiczne?

Tym razem Bonaparte przyjrzał się już z bliska karcie.

– Otóż to, panie. Jeden to znak Lwa, widzicie? To piąty znak Zodiaku i bez wątpienia jasna aluzja do Waszej Ekscelencji i znaku, pod którym się urodziliście. Drugi odpowiada Jowiszowi, bogowi cnót rozsądku i woli. To kolejny symbol, który, za pozwoleniem, pasuje do was jak ulał.

- I do czego nas to prowadzi, Bon?

Korpulentny oficer nie zwrócił uwagi kolejne słowa skargi Bonapartego, który odwrócił się już do niego plecami. Znienacka Bon, któremu na czoło wystąpiły tymczasem kropelki potu, coś dostrzegł.

- Panie... Proszę spojrzeć!

Bonaparte obrócił się w miejscu, wyczuwając w jego głosie radość. Bon doznał właśnie nagłego olśnienia.

– A jeśli, panie, byłaby to jedynie instrukcja obsługi... służąca odczytaniu tego? – powiedział, wskazując koszyk z jajkami.

Bonaparte pokręcił bez zrozumienia głową. Jego rozmówca bynajmniej nie stracił rezonu. Wprost przeciwnie. W jego głosie rozbrzmiewała coraz większa ekscytacja:

– A jeśli to, czego się od Waszej Ekscelencji oczekuje, miałyby być równie proste, jak przystawienie światła do zasłony? I jeśli ta karta i ten upominek miałyby się do siebie tak samo, jak to przedstawiają elementy na karcie?

Poczynione przez Bona przypuszczenie sprawiło, że oblicze Bonapartego w jednej chwili się rozpromieniło.

- Jasne! – zawołał z aprobatą. – Jesteście genialni!

Rzucił się ku koszykowi, jednocześnie polecając Bonowi, żeby ten przybliżył mu lampę, aby można się było przyjrzeć jajkom pod światło.

Ich badanie przebiegło bardzo szybko.

Pierwsze dwa jajka nie zwróciły uwagi Bonapartego.

Pod ich białymi i nieskazitelnymi skorupkami można było dostrzec zbitą masę ściętego białka, która nie miała w sobie nic szczególnego.

Ostatnie jajko różniło się jednak od pozostałych. Można było w nim dostrzec szereg ciemnych plamek, małych i równych, które zdawały się układać w rzędkie.

– Ależ ten Kléber jest przebiegły! – ryknął Bonaparte. – To tutaj schował wiadomość! Napoleon z niecierpliwością obrał jajko, odsłaniając fortel. Na ugotowanym białku z pełną wyrazistością pojawiła się alarmująca depesza:

Nie ma wyboru, generale Bonaparte – mogli przeczytać, wciąż zdumieni prostotą podstępu. – O świcie uderzymy na paszę Damaszku. Jeśli nie przyślecie posiłków, zaufamy Bogu, żeby dopomógł nam w boju.

Nastąpiła chwila ciszy. Następnie Napoleon spojrzął w niewielkie oczka Bona. Ten jednak, nie wiedząc, co powiedzieć, zdołał zaledwie wybełkotać coś o starym roztworze z atramentu, ałunu i octu, za sprawą którego zdanie napisane na skorupce jajka może przeniknąć do białka i się na nim zaznaczyć.

– Na zewnątrz nie zostaje po nim ślad – dodał, jak gdyby w tym momencie jego wy tłumaczenia miały jakiegokolwiek znaczenie.

– Nie zdajecie sobie sprawy z tego, co ta wiadomość oznacza? – przerwał mu Bonaparte, który nie usłyszał choćby słowa z wywodu Bona. – To samobójstwo! Kléber rzucił się na pewną śmierć!

I po raz pierwszy niepokonany wielki wódz odczuł coś na kształt strachu.

Jeśli Turcy zdołaliby pozbawić życia wyniosłego Jeana-Baptiste’a, przekreślałoby to szanse na dokończenie podboju Egiptu. Czterdzieści tysięcy rozochoconych takim zwycięstwem mameluków byłoby już nie do zatrzymania.

Pytanie brzmiało następująco: czy powinien odstąpić od oblężenia Akry, aby pospieszyć na ratunek generałowi? Czy miał zresztą w ogóle inne wyjście?

ROZDZIAŁ 10

Wahał się. Wahał się, i to bardzo.

Teraz, leżąc w najwyższej umieszczonej komnacie Wielkiej Piramidy, Bonaparte widział całą sytuację znacznie jaśniej niż wtedy.

Od początku wiosny pozostawał pod murami Akry, zdeterminowany zakończyć powodzeniem oblężenie miasta. W pewnym sensie czuł się wybrany przez przeznaczenie do roli mściciela, który przywróci Europejczykom miejsce odebrane im w 1291 roku przez innego egipskiego sułtana. Eliaszb Buqtur, jego tłumacz, przekonał go o tym podczas nocnego spaceru wzdłuż linii francuskich okopów. Bonaparte kazał go wezwać niebawem po rozszyfrowaniu zagadki Klébera. Uznał, że krótka pogawędka z Eliaszem pomoże mu odświeżyć umysł i podjąć właściwą decyzję.

– Pogódźcie się z tym wreszcie. Znaleźliście się na tej świętej ziemi z boskiej woli! Ta misja była wam pisana! – rzucił Eliaszb, kiedy tylko zorientował się w sytuacji, podczas gdy obaj przyglądali się nieprzeniknionym murom miasta skąpanym w srebrzystej poświacie wspaniałego księżyca w pełni.

– Ale ja nie wierzę w twojego Boga, Eliasz.

– Mój Bóg nie różni się od waszego, mój panie. Jest tylko jeden Bóg, Bóg nas wszystkich – dodał. – Nie o to tutaj jednak chodzi. Czyż wciąż nie zdajecie sobie sprawy, gdzie jesteśmy i co wy tu robicie?

Zwalisty Kopt pokiwał się z zadowoleniem. Świeża bryza znad pobliskich plaż i cisza panująca o tej porze nad polem bitwy stworzyły atmosferę skłaniającą do czynienia wyznań.

– Przed pięciuset laty, panie, akurat w kwietniu takim, jak teraz, to muzułmanie oblegali Akre. My, chrześcijanie, kryliśmy się za tymi murami, umierając ze strachu.

– My, powiadasz? – zadrwił Bonaparte.

– Tak. Akra była wielką fortecą templariuszy z Ziemi Świętej, panie. Wewnątrz było mnóstwo żołnierzy francuskich, takich jak wasi... Ich klęska wyznaczyła kres zakonu templariuszy i spoczywającej na nich misji.

– Cóż ty możesz wiedzieć o misji templariuszy?

W reakcji na cierpką uwagę Napoleona koptyjski tłumacz błysnął w ciemności uśmiechem.

– Być może więcej, panie, niż się wam wydaje. Nie wchodząc w szczegóły, wiem, że ich misja miała dwa oblicza. – W jego tonie można było znieśc dosłyszeć zaskakującą niezależność. – Jedno publiczne, znane światu, oznaczające ochronę szlaków, po których

pielgrzymi z Europy docierali do Jerozolimy. Było jednak i drugie, ukryte, o którym bez wątpienia wy, generale, wiecie.

– Kontynuuj – zachęcił go Bonaparte. – Bawisz mnie. Może też nauczysz mnie czegoś nowego...

– Och, nie sądzę, panie. Od niemal dwóch tysięcy lat wszyscy, którzy przybywają na te ziemie z Zachodu, czynią tak w poszukiwaniu śladów Jezusa z Nazaretu, jego krwi, jego relikwii. Koniec końców zaś próbują znaleźć odpowiedź na pytanie o to, jak mu się udało przezwyciężyć śmierć i zmartwychwstać...

– Naprawdę sądzisz, że templariusze szukali właśnie tego?

Buqtur prawą ręką pogładził bródkę, spoglądając kątem oka na Bonapartego.

– Wy, jak mniemam, sądzicie, że zjawili się tutaj w poszukiwaniu relikwii w rodzaju Świętego Graala, korony cierniowej czy całunu...

– A tak nie było?

– W rzeczywistości, panie, sprawa jest znacznie prostsza. Zastanówcie się. Relikwie te symbolicznie odwołują się do krwi Chrystusa. To ikony, które nam o niej opowiadają. Które przypominają nam o jej przelaniu. Krew ta z kolei prowadzi nas ku szczepowi, z którego zrodził się Jezus. Jak sądzicie, dlaczego templariusze tak wielką wagę przywiązywali do Maryi Dziewicy, podczas gdy wcześniej nikt nie otaczał jej czcią? Czyż to nie ideolog templariuszy, Święty Bernard z Clairvaux, rozpowszechnił powitanie *Ave Maria* i spowodował, że w całej Europie zaczęły powstawać katedry ku jej chwale? Nie było to bynajmniej dziełem przypadku. Stanowiło to część planu. Dlatego templariusze Bernarda otrzymali zadanie dotarcia aż tutaj. Musieli odnaleźć i otoczyć opieką to, co z tej krwi pozostało.

– I to tutaj, w Akrze, wzniesli swój ostatni bastion – wymamrotał Bonaparte.

– Otóż to, panie. Ten sam, który niebawem odbijecie.

Wówczas do głowy przyszła mu pewna niespokojna myśl. Bonaparte nie był już tak przekonany o słuszności swojej opinii na ten temat.

– Eliaszu, odpowiedz mi, proszę, na jedno pytanie.

– Co tylko zechcecie, panie.

– Czy templariusze znaleźli to, czego szukali?

Buqtur westchnął.

– Mieli pomoc.

– Doprawdy? – Choć nie była to odpowiedź, jakiej oczekiwał, Bonaparte uniósł brwi z wyczekiwaniem. – A czyją to?

– Błękitnych mędrców.

– Nigdy o takich nie słyszałem.

– Nie wasza wina, panie. Prowadzą bardzo skryte życie. Żyją w pobliżu góry Tabor i to im, jak głosi tradycja, powierzono sekret na połę boskiej, na połę ludzkiej krwi Chrystusa.

– Tabor?

– Tak.

– To tam właśnie znajduje się teraz generał Kléber... – zauważył z żalem. – Powiedz, potężni są ci błękitni mędracy?

– Bardziej niż moglibyście to sobie wyobrazić.

– Dlaczego postanowili osiedlić się w tak odosobnionym miejscu jak Tabor?

– To bardzo proste, mój panie. Góra ta wznosi się w połowie drogi między Jerozolimą i Egiptem. Mędracy ci wiedzą zaś, że krew Boga, która pozwala wrócić do świata żywych, przybyła na Ziemię w pradawnych czasach boga Ozyrysa. Poszukiwali zatem miejsca, które byłoby święte dla obu ludów, i znaleźli je na górze Tabor.

Bonaparte uniósł brwi w zdumieniu. Znienacka myśl o skierowaniu się ku temu miejscu wydała mu się nie taka znowu kiepska...

– Nie róbcie, panie, takiej miny – rzekł Buqtur, nie wiedząc, o czym rozmyśla Bonaparte. – Między religią chrześcijańską a egipską występują liczne podobieństwa. Ozyrys i Jezus narodzili się 25 grudnia, obaj pod znakiem nowej gwiazdy. Obaj zginęli zdradzeni przez kogoś bliskiego, w trzy dni powrócili ze świata zmarłych, obaj również za swój symbol mieli krzyż.

– Uważasz, że mogli oni dołączyć do Rzeźnika?

Pytanie Bonapartego zbiło go z tropu.

– Błękitni mędracy? Sprzymierzeni z Rzeźnikiem? To niemożliwe! – odparł Buqtur. – Oni nienawidzą muzułmanów, szczególnie zaś Turków. Przed pięciuset laty pomogli wielkiemu mistrzowi zakonu templariuszy odeprzeć tureckie oblężenie pod Akrą. Koniec końców, jak wam mówiłem, wolą porozumieć się z kimś, kto również dopuszcza zmartwychwstanie ciała, niż z tymi barbarzyńcami.

– Nawet jednak mimo ich pomocy templariusze ponieśli klęskę – zauważył Bonaparte.

– Nie, mój panie! Templariusze pojęli, że klęska była im pisana. Błękitni mędracy powiadają, że ich mistrz, Guillaume de Beaujeu, nie zasługiwał na to, aby go uratować. Do dziś zresztą czekają, aż jakiś wielki wojownik z Zachodu powróci pod Tabor i oddzieli ich od niewiernych. Ktoś, kto się z nimi sprzymierzy, kto wierzy w zmartwychwstanie i kto doceni potęgę ich krwi.

Oczy generała błysnęły z ożywieniem.

– Sądysz... Sądysz, że pomogliby komuś takiemu jak ja?

Buqtur powoli przytaknął.

– Mogę spróbować zaaranżować spotkanie z nimi, panie.

– Zrób to!

Zanim skończyli tę rozmowę, pułkownik Jacotin – główny kartograf Bonapartego – podbiegł do nich co tchu, prosząc wodza, aby czym prędzej stawił się w namiocie sztabu. Jego generałowie wykorzystali chwilę odpoczynku do omówienia prawdopodobieństwa zdobycia Akry w sytuacji, gdyby podzielili dostępne siły i ruszyli Kléberowi z odsieczą. Wyrobili już

sobie na ten temat opinię i teraz Pierre Jacotin musiał jak najszybciej przekazać ją Napoleonowi.

– Prawda, generale, jest taka, że nie pozostaje nam nic lepszego. Powinniśmy niezwłocznie ruszyć mu z pomocą.

Jacotin nie był w tej opinii osamotniony. Choć wszyscy członkowie dowództwa zdawali sobie sprawę, że gdy osłabią nacisk na Akrę, zdobycie miasta będzie niemożliwe aż do nastania jesieni, to jednocześnie byli świadomi, że jeśli stracą Klébera, to będzie po wszystkim.

– Panowie generałowie! Kléber nie wie, po jakim stąpa gruncie. Nie ma nawet map góry Tabor czy jej okolic i w każdej chwili może wpaść w zasadzkę – Jacotin skończył przedstawiać przełożonym swoje wnioski.

Bonaparte posłał mu chłodne spojrzenie. Zawsze tak czynił, gdy ktoś przedstawiał mu niepomyślne wiadomości. Był gotów uwierzyć, że to sam Rzeźnik obmyślił taką przeszkodę, aby zmusić Francuzów do odstąpienia od oblężenia.

Stojący obok niego Bon nie ukrywał, że w pełni podziela zdanie głównego kartografa.

– Panie, już i tak zbyt wielu ludzi straciliśmy w tej kampanii – zauważył z żalem. – Nie możemy dopuścić, żeby teraz zginęły kolejne trzy tysiące. To by oznaczało koniec naszej misji.

– Co zatem proponujecie, drogi Bon? – spytał zjadliwie naczelny wódz.

– Abyśmy natychmiast wyruszyli im z pomocą.

Bonaparte się zamyślił.

„Cóż za ironia losu – zauważył w myślach. – Czy to nie właśnie na górze Tabor Jezus dokonał przemienienia na oczach swoich uczniów, przeistaczając się definitywnie w przywódcę chrześcijaństwa? To nie tam ujrzał proroków, którzy potwierdzili jego chwalebłą misję?”

I tak oto, z dziwnym przeczuciem, że ta nowa pieszczota losu przyniesie również i jemu ważne zmiany, podjął decyzję.

Tego poranka Bonaparte pobudził większość swoich wojsk, zmobilizował dywizję Bona, nakazał, aby towarzyszyło mu osiem dział dwunastofuntowych, i wydał instrukcje, żeby całość kawalerii osłaniała go aż po Ad-Dahi, gdzie w dolinie niemal z całą pewnością znalazł schronienie jego ulubiony generał.

Jego instynkt był wyczulony jak nigdy dotąd.

Zanim jednak Bonaparte odszukał Klébera, ten podjął nieudaną próbę zaskoczenia Rzeźnika. Kiepska jakość posiadanych przezeń map okolicy opóźniła marsz jego wojsk. Kléber dotarł do obozowiska nieprzyjaciela o szóstej rano, kiedy słońce wznosiło się nad horyzontem, nie zaś, jak planował, o drugiej w nocy. O tej zaś porze mrowie uzbrojonych po

zęby mameluków, janczarów, szejków, Beduinów i fellachów już czekało, aby się z nimi rozprawić.

– Rozplątamy ich jak arbuzy! – zakrzyknęli na ich widok.

Gdy Bonaparte po raz pierwszy ujrzał swojego generała, scena przedstawiała się dantejsko. Jego oddziały od kilku godzin broniły się w formacjach obronnych i ogniem artylerii odpierały kolejne szarże jeźdźców Rzeźnika. Ci zaś w bitewnym szale przeskakiwali nad francuskimi bagnietami, jak gdyby się bawili z przeciwnikiem. Mamelucy wyli niczym psy i bez chwili wahania rzucali się za linie wroga, żeby podjąć walkę na noże. Niełatwo było wyobrazić sobie, ilu ludzi Kléber musiał stracić, broniąc się w takich warunkach, jeśli jednak oceniać po wyglądzie jego formacji, brakowało im już zarówno sił, jak i amunicji, by dalej stawiać opór.

– Jakie są wasze rozkazy, panie?

Jeden z kapitanów artylerii z dywizji Bona zbliżył się do pagórka, z którego Bonaparte obserwował całą scenę.

– Po pierwsze, kapitanie, niechaj wszyscy wiedzą, że tutaj jesteśmy... – odparł, nie odrywając oka od lunety.

– Natychmiast, panie, wystrzelimy salwę ostrzegawczą.

– Żadnych ostrzeżeń, kapitanie! Strzelajcie, aby zabić. Nie widzicie, że tam dziesiątkują naszych ludzi?

Artylerzysta gołym okiem nie był w stanie nic dojrzeć, mimo to przytaknął:

– Tak więc, panie, uczynimy. A potem?

– Widzicie tamte namioty, na zachód od naszych pozycji?

Wojskowy zmrużył oczy, usiłując dostrzec punkt, który wskazywał mu dowódca.

– Tak, widzę – oznajmił, gdy tylko zauważył niewielką wielobarwną plamę, na poły skrytą za zaroślami.

– Odszukajcie kapitana Pascala z kawalerii generała Bona i powiedzcie mu, że chcę, żeby je podpalił.

Milczenie kapitana sprawiło, że Bonaparte odsunął lunetę od twarzy.

– To nieprzyjacielskie obozowisko! – wyjaśnił z niechęcią. – Wykonać rozkazy. Już!

Następnym posunięciem Bonapartego było podzielenie zgromadzonych sił na dwa odrębne zgrupowania, między którymi pozostawało około ośmiuset metrów. Manewr ten naczelny wódz przeprowadził z wigorem i już dwadzieścia minut później czoło jego kolumn wyłoniło się po bokach chroniącego ich pagórka, wzbudzając zaniepokojenie pośród ludzi Rzeźnika. Ich wrzaski momentalnie umilkły. Niemal wszyscy ucichli na odgłos pierwszych wystrzałów armatnich, a w miejsce wzniecanego przez nich harmidru wygłodniałych hien dało się niebawem słyszeć wiwaty wojsk Klébera.

– Nasz kapral³ przybył nam z odsieczą! – wołali.

Nie trzeba tłumaczyć, że od tego momentu losy bitwy się odwróciły.

Niebawem w dolinie zadudniły strzały z muszkietów obu armii. Natychmiast można było zauważyć, która ze ścierających się stron jest lepiej przygotowana do tego rodzaju walki. Podczas gdy Turcy strzelali chaotycznie, ogień żołnierzy Klébera i oddziałów Napoleona zsynchronizował się w salwy, które zmiatały całe szeregi nieprzyjaciół. Prawdziwy moment przełomu nastąpił jednak wtedy, gdy po godzinnej wymianie ognia na zachód od pola bitwy wzniosła się w niebo kolumna gęstego dymu.

Na jej widok zwierzęca furia wojsk Rzeźnika nagle wygasła.

Tureccy jeźdźcy, którzy jeszcze przed chwilą przygotowywali się do ostatecznej szarży na pozycje Klébera, zaczęli kręcić się w kółko, nie bardzo wiedząc, co powinni począć. Było po nich znać podenerwowanie. I niepewność.

Ich obozowisko stanęło w płomieniach!

Płonęła siedziba Djezzara!

Wątpliwości co do rzeczywistej siły armii francuskiej zdławiły w nich odwagę.

Poczynając od tej chwili, Turkowie utracili wszystko. Kiedy w niecałe dwie godziny łupem Francuzów padło trzysta wielbłądów, ponad tysiąc namiotów uległo spaleni, składy prochu i wody zostały rozbite w pył przez francuską artylerię, a około pięciuset ludzi dostało się do niewoli, pasza Achmed stracił wszelkie atuty i był zmuszony zarządzić natychmiastowy odwrót.

Tryumf Francuzów był zupełny. Przez dwa kolejne dni w pobliżu studni, mostów, nad brzegami Jordanu i w niemal każdym zakątku Doliny Jezreel pojawiły się setki okaleczonych zwłok przyodzianych we wspaniałe damasceńskie jedwabie z naszytymi na nich ozdobami ze złota i z kości słoniowej.

Jezreel – o czym później dowiedział się Bonaparte – oznacza „Bóg sieje”. I rzeczywiście coś w tym miejscu zasiał.

Śmierć.

ROZDZIAŁ 11

Niedługo po południu tego historycznego dnia, 15 kwietnia, Napoleon Bonaparte podjął decyzję, która co prawda umknęła uwadze jego generałów, ale w pewnym sensie była tą jedyną, która tłumaczyła, dlaczego teraz jego ciało spoczywało wewnątrz Wielkiej Piramidy.

Decyzje, jakie podejmujemy w życiu, wiążą się ze sobą. To one tworzą tę subtelną pajęczynę, w której istniejemy. To, jaką wybierzemy ścieżkę – z lewej czy z prawej – nie jest bez znaczenia. Zarazem jednak nasza inteligencja jest na tyle ograniczona, że kojarzy jedynie akcje i reakcje wynikające z siebie w krótkim odstępie czasowym. Jeśli rano kupimy nóż, a po południu się nim skaleczymy, prawdopodobnie zganimy się w myślach za jego zakup. Jeśli jednak to samo ostrze posłuży do pozabawienia kogoś życia cztery miesiące później, jest raczej nieprawdopodobne, żebyśmy odczuwali jakiegokolwiek wyrzuty sumienia. Przypuszczalnie nasza pamięć zatarła już wiedzę o pochodzeniu tej broni, pomijając niekończącą się sekwencję decyzji podjętych między momentem jej zakupu a chwilą, gdy posłużono się nią w zabójczym celu.

Bonaparte wewnątrz sarkofagu odkrywał więc kolejne ogniwa łańcucha swojego życia. Na swój sposób piramida do niego przemawiała. Opowiadała mu obrazami, jak to, co uczynił bezpośrednio po rozgromieniu wojsk Djezzara nieopodal góry Tabor, miało, zrządzeniem losu, wpłynąć na całość jego przeznaczenia.

Gdyby nie wydał swojemu generałowi majorowi rozkazu podejścia do pobliskiego Nazaretu – zamiast nakazać powrót pod Akre w celu kontynuowania oblężenia miasta – nigdy nie znalazłby się w pozycji leżącej w Wielkiej Piramidzie.

Odpowiedzialność za to ponosił – jakżeby inaczej! – Eliasz Buqtur, jego wierny koptyjski tłumacz. To on, z pobladłym obliczem i wilgotnymi oczyma, zbliżył się do Bonapartego pod koniec bitwy pod Taborem i popchnął go ku jego losowi.

Drżały mu dłonie.

– Ranili cię, Eliaszu? – spytał z zaniepokojeniem Bonaparte.

– Nie... Nie, panie.

Buqtur przeszukał kieszenie swojego czarnego kaftana i wyciągnął z jednej z nich skrawek papieru, który następnie postarał się podać Napoleonowi. Wyglądało, że to wiadomość. Jakiś list.

– To dla was.

Bonaparte spojrział na niego zdumiony.

– Ale to jest po arabsku – poskarżył się, gdy rozłożył kartkę.

– Przyniósł to posłaniec, gdy trwała jeszcze bitwa. Wasi ludzie dali mi to, abym przetłumaczył.

– I co...?

– To list od pustelników z gór, mój panie.

Na obliczu generała można było dostrzec zmianę.

– Od błękitnych mędrców?

Buqtur przytaknął.

– I co piszą? – pospieszył go.

– Chcą się z wami widzieć, panie. Zgodzili się z wami porozmawiać. Czekają na nas przy Źródle Marii w Nazarecie. Dziś.

Bonaparte wykazał ciekawość.

– Powiedz mi, Eliaszu, jak zdołałeś ich odnaleźć?

– To, panie, sprawa jeszcze dziwniejsza. – Kolejny dreszcz sprawił, że zatrzęsł się od stóp do głów. – To oni mnie odszukali, nie ja ich.

– Wydajesz się strapiiony, Eliaszu. Czyżbyś się czegoś bał?

Kopt postarał się odzyskać panowanie nad sobą.

– Boję się jedynie o zbawienie mojej duszy, panie.

– Mówię o tym liście. Sądysz, że to może być pułapka?

Eliasz spojrział na kartkę, którą trzymał w dłoniach. Zdawał się niespiesznie ważyć słowa odpowiedzi, aż w końcu odparł:

– Nie, panie. To nie są tego rodzaju ludzie.

– Dlaczego zatem tak bardzo spoważniałeś?

– Ponieważ przeczuwam, że będzie to dla was bardzo ważne spotkanie. Nieczęsto się zdarza, aby starzec ze Świętych Wzgórz podejmował cudzoziemca. Nie zdarzyło się to od czasów templariuszy!

– Słusznie czynisz, uprzedzając mnie – oznajmił zadowolony. – Sądysz, że nasze zwycięstwo wywarło na nich wrażenie?

– Pustynni mędrzy nigdy nie ferują wyroków na podstawie pojedynczego zdarzenia, mój panie. Przyglądają się tak długo, jak długo uznają to za stosowne, namyślają się całą wieczność, jeśli zajdzie taka potrzeba, i przechodzą do działania wyłącznie wówczas, gdy wiedzą, że nadeszła pora, aby to uczynić.

– W takim wypadku, mój drogi Eliaszu, ten pustelnik najwyraźniej dostrzegł już, że przeznaczenie mi sprzyja. Że przyświeca mi gwiazda zwycięstwa. Że Egipt musi schronić się pod moją opieką... podobnie jak Francja.

– Być może...

– Nie każmy mu zatem na siebie czekać, co ty na to?

ROZDZIAŁ 12

Tego ranka, kiedy Buqtur przygotowywał konwój, który miał się udać w kierunku Nazaretu, zdarzyła się kolejna nietypowa sytuacja. Bonaparte szybko o niej zapomniał, nie przywiązując do niej zbytnej wagi. W tamtej chwili jednak ten drobny incydent wywarł na nim niemałe wrażenie.

Pamiętnego 15 kwietnia wstał bardzo wcześnie, aby ruszyć z odsieczą Kléberowi, tak więc około jedenastej przed południem, kiedy zdołał już zapanować nad przebiegiem bitwy, jego tłumacz zaś zajmował się przygotowaniem do spotkania z tajemniczymi błękitnymi mędrkami, Bonaparte postanowił poszukać miejsca, w którym mógłby uciąć sobie krótką drzemkę. Dyskretnie wymknął się ze stanowiska dowodzenia i w pobliżu wyschniętego koryta, którym podczas burz spływała woda, natknął się akurat na takie miejsce, jakiego szukał. Była to jama o szerokim wejściu, niezbyt głęboka, przez którą ciągnął przyjemny powiew powietrza i w której znalazł warunki, żeby kilka minut odsapnąć. Upewniwszy się, że nikt za nim nie szedł i że jedyne dojscie do tego zakątka strzegły francuskie oddziały, Bonaparte ściągnął buty do jazdy konnej i ułożył się na kurtce mundurowej.

Natychmiast zmorzył go sen. Umysł Bonapartego znalazł schronienie w obrazie, który zawsze przywoływał, kiedy pragnął się odprężyć: w gorących źródłach Pietrapola. Ich wspomnienie nigdy dotąd go nie zawiodło. Był to niewielki raj usytuowany pośród gór na zachodzie Korsyki, prawdziwy labirynt źródeł termalnych, rzymskich łaźni i kąpielisk, pośród których wraz z braćmi spędzał najlepsze wakacje dzieciństwa. Wystarczyło mu przywołać wizję tych siarkowych wód, a ponownie nachodziło go upajające uczucie bezpieczeństwa i bez troski, które kojarzył ze swoimi najwspanialszymi latami.

Od tamtej pory Bonaparte zasypiał, przestrzegając rytuału, który nigdy go nie zawiodł. Wyobrażał sobie, że schodzi po kamiennych stopniach do jednego z rzymskich basenów kąpielowych. Stąpał po nich powoli, czując, jak ciało zanurza się w tej spokojnej i ciepłej toni. Zazwyczaj zasypiał, zanim woda w wizji zdążyła sięgnąć szyi.

Sny bywają jednak kapryśne i akurat tego dnia czekała go niewielka niespodzianka.

Znienacka zyskał przekonujące przecucie, że nie jest sam. Delikatny aromat kwiatu lotosu, upajający i miodowy jak nic, co do tej pory dane mu było wachać, odpędził siarkowe wyziewy znad źródeł. Ktoś wkroczył do jego azylu i obserwował go teraz z pewnej odległości.

Onieśmielony (w wizji był przecież nago) obrócił się w miejscu i stwierdził, że – istotnie – nad brzegiem basenu stała młoda dziewczyna.

– Przyszłam opatrzeć twoje rany – oznajmiła.

Była to doprawdy piękna kobieta. Miała na sobie jedynie togę z cienkiego lnu, którą zsunęła na ziemię tuż przed tym, zanim zanurzyła się w wodzie obok niego. Bonaparte oniemiał wobec takiej determinacji. Wyglądało na to, że dziewczyna jest absolutnie pewna tego, co zamierza uczynić. Doskonałość jej ciała i śmiałość zachowania wprawiły Bonapartego w zdumienie. Niezdolny się poruszyć, dostrzegł, że podchodzi do niego, staje za jego plecami i kładzie palce na jego zmaltretowanych plecach. Dotyk jej opuszków sprawił, że przeszył go prąd. Serce zaczęło bić jak szalone. Po chwili poczuł, że nieznajoma gładzi po kolei wszystkie jego wojenne rany, a całe jego ciało ogarnia uczucie ulgi i przyjemności.

– Kim jesteś? – zapytał.

Cisza.

– Skąd przychodzisz?

Nie spieszyła się z udzieleniem odpowiedzi.

– Jestem Izyda – oznajmiła w końcu, a zapach, który rozsiewała, stał się dwukrotnie mocniejszy. – Jestem tu od zawsze.

Oszołomiony Bonaparte zmobilizował resztki woli i odwrócił się w jej kierunku. Wówczas dziewczyna zdławiła jęknięcie, tak jakby zaskoczył ją tym ruchem. „Czy to istota ludzka?” – zastanowił się wówczas. Miał okazję dokładniej przyjrzeć się obliczu przybyszki. Wszystko w jej twarzy było samą doskonałością. Jej krągły i drobny nos, słodkie i półprzymknięte usta, oczy niebieskie jak woda śródziemnomorskich plaż wryły mu się w pamięć niczym wypalone ogniem. Kiedy już miał dotknąć jej czarnych włosów, gładkich jak egipskie wydmy, powstrzymała go.

– Przyszłam, aby cię przestrzec – powiedziała.

– Przestrzec? – Wzruszył ramionami. – Sądziłem, że przyszłaś mnie leczyć.

Izyda nie zareagowała.

– Owszem. Przestrzec cię, Napoleonie Bonaparte – oświadczyła. – Tylko miłość będzie zdolna cię ocalić.

ROZDZIAŁ 13

Nazaret ukazał się na horyzoncie o pierwszej po południu. Bonaparte, wciąż pod wrażeniem dziwnego snu, z którego dopiero co się zbudził, posłał pytające spojrzenie Eliaszowi Buqturowi.

– Tak, panie – potwierdził tłumacz, rozwiewając wątpliwości. – Oto miasto Jezusa!

Ze starej drogi do Akry z łatwością można było odróżnić trzy części, na jakie dzieliła się miejscowość. Dzielnica muzułmańska, z uliczkami przykrytymi dla ochrony przed upałem pasiastymi markizami, znajdowała się po zachodniej stronie miasta. Dzielnica łacińska, położona w środku, wyróżniała się na tle pozostałych ceglaną dzwonnica franciszkańskiego kościoła Zwiastowania. Nieco dalej zaś można było dostrzec dzielnicę grecką, najbardziej orientálną z wyglądu, znaczoną niskimi, dokładnie pobielonymi kopułami. Źródło Miriam stanowiło jedyny punkt styczny dla wszystkich trzech dzielnic.

– Witajcie w stolicy starożytnej Galilei, panie! – oznajmił uroczyście Kopt.

– Prawdę mówiąc, spodziewałem się, że będzie ona większa...

Bonaparte zdawał się cokolwiek rozczarowany. Zsiadł z konia i rozłożył lunetę, którą zawsze nosił przy sobie, aby lepiej przyjrzeć się zabudowaniom.

– Niegdyś była większa, generale...

– Ale zdążyła się skurczyć. Ile dusz tutaj zamieszkuje?

– Około trzech tysięcy ludzi.

– Powiedz mi, Eliaszu, czy ktokolwiek wie, gdzie dokładnie znajdował się dom Jezusa?

Kopt spojrział ze zdumieniem na „niepokonanego Bunaparta”. Od roku nie odstępował go na krok, a wciąż nie potrafił orzec, czy kwestie religijne wzbudzały w nim zainteresowanie, czy też nie. Zatoczył więc jedynie palcem nieokreślony krąg w powietrzu, wskazując inny fragment miasta.

– Przyjmuje się, panie, że znajdował się on za dzielnicą łacińską. Gdzieś tam. To jednak nic pewnego. Od tego czasu upłynęło osiemnaście wieków.

Niebawem obaj, w towarzystwie około dwudziestu żołnierzy, zagłębili się w ulice miasta. Zdumiało ich, jak bardzo były one puste. Wszystkie miejscowości, do których dotychczas wkraczali, nawet znajdujące się akurat w ogniu walk, pełne były kobiet i dzieci, kur i rogacizny. Ogólnie rzecz biorąc, bliskowschodnie siedliska ludzkie były zgiełkliwe i cuchnęły. Wszędzie roilo się od straganów z warzywami i najrozmaitszym towarem, ale również od szczurów i odpadków, nieczystości zaś były wylewane z okien na ulice. Z jakichś jednak powodów – i musiał to być najwyraźniej lęk przed Rzeźnikiem i Francuzami –

okiennice w Nazarecie były pozamykane, z kominów nad domostwami nie unosił się dym, znikąd także nie dobywała się woń przygotowywanych potraw.

Byli sami.

Kiedy dotarli do źródła Miriam, pobieżny zwiad potwierdził pierwsze wrażenia przybyłych: nie mieli się czego obawiać. Żadna z otaczających plac lepianek nie była dostatecznie wysoka, aby zapewnić dogodną pozycję ogniową ewentualnemu tureckiemu strzelcowi wyborowemu. Żadna z kryjących je strzech nie wytrzymałaby zresztą ciężaru człowieka. Pierwsze raporty z rozpoznania nie wykazywały także obecności broni lub żołnierzy Djezzara.

Żołnierze eskorty z łatwością więc zajęli odpowiednie pozycje, przygotowując się na przyjęcie tych, którzy zaprosili generała.

Nie przyszło im długo czekać.

Akurat w chwili, kiedy ostatni z muszkieterów udał się w wyznaczone miejsce, na horyzoncie zarysowało się kilka postaci, które wyłoniły się znikąd, jak gdyby odczekawszy, aż przybysze się rozgoszczą, i niespiesznie zmierzały na miejsce spotkania, nadchodząc ze wschodu. Wyglądało na to, że są to dwaj mężczyźni o wyglądzie Beduinów, nieuzbrojeni, odziani w bawełniane galabije i z obliczami po części skrytymi przez niebieskie turbany. Byli szczupli i wysocy, szli równym krokiem, każdy niósł u boku zawiniątko w barwie szafranu.

– Niech nikt nie strzela – rozkazał kapitan gwardii. – Pozwólcie im przejść.

Kiedy nieznajomi zbliżyli się do pierwszego posterunku dragonów, ten, który szedł pierwszy, podniósł ramię w geście pozdrowienia. Eliasz Buqtur rozpoznał ich.

– To oni, panie! – szepnął z zadowoleniem. – Już tu są.

Przybysze, obserwowani z pewnej odległości przez dragonów, podeszli na środek placu. Bonaparte zawczasu zapowiedział, że w spotkaniu z nimi będą uczestniczyć tylko on i Eliasz, bez widocznej broni, aby ich nie spłoszyć. Mężczyźni ci nie wyglądali jednak na płochliwych. Bez wahania podeszli nad sam brzeg źródła, odwrócili się w ich stronę i zatrzymali się dopiero wówczas, gdy znaleźli się w odległości wyciągniętej ręki.

– Bóg z wami, wielki Bunaparcie, Sułtanie Zachodu... – uroczyście, wyśmienitym arabskim, powitał go pierwszy z nich.

Bonaparte pochylił głowę na znak szacunku, zbywając milczeniem fakt, że również ci pustelnicy zniekształcili jego nazwisko.

Mężczyzna, który pierwszy się odezwał, okazał się starcem o semickich rysach twarzy; mimo wieku bynajmniej się nie garbił. Wprost przeciwnie – zdawał się nawet wyższy od swojego towarzysza. Jego poorane zmarszczkami oblicze wieńczył wyraźny podbródek, a długa śnieżnobiała broda nadawała mu szacowny wygląd eremity. Generał od razu pojął, że ma przed sobą kogoś niezwykłego. Jasne spojrzenie jego niebieskich oczu wywarło na nim ogromne wrażenie. Przez moment pomylił je z oczyma kobiety, którą dopiero co widział we

śnie, ale z miejsca odpędził to skojarzenie. Bonaparte dosłownie zapadł się w te źrenice, natychmiast rozumiejąc, dlaczego wszyscy nazywali ich „błękitnymi mędrkami”.

„To spojrzenie przenika przez wieki!” – pomyślał.

Odkąd pojawił się w Egipcie, nie widział jeszcze podobnego Beduina. Pociemniała z czasem karnacja, niegdyś równie jasna, jak u niego, dodatkowo potęgowała siłę tego zdolnego obnażyć duszę spojrzenia.

Po chwili starzec odezwał się ponownie. Ton jego głosu był poważny, słowa zaś, choć niezrozumiałe w momencie, gdy opuszczały jego gardło, roztaczały wrażenie spokoju. Bonaparte nie otrząsnął się z oszołomienia. Te gesty, powolne i pełne majestatu, pozwalały dojrzeć starą, pradawną czystość ducha, który kontrastował z krwią i kurzem, wciąż obleczonymi w cielesność.

– Wasz tryumf nad Djezzarem potwierdził nasze nadzieje – przetłumaczył słowa starego eremity Elias. – Jesteście bez wątpienia tym, na którego czekaliśmy.

Bonaparte musiał potrząsnąć głową, aby odzyskać skupienie.

– Tak, ale...

– Bądźcie tego pewni – przerwał mu starzec. – Jesteście wysłannikiem, który przywróci skarb wiedzy, jaką tak dawno temu wydarto ludowi Egiptu. To was, Bunaparcie, wybrano, abyście wypełnili tę jakże doniosłą misję.

Brzmiało to całkiem nieźle, niemniej jednak Napoleon zaprotestował:

– Mistrzu, Elias nic mi nie wspominał o tym, żebyście strzegli jakiegoś skarbu...

Generał poszukał spojrzenia tłumacza.

– Tak więc... – ciągnął dalej – jeśli nie wiem, jakiego rodzaju jest to skarb, trudno mi będzie pomóc go wam odzyskać.

– Wasz los jest już spisany. Będziecie wiedzieć, jak go odnaleźć – wymamrotał starzec. – Pamiętajcie jednak: nie wszystkie skarby są namacalne. Niektóre pozostają niewidzialne. Mają naturę duchową.

Bonaparte zrobił się nieufny.

– Nie jestem pewien, mistrzu, czy mnie to interesuje. Jestem wojskowym, nie mistykiem.

Dwaj Beduini spojrzeli po sobie ze zdumieniem.

– Powiedzcie, panie, to wy jesteście prawdziwym Bunapartem? – spytał starzec. – Tym samym, który rozgromił mameluków pod piramidami w Gizie? Tym, który przywiózł ze sobą nie tylko armaty, ale także uczonych, księgi i maszyny do ich druku, obiecując przynieść nam osiągnięcia Zachodu?

Bonaparte przytaknął.

– Jeśli zatem nim jesteście, panie, to skarb wiedzy nie może pozostać wam nieznanym – wymamrotał młody pomocnik mistrza, włączając się tym samym w rozmowę. – Zwłaszcza jeżeli chodzi o coś, o czym wiemy, że wzbudza waszą głęboką troskę...

Bonaparte zwrócił uwagę na młodzieńca. Był to gołowąs mniej więcej jego wzrostu, o tych samych co starzec, niesamowitych błękitnych oczach, ale także o wydatnych kościach policzkowych, które zdawały się wyrzeźbione w marmurze. Swoją urodą w pewnej mierze przypomniał mu „uśmiechniętego anioła” z katedry w Amiens.

– Doprawdy?

„Anioł” przytaknął.

– Jesteście tego pewni tak bardzo, jakbyście potrafili czytać w moich myślach.

– W myślach może nie, ale w waszej duszy – i owszem – wtrącił rozmówca.

– A zatem, waszym zdaniem, czym tak się troskam?

– Waszą obsesją jest chęć pokonania śmierci! – Następnie młodzian zamilkł na chwilę. – Czy może powiecie nam, że to nieprawda?

Bonaparte zamarł ze zdumienia.

– Ach, niech was nie dziwi nasza pewność, panie – dodał wówczas tamten z pewną zuchwałością. – Chęć ucieczki przed śmiercią to nieodłączny element natury ludzkiej. Kiedy Cezar opanował Egipt i poczuł się panem tego świata, ogarnęła go obsesja dotycząca zaświatów. To bardzo... nasze.

– Nazywacie to jednak obsesją.

– Każdy człowiek zastanawia się nad swoim przeznaczeniem, ale tylko nieliczni próbują je oszukać. Wy podjęliście taką próbę, przybywając do Egiptu i wysyłając waszych uczonych, aby rozpytywali o wiedzę pradawnych faraonów, i to was wyróżnia.

Generał poczuł się tymi słowami nieco onieśmielony. Nie przywykł do tego, aby ktokolwiek interpretował jego najskrytsze przemyślenia. Tym bardziej zaś, żeby czynił to z taką jasnością, bez jakichkolwiek sztuczek czy ceremonii.

– Powiedzcie mi – odezwał się, spoglądając nader poważnie na obu przybyszów – czy na cokolwiek zda mi się ta moja... obsesja?

– Przychodzimy, żeby powiedzieć wam, Sułtanie Zachodu, że możemy wam pomóc przewyciężyć na zawsze barierę śmierci – przemówił raz jeszcze starzec.

– Strach przed śmiercią sam w sobie nie jest zły – dodał „uśmiechnięty anioł”. – Co więcej, to, że szukacie rozwiązania teraz, kiedy w waszych żyłach tętni młodość, świadczy o waszej inteligencji. Tak się składa, że nie mogliście wybrać bardziej odpowiedniej chwili i lepszego miejsca na rozpoczęcie poszukiwań. To właśnie na tej ziemi życie i śmierć współistnieją w najdoskonalszej harmonii. To tutaj niesiony Nilem żyzny szlam i najbardziej jałowa z pustyń spotykają się dzień w dzień. Wiemy, że przybyliście aż tutaj w poszukiwaniu tajemnicy życia wiecznego... I że jesteście bliżsi jej odnalezienia, niż się to wam wydaje.

Bonaparte pokręcił głową i im przerwał:

– Oczywiście, że pragnę życia wiecznego! Któż przy zdrowych zmysłach by tego nie pożałował? Pod tym względem nie różnię się od pozostałych...

– Drogi Bonaparcie, nie musicie się wcale tłumaczyć. – Słowa młodzieńca o przenikliwym spojrzeniu i łagodnym jak miód głosie rozbrzmiały na pustym placu. – Jeśli tu jesteśmy, to dlatego, że naszym zadaniem jest pomóc temu, kto szuka szczerze.

Oczy generała rozbłysły w zdumieniu.

– Wy mi... pomożecie? – wymamrotał.

– A w jakim innym celu mielibyśmy przychodzić, żeby się z wami zobaczyć?

W tym momencie Eliasz zaprosił Beduinów i generała, aby usiedli wewnątrz przestronnej chaty, którą udostępnił im żołnierze eskorty. Bonaparte, wciąż pod wrażeniem tego, co właśnie usłyszał, poczekał, aż rozmówcy się rozsiądą i zechcą wznowić rozmowę.

Kiedy już znaleźli się pod dachem, starzec przemówił pierwszy. Oznajmił, że nazywa się Balasan i ma sto dziesięć lat.

– Wiek każdego mędrca – zauważył.

Jego uczeń Tagar, znacznie od niego młodszy, również się przedstawił, wzmiankując przy okazji Bonapartemu, że pochodzi z wyżynnego rejonu góry Tabor.

– Wiedziecie, że jesteśmy strażnikami starej tradycji – wyjaśnił. – Przyglądamy się wam, odkąd wylądowaliście w Egipcie, i uznaliśmy, że nadszedł czas, żeby rozmówić się z wami szczerze.

Ton ich głosu uległ zmianie. Nagle obaj sprawiali wrażenie zadowolonych ze spotkania. Szeptali do siebie zdania, których Eliasz nie był w stanie przetłumaczyć, i wymieniali porozumiewawcze spojrzenia. Kiedy więc starzec wreszcie uniósł dłoń, aby poprosić o ciszę, brzmienie jego pierwszych słów przypomniało Bonapartemu ton pustynnych gawędziarzy, zarazem słodki i pouczający. Nie zdziwił się, gdy Balasan w zaufaniu nachylił się ku niemu i oznajmił:

– Wszystko, co mamy wam do wyjawienia, wiąże się ostatecznie z historią pewnego człowieka, który w waszym kraju jest dobrze znany. Nazywał się Jezua. Jego rodzina żyła i pracowała na tej właśnie ziemi.

Bonaparte otworzył szeroko oczy.

– Mówicie o Jezusie? O Jezusie z Nazaretu?

Stary Balasan przytaknął, świadom potężnego wrażenia, jakie wywarły jego słowa.

– Ale ja, mistrzu, jestem niewierzący.

– Jezua ważny jest nie tylko dla tych, którzy w niego wierzą – odparł. – Ma także znaczenie dla Egipcjan. Niemal wszyscy w tej opowieści o chłopcu zrodzonym z matki dziewicy, zmarłym i zmartwychwstałym, rozpoznają ostatnie echo tysiącletniego podania o Izydzie, Ozyrysie i Horusie.

– Echo? – Generał poruszył się macie. – Chcecie powiedzieć, że Jezus powtórzył coś, co już wcześniej zdarzyło się w Egipcie?

– Jeśli dziś możecie z nami zostać, ukážemy wam, że jego zdolność przewyciężenia śmierci była już znana kapłanom faraonów. Zresztą to od nich Jezua się tego nauczył. Tak oznajmia Biblia. W dzieciństwie wyemigrował do Egiptu. A to, czego nauczył się pod piramidami, pozwoliło mu potem wrócić Łazarza, a także siebie samego, spomiędzy umarłych.

Przetłumaczywszy te słowa, Eliasz Buqtur nachylił się ku Bonapartemu i wyszeptał coś, czego Beduini nie byli w stanie dosłyszeć. Ten skinął kilkakrotnie głową, a po chwili milczenia oznajmił:

– Niech tak będzie, czcigodny Balasanie, pozostanę, aby wysłuchać waszej opowieści. Ale tylko wówczas, gdy najpierw odpowiecie mi na jedno pytanie.

– Pytajcie... – uśmiechnął się starzec.

– Odpowiedzcie, mistrzu, tak albo nie. A zatem: czy wy także potraficie wrócić człowieka do świata żywych?

ROZDZIAŁ 14

ŚWIĄTYNIA W LUKSORZE

10 SIERPANIA 1799 ROKU

W ciemnościach dziedziniec wzniesiony przez Ramzesa Wielkiego na północ od *mammisi* wydawał się pusty. W miejscu tym panował jednak rozgardiasz. Ani jedna z ogromnych kolumn o papirusowych kapitelach nie stała tam, gdzie faraon kazał je ustawić przed trzydziestoma wiekami. Dawna równowaga kosmiczna od stuleci była zaburzona. Bogini Maat najwyraźniej ustąpiła wobec Isefet – chaosu.

W srebrzyste noce, takie jak ta, jedynie lisy czy duchy ważyły się błąkać po takim miejscu, ale ten poranek miał wyglądać odmiennie.

Nowy przybysz – cień zawinięty w brązową galabiję bez turbanu – wielkimi susami zmierzał ku wejściu do zespołu świątynnego. Wyglądał na wysokiego mężczyznę o szerokich plecach i dokładnie wiedział, dokąd się kieruje.

Cień zrobił dwa kroki na wschód i pięć kroków na północ, obszedł pozostałości sali hipostylowej i pospieszył ku swojemu celowi. Zatrzymał się dopiero, gdy znalazł się od niego na wyciągnięcie ręki.

Wówczas dowiódł, do czego był zdolny.

Jednym skokiem pokonał niewielki wał, jaki znajdował się przed nim, jednocześnie prostując potężne ramię i obejmując nim od tyłu szyję Nadii. Zdążył jeszcze zakryć jej usta i szarpnięciem odciągnąć ją w tył.

– Cisza! – zabrzmiał władczo rzucony przez niego szeptem rozkaz. – Tu Ali. Nie bój się.

Nadii krew zastygła w żyłach.

„Wuj Ali?”

Choć na dźwięk tego imienia przeszedł ją dreszcz, dłoń, która zakrywała jej usta, uniemożliwiła jej jakąkolwiek odpowiedź.

Z oszałamiającą zręcznością cień uniósł ją na plecy i zanim zdołała ujrzeć jego twarz, czym prędzej wyniósł ze świątyni.

„Fatima! – Kolejna myśl uradowała Nadię. – Odnalazła Alego!”

Zaraz jednak spochmurniała.

„Ale tak szybko?”

Niczym wprawny myśliwy, mężczyzna starał się nie czynić żadnych gwałtownych ruchów, które by ich zdradziły, i nie powiedziawszy słowa, poprowadził ją poza ruiny i wsadził na jednego z dwóch koni, które czekały przy nabrzeżu.

– Trzeba nam stąd uciekać. I to szybko! – polecił.

Nadia nie stawiała oporu. Głos bez wątplenia należał do jej wuja Alego ben Raszida.

Niebawem pozostawili za sobą ostatnie zabudowania Luksoru i wyminąwszy francuskie obozowisko, podążyli skromną wiejską drogą, która gubiła się pośród upraw fasoli i pomidorów. Bardzo trudno byłoby komukolwiek śledzić ich w tym labiryncie.

Dopiero wówczas, oddalając się ku linii horyzontu, zza której wyglądały już pierwsze promienie słońca, wuj pozwolił jej na siebie spojrzeć, czując się na tyle swobodnie, żeby odezwać się na głos:

– Wpakowałaś nas w niezłe tarapaty! – Przygana zaskoczyła Doskonałą, która do tej chwili nie przestawała się uśmiechać. – Zdradziłaś nas...! Wszystkich!

Ali bardzo się zmienił od czasu, kiedy ostatni raz się widzieli. Teraz był silniejszy i bardziej atrakcyjny, niż to zapamiętała. Miał trzydzieści kilka lat, wyraźnie zarysowany łuk brwiowy, wielkie dłonie i przenikliwe spojrzenie. Jak żyw przypominał starożytnych kapłanów, zupełnie niepodobny do nastoletniego syna Nefera, który bawił się z nią, gdy Nadia była jeszcze dzieckiem. Lecz choć nie widzieli się już całe wieki, bez trudu rozpoznała u niego charakterystyczne cechy członków rodziny ze strony matki. Ciemnoniebieskie oczy. Okrągłe oblicze. Wydepilowane brwi. Smagłą, niemal brązową cerę. Dobrze uformowane mięśnie.

We wschodzącym świetle świtu, spowity dziwną aurą powagi, człowiek ten przypominał zarazem relikwyt wyciągnięty z czasów bogów. Anioła Zbawiciela, któremu, koniec końców, gotowa była wybaczyć niemal wszystko.

– Dzięki, że przybyłeś tak szybko... – zdołała wykrztusić.

Szorstki gest w odpowiedzi bynajmniej jej nie uspokoił.

– Co ty sobie myślałaś, Nadiu? – Ali mówił z zaciśniętą zuchwą, jakby rzeczywiście płonął gniewem. Podziałało to na nią onieśmielająco. – Co ci do głowy strzeliło, żeby w środku nocy wysłać po nas Fatimę? Nie zdajesz sobie sprawy z tego, jak to niebezpieczne? I jak śmiesz bez żadnej ochrony śledzić Omara? Przecież to czarownik! – prychnął. – Boże! Mógł cię zabić! Dlaczego nie zostałaś u Yusufa? To tam jest twoje miejsce!

Jego wyrzuty tylko przybierały na sile, aż Nadia, przewyciężywszy dziwną mieszaninę lęku i wdzięczności, jakie w danej chwili odczuwała, przerwała ten słowotok, płaczkliwie rzucając:

– Ja... ja przepraszam.

– Przepraszasz?

Przewiercił ją spojrzeniem. Nic sobie nie robił z tego, że się rozpłakała.

– Omar... – jęknęła, spuszczać głowę. – Omar wspomniał o Amenhotepie, tak jak zapowiedziałeś, że się stanie. Dlatego za nim ruszyłam.

– Wystawiając na niebezpieczeństwo życie własne i kuzynki – przerwał jej.

– Już ci mówiłam, że jest mi przykro...

– I sądzisz, że to załatwia sprawę?

Ali zdawał się wychodzić z siebie. Nadia dostrzegła, jak powściąga wodze, starając się opanować, podczas gdy nią targały kolejne dreszcze.

– Nie... Nie zrozumiałeś mnie, wuju. – Otarła oczy. – Francuzi sprofanowali grobowiec Amenhotepa, Omar zaś...

– Omar jest niebezpieczny! – uciszył ją krzykiem, po czym przełknął ślinę i już spokojniejszym tonem dodał: – Nie pamiętasz, że to Omar stracił twoją rodzinę? Zagarnął wszystko, co do niej należało. Teraz jest twoim panem. Powinnaś była pozostać przy nim i się nie zdradzać. Teraz jednak, gdy od niego uciekłaś, nie spocznie, dopóki cię nie dopadnie.

– Czego się boisz? Że odkryje, że my, członkowie rodu ben Raszidów, śledzimy jego poczynania?

– Boże! – warknął, łapiąc się za głowę. – To, że pozostawałaś u jego boku, stanowiło gwarancję, że dawna wojna między naszymi klanami nie wybuchnie na nowo.

– Nie rozumiem, wuju, o czym ty mówisz...

Znienacka jednak Nadii zdało się, że pojmuje.

Pomyślała o wszystkich listach otrzymywanych w ciągu niemal dekady, w których ją i Fatimę proszono, aby wytrzymały. O pozornej niemrawości, z jaką krewni brali się do organizowania dla nich ratunku, tłumacząc, że wciąż brak im zarówno sił, jak i pieniędzy. O przesyłanych upominkach i dodatkowych racjach żywności, które miały poprawić im nastrój. Wszystko to czyniono z myślą nie o nich, ale o złowrogim Zalimie. Wraz z jej ucieczką zniszczeniu uległ ten specyficzny stan równowagi. *Maat*. Omar panował nad nimi i trzymał je w Bóg jeden raczy wiedzieć jakim celu. Oni zaś mieli dzięki temu w jego domu swoich szpiegów... a także spokój.

Maat.

„Ma wpływ na nas wszystkich”. Wzdrygnęła się.

Na to wspomnienie po policzku spłynęła jej łza.

– Ty nie wiesz, co to znaczy żyć w tej spelunie...

Ali pozostawał nieubłagany.

– To był twój obowiązek!

– Wiem, wuju – załkała z oczyma pełnymi wściekłości. – Ale wobec Omara Zalima czy wobec rodu ben Raszidów?

– Wobec tych, z którymi łączą cię więzy krwi!

– W takim razie dlaczego mi wyrzucasz, że ruszyłam za Omarem?

– Nie uzgodniłaś tego z nami.

– Nie mogłam. Wszystko się stało nazbyt szybko.

– Naraziłaś własne życie. A twoje życie jest tak cenne, że do ciebie nie należy!

– Cenne? – zaproponowała. – Pozostawiliście mnie przecież w rękach Omara! To ma być dowód, że jest cenne?

Ali powstrzymał ją, unosząc dłoń.

– Od ciebie zależy przyszłość całego naszego rodu.

Na jej obliczu zarysowała się oznaka niezrozumienia.

– Wciąż jeszcze nie pojmujesz, prawda? Straciliśmy osobę najbliższą Omarowi Zalimowi. Kto teraz będzie miał oko na tego bluźniercę? Sama powiedz.

– To wasza wina, wuju. Nigdy nie powiedzieliście mi, po co mam go śledzić.

Ali parsknął, unikając odpowiedzi na pytanie.

– Byłaś małą dziewczynką – odparł w końcu.

– Ale już nie jestem!

Wtem Nadia zdała sobie sprawę z czegoś jeszcze.

– A Fatima, wuju? Gdzie ona jest? Dlaczego nie przyszła z tobą?

– Miałem zabrać ją ze sobą do świątyni? – mruknął. – Odesłałem ją z powrotem do kawiarni Yusufa. Nie chcę stracić ostatniej pary oczu, jaką mamy w domostwie Omara.

– A co ty w ogóle porabiasz w Luksorze? Poleciałam jej, żeby udała się do domu, do Edfu. Sądziłam, że odezwiecie się dopiero jutro.

– Wiedzieliśmy, że tej nocy coś się stanie. Dlatego tu jestem. Obserwowałem kawiarnię i gdy ujrzałem, jak wybiega z niej Fatima, ujawniłem się. To ona powiedziała mi, gdzie cię znajdę.

Takie wytłumaczenie ani trochę nie usatysfakcjonowało Doskonałej.

– „Wiedzieliśmy”? Kto taki?

– Wszystkie odpowiedzi poznasz, gdy dotrzemy na miejsce.

– Dotrzemy? – Otworzyła szeroko oczy. – Dokąd?

– Tam, Nadiu, gdzie to wszystko się zaczęło. Nadszedł czas, żebyś się wreszcie dowiedziała, kim jesteś.

ROZDZIAŁ 15

Nadia i jej wuj nie zamienili już słowa przez resztę drogi. Korzystając z poświaty księżyca odbijającego się w wodach Nilu, jechali przed siebie aż do czasu, gdy minawszy niewielką osadę Esna, Ali uznał, że nadeszła pora, żeby odpocząć. Miejsce, które wybrał na postój, miało swój urok. Był to zajazd dla pielgrzymów prowadzony przez jego dawnego przyjaciela, umiejscowiony w dyskretnym zakamarku między palmami. Wuj zaczął się targować o dwa posłania, na których mogliby się zdrzemnąć kilka godzin, kiedy zaś porozumiał się co do zapłaty, pozwolił, żeby poprowadzono ich ku ustawionym nieopodal rzeki stołom, skąd roztaczał się wspaniały widok na zachodni brzeg i gdzie czekały ich tace pełne świeżo pokrojonych owoców. Ta ustronna przystań zapraszała, aby przed udaniem się na spoczynek odbyć jeszcze ostatnią rozmowę. Miejsce było rześkie i czyste, wolne od insektów czy nieprzyjemnych woni – zupełne przeciwieństwo gwarnego i zadymionego piekła, jakie Nadia dopiero co porzuciła. W takich okolicznościach Ali ben Raszid po raz pierwszy spuścił z tonu i odprężył się przed kolacją, którą właśnie obojgu zamówił.

– Jutro będziemy w Kairze – oznajmił zniecierpliwiony, jak gdyby plan podróży parzył go w język, podczas gdy karczmarz stawiał przed nimi duży półmisek z jajami i porcją pieczonego mięsiwa. – Musimy jak najszybciej dotrzeć na miejsce.

– Do Kairu? Nigdy jeszcze nie byłam w stolicy!

– Ja owszem. Nie martw się. Będę na ciebie uważał.

Wzruszyła ramionami.

– Znowu coś przede mną ukrywasz, wujku.

Ali zaprzeczył ruchem głowy, unosząc jednocześnie do ust pierwszą porcję pożywienia.

– Dlaczego tak mówisz? – wybąkał.

– Galopujemy na południe – zauważyła. – Jedziemy w przeciwnym kierunku!

– To dlatego, że za kilka godzin w Edfu popłyniemy rzeką. Przesiadziemy się na szybki barkas i dotrzemy na miejsce na czas.

– Na czas? Na co?

– Zadajesz za dużo pytań, Nadiu. Wiesz o tym?

Wuj wyszeptał to pojednawczym tonem, ze spojrzeniem zagubionym gdzieś w talerzu.

– Za dużo pytań... – fuknęła. – Naprawdę tak uważasz? A pomyślałeś może, że tak wypytyuję, ponieważ rodzina nigdy nic mi nie mówiła?

– Utrzymywaliśmy cię w niewiedzy, aby cię chronić.

– A teraz chcę wiedzieć.

Ali spojrział na nią.

– Aż do dziś wystarczyło ci wiedzieć, jak się tańczy – zauważył.

Tego było już za wiele.

– Gówno prawda! – wybuchła. Resztki jej kolacji podskoczyły nad stół od uderzenia ręką. – To nie ja wybrałam drogę tańca. – Nadia podniosła się z krzesła, ani myśląc dopuścić wuja do słowa. – Kiedy zostałam sierotą, to wy postanowiliście, że powinnam wyuczyć się jak tureccy *mevlevi*, i kazaliście mi tańczyć niczym wirujący derwisze. Ja... – zająknęła się. Oczy niespodziewanie zaszyły jej łzami. – Ja zaś to zrobiłam, aby zapomnieć o tym, co stało się w moim domu, żebyście dalej się o mnie troszczyli. Nie chciałam sprzeciwić się rodzinie, która mnie przyjęła na swoje łono. A teraz... – Skryła twarz w dłoniach. – Teraz sama już nie wiem, jaki to wszystko ma sens...

– Ależ ma. – Jej wuj po raz pierwszy zdawał się poruszony. – Decyzja, żebyś nauczyła się tańczyć, nie była z naszej strony kaprysem. Niebawem to zrozumiesz.

– Naprawdę?

– Taniec przez wieki był jedną z najpowszechniej stosowanych metod kontaktowania się z bogami. Wiedział to dobrze twój dziadek, który pół życia strawił na studiowaniu płaskorzeźb przedstawiających tancerki w świątyni w Luksorze. Wiedział, że Izyda przekazała ten język swoim pierwszym kapłankom. Jeśli będziesz go znała, otworzą się przed tobą wrota, które przeznaczone ci jest przekroczyć.

– Nauczył mnie także francuskiego – dodała bez krztyny ironii.

– Wszystko to stanowi część tego samego planu.

– Ale czyjego planu? Bo na pewno nie mojego!

– Ten, kto postanowił, żebyś nauczyła się tego wszystkiego, to postać o niezwykłej duszy. Wierz mi... – Ali się uśmiechnął.

– Nie wiem, czy chcę wiedzieć, o kogo chodzi.

– Ach, ależ owszem, chcesz – odparł. – Znasz może Starca z Góry?

– Starca z Góry? Mistrza Światła? – Nadia w autentycznym zdumieniu zakryła dłonią usta. – Oczywiście... Wiele o nim słyszałam. Sądziłam, że to postać rodem z baśni.

– Otóż nie. On naprawdę istnieje. I to on o tym wszystkim zdecydował.

Nadia zamilkła na dłuższą chwilę, żeby przyswoić tę informację.

Rzeczywiście, o Starcu z Góry słyszała tysiące razy z ust rodziców. A także od swojego dziadka Gabriela. Wspominali o nim za każdym razem, kiedy opowiadali historie o złych czasach w dziejach ich klanu. Istota ta, niczym zesłana z niebios, zawsze pojawiała się wówczas znikąd, aby im dopomóc. Jego imię przywoływano z szacunkiem i przestachem, wiedząc, że kto pozostawał pod jego skrzydłem, ten cieszył się potężną ochroną. W dzień, kiedy za sprawą tragedii Nadia postradała rodzinę, to właśnie z jego rozkazu trafiła w ręce wujostwa z Edfu. Nadia słyszała, jak o tym opowiadano, nigdy jednak nie widziała Starca

z Góry. Jeśli miałyby go jakoś określić, uznałyby go za kogoś w rodzaju pozostającego w cieniu patriarchy, za prywatną wyrocznię rodu ben Raszidów. Za kogoś niewidzialnego, ocierającego się o boskość.

– Coś ci powiem o Starcu z Góry – ciągnął Ali, dostrzegłszy zdziwienie na jej twarzy. – Przed trzema dniami obudził się zdumiony. Wiesz? Porzucił swoje schronienie pośród górskich szczytów i czym prędzej pospieszył do naszego domu, aby oznajmić, że we śnie objawiła mu się jakaś efemeryczna postać, anioł od Boga, który wyjawiał mu, że to, z myślą o czym nasz klan przygotowuje się od wieków, rychło się dokona.

– Od wieków? Anioł? O czym ty, wujku, mówisz?

Ali nie dał się zbić z tropu.

– Dlatego byłem w Luksorze i na ciebie czekałem.

– W jaki sposób to wszystko mnie dotyczy?

– Jak być może już wiesz, my, ben Raszidowie, jesteśmy powiernikami pradawnej tajemnicy. – Wuj oznajmił to tonem, w którym próżno było się doszukiwać śladów intryganctwa. – Ponieważ zawsze istnieli ludzie pokroju Omara, gotowi ją nam wyrwać, nasi przodkowie postanowili ten sekret podzielić i poukrywać w różnych bezpiecznych miejscach. Chodzi o fragmenty pewnej starej księgi zapisanej na murach, która pozwala wybrańcom powracać ze świata umarłych.

– To jakiś żart?

– Nie – odparł szorstko. – Jednym z miejsc, gdzie taki fragment ukryto, jest właśnie grobowiec Amenhotepa... Starzec z Góry wiedział zaś, że zostanie on sprofanowany.

– Ale jak...?

– Nasz czcigodny mędrzec to mistyk – przerwał jej wuj. – To święty, który utrzymuje niewidzialne więzi z przodkami, ze swoją tradycją. Potrafi się z nimi komunikować. Dostrzega rzeczy, których my nie jesteśmy w stanie dostrzec. To właśnie doznawane przez niego wizje sprawiły, że wzmógł czujność.

– Śniło mu się, że Francuzi wkroczą do grobowca?

– Otóż to – potwierdził Ali. – A także, że niebawem uczyni to Omar. Wszystko to zaś cię dotyczy!

– Mnie?

– Tak, Nadiu. Ciebie. – Wuj przytaknął delikatnym skinieniem głowy, jak gdyby oceniał wrażenie, jakie te słowa zrobiły na dziewczynie.

Nie wiedzieć czemu, Doskonała poczuła w tym momencie, że zaraz zemdleje. Późna kolacja nad brzegiem Nilu, słodkawy zapach pokrojonych owoców, niewielkie świece, które karczmarz porozstawiał na stole... Wszystko to nagle zeszło na drugi plan. Zauważyła, że jej ciało rozpaczliwie dopomina się odpoczynku. Ali wciąż jej się przyglądał, nie mrugnawszy okiem, ona go już jednak nie dostrzegała. Jego obraz stopniowo jej się zacierał, aż stał się

nierozpoznawalny, a jego miejsce zajął inny, zgoła odmienny. W chwili tej skrajnej słabości Nadia dostrzegła czyjąś obecność, w równym stopniu ulotną, co obezwładniającą: był to niejasny wizerunek długowłosego mężczyzny, którego spojrzenie ledwie była w stanie wytrzymać. Wiedziała, że to wojownik. W jego źrenicach było widać tysiącletnie strapienie. Choć ani przez moment nie była w stanie dojrzeć go w całej okazałości, coś jej podpowiadało, że za tym spojrzeniem kryje się chłopiec śniący o potędze. Wiedziała także, że znajduje się on w tarapatkach. Ten człek szlachetnego serca był osaczony przez ciemne i ostre szpony, które pragnęły jego zguby. I zrobiło jej się go niesłychanie żal. Był to smutek, który zdawał się ciągnąć od wieków. Głęboki. Wilgotny. „Wszystko to zaś cię dotyczy” – usłyszała wówczas. Wrażenie bycia obserwowaną przez tę urzekającą postać, która roztaczała zaskakującą aurę siły zmieszanej ze słodyczą, ulotniło się równie prędko, jak się pojawiło.

„Wszystko to zaś cię dotyczy” – usłyszała raz jeszcze.

Nadia się wzdrygnęła. Ali potrząsnął nią.

– Dobrze się czujesz?

– Tak, tak – odpowiedziała, przecierając oczy, nie do końca wiedząc, co jej się właśnie przytrafiło.

– Powinnaś odpocząć, Nadiu. Bardzo pobladłaś.

Uśmiech jej wuja był teraz dziwniejszy. Tak jakby Ali na swój sposób się domyślał, co ją spotkało.

– Aniołowie zjawiają się w naszym życiu częściej, niżbyś przypuszczała – zauważył, przyciągając ją do siebie i gładząc po głowie.

– Naprawdę?

Ali przytaknął, nie wypuszczając jej z ramion.

– Ależ tak. I zawsze przynoszą nam wiadomości.

– Ten, który nawiedził Starca z Góry, również?

– Jak najbardziej. – Nadia zauważyła, że głos jej wuja przybrał bardziej ponurą barwę. – Anioł ten przestrzegł go, że nasi wrogowie pragną zagarnąć tajemnicę życia i śmierci. I że już przedsięwzięli w tym celu pewne kroki. Dlatego musimy się pospieszyć i ich uprzedzić.

– Mówisz o nich tak, jakby to były jakieś diabły – wyszeptała, wielkim wysiłkiem zmuszając się do otwarcia oczu.

– Nasi wrogowie to znacznie gorsze istoty. – Przytulił ją. – Śpij. Zbieraj siły. Synowie Seta nie zdołają nas pokonać. Mogę ci to obiecać.

ROZDZIAŁ 16

LUKSOR

10 SIERPNI 1799 ROKU

Zanim Omar Zalim przeszedł przez te drzwi, przełknął ślinę.

Nie przypominał sobie, żeby kiedykolwiek targały nim równie sprzeczne uczucia, jak tej nocy. Z jednej strony wiedział, że oto nadszedł moment, na który czekał przez całe życie. Tak podpowiadał mu instynkt. Człowiek, który zasłużył sobie na jego uwagę, ten, któremu pisane było otrzymać życie wieczne, już został zlokalizowany. Znajdował się w Kairze. I niebawem znajdzie się przed jego obliczem, aby porozmawiać o najwyższej magii Sed. Był to najmocniejszy z czarów. Ostatnie, czego potrzebował, żeby stać się najpotężniejszym magiem w dziejach.

Zarazem jednak bogini Maat – w ramach słusznej zasady kompensacji kosmicznej – dopiero co zadała mu dotkliwy cios. Klucz, którym zamierzał się posłużyć, aby dostać się do tego wybrańca, właśnie mu się wymknął.

„Jesteś przeklęta, Nadiu ben Raszid!”

Przeciwność losu wprawiła go w furję.

Uśmiech, z którym powrócił ze świątyni w Luksorze po spotkaniu z francuskimi inżynierami Jollois i de Villiersem, zniknął w chwili, gdy tylko dowiedział się o ucieczce Nadii.

– Ale mamy jej kuzynkę... – nadmienili jego ludzie, tak jakby w jakimś stopniu umniejszało to doznane niepowodzenie. – Nakryliśmy ją w stajni z jednym z waszych koni.

– Przesłuchaliście ją? – zapytał.

– Nic nie powiedziała, Omarze.

– Zostawcie to mnie.

Zalim jednym susem pokonał próg pomieszczenia, w którym jego podwładni zamknęli Fatimę ben Raszid. To, czy cała sytuacja ostatecznie nie wymknie mu się z rąk, zależało od czekającej go rozmowy.

Kiedy tylko wszedł do środka, zdał sobie sprawę, że nie będzie ona łatwa. Przywiązana do krzesła i zakneblowana kuzynka Doskonałej spoglądała na niego z nienawiścią, która przykuła jego uwagę. Ta piętnastoletnia kotka ani trochę się go nie bała. Wprost przeciwnie. Wystarczyło zobaczyć, jak rękami i nogami napina sznury, aby pojąć, że uderzenia jego ludzi, po których ślady – sińce i skrzepy krwi – widniały na jej twarzy, przemieniły ją w istną bestię. „Bastet przeistoczona w Sechmet” – pomyślał.

Omar ponownie przełknął ślinę, podszedł do niej i uniósł ją w powietrze razem z krzesłem, żeby postawić następnie na środku izby.

– Zanim pozwolę ci się odezwać, Fatimo, najpierw sam coś ci powiem – wyszeptał. – Przed dziesięcioma laty, aby zabić twoje wujostwo i Gabriela ben Raszida, musiałem się posłużyć islamskim trybunałem. Dziś, jeśli mi nie wyjawisz, dokąd uciekła twoja kuzynka, nie będę nikogo pytał o zgodę, żeby cię zgładzić.

Dziewczyna szarpnęła się z całych sił. Zionący jej w twarz oddech poznaczonego bliznami mężczyzny wzbudzał w niej obrzydzenie.

– Wy, ben Raszidowie – ciągnął Omar – zawsze byliście utrapieniem. Wydaje się wam, że przez to, że pochodzicie od faraonów, macie prawo do magii, która już do was nie należy. Na przykład Gabriel cały czas starał się utrzymać w ukryciu lokalizację grobowca faraona Amenhotepa. Wszyscy wiedzieliśmy, że to tam znajdują się zaklęcia dotyczące życia i śmierci. Zginął, ponieważ ich nam nie wyjawił. Dla tej tajemnicy poświęcił wszystko. Nawet was dwie. I wiesz po co? Po nic! Cudzoziemcy odkryli położenie grobowca. Ja zaś odczytam te zaklęcia i niebawem będę miał to, czego pragnę...

Serce Fatimy waliło jak oszalałe. Chciała krzyczeć, lecz uniemożliwił jej to knebel.

– Ach... – Czarne oczy Omara zabłysły złowieszczo przed jej twarzą. – Ale ty już to wszystko wiesz. Dlatego właśnie Nadia uciekła, prawda?

Ponownie się szarpnęła.

– Jeszcze zobaczysz. Potrzebuję czegoś od ciebie, Fatimo. To bardzo proste. Położę ci dłoń na czole. Zadam ci pytanie. Tylko jedno. Jeśli odmówisz udzielenia odpowiedzi, jeśli twój umysł nie ukorzy się przed moimi rozkazami, umrzesz tu i teraz. Gdy jednak odpowiesz na moje pytanie, wówczas dam ci szansę na przeżycie. Zrozumiałaś?

Fatima podniosła wzrok na swojego kata, tym razem już rzeczywiście z przestachem. Przez chwilę się spodziewała, że Omar wyjmie jej teraz knebel z ust, lecz to, co poczuła, było zupełnie inne, znacznie gorsze, niż to sobie wyobrażała. Ogromna i zimna dłoń opadła na jej czoło, podczas gdy druga równie pewnym gestem chwyciła ją za gardło. Przyłgnęły do niej niczym macki. Odczuła ich nacisk. Ich moc. Najmniejszy ruch, lekki impuls, a jej kark – była tego pewna – przełamie się na pół.

– Oto moje pytanie – usłyszała głos Omara ponad swoją głową. – Gdzie skryła się Nadia?

Dziewczyna zamarła jak sparaliżowana. Z zajmowanej pozycji nie była w stanie dostrzec, jak jej pan zwraca twarz ku sufitowi i zamyka energicznie oczy, starając się skoncentrować. Sama jednak natychmiast poczuła, jak opuszczają ją resztki sił. Powieki opadały i nie była w stanie temu zapobiec. Nawet tętno, które jeszcze przed momentem gorączkowo dudniło jej w skroniach, nadgarstkach i kostkach, znienacka spowolniło. Przedziwny prąd spłynął jej po kręgosłupie.

Na tym właśnie polegała magia Zalimów. Ich władza nad *sotpu sa*, jak starożytni Egipcjanie określali fluidy życiowe, była niemal całkowita.

– Jestem synem Seta! Mogę wszystko! – zakrzyknął wówczas Omar. – Odpowiedz mi! Gdzie jest Nadia?

W ciszy minęło kilka chwil, które zdały się wiecznością. Fatima poczuła w głowie intensywny mętlik. I zanim oczy zupełnie zasły jej mgłą, zanim pogrążyła się w całkowitej ciemności, zdołała jeszcze usłyszeć ponownie Omara.

Tym razem czarownik Zalimów nie wydał z siebie krzyku, tylko szept. Było to coś w rodzaju westchnienia pełnego satysfakcji, które wprawiło ją w przerażenie.

– Ali!

Ten niegodziwiec zdołał wdrzeć się w jej umysł.

ROZDZIAŁ 17

KARCZMA W ESNA

10 SIERPNI 1799 ROKU

„Synowie Seta nie zdołają nas pokonać. Mogę ci to obiecać”.

Słowa przysięgi wuja dotarły do Nadii, gdy zapadała już w sen. Mimo to na ich dźwięk w głębinach jej umysłu rozświetliła się jakaś lampka.

Od dawna nie słyszała, żeby ktoś wspominał o synach Seta. I podobnie jak ktoś, kto wyczuwając zapachy z dzieciństwa, powraca do wspomnień i obrazów z przeszłości, także Nadia poddała się tym słowom bez oporu. Tej nocy we śnie ponownie ujrzała dziadka Gabriela, który z niechęcią ścisnął ster swojej feluki i opowiadał jej o bogu ciemności i jego następcach. Przez nieokreślony czas trwania snu na nowo poczuła się małą dziewczynką. Raz jeszcze usłyszała chrapliwy i głęboki głos dziadka, poczuła na skórze ciepło ostatnich promieni zachodzącego słońca i wydało się jej, że żegluje u jego boku.

– Nie pozwól zwieść się pozorom, moja mała. Jak słusznie mawiali starożytni, „kto zło czyni, tego nieuchronnie zło spotka”.

Kiedy Gabriel ben Raszid po raz pierwszy opowiedział jej o nich, miała zaledwie sześć lat.

– W rzeczywistości powinniśmy rozumieć Seta jako metaforę mroku. Metaforę zła. Wiesz, maleńka, co to takiego metafora? – spytał ją zniecierpliwiony.

Pokręciła głową.

– To coś na wskroś fałszywego – odparł. – Polega na tym, żeby jedną rzecz określać mianem drugiej. A kiedy tak robisz, koniec końców obie ci się mylą.

– A więc... to synowie zła?

Przypuszczenie dziewczynki wywołało uśmiech na twarzy dziadka.

– Zło to coś bardzo abstrakcyjnego. Zarówno oni, jak i ich rodzice mają swoją konkretną postać.

Nadia spojrzała na niego szeroko otwartymi oczyma, nie ważąc się odezwać choćby słowem.

– Nie rób takiej miny. Synowie Seta to nie bajka. Istnieją naprawdę. To potomkowie najbardziej egoistycznych istot, jakie kiedykolwiek widział świat: samych bogów.

Wówczas Nadia wtuliła się w Gabriela, żeby lepiej wsłuchać się w historię, którą jak się domyślała, zaraz miano jej opowiedzieć. Raz w tygodniu zwykła przepływać z dziadkiem Nil i zawsze wówczas mościła się w ten sposób, chcąc dokładnie usłyszeć jego słowa. Taki przebieg dnia bardzo ją ekscytował. Razem odwiedzali mauzolea przodków, posilali się na

świeżym powietrzu u progu którejś z budowli, a wraz z zapadnięciem nocy dziewczynka wracała do siebie z głową pełną nowych wrażeń.

Dla Nadii grobowce na zachodnim brzegu Nilu nigdy nie były więc miejscami smutnymi czy makabrycznymi, stanowiły bowiem raczej tło dla wielkich wyznań. Większość grobów znajdowała się w niewielkich komnatach wykutych w skale, skąd można było obserwować osadę po przeciwnej stronie rzeki. Niemal wszystkie takie komory były pokryte stiukiem. W niektórych ściany zapisano hieroglifami, czasami można było nawet napotkać inskrypcję po arabsku, informującą o tym, czego pochowani w danym grobowcu dokonali za życia. Dziadek Nadii znał to miejsce jak własną kieszeń i utrzymywał, że dzięki korzystnemu położeniu zmarli nie tracili z oczu żywych. Dlatego uważał, że tak ważne jest okazywać im szacunek i dbać o ich dobre samopoczucie. Wypinając pierś, chlubił się tym, że do doglądania tak doniosłej sprawy klan wybrał właśnie jego.

– Wiesz, czym różnią się te pochówki od grobowców dawnych faraonów w Dolinie Królów? – pytał ją często.

Onieśmielona mała Nadia nigdy nie odważyła się odpowiedzieć.

– Niczym! – odpowiedział tym razem Gabriel. – Nie ma między nimi żadnej różnicy! Ich grobowce i nasze służą temu samemu: to wrota do *Amenti*, do zaświatów. To progi, przez które prędzej czy później przejdziemy wszyscy.

– Wszyscy? – Dziewczynka poczuła, jak gardło zaciska jej się z niepokoju. – Ty także, dziadku?

– Tak, ja również... W najstarszych pismach religijnych rodzaju ludzkiego, tak zwanych Tekstach Piramid, zapisano, że „trzymać się na marginesie śmierci jest czymś złym dla ludzi”.

– Ależ, dziadku, jak to, że się nie umrze, może być złe?

– Śmierć stanowi część porządku wszechświata, malutka. Nie wszyscy możemy go zaburzać.

To usłyszawszy, Nadia zamyśliła się na chwilę:

– Czyli to znaczy, dziadku, że jest ktoś, kto może?

– Ach, maleńka! – Gabriel objął wnuczkę. – Niekiedy synowie Światła i synowie Seta, zwarci w wiecznej walce, przyzwalają, aby porządek został przerwany. Żeby ktoś z nas pokonał śmierć. To... Jak by to powiedzieć? Skutek uboczny wojny, jaką bogowie toczą o nas od dnia, w którym nas stworzyli.

– Bogowie wojują o ludzi? – Nadia była coraz mocniej zaintrygowana.

– Walczą ze sobą od zarania dziejów.

– A kiedy było to zaranie?

– Naprawdę chcesz to wiedzieć, mała?

W kącikach ust dziewczynki zarysowały się dwa dołeczki.

– Jasne! Opowiedz mi to od początku do końca!

Dziadek Gabriel, niemal zawsze oszczędny w słowach, kiedy przychodziło mu mówić o tych dawnych sprawach, tym razem rozwinął wspaniałą opowieść. Wyjaśnił jej, że kiedy bogowie stworzyli człowieka, uczynili to tylko w jednym celu: żeby mieć istotę, która usługiwałaby im i otaczałaby ich czcią.

– Oni – tłumaczył – żywią się energią, którą wytwarzają nasze modły. Są niczym pasożyty, które rosną wraz z naszym cierpieniem.

– Bogowie nas zjadają?

– Ostrzegałem cię. Może nie chcesz wiedzieć już więcej...

– Nie, nie, dziadku. Proszę, mów dalej.

Nadia stłumiła urocze przerażenie, wtulając się w szaty dziadka. Ten jeszcze mocniej przytulił ją w ramionach.

– Tak. Jedzą nas. Na swój sposób bogowie potrzebują nas, aby się pożywić – odparł. – Tworząc nas, te egoistyczne istoty nie przewidziały jednak tego, że ich ludzkie twory natychmiast zaczną wzrastać, stawać się inteligentne, otwierać oczy, uczyć się mówić, pisać, zapamiętywać przeszłość. Po pewnym czasie zaczęły ich nawet naśladować i zapragnęły ich długowieczności. Niektórzy z tych bogów z sympatią i dumą przyglądali się naszym dążeniom, lecz u wielu innych wzbudziły one przerażenie. Jakże mieli oni dopuścić, żeby byt niższego gatunku, kruchy i śmiertelny człowiek ulepiony ich rękami, pragnął stać się im równy?

– I co się stało?

– Ach, Nadiu! – westchnął. – Ambicje naszych przodków spowodowały, że między samymi bogami powstał niemożliwy do przewyciężenia rozłam. Niektórzy, jak Ozyrys, uważali, że powinno się nam przyznać pewne dary – wśród nich i życie wieczne – choć z pewnymi ograniczeniami. Otrzymałoby je tylko ci, którzy rzeczywiście by na to zasługiwali. Ozyrys, Nadiu, był sprawiedliwym bogiem. Ostatecznie jednak jego pobratymcy stworzyli nas na swój obraz i podobieństwo. Wiedzieli, że jesteśmy równie nienasycony jak oni.

– Ale nie przyznali nam życia wiecznego, prawda?

– Nie. I winę za to ponoszą inni, tacy jak Set, którzy się temu sprzeciwili. „Ludzie zrodzili się po to, żeby być naszymi niewolnikami!” – powiadali. Zdawszy sobie jednak sprawę, że człowiek to istota uparta i że nigdy nie porzuci własnych aspiracji, ich zwolennicy, synowie Seta, postanowili uciec się do fortelu. Owszem, obiecali nam nieśmiertelność. Koniec końców właśnie to pragnęliśmy usłyszeć. Tym samym nas udobruchali. Po tym, jak obdarzyli nią garstkę wybrańców, dopuścili się różnych machinacji, aby nam ją odebrać.

Nadia chwyciła za rękawy szatę Gabriela i mocno za nie pociągnęła.

– Ale dziadku, czy to wszystko prawda?

Gabriel przymknął ciemnoniebieskie oczy, odsłaniając gęstą pajęczynę zmarszczek wokół nich.

– Oczywiście, że tak.

– I co się stało z tymi synami Seta? Wciąż tu są?

Dziadek skinął głową.

– Od tamtej pory, maleńka, i za sprawą ich poczynań, zagościły na Ziemi kłamstwa i zamieszanie. My, ludzie, straciliśmy orientację. Zaczęliśmy wznosić modły i budować świątynie, aby zapewnić sobie życie wieczne. Wywoływaliśmy wojny i cierpienie, wielkie dążenia i zawody. Jedni oddali się poszukiwaniom kielichów mających gwarantować długie życie, inni – owoców nieśmiertelności czy eliksirów długowieczności. Bogowie zaś ponownie poczuli się zadowoleni, że to wokół nich obraca się nasze istnienie i ponownie mogą żywić się naszymi emocjami. Z twórców przeistoczyli się w dyktatorów.

– I żaden człowiek nie zdołał osiągnąć nieśmiertelności? Żadnemu nie udało się im dorównać?

– Jak już ci mówiłem, niektórym się udało. – Uśmiechnął się. – Przynajmniej na pewien czas.

– Wymień jednego! Podaj imię jednego człowieka, który nie umarł!

Gabriel ben Raszyd poczochnął czarną czuprynę wnuczki w szczerym geście czułości.

– Wyobraź sobie, Nadiu, że podczas wojny między bogami Ozyrys zapragnął okpić Seta, wysyłając do nas posłańców ze wskazówkami, abyśmy to my pokonali śmierć, tym samym nie przydając nowych argumentów jego przeciwnikowi. Posłańcy ci zjawiali się wyłącznie wówczas, gdy wykrywali obecność człowieka o pożądanym przymiotach. Rozmawiali z nim, uczyli go i otwierali przed nim szlak prowadzący do życia poza śmiercią. Nazywano ich błękitnymi mędrkami.

– Podaj mi imię jakiegoś nieśmiertelnego! – nalegała, niezbyt zainteresowana ostatnią częścią opowieści.

– W porządku. Jednego.

– Kto to taki?

– Król Amenhotep.

Na twarzy dziewczynki zagościło rozczarowanie. Nie orientowała się zbyt dobrze w faraonach. Ledwie co słyszała na temat tych najbardziej znanych, takich jak Ramzes, Cheops czy Seti. Ale Amenhotep?

– Był on ojcem Echnatona, moja mała.

– Ach! – Podskoczyła, natychmiast przypominając sobie dziwaczne wizerunki tego króla o wielkim brzuchu, pociągłej twarzy i podłużnej czaszce. Nie widziała dotychczas żadnego równie osobliwego władcy.

– Amenhotep był przedostatnim człowiekiem, jakiego wtajemniczono w sekret nieśmiertelności. Błękitni mędrzy zwrócili na niego uwagę, ponieważ jego panowanie oznaczało najpomysłniejszy okres w dziejach Egiptu. Rządził przez niemal czterdzieści lat,

wiedziałaś? Poddał się także dwóm rytuałom długowieczności, których nie odprawiano należycie od czasów wielkich piramid.

– I zadziałały?

Gabriel się uśmiechnął.

– Rytuały Sed działają, jeśli są właściwie prowadzone – odparł. – To właśnie umożliwiają wskazówki, które pozostawił nam Ozyrys.

– Rytuały Sed? Nigdy o nich nie słyszałam. Co to jest? – zapytała. – Jakaś magia?

– Było to coś w rodzaju wielkiego święta odnowy. Obchodzono je jedynie wówczas, gdy król świętował trzydziestolecie panowania na tronie. Przy tej okazji błękitni mędracy opuszczali swoje kryjówki i pomagali w rytuałach, które go odmładzały.

– Jedynie odmładzały? A nie robił się od tego nieśmiertelny?

– Wbrew temu, co wielu uważa, nieśmiertelność, moja mała, nie jest czymś stałym. Trzeba ją odnawiać.

– To ile razy Amenhotep poddał się temu rytuałowi?

– Dwa razy – odparł, ścisząc głos. – Lecz za drugim razem stało się coś strasznego.

Dziewczynka nawet nie mrugnęła okiem.

– Co takiego, dziadku?

– Echnaton, jego syn, zdradził go. Chciał on ukraść magię Sed dla siebie. Wiedział, że nie zasłużył na ten przywilej, ale synowie Seta, którzy odkryli nadejście posłańców Ozyrysa, przekonali go, że jest inaczej. Już pradawni mistrzowie mawiali: „Zachłanność to poważna i nieuleczalna choroba, z której wyzdrowieć nie sposób”. Jego postępek pogrzył Egipt w mrokach. Echnaton zmienił bogów, kult religijny, wznosił nową stolicę i przegnał błękitnych mędrców, uznając się za tego, któremu pisane jest życie wieczne. Jakże zbłądził.

– Ale dziadku... – Nadia patrzyła nań oczyma wielkimi niczym spodki. – To dokąd udali się ci błękitni mędracy? Już nie powrócili?

Gabriel ponownie zmierzwił kruczoczarne włosy wnuczki. Niespodziewanie oczy zasły mu łzami.

– Musiało upłynąć piętnaście wieków, zanim ponownie można było ich ujrzeć. Lecz tym razem nie przekazali już swojej tajemnicy któremuś z faraonów. Wobec nich stracili zaufanie.

– Komu więc ją przekazali?

Dziadek uśmiechnął się rozbawiony.

– Miało być imię tylko jednego nieśmiertelnego...

Nadia zmarszczyła nosek:

– Proszę, dziadku – nalegała.

– Niech będzie – westchnął. – Obdarzyli nią cudzoziemskiego chłopca, uchodźcę, Żyda o imieniu Jezua.

– Tego, którego chrześcijanie nazywają Jezusem?

Gabriel przytaknął, zamykając oczy.

– Lecz i wtedy osaczyli go wrogowie. Zawsze tak jest. Niemniej jednak on zdołał ich pokonać.

– A potem, dziadku?

– Potem już nikomu.

– A kiedy powrócą?

– Mam nadzieję, że niebawem.

– Ale kiedy? – powtórzyła.

Gabriel przełknął ślinę.

– Już ci to wcześniej powiedziałem. Kiedy w Egipcie pojawi się ktoś, kto będzie zasługiwał na życie wieczne.

ROZDZIAŁ 18

NAZARET, WIOSNA 1799 ROKU

– Mistrzu, czy wy także potraficie wrócić człowieka do świata żywych?

Pytanie młodego generała na kilka chwil zawisło w powietrzu.

Bonaparte, czując się niezręcznie, rozejrzał się dookoła z roztargnieniem, tak jakby chciał dać mądrymu Balasanowi czas na znalezienie odpowiednich słów. Starzec jednak nie zareagował.

– Panie... – wymamrotał w końcu tłumacz, przerywając przedłużającą się ciszę. – Mężowie ci zeszli z gór po raz pierwszy od dawna, aby rozmówić się z tobą. Wydaje mi się, że chcą mieć pewność, że zwracają się do prawdziwego Bunaparta.

– Oto i ja.

Eliasz Buqtur spuścił spojrzenie na znak pokory.

– Obawiam się, panie, że nie wyraziłem się jasno.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Kiedy człowiek pustyni, który żyje sprawami ducha, stwierdza, że pragnie coś komuś wyjawić, rozumie się przez to, że nie uczyni tego za pośrednictwem słów.

Na twarzy Bonapartego zagościł wyraz niezrozumienia.

– Przekonacie się, panie – kontynuował szeptem Buqtur, czując się trochę nieswojo wobec konieczności tłumaczenia tego rodzaju kwestii. – Aby mówić o sprawach wykraczających poza nasz doczesny świat, musimy sięgnąć po język duszy. To serce musi zrozumieć, nie umysł. Tylko w ten sposób można uniknąć nieporozumień. Sądzę, że serca naszych gości pragną wiedzieć, czy wasze serce jest... prawdziwe.

– Ale... – Bonaparte zająknął się, zbity z tropu tą przemową. – Czy odpowiedzą na moje pytanie?

Błękitni mędrcy patrzyli na nich tak, jakby rozumieli, ale zachowywali milczenie.

– Odpowiedzą – odparł Kopt. – Powinniście jednak wiedzieć, że ich odpowiedzi będą miały znaczenie jedynie dla was. Waszej ekspedycji wojskowej nic nie przyniosą. Ani też waszym ludziom. Będzie to coś... nieprzekazywalnego.

– Tak powiedzieli?

Buqtur pokręcił głową.

– Ich wołą, panie, jest odpowiedzieć na wszystkie wasze pytania. To jedyna przyczyna, dla której się tutaj znaleźli.

Bonaparte ostatecznie zgodził się pozostać dłużej w towarzystwie tych dziwacznych Beduinów. Był świadom, że aby podbić Ziemię Świętą, będzie musiał pozawierać przymierza z miejscowymi przywódcami religijnymi. I chociaż zaczynał wątpić, aby błękitni mędrcy mogli udzielić mu praktycznego wsparcia, postanowił ich wysłuchać.

– Ile czasu pozostaniemy w Nazarecie, Eliaszu?

– Najwyżej przez tę noc, panie.

– I co zrobimy, skoro oni nie mówią? – zapytał z półuśmiechem na ustach.

– Musimy, panie, otworzyć nasze serca – odpowiedział enigmatycznie Elias. – Przede wszystkim wasze.

ROZDZIAŁ 19

Tej kwietniowej nocy, korzystając z pomocy Buqtura, Bonaparte postąpił zgodnie z zaleceniami czcigodnego Balasana i jego towarzysza. Błękitni mędracy przykryli ziemię w chacie dywanami, które nakazali przynieść z innych domostw. W jednym z narożników pomieszczenia umieścili dzban, miednicę i dużą butelkę ze świeżą wodą. Polecili także pozamykać okna i drzwi. Szmatami zatkali otwory w strzesze, przez które do środka dostawało się światło, i wydali instrukcje, aby Bonaparte i jego tłumacz usadowili się wygodnie i pozbyli noży, ostróg, sprzączek czy innych metalowych przedmiotów. Kiedy Napoleon i Eliasz mieli już na sobie tylko koszule, wydano ostatnią wskazówkę: Sułtan Zachodu miał na kilka godzin zawiesić racjonalne myślenie.

– Nie oceniacie, nie analizujcie... Nie myślcie – polecił mu Tagar, tłumacząc przy tym, gdzie i jak powinien się położyć. – Jeśli zastosujecie się do kilku bardzo prostych zasad, wszystko zostanie wam objawione.

– Choć wcześniej musimy wam kilka rzeczy opowiedzieć – podkreślił Balasan.

– Znowu będziecie mi mówić o Jezui, prawda?

Słowa te Bonaparte wypowiedział z pewnym zgorzknieniem. Był półnagi. Nie miał na sobie kurtki ani pończoch. Nie miał również broni. Siedział na ziemi ze skrzyżowanymi nogami i z poczuciem niższości, do którego nie przywyknął.

Pomarszczone czoło starego pustelnika poruszyło się.

– Otóż to, Bunaparcie. Już wam wspominałem, że dzieje Jezui mają wiele wspólnego z naszymi dawnymi bogami.

– Tak, z Izydą, Ozyrysem i Horusem – przytaknął Napoleon.

– Znacie ich historię?

– Sami mi ją opowiedzcie. Każdy przedstawia ją na swój sposób.

– Macie rację – przyznał starzec.

Balasan ułożył się na dywanach i otworzył szerzej potężne oczy o kolorze nieba.

– To wielka historia. Być może największa, jaka kiedykolwiek się zdarzyła – oznajmił. – Aby ją jednak zrozumieć, musicie najpierw wiedzieć, że bogowie ci niewiele różnili się od was czy ode mnie. W rzeczywistości Izyda i Ozyrys stanowili pierwsze istoty ludzkie stworzone przez prawdziwych bogów: Nun – pramaterię, Atuma – pana stworzenia, Szu – boga powietrza, Geba – pana Ziemi i Nut – panią nieba. To z nich zrodziła się czwórka rodzeństwa z krwi i kości, które pierwsze zaludniło ziemię: dwie córki, Izyda i Neftyda, oraz dwaj

synowie, Ozyrys i Set. Wszyscy oni odpowiadają parze waszych prarodzców, Adamowi i Ewie.

– Rozumiem. W mitach forma ulega zmianie, ale esencja pozostaje ta sama – przyznał Bonaparte. – Proszę, mówcie dalej.

– Ozyrys został wyznaczony na pierwszego króla Ziemi. Ożenił się z Izydą i wspólnie rządzą przez okres pełen szczęścia i pomyślności. Ich powodzenie szybko jednak rozbudziło głęboką nienawiść ze strony ich brata, Seta.

– Tu z kolei przypomina to opowieść o Kainie i Ablu – przerwał mu.

– Właśnie tak, Bunaparcie. Tyle tylko, że w podaniu egipskim zdrajca zgładził brata bardziej subtelnie niż Kain. Set był inteligentnym bogiem i knuł swój plan przez wiele miesięcy. Pierwsze, co uczynił, to potajemnie zdobył wymiary ciała brata. Gdy już nimi dysponował, sporządził najwspanialszy sarkofag, jaki kiedykolwiek widziano na Ziemi. Po ukończeniu prac wyprawił ucztę, aby okazać go bogom. Nikt nie wiedział, co się tam stanie, kiedy jednak Set pojawił się z sarkofagiem i ukazał go zgromadzonym, obiecał, że sprezentuje go temu, kto się w nim położy i komu będzie on najbardziej pasował.

– I Ozyrys się położył?

Balasan potwierdził.

– Kwestią kurtuazji było to, że w pierwszej kolejności pozwolono spróbować władcy. Ten zaś oczywiście podjął próbę. Kiedy już znalazł się w środku, Set i jego wspólnicy czym prędzej zamknęli pokrywę, zapieczętowali ją ołowiem i wrzucili sarkofag do rzeki. Długo umierał król!

– Postąpił nierozsądnie. Ja nigdy bym tak nie zrobił...

Starzec się uśmiechnął.

– Nigdy nie mówcie nigdy, Bunaparcie.

Bonaparte uwolnił się od niepokojącego wyobrażenia boga żywcem pogrzebanego w sarkofagu i wznowił rozmowę:

– Powiedzcie zatem, mistrzu, co stało się potem?

– Po śmierci Ozyrysa Set został panem Egiptu. Cały kraj pogrążył się w mroku, znalazłszy się pod rządami nowego władcy, który bardziej dbał o gwiazdy niż o zbiory. Oszałała z bólu Izyda z pomocą Neftydy ruszyła na poszukiwania ciała brata i męża, pragnąc odprawić nad nim rytuał, który wzbudza w was tak wielkie zainteresowanie.

Bonaparte otworzył szeroko oczy:

– Rezurekcję!

Balasan milczał.

– I... udało się jej? – zapytał z nieudawaną ciekawością. – Czy Izyda zdołała przywrócić Ozyrysa do życia?

– To bardzo długa historia. Set wykrył spisek bratowej i siostry. Gdy Izyda i Neftyda zdołały odzyskać mumię Ozyrysa w Byblos, wydarł im ją, rozerwał ją na strzępy i rozrzucił na ich oczach, mimo to zdołały jednak kawałek po kawałku złożyć jego ciało i... rzeczywiście... Podanie głosi, że Izyda przywróciła męża do życia na wystarczająco długi czas, żeby zająć z nim w ciążę i począć syna, który mógłby odzyskać prawowity tron Egiptu dla ich rodu. Tak zrodził się Horus. Mściciel. Pierwszy z faraonów.

Balasan uczynił teatralną pauzę. Podniósł wzrok ku sufitowi, jak gdyby czegoś tam szukał, i gestem polecił Tagarowi, pomocnikowi o wyrzeźbionych kościach policzkowych, aby ten podał mu wodę.

– W jaki sposób, czcigodny mędrcze, Izyda zdołała przywrócić Ozyrysowi życie?

– Ach – Balasan zaczął pić, aż zaspokoił pragnienie. – Wiedzę tę odziedzyczyło nasze bractwo. Jesteśmy spadkobiercami Horusa. To my przez wieki legitymizowaliśmy w Egipcie rządy kolejnych faraonów. A także pozbawialiśmy ich władzy, aby powierzyć ją komuś innemu.

– Jak choćby Jezusowi – dopowiedział Bonaparte.

– Otóż to.

– To, co mi mówicie, mistrzu, to żadna nowość. Jezus wraz z Józefem i Marią zbiegli do Egiptu podczas prześladowań, jakie Herod wszczął przeciwko niemowlętom. Przybył tutaj... i tutaj go poznaliście. To typowa opowieść wigilijna.

– Nie lekceważ jej, Bunaparcie. To ona bowiem pozwoli wam pojąć, co się stało.

– Naprawdę?

– Zastanówcie się nad tym przez chwilę. Jezusa przybył do Egiptu jako dziecko. Po tym zaś, jak na chwilę objawił się w świątyni w Jerozolimie pośród uczonych, ponownie zniknął. Nikt już o nim nie słyszał aż do czasu, gdy skończył trzydzieści lat i rozpoczął działalność publiczną...

– Chcecie powiedzieć, że przez te lata Jezus miał dostęp do waszej tajemnicy i dlatego...?

– Zmarł, lecz potrafił zmartwychwstać, tak.

Beduin dostrzegł szorstki gest Bonapartego.

– Powiedzcie, nigdy się nie zastanawialiście nad tym, dlaczego Jezusa do tej chwili żył w ukryciu, po czym z taką determinacją oddał się misji „rybaka dusz”?

Generał zaprzeczył ruchem głowy, jak gdyby wciąż analizował przedstawiony mu ciąg wydarzeń.

– Odpowiedź, Bunaparcie, jest bardzo prosta – mówił dalej Balasan. – Jezus nie zaczął działać, dopóki nie otrzymał swojego *Hebsed*.

– *Hebsed*, inaczej ceremonia Sed, było najważniejszym ze świąt w starożytnym Egipcie – wtrącił Tagar. – Obchodzono je jedynie wówczas, gdy faraon osiągał trzydziestolecie rządów.

Przez liczne rytuały ulegał rewitalizacji, co wydłużało jego żywot. Tak jak powiedział mistrz, była to ceremonia boskiego pochodzenia, stanowiąca dziedzictwo dostępne wyłącznie królom.

– I była skuteczna?

Pytanie Bonapartego wywołało u nich uśmiech.

– Czegoś tu w dalszym ciągu nie rozumiem – dodał Napoleon. – Skoro mówicie, że rytuał ten praktykowano wyłącznie wobec królów, dlaczego poddaliście mu syna cieśli z tutejszego ludu?

Beduini zaczęli mówić jednocześnie, ostatecznie jednak to mistrz Balasan doszedł do głosu.

– To bardzo dobre pytanie, Bunaparcie. Odpowiedź zaś powinna skłonić was do namysłu. Stało się tak z dwóch powodów. Po pierwsze, ponieważ odkryliśmy, że w jego żyłach płynęła królewska krew, krew bogów...

– Ale przecież Jezus był Żydem! – zaprotestował.

Balasan nabrał powietrza.

– Pomyślcie, zanim coś powiecie. Jezua był synem Miriam – oznajmił, wypuściwszy powietrze z płuc. – Miriam zaś należała do plemienia Judy. Ten z kolei był synem Lei, żony odrzuconej przez Abrahama, która zaszła w ciążę za sprawą samego Boga. A to od potomków bogów i ludzi wywodzą się rody królewskie. Czy może nie czytaliście Starego Testamentu? Napisano tam, że jego krew była błękitna niczym niebo. Przeczytajcie raz jeszcze!

– A co ma ród Lei do Egiptu? – mimo wszystko zaprotestował Bonaparte.

– Więcej, niż wam się wydaje.

– Tak?

– Lea miała również innego syna, Lewiego. To z niego zrodził się Mojżesz, który był księciem Egiptu, arcykapłanem i wtajemniczonym w kult Izydy. Teraz już pojmujecie, dlaczego przekazaliśmy naszą wiedzę Jezui? Jesteście w stanie zrozumieć naszą fascynację tym, że tak jak wcześniej Jakub i Lewi, on również zrodził się z boskiego ojca i człowieczej matki? Jakże mogliśmy nie wtajemniczyć go w rytuały Sed?

– W porządku. A drugi powód?

– Ach! To dlatego, że dzięki pewnemu podaniu, starej egipskiej przypowieści, wasz Jezua odnalazł miejsce, w którym tajemnica życia, rytuał Sed, trafiała od bogów do wybrańców.

– Dzięki podaniu? Jezus poznał to miejsce w podaniu?

– Tak. To podanie. Wy również chcielibyście go wysłuchać?

ROZDZIAŁ 20

Sękaty dłoń czcigodnego Balasana zarysowały na piaszczystym podłożu chaty charakterystyczną sylwetkę piramidy. Następnie starzec wbił przezroczyste spojrzenie w rozmówcę.

– To opowieść z czasów króla Cheopsa. – Jego głos przybrał nagle poważniejszy ton. – Wiecie, kto to był, nieprawdaż?

– To on zbudował Wielką Piramidę, mistrzu.

Balasan skinął głową.

– Faraon ten był owładnięty obsesją na punkcie historii swojego kraju. Tak wiele nasłuchiwał się o czasach, w których bogowie władali Egiptem, że postanowił spisać dla potomności wierną kronikę wydarzeń. Czasy zemsty Horusa na Secie były odległe, choć nie tak, jak dziś, Cheops postanowił zaś je odtworzyć. Niestety, wszystkie podania, które zdołał zgromadzić w ramach prowadzonych badań, były niekompletne lub wzajemnie sprzeczne. Tak więc pewnego dnia, gdy ogarnęło go znużenie, nakazał przybyć książętom i poprosił ich, żeby podjęli dla niego pewien wysiłek: mieli zgromadzić tyle informacji, ile tylko zdołają, na temat tej chwalebnej przeszłości, i przedstawić mu je podczas cyklu specjalnych audiencji.

– Uczynił ze swoich synów historyków? – wymamrotał Bonaparte.

– Otóż to. Żaden z nich nie zdołał jednak przynieść mu nic nowego... Żaden poza jednym. Był nim książę Dżedefre.

– Dżedefre? – Generał zmarszczył brwi. Imię to nigdy wcześniej nie obięło mu się o uszy.

– Był to jeden ze starszych synów faraona – wyjaśnił starzec. – Podczas audiencji Dżedefre nie powtórzył mu żadnego starego podania. Postanowił jednak opowiedzieć mu o bardzo sędziwym magu, który wzbudził w nim fascynację, a którego poznał niedługo wcześniej w mieście Dżed-Snefru. Według słów księcia mag ten przejawiał nadzwyczajne zdolności: potrafił, nie będąc chirurgiem, składać zmasakrowane członki, nie będąc łowczym, umiał udomowić dzikiego lwa, a co najważniejsze, znał liczbę tajemnych komnat w sanktuarium boga Tota.

– Sanktuarium Tota! Pierwotna piramida!

Balasan ponownie przytaknął z zadowoleniem.

– Wizerunek Tota mogliście spotkać w wielu miejscach. Był to bóg mądrości. Nauczył nas hieroglifów, podarował nam prawa, żebyśmy się według nich rzadzili, i objaśnił nam, jak wznosić piramidy. Ma ciało człowieka i głowę ibisa, zawsze także dzierży ołówek i tabliczkę do pisania.

- Wiem, jak wygląda Tot, mistrzu.
- Miej baczenie, to nie koniec opowieści.
- Oczywiście – przyznał. – Wybaczcie.

Balasan przyjął przeprosiny.

– Kiedy Cheops zauważył, jak wielką ekscytację wzbudził w jego synu ten podwładny, polecił przyprowadzić go na swój dwór. Pragnął osobiście przekonać się o tych cudach. Dżedi, tak bowiem zwał się czarodziej, okazał się postacią jeszcze niezwyklejszą, niż to sobie wyobrażano. Miał tyle samo lat, co ja – sto dziesięć – i wygląd godzien pozazdroszczenia. Mówił, że potrafi pochłonąć w ciągu dnia pięćset bochenków chleba i wypić sto dzbanów piwa.

– I dano mu wiarę? – prychnął Bonaparte. – Ktoś, kto głosi tego typu deklaracje, jest albo kłamcą, albo szaleńcem...

– Cheops, podobnie jak wy, był człowiekiem rozsądnym. Postanowił zatem poddać go próbie.

– Uczyniłbym tak samo.

– Polecił przyprowadzić więźnia, aby poćwiartować go na oczach starego czarownika i przekonać się, czy ten rzeczywiście będzie w stanie przywrócić go do życia.

– A czarownik, rzecz jasna, odmówił.

– Otóż to.

Napoleon się uśmiechnął.

– Był oszustem.

– Nie tak prędko, Bonaparcie. Starzec odmówił, stwierdził bowiem, że ludzkość to „światłe stado” i że nie powinno się z nim igrać. Zaproponował jednak alternatywne rozwiązanie – że uczyni to, o co go poproszono, ze zwykłą gęsią z królewskiej zagrody.

Beduin pozwolił, żeby Buqtur dokończył tłumaczyć ostatnie zdanie. Następnie kontynuował:

– Dżedi jednym ruchem poderznął gardło zwierzęcia i umieścił jego głowę we wschodnim kącie Sali Sądów. Resztę truchła położył w kącie po zachodniej stronie. Kiedy je już rozdzielił, upewniwszy się, że korpus gęsi po ostatnich spazmach upadł, wygłosił zaklęcie...

Bonaparte czekał, aż mędrzec powtórzy magiczną formułkę, Balasan jednak tego nie uczynił.

– I co się stało? – spytał zniecierpliwiony.

– Magia oczywiście zadziałała – odparł Beduin. – Ciało bez głowy podniosło się i przeczłapało przez Salę Sądów przed oczyma samego Cheopsa.

– Nie wierzę.

– Poczekajcie! Kiedy doszło do swojej niegdysiejszej głowy, pochyliło się nad nią. Głową szarpnęły wstrząsy, po czym podskoczyła i złączyła się z ciałem. Gęś powróciła do życia.

Balasan nabrał powietrza.

– Jak myślisz, Bunaparcie, co uczynił Cheops?

– Zażądał kolejnych dowodów!

– Istotnie. Czcigodny Dżedi powtórzył swoje zaklęcie nad flamingiem, a nawet nad wołem.

– I to go przekonało?

– Ujrzał przynajmniej, że Dżedi nie kłamie. Postanowił zatem zapytać o inną ważną deklarację czarownika.

– O sanktuarium Tota.

Czcigodny mędrzec skinął głową.

– Zapytał go, czy rzeczywiście zna liczbę tajemnych komnat w tym sanktuarium, sam bowiem wznosił swój Horyzont i musiał to wiedzieć, aby dostosować konstrukcję według upodobania bogów.

– Horyzont? Co chcecie przez to powiedzieć?

Balasan wskazał wówczas rysunek, który wykonał wcześniej na ziemi, po czym na ogólny schemat naniósł układ korytarzy i sal, jakby był to plan. Bonaparte zrozumiał.

– Ten potężny starzec wyjawiał Cheopsowi, że jego magia rzeczywiście pochodziła z tego miejsca. Że cała jego moc zawierała się w kamiennej skrzyni wewnątrz tego sanktuarium w formie piramidy, które określił Inwentarzem, wzniesionego przez boga w nocy dziejów. Powiedział mu również, że jedynie bardzo szczególny typ ludzi, stanowiących bezpośrednich potomków pierwszej pary królewskiej, to znaczy Izydy i Ozyrysa, może mieć do niego dostęp.

– Rozumiem...

– Na pewno? – dopytał starzec.

– Nietrudno sobie wyobrazić, co stało się później. Cheops podjął się poszukiwań sanktuarium, znalazł je, wyciągnął z niego jego sekret i ukrył go w swoim... Jak to ujeliście, Horyzoncie?

– Jak na razie bardzo dobrze – przyznał starzec. – Ale zostało coś jeszcze. Sekret ten nie jest przedmiotem. Nie jest to także napis, który mógłby przeczytać ktokolwiek. Jest to coś, co może się co pewien czas objawić któremuś z synów Izydy. Ostatnim z nich był zaś, jak już wspominałem, Jezua.

– A wiecie może, czy pojawi się ktoś jeszcze?

– Tak. Następnym... jesteście wy!

Eliasz Buqtur spostrzegł, jak słowa te po przetłumaczeniu wywołują w generale osobliwą reakcję. Jego oblicze pozostało niewzruszone, zarazem jednak zbladło tak, jak gdyby spojrzął był w oczy mitycznej Meduzy. Trwało to jednak tyle, co tchnienie, po chwili bowiem Bonaparte odzyskał rezon:

– Ależ mistrzu – szepnął – ja nie jestem synem Izydy.

– Znaki mówią nam co innego.

– Znaki? Jakie znaki?

– Wszystkie znaki! – wykrzyknął Balasan. – Sułtanie Zachodu, wasze narodziny poprzedziło pojawienie się na niebie gwiazdy, tak jak było to w wypadku Ozyrysa czy Jezui. Przybyliście do Ziemi Świętej, na ziemię samego syna cieśli, w chwili, gdy zaraz skończycie trzydziesty rok życia i jesteście gotowi na własną inicjację. A jakby tego było mało, pochodzicie z kraju, gdzie wzniesiono ostatnią z piramid Tota. Ostatnie sanktuarium Sed.

Bonaparte nie wiedział, co powiedzieć.

Rzeczywiście, piętnastego sierpnia czekały go trzydzieste urodziny. Prawdą było także to, co mędrzec powiedział o gwieździe. W tygodniu poprzedzającym jego przyjście na świat nieboskłon nad Europą przecięła kometa i choć pół kontynentu uznało to za złowróźbny omen, jego matka zrozumiała to wprost przeciwnie – jako błogosławieństwo Opatrzności dla jej nowego dziecka. Skąd jednak prosty Beduin mógł dysponować taką wiedzą?

I o co chodziło z tą ostatnią piramidą?

I to we Francji?

Gdzie, u diabła, już coś podobnego słyszał?

Generał poddał się, kręcąc głową.

– Rozumiem, Bunaparcie, jak wielki to dla was wstrząs – wyszeptał Balasan, nachylając mu się do ucha. – Musicie wiedzieć, jak opróżnić umysł. Jak pogodzić się z tym, co przynosi wam los. W innym razie wasze wątpliwości przywiodą was jedynie do niepowodzenia. Wyszliśmy wam naprzeciw, aby wam przypomnieć, że jeśli pragniecie podbić Egipt, musicie sami poddać się rytuałowi Sed. Naszym zadaniem jest przygotować was, abyście zdołali przejść ten ceremoniał z powodzeniem.

– Ceremoniał? Jaki ceremoniał?

Starzec nie odpowiedział.

– Gdzie się to odbędzie? I kiedy?

– Nastąpi to trzy dni przed waszymi trzydziestymi urodzinami w Wielkiej Piramidzie w Gizie, będącej repliką sanktuarium Tota.

Młodego generała przeniknął dreszcz.

– Ale ja się nie znam na rytuałach! Nie będę wiedział, jak się zachować!

– To bardzo proste: połóżycie wasz umysł na szalę wagi Maat, bogini sprawiedliwości, i poprosicie ją o zgodę na poddanie się Sed – wtrącił się młody Tagar.

– Nie wiem, jak to się robi. Nawet nie wiem, co to jest! – nalegał.

Towarzysz Balasana, „uśmiechnięty anioł”, wyciągnął wówczas spod galabii fiolkę z ciemnego szkła zawierającą jakiś płyn. Zawinięta była w tkaninę barwy szafranu, która nie pozwalała wydobyć się kwaśnej woni, teraz zalewającej całe wnętrze chaty...

– Wypijcie to. Przygotuje was na tamtą chwilę.

Bonaparte spojrział z nieufnością na fiolkę.

– Co to jest?

– To pierwszy krok, aby przywrócić zmarłego do życia – odrzekł Balasan.

– W takim razie – niech będzie!

I ku zdumieniu Buqtura, który znał podejrzliwość swojego pana, Bonaparte jednym haustem wypił zawartość fiołki.

ROZDZIAŁ 21

EDFU

10 SIERPNI 1799 ROKU, ŚWIT

Nadia i Ali wyruszyli rześkim świtem i dotarli do centrum miejscowości. Postój w gospodzie w Esna pozwolił im odzyskać siły, choć myśli Doskonałej wciąż zaprzętały dziwaczne omdlenie i sen, w którym przyśnił jej się dziadek. Maszerując szybkim krokiem, prędko zostawili za sobą ulicę garbarzy i dwa podupadłe meczety, które służyły za schronienie na noc dla podróżnych bez środków pieniężnych, i ożywieni pozdrowili kilku sąsiadów, którzy nawet nie poznali Nadii. Tym lepiej. W Edfu panował gwar jak w ulu. W tym położonym na przecięciu szlaków mieście ich rodzina mieszkała od wielu pokoleń, starając się unikać zbirów na usługach Omara. Im mniej osób wiedziało coś o kobiecie towarzyszącej Alemu ben Raszidowi, tym wszyscy byli bardziej bezpieczni.

Kiedy dotarli na targowisko, sprzedawcy polewali akurat ziemię, aby opanować wzbijane tumany kurzu, i poprawiali towary wyłożone na kolorowych wózkach. Była sobota, dzień targowy, i cała ta krzątająca ją oczarowała. Niemal zdążyła o niej zapomnieć. Od zbyt dawna nie chodziła po tutejszych ulicach, w Luksorze zaś o tej godzinie, po nocach spędzonych w kawiarni Yusufa, zawsze spała.

W końcu zza grupy zabudowań z suszonej cegły wyłoniły się proste i ostre mury dawnej świątyni.

– Zatrzymamy się jeszcze tylko w domu wielkiego Horusa – oświadczył jej z pewnym namaszczeniem Ali. – To tutaj to, co boskie, góruje nad tym, co doczesne. To pałac zmartwychwstania. Mamy jeszcze czas do wypłynięcia statku.

Doskonała skinęła głową oczarowana.

Choć od dziecka bawiła się w cieniu murów świątyni, nigdy nie przekroczyła jej pylonów.

– Spodoba ci się – obiecał wuj.

Zespół świątynny okazał się bardziej imponujący i zachowany w lepszym stanie, niż się tego spodziewała. Jego ściany przewyższały nawet potężne kolumny z sali hipostylowej w Karnaku i były pokryte płaskorzeźbami, które wytrzymały próbę czasu. Przedstawiono na nich cały wszechświat. Na suficie pozostawały wciąż ślady po niebieskiej farbie, można było również łatwo dostrzec charakterystyczne pięcioramienne gwiazdy egipskie. Kapitele kolumn w kształcie kwiatów lotosu lub papyrusu także zdołały ocaleć. Dom Horusa – niegdyś dostępny jedynie kapłanom – pozostawał zatem doskonałą metaforą dzieła stworzenia, tak jak założyli to sobie jego architekci.

– Widzisz? – Ali zniecała sprawiał wrażenie rozradowanego i przemawiał z zaraźliwym entuzjazmem. – To miejsce jest godne bogów! Bardzo niedaleko stąd, przed tysiącami lat, znajdował się Kap, czyli miejsce, gdzie młody Amenhotep odebrał najważniejsze lekcje. To w tym miejscu wtajemniczono go w dzieje pradawnej bitwy, o której chcę ci opowiedzieć.

Jej wuj, podobnie jak widoczni na murach kapłani o wygolonych głowach, skłonił się ceremonialnie przed wrotami wejściowymi, a następnie wprowadził ją na otwarty dziedziniec, który przechodził w kolejny korytarz, flankowany po bokach przez parę granitowych posągów. Były to dwa wielkie sokoły z kamienia, każdy wyrzeźbiony w pojedynczym bloku skały. Znalazłszy się przed nimi, Ali złożył ramiona na splocie słonecznym i przyklęknął na jedno kolano w kolejnym wyolbrzymionym geście poszanowania.

– Oto Horus, syn Izydy, Pan Obu Ziemi, Mściciel – oznajmił, podniósłszy się do pionu. – Jego matka zaszła w ciążę dzięki najwspanialszemu aktowi magii w dziejach. W ramach tej samej magii zdołała wskrzesić jego ojca, który zmarł siedemdziesiąt dwa dni wcześniej, i przywrócić mu życie na tyle, żeby mógł się z nią kochać i uczynić ją brzemienną.

– Znam tę historię – odparła Nadia z ani trochę niewinnym uśmiechem na ustach. – Kiedy to dziecko dorosło i dowiedziało się, że jego ojciec, boski Ozyrys, stracił życie z ręki jego stryja, postanowiło go pomścić. Tak oto rozpoczęła się walka Horusa z Setem. Ich zmagania naznaczyły wierzenia naszych przodków i przez wiele pokoleń uosabiały konfrontację Światła i Cienia. Horus był synem Światła, Set zaś – dzieckiem Mroku.

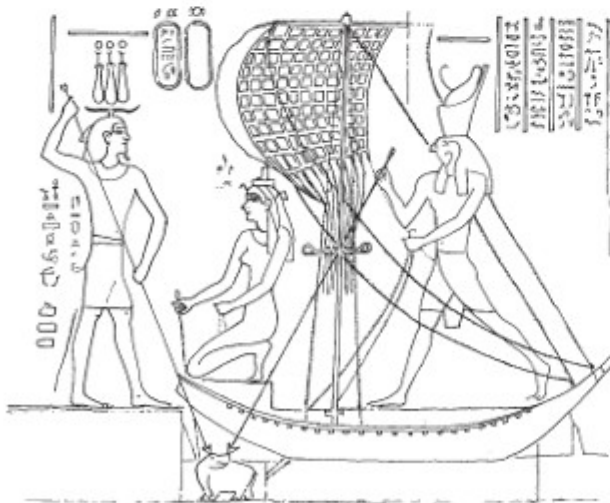
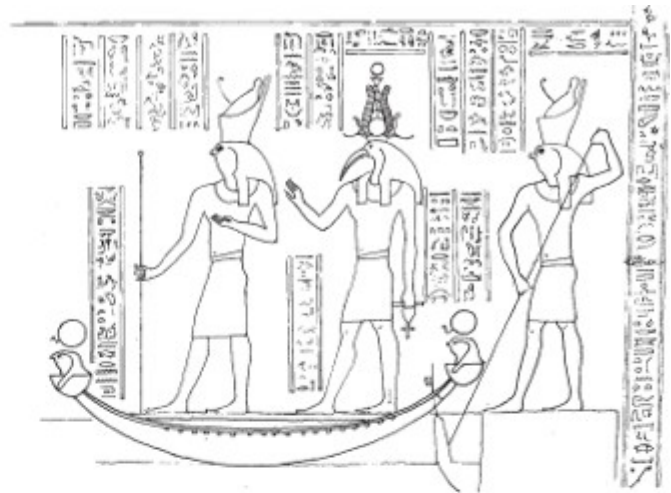
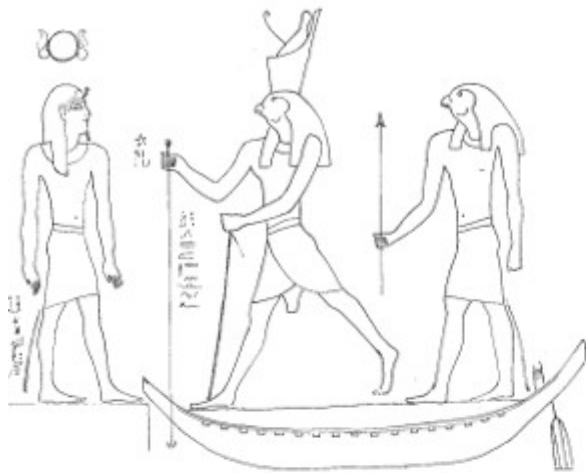
– Było tak, jak mówisz – przyznał Ali. – Tę oto świątynię wzniesiono na pamiątkę tej walki. Kapłani wypełnili ją jej wyobrażeniami. Chodź za mną, a ci je pokażę.

Ali wziął Nadię za rękę i poprowadził ją poza drugi pylon, ku najświętszej części zespołu. Ściany rzeczywiście były pokryte scenami przedstawiającymi walkę. Przyglądając się tym wojownikom o zaciekłym spojrzeniu, ustawionym jeden przy drugim, przypomniała sobie na moment wizję, jakiej doznała minionej nocy. Przez chwilę ponownie poczuła moc, z jaką przypatrywał jej się czarnooki żołnierz, który utkwiał jej w myślach. Prędko jednak, zawstydzona, Nadia odpędziła to wrażenie, od którego się zarumieniła, pozwoliła się poprowadzić wujowi.

Niebawem weszli w wąski, pozbawiony sufitu korytarz, na którego ścianach pyszniły się wspaniałe płaskorzeźby przedstawiające najwyraźniej bitwę morską. Precyzyjne i obfitujące w najdrobniejsze szczegóły obrazy zrobiły na Nadii ogromne wrażenie. Okręty o jednym żaglu prowadzone przez armię wioślarzy zmierzały w stronę dziwnego stwora morskiego. Na dziobie jednostki majestatyczny Horus z naszykowaną bronią starał się upolować bestię.

– Wyznawcy Horusa podają, że bóg-sokół, jedna ze wspaniałych form objawienia Słońca, przebił Seta włócznią i strącił go w ciemności, pokonując na wieczne czasy. Set występuje tutaj pod postacią hipopotama. Widzisz go?

Nadia skinęła głową, dostrzegłszy niewielkie zwierzę pod włócznią wielkiego boga-sokoła. Z jakiejś przyczyny scenka przypomniła jej koptyjskie ikony przedstawiające świętego Jerzego zabijającego smoka.



HORUS ŚCIGAJĄCY SETA. ŚWIĄTYNIA W EDFU

- W szóstym miesiącu roku w tej świątyni obchodzono Festiwal Zwycięstwa. Nasi przodkowie świętowali w ten sposób tryumf Dobra nad Złem...
- Tak więc ostatecznie Horus pokonał Seta – powiedziała zdumiona Nadia, tak jakby mury opowiadały jej zakończenie historii, którą znała już ze słyszenia.
- Odpowiedź Alego ją rozczarowała:
 - Nie do końca...
 - Co chcesz przez to powiedzieć?

– Dlatego właśnie, Nadiu, przyprowadziłem cię tutaj. Choć bogowie rozstrzygnęli dzielące ich różnice jeszcze w mroku dziejów, my, ludzie, kontynuowaliśmy walkę. Wojna, niestety, wcale nie dobiegła końca.

Doskonała rozłożyła dłonie, nie wiedząc, co powiedzieć.

– Zwolennicy Horusa stali się z czasem faraonami – kontynuował wuj. – Poplecznicy Seta zaś w większości zajęli się czarną magią. Bogowie pozwolili nam walczyć, w ten bowiem sposób pomagaliśmy w utrzymaniu równowagi wszechświata. Sama wiesz, że wszystko, co stworzone, po wieczne czasy balansuje między dwoma biegunami. *Maat*.

– Pozwolili nam walczyć? Mówisz teraz o nas, o ben Raszidach?

– Właśnie. Nasza rodzina wywodzi się od ostatniego faraona, jaki pochodził od bogów.

– Dlaczego walczymy?

– Walczymy z tego samego powodu, co Horus i Set. O panowanie nad światem, które będzie w stanie osiągnąć ten, kto przezwycięży śmierć.

– Wujku, czy to ma w ogóle sens?

– Dla nas to nie jest wyłącznie kwestia władzy: jeśli nasi wrogowie pierwsi odnajdą to, czego szukają, nie tylko będą mogli się cieszyć życiem wiecznym, ale także wykorzystają ten atut, aby wybić wszystkich tych, którzy im nie sprzyjają. Represje wobec zwolenników Horusa byłyby straszliwe.

Nadia ponownie przyjrzała się scenom przedstawionym na kamiennych ścianach. Za jednym z wielkich wizerunków Horusa natychmiast spostrzegła kilka mniejszych kopii jego wyobrażenia – małych sokołów ustawionych w doskonałym szyku, jak gdyby oczekiwały na rozkazy.

– To jesteśmy my – uprzedził jej pytanie Ali. – *Szemsu-Hor*. Wyznawcy Horusa. Jego potomkowie.

– Wyglądają jak wojsko...

– Ponieważ wciąż nim jesteśmy.

– I nadal umieramy za tę starą sprawę?

Ali westchnął:

– Tak jak w wypadku każdego wojska, nam również przychodzi ponosić straty. Niestety, ta wojna z synami Seta w dalszym ciągu zabiera nam wielu bliskich...

Nadia poczuła, jak ściska się jej gardło. Zaczęła ogarniać ją nieprzeparta nostalgia, tak jak chwilę temu, gdy przypomniawszy sobie widzianego we śnie ciemnookiego wojownika. Nagle naszła ją potrzeba, żeby zapytać wuja o coś osobistego.

– Powiedz, wujku, moi rodzice również zginęli w tej wojnie? – Nabrała powietrza. – I dziadek Gabriel także?

Ali podniósł dłoń do wygolonej głowy i pogładził się po czaszce, jak gdyby szukał delikatnej formy odpowiedzi na zadane pytanie.

– Nie wiesz, jak to się stało, prawda? – wymamrotał w końcu.

– Byłam bardzo mała, wujku Ali. To było już prawie dziesięć lat temu...

Na jego obliczu zarysował się grymas współczucia. Ponownie chwycił ją za rękę i poprowadził ku spowitej cieniem strefie wewnątrz świątyni. Nadia dygotała. Nie z zimna, ale z wrażenia, jakie wywoływała u niej mieszanina doznawanych emocji.

– Zanim wypłyniemy, musisz coś jeszcze zobaczyć. To właśnie tutaj.

Ali poprowadził ją do nadkruszzonej zębem czasu ściany, na której widniał długi tekst zapisany hieroglifami. Natychmiast zdała sobie sprawę, że wujowi nie chodziło jednak o te inskrypcje, ale o coś w rodzaju prymitywnego napisu wydrapanego na murze. Płytkie rysy, jak gdyby wykonane szydłem czy sztyletem, układały się w litery alfabetu łacińskiego, cały napis wyglądał zaś następująco:

Saint-Germain, 1790

– Co to takiego, wujku?

– To cudzoziemskie nazwisko i data, Nadiu. Już od czasów rzymskich, być może nawet wcześniej, podróżnicy mieli w zwyczaju zostawiać nam tego rodzaju pamiątki na monumentach. Jeśli dobrze się rozejrzysz wokoło, dojrzysz je dosłownie wszędzie!

– To przecież świętokradztwo.

– Ja prawie ich rozumiem – odparł Ali. – Ci ludzie dostrzegali, jak bardzo stare są nasze kamienie, i uznawali, że jeśli zapiszą na nich swoje imię, wspomnienie o nich przetrwa po wsze czasy.

– Tak, ale...

– Ale co to ma wspólnego z naszą rodziną? To cię zastanawia? – Uśmiechnął się serdecznie. – W rzeczywistości wszystko! Podpis ten zostawił tu pewien Francuz, który odwiedził Egipt w 1790 roku, kiedy nikomu się jeszcze nie śniło, że pewnego dnia czeka nas najazd francuskich wojsk. Podróżował samotnie i przemierzył cały kraj. Tutaj, w Edfu, zatrzymał się ledwie na kilka dni, lecz najdłużej pozostawał w Luksorze. W mieście poznał Zalimów i tak oto zaczęło się nasze nieszczęście...

– Dlaczego, wujku? Co się takiego stało?

– W tamtych czasach klan Zalimów był dobrze ustosunkowany, a jego członków można było znaleźć we wszystkich organach władzy. Jeden z nich był sekretarzem wezyra Damaszku, inni pełnili funkcje imamów w meczetach lub byli zarządcami kanałów nawadniających. Faktem jest, że cudzoziemiec ten wszedł z nimi w bliskie relacje i opowiedział im coś, co na nowo rozbudziło ich gniew przeciwko nam.

Nadia oderwała wzrok od napisu i spojrzała na wuja.

– Jak już dobrze wiesz, Zalimowie i ben Raszidowie są nieprzyjaciółmi od bardzo, bardzo dawna – kontynuował. – W obu klanach doskonale zdawaliśmy sobie sprawę z naszego

pochodzenia. Oni byli spadkobiercami synów Seta, my byliśmy potomkami synów Horusa. Oni bronią *maat* opartej na śmierci i chaosie, my – przeciwnej temu równowagi. Cudzoziemiec wypełnił im głowy wieściami o wielkich wydarzeniach, jakie działy się wówczas we Francji. Wyglądało na to, że cała *maat* jego ojczyzny z dnia na dzień legła w gruzach. Z dnia na dzień chłopcy zaczęli decydować o losach arystokratów, niepiśmienni wzięli się za układanie praw, ateusze zaczęli rządzić kościołami... Rewolucja niosła śmierć królom i ludziom Boga, on zaś zapewnił, że wkrótce przykład ten rozleje się po całym świecie. Podejrzewam, że Zalimowie dostrzegli w tych nowinach okazję, której poszukiwali, aby rozciągnąć swoją władzę na cały Egipt. Ciemna strona *maat*, cień Seta, Isefet, miała wreszcie odzyskać należne jej miejsce. Tak oto zinterpretowali rewolucję we Francji! Najwyraźniej dostrzegli coś w swoich czarach. Być może przewidzieli, że Francuzi dotrą aż tutaj. Być może przewidzieli nawet samego Bonapartego. Faktem jest, że w pierwszej kolejności postanowili rozprawić się z nami, ponieważ jedynie my mogliśmy pokrzyżować im plany.

– I zabrali się za moich rodziców...

– Zalimowie najpierw donieśli ulemom z Luksoru na dziadka Gabriela. Oskarżyli go o praktykowanie zakazanych kultów. Następnie zadenuncjowali twoich rodziców. Podczas procesu dowiedziano, że ich zarzuty były słuszne, że Gabriel istotnie był arcykapłanem kultu zakazanego przez islam. Tak więc z pomocą swoich ludzi ci hipokryci skierowali na nich całą furję szariatu. Twoją rodzinę skazano na pozbawienie całego dobytku i na śmierć przez ukamienowanie przed wielkim meczetem Abu al-Haggag w Luksorze.

– To potworne!

– Z całej rodziny ułaskawiono jedynie ciebie, Nadiu. Byłaś jeszcze małą dziewczynką, tak więc Omar Zalim postanowił zachować cię przy sobie i zająć się twoim wykształceniem.

– Ale dlaczego, wujku? Po co mu była córka nieprzyjaciół?

– Teraz już to wiemy. Wieści, które przyniósł ten podróżny – oznajmił, ponownie wskazując napis, który mieli przed sobą – stanowiły znak. Ostrzeżenie, że oto nadchodzą czasy wielkich zmian. I prawdą jest, że to zawsze w takich momentach zjawiali się błękitni mędracy.

Nadia się wzdrygnęła.

– Błękitni mędracy? Dziadek mi o nich opowiadał!

Ali skinął głową.

– Twój dziadek czekał na ich przyście całe życie.

Zamyśliła się na chwilę.

– Wciąż nie odpowiedziałeś mi na pytanie, wujku – zauważyła w końcu. – Dlaczego Omar postanowił zatrzymać mnie u siebie?

– Jeszcze o tym nie wiesz, Nadiu, ale Zalimowie potrzebują cię, aby móc wykonać swoje zadanie. Masz w sobie coś, pewien dar, pewną zdolność, coś, czego nie potrafią wyrazić.

Czego nikt inny poza tobą nie może im dać. Dlatego Omar dbał o ciebie, jakbyś była skarbem, i aż po dziś dzień trzymał cię w bezpiecznym miejscu.

– Nie rozumiem... Co takiego mam? – wybełkotała Doskonała.

– Nie mnie pisane ci to powiedzieć.

– A zatem komu?

– Komuś, kto czeka na nas w Kairze. Ruszamy?

ROZDZIAŁ 22

LUKSOR

10 SIERPNI 1799 ROKU, POŁUDNIE

Omar Zalim lekkim krokiem przekroczył pokrytą białym stiukiem framugę meczetu Abu al-Haggag. Niczym automat odłożył sandały na górną półkę ustawionej nieopodal progu drewnianej szafki i poczuł instynktowną wdzięczność, że oto znalazł się w tak wyjątkowym schronieniu. W jego oczach było ono szczególnie cenne, ponieważ Aby al-Haggag był jedynym meczetem w całym Egipcie, który zbudowano na pozostałościach dawnej świątyni pogańskiej. Na świecie trudno było znaleźć drugi taki obiekt – pomijając meczet w Kordobie, wzniesiony na fundamentach rzymskiego sanktuarium, teraz zaś pasożytniczo wykorzystywany jako chrześcijańska katedra. W takich świątyniach można było się modlić, medytować czy wchodzić w kontakt z niewypowiedzianym, nikt wokoło dokładnie jednak nie wiedział, któremu z czczonych w danym miejscu bóstw wierny się zawierał. I właśnie tego potrzebował teraz Omar. Potajemnie odebrać od bogów pożywienie. Zyskać energię.

Poznaczony bliznami wojownik obszedł świątynię od wschodu i pokonał przewyższenie pierwszego dziedzińca, po czym wszedł do domu Boga, nie zwracając najmniejszej uwagi na dumne obeliski ustawione zaledwie kilka metrów dalej.

„Powiniennem był go zabić już lata temu”.

Myśl ta nie przestawała go dręczyć, odkąd skończył przesłuchiwać Fatimę. Kosztowało go to wiele wysiłku, był wykończony i wściekły.

„Powiniennem był zgładzić Alego ben Raszida, kiedy miałem po temu okazję. Szlag by to!”

Poirytowany, rozpamiętując popełnione błędy i zarazem żywiąc nadzieję, że w świątyni uda mu się odzyskać równowagę, swoją *maat*, nie spostrzegł, że Gamal, wiekowy imam meczetu Abu al-Haggag, przechodzi przez salę modłów i zmierza w jego stronę.

– Synu! – wyszeptał, gdy tylko do niego doszedł. – Nareszcie powróciłeś! Całą noc czekałem na wieści od ciebie. Yusuf opowiedział mi o ucieczce. Zdołałeś coś ustalić?

Omar pragnął uniknąć spotkania z Gamalem. Po przeprawie z Fatimą stracił ochotę na rozmowy. Kiedy jednak dostrzegł wyraz zaniepokojenia malujący się na obliczu swojego dawnego protektora, poczuł się w obowiązku odpowiedzieć.

– *Salam alejkum*. Niestety – zauważył z żalem – wciąż nie udało mi się jej odnaleźć. Zupełnie jakby zapadła się pod ziemię.

– Zapadła się pod ziemię? A gdzie niby mogła się udać istota tak krucha i niezdarna?

– Nie wiem.

– Nie wiesz? – zgnął go. – Ale zdajesz sobie sprawę, Omarze, z tego, coś uczynił? Straciłeś Nadię ben Raszid! Nadię ben Raszid!

Kazanie ze strony Gamala było ostatnim, czego mu w tej chwili brakowało. Postanowił nie wyjawiać imamowi, że uciekinierce ktoś pomagał. Był doskonale świadom, że informacja ta nie uwolniłaby jego samego od ciężaru odpowiedzialności. I że była to wyłącznie jego wina, że z nadmiernym entuzjazmem przedstawiał publicznie swoje zamierzenia i nie zachował czujności w obecności pięknej tancerki. Lecz wizja Alego, wuja Nadii, jaka nawiedziła go podczas przesłuchiwania Fatimy, nie dawała mu spokoju. Widział, jak prowadzi dziewczynę do Edfu. Widział, jak wsiadają na barkę. Musiał jak najszybciej ustalić, dokąd zmierzają. I ją odzyskać.

Gamal dostrzegł grymas zawodu na twarzy ucznia i uznał, że powinien mu pomóc.

– Sprawdziłeś w grobowcu Amenhotepa?

Pytanie starca wyrwało go z zamyślenia.

– Na zachodnim brzegu? – Omar otworzył szeroko oczy. – Oczywiście, że nie! Jak, u diabła, miałyby przedostać się przez Nil? Wpław? W środku nocy?

– Za pozwoleniem, Omarze, ja również w to wątpię. Ale wydaje mi się osobliwym zbiegiem okoliczności, że Francuzi dopiero co odkryli ten grobowiec, a zaraz potem ostatnia z ben Raszidów znika nam sprzed nosa. W tobie, mój synu – dodał podejrzliwie – taki zbieg okoliczności również powinien wzmóc czujność.

Omar Zalim rozejrzał się dookoła i upewnił, że nikt ich nie obserwuje.

– I wzmógł, mistrzu. Ale co jeszcze mogę uczynić? – wyszeptał.

– Mam pewien pomysł – odparł Gamal, chwytając go za ramię. – Będziesz mi towarzyszyć?

Omar zmarszczył nos i zgodził się bez większych protestów. Będzie jeszcze czas, żeby odnaleźć swoją *maat*.

Imam poprowadził go do domostwa usytuowanego naprzeciwko meczetu, gdzie udali się na taras, z którego roztaczał się widok na charakterystyczną sylwetkę tebańskiego masywu. Słońce stało już wysoko, upał zaczynał dawać się we znaki. Z tego miejsca wejście do Doliny Małych, gdzie na wieczny spoczynek złożono Amenhotepa, zdawało się niemal na wyciągnięcie ręki.

„Przeklęty Ali”.

Gamal podał mu dzban chłodnej wody aromatyzowanej liśćmi mięty.

– Chcę ci coś pokazać – powiedział imam. – Coś, co niewielu miało przywilej oglądać. Lecz być może dzięki temu pojmiesz, dlaczego tyłu nas uczestniczy w tym wyścigu.

Omar, zaintrygowany, wypił pierwszy łyk, podczas gdy starzec wyciągał spod poduszek okazałych rozmiarów księgę oprawioną w bardzo zniszczone okładki ze skóry. Księga liczyła najwyżej sześćdziesiąt do siedemdziesięciu stron i wydzielala odór pleśni.

Gamal ucałował pakiet, jakby był to szczególnie cenny egzemplarz Koranu, po czym podał księgę Omarowi.

– To stary traktat alchemiczny – oznajmił. – Wiesz już, co to jest alchemia, prawda?

– Tak, mistrzu: to nauka Egiptu!⁴

– Bardzo dobrze – przyznał. – W takim razie docenisz znaczenie tego, co trzymasz w rękach. Być może nie zawiedzie cię to do żadnego skarbu ani nie wyjawia położenia jakiegoś nieznanego ci reliktu starożytności, da ci jednak wiedzę na temat twoich konkurentów... Bo wiedz, że takich masz.

– Wiem. – Zacisnął pięści, które pokrywały liczne białe blizny.

Omar, jako człek przesądny, pogładził wiekową skórę, nie ważąc się otworzyć księgi.

– Co to konkretnie jest? – zapytał w końcu.

– To dzieło napisane przed tysiącem lat przez mędrca nad mędrkami, znanego jako Dżabir Ibn Hajjan – odparł Gamal. – Nosi tytuł *Księga wag* i opowiada o pewnych sekretach wiedzy starożytnych, do których autor miał dostęp w Bagdadzie, kiedy przebywał na służbie u kalifa Haruna ar-Raszida. Sam wiesz – władcy, który stał się inspiracją dla *Księgi tysiąca i jednej nocy*.

Omar na dźwięk nazwiska ar-Raszid poczuł ukłucie w żołądku.

– Dżabir – ciągnął niewzruszony imam – dożył bez mała stu lat. Za młodu zaskarbił sobie zaufanie najśłynniejszego z rodu ar-Raszidów. W chwili śmierci jednak, zamiast podzielić się zgromadzoną wiedzą z następcą tronu, postanowił otworzyć się przed innym sułtanem, Abdullahem al Mamunem, trzecim w kolejności dziedziczenia po ar-Raszidzie. Nastąpiło to w czasie, kiedy alchemik dobiegał już wieku dziewięćdziesięciu dwóch lat.

– A o jakich sekretach traktuje to dzieło? Czyżby Dżabir podawał przepis na wyrób złota? – ironicznie spytał Omar. Dłońmi wciąż gładził księgę, ale nie odważył się jej otworzyć.

– Nie jesteś tak daleki od prawdy, Omarze. Dżabir pierwszy na świecie wytworzył stal, zaprojektował pierwszy znany alembik, pierwszy otrzymał kwas solny i odkrył chlorek amonu. Lecz najwartościowsze arkana wiedzy Haruna ar-Raszida zawarł w książce, którą trzymasz w dłoniach. Wszystkie zaś są związane z poszukiwaniami kamienia filozoficznego i nieśmiertelności.

– Naszymi odwiecznymi poszukiwaniami...

– Według ar-Raszida jedynie garstka ludzi w dziejach świata poznała dar życia wiecznego. A udało im się to za sprawą eliksirów, takich jak te spisane w tej księdze. Niestety, żaden z zebranych przez niego przepisów nie jest doskonały. Wszystkie pochodzą z innego tekstu, traktatu zapisanego przez dawnych bogów egipskich, który wciąż pozostaje skryty wewnątrz Wielkiej Piramidy.

– Znam te opowieści, mistrzu. Być może zawierają krztynę prawdy, lecz jest ona tak drobna, że na nic się nam nie zda.

– To nie opowieści. To tradycje. To dwie różne rzeczy.

– W porządku. To dlatego nikt nie próbował znaleźć tej księgi w piramidach?

– I tutaj się mylisz – uśmiechnął się Gamal. – Uczynił to sam al Mamun. Uwierzył co do joty w wyznania starego alchemika i w 204⁵ roku najechał Kair tylko po to, żeby jego najlepsi architekci przewiercili Wielką Piramidę i namierzyli komnatę zawierającą rzeczoną księgę. Dzięki temu przedsięwzięciu do Egiptu dotarł islam!

– I domyślam się, że al Mamun jej nie znalazł.

Gamal w przyjaznym geście uniósł dłonie ku Omarowi.

– Słusznie się domyślasz, Omarze. Stało się tak, mimo że al Mamun badał piramidę przez długie miesiące, nie szczędząc przy tym wysiłków. Wielka Piramida przedstawiała się wówczas zupełnie inaczej niż obecnie. Nie zaczęto jej jeszcze grabić na potrzeby meczetów budowanych w Kairze i zachowywała wciąż swoją strukturę o gładkich i nieprzepuszczalnych ścianach. Wyobraź sobie: sułtan był zmuszony opalać jej zewnętrzne bloki ogniem palenisk, aby następnie, kiedy były już rozgrzane do czerwoności, powodować w nich pęknięcia przez polewanie zimnym octem. Pokonawszy tę pierwszą przeszkodę, wydrążył poziomą galerię, natykając się w końcu na sieć wewnętrznych korytarzy. Ale nawet wówczas nie znalazł w nich ani księgi, ani skarbów, które – jak zakładano – powinny być gdzieś w nich ukryte.

Na wspomnienie o skarbach Omar uniósł brwi.

– Jak słusznie stwierdzasz, al Mamun nie znalazł niczego – kontynuował starzec. – Rozczarowany poprzysiągł, że tak on, jak i jego następcy będą mieli oko na wszystkich potomków Haruna ar-Raszida, aż w końcu któryś z nich wyjawi położenie komnaty i ukrytej w piramidzie *Księgi wiedzy i życia*...

– A ja jedną z tych potomkiń straciłem z oczu – załamał się Omar.

– Owszem, Omarze, to właśnie uczyniłeś. A być może to ona stanowi dla nas ostatnią szansę na dotarcie do sekretów tej księgi, żebyśmy nie zostali jedynie z tym jej substytutem.

Zalim ucałował starą *Księgę wag* i zwrócił ją Gamalowi, jak gdyby nie był godzin więcej dotykać tej relikwii.

– Nie zasłużyłem, żeby to wiedzieć, mistrzu – wymamrotał gorzko. – Żałuję mojej nieskończonej głupoty.

– Omarze... – W oczach starca rozbliżyła iskierka miłosierdzia. – Nie pokazywałem ci tej księgi ani nie opowiadałem tej historii po to, żeby cię dobić. Uczyniłem to, aby ci przypomnieć, że, mimo wszystko, jesteś na dobrej drodze. Że musisz być silny. I że wszelkie znaki wskazują na to, że człowiek, który zasługuje na to, by otrzymać oryginał księgi, znajduje się już w Egipcie...

– I jest nim Napoleon Bonaparte, już to wiem.

Omar dopił jednym łykiem podaną mu w dzbanie zimną wodę.

– Nie popadaj więcej w ten ton o smaku klęski, to rozkaz – zganiał go Gamal. – Znalazłem kolejny dowód na to, że jesteśmy na właściwym szlaku – dodał, podając mu kartkę zapisaną bardzo niezdarnie stawianym pismem arabskim i tekstem po francusku. – Proszę, przeczytaj.

Omar odebrał skrawek papieru, pomięty i wybrudzony, po czym odczytał na głos:

– „Kadi, szejkwowie, imamowie: przybywam przywrócić wasze prawa wbrew uzurpatorom. Wielbię Allacha bardziej, niż czynią to mamelucy, wasi ciemężyciele, szanuję także Mahometa i zachwycający Koran”.

Notatka była podpisana przez dowódcę wojsk francuskich w Kairze i według Gamala została rozpowszechniona i odczytana przez jego ludzi we wszystkich osiedlach i wioskach w okolicy Luksoru.

– I co to znaczy?

– To, Omarze, stanowi potwierdzenie. To każe nam zwrócić uwagę i odzyskać wiarę – oznajmił, mrużąc oczy. – Ta karteczka dowodzi, że Bonaparte nosi się z zamiarami wykraczającymi daleko poza cele czysto militarne.

– Czyżbyś wątpił w to, że Bonaparte jest człowiekiem, na którego czekaliśmy?

– Już nie wątpię, mój synu. Choć mówimy tu o niewiernym. O kimś, kto nie wie nic o alchemii.

– Tego nie wiemy.

– Nasze tradycje są jego ojczyźnie absolutnie obce – odparł starzec.

– Lecz to samo przydarzyło się już z Jeszua. Błękitni mędracy podejmują decyzje bez widocznego uzasadnienia.

Starzec zamyślił się przez chwilę. Następnie upuścił *Księgę wag* na stół. Tom, choć niegruby, mocno uderzył o blat, wzbijając w powietrze niewielki obłok kurzu. Imam odpędził pył dłonią i kontynuował:

– Być może istnieje jednak powód, dla którego zwrócili uwagę akurat na Francuza.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Wiesz, kiedy Rzymianie najechali Egipt i zajęli Aleksandrię, zabrali ze sobą setki drogocennych dokumentów, takich jak ten. Następnie księgi te zostały przetłumaczone na języki niewiernych. Dotarły do Hiszpanii, do prawosławnych klasztorów w Grecji, a z nastaniem epoki renesansu dostały się w ręce księgarzy i drukarzy z Włoch i Francji.

– A kto o tym wie?

– W rzeczywistości było o tym wiadomo już w czasach ar-Raszida. A teraz najciekawsze: ponieważ żaden z jego spadkobierców nie był w stanie odszukać *Księgi wiedzy i życia* w Wielkiej Piramidzie, uznali, że być może wskazówki co do jej umiejscowienia uda się odnaleźć w tekstach takich jak ten – oznajmił, uderzając w okładkę księgi. – W ich poszukiwaniu ludzie ci zjeździli cały basen Morza Śródziemnego. Kiedy więc we Francji

natknęli się na alchemików posługujących się pojęciami, które mogli zaczerpnąć wyłącznie z *Księgi wiedzy i życia*, wyruszyli ich tropem.

– I ich odszukali?

– Wygląda na to, że bez większego wysiłku. Członkowie klanu ben Raszidów rzeczywiście ich odnaleźli, ale okazali się oni tak niewprawni, że ci pierwsi postanowili ich doksztąpić.

– Podzielili się swoją wiedzą z niewiernymi?

Gamal przytaknął.

– Otóż to. Podejrzewam, że była to kwestia *maat*. Kwestia zrównoważenia ich ignorancji i naszej wiedzy. Wiedziałaś, że posunęli się nawet do wybudowania w Europie piramid, aby odtwarzać w nich rytuały nieśmiertelności? Wiedziałaś, że niektórzy ich wyznawcy nawet się o nią otarli?

O tym Omar nie słyszał.

– Nic ci nie mówi nazwisko Nicolasa Flamela, paryskiego alchemika, którego zwłok nigdy nie znaleziono i o którym się mówi, że żył ponad dwieście lat? Albo czy nie słyszałaś nigdy o jakimś hrabim de Saint-Germain, owianym sławą nieśmiertelnego? Otóż obaj, Omarze, byli Francuzami. I byli o włos od zdobycia dla siebie czegoś, co przynależy Egiptowi.

– Ci Europejczycy są tacy ambitni. Wszystko chcą mieć dla siebie – mruknął.

– Nie tym powinniśmy się przejmować. Dla nas liczy się to, czy sami Europejczycy wiedzą, czego szukają. Porozmawiaj z nimi. Postaraj się zaskarbić sobie ich zaufanie. Spotkaj się z Bonapartem, a kiedy nadejdzie pora, odbierz im to, co nasze. Ty to możesz zrobić.

Omar przez chwilę zastanawiał się nad tym, co usłyszał.

– Ale nie uda mi się, mistrzu, jeśli najpierw nie odzyskam Nadii – zauważył z żalem.

– Wiem. Dlatego podsuwam ci pewien pomysł: udaj się do grobowca Amenhotepa. Odczytaj tamtejsze teksty. Z pomocą jego potężnych zaklęć przywołaj Nadię ben Raszid, a dowiesz się, gdzie jest.

– Aby przywołać żywą duszę, trzeba innej zadać śmierć. Tak mówi *maat*.

Wówczas na obliczu Gamala odmalował się złowieszczy uśmiech.

– Nie powiesz mi chyba, że wielki Omar Zalim nie ma kogo poświęcić dla słusznej sprawy?

ROZDZIAŁ 23

WIELKA PIRAMIDA, PŁASKOWYŻ GIZA

Na wspomnienie incydentu z napojem Bonapartego przebiegł dreszcz. Niedobrze. A już prawie udało mu się o tym zupełnie zapomnieć.

Ponownie ogarnęło go poczucie, jak gdyby miał w żołądku wir. Dokładnie pamiętał, jak oczy mu zaszyły mgłą, jak po wypiciu ostatniego łyku umysł mu się zaćmił, a jakaś straszliwa siła, potężna i nieustępliwa, wzięła go we władanie w tej lichej nazaretańskiej chacie.

Ostatnią świadomą myśl poświęcił kobiecie, która przyśniła mu się na krótko przed spotkaniem z błękitnymi mędrkami. Izyda, która przestrzegła go, że tylko miłość będzie mogła go uratować, poruszyła go bardziej, niż mógłby przypuszczać. Wspomnienie jej oczu o barwie morskiej toni wryło mu się w pamięć jakby wypalone ogniem. Nadal jednak elementy tej niesamowitej układanki, która się przed nim otwierała, nie zdawały się do siebie pasować. Do czego zmierzały te wszystkie wspomnienia? Dlaczego piramida ukazywała mu to wszystko?

Skutki działania mikstury, którą błękitni mędracy podali mu do wypicia, okazały się natychmiastowe. Wyczerpany wysiłkiem, jaki wkładał w pokonanie senności, Bonaparte poddał im się bez słowa. Jeśli właśnie został otruty – pomyślał w ostatnim prześlasku samoświadomości – substancja ta niebawem go zabije. W innym razie czcigodny Balasan okaże się mężem godnym zaufania po wsze czasy...

Kolejny spazm pozbawił go przytomności.

Jakże to ciekawe: skutek działania eliksiru na swój sposób nie różnił się zbyt od tego, co działo się z nim teraz wewnątrz Wielkiej Piramidy. Wciąż rozciągnięty w granitowym sarkofagu, uśmiechnął się na myśl o nieprzewidywalnych kolejach losu. Zupełnie jakby jego umysł przybrał formę tych pokrytych polichromiami rosyjskich laleczek, które idealnie pasują jedna w drugą. Na tej samej zasadzie rozważanie innego wspomnienia prowadziło go ku jeszcze głębszym zakamarkom pamięci.

W Nazarecie eliksir od mędrców cofnął go ku nadzwyczajnemu zdarzeniu, w którym on sam uczestniczył przed laty i o którym niemal zupełnie zapomniał.

„Przedziwne zakłęcie – pomyślał. – Najwyraźniej to tak w tym miejscu opróżnia się duszę...”

Piramida i napój, wydedukował, najwyraźniej stanowiły coś w rodzaju maszyny wspomnień. Elixir pozwalał pamięci się rozluźnić.

Bonaparte na powrót poczuł, jak chata w Nazarecie rozplywa mu się w oczach. Mikstura od Balasana przeniosła go do pewnego konkretnego dnia w Paryżu, trzy lata przed wyprawą do

Egiptu.

Od tej chwili widział przed sobą starą i zawilgłą bramę budynku we francuskiej stolicy, pod numerem trzynastym rue de l'Estrapade. Całą jego percepcję zajęła podupadła fasada budowli.

Wiedział, że jest 12 sierpnia 1795 roku.

Czego, według błękitnych mędrców, miał się tutaj dopatrzeć?

ROZDZIAŁ 24

CZTERY LATA WCZEŚNIEJ
PARYŻ, 12 SIERPNI 1795 ROKU

Napoleon Bonaparte, artylerzysta, wciąż jako generał brygady niepewny swojego losu, postanowił zakpić z przyszłości, tak jak wiele razy czyniła to w rodzinnym Ajaccio jego rodzina. Cóż miał do stracenia? Jedynym, o co musiał się zatroszczyć, było utrzymanie swojej decyzji w absolutnej tajemnicy.

I słusznie.

Zawodowi wojskowi, koledzy z akademii, od dłuższego już czasu spoglądali na niego z zawiścią. On zaś był biedny, pochodził z Korsyki, nie miał potężnych protektorów, uważano go za obrońcę idei Robespierre'a, poza tym pozostawał odporny na ich prowokacje. Wiedział, że te miernoty nienawidzą jego geniuszu, jego prawości i osiągnięć w nauce.

W tak przedstawiających się uwarunkowaniach ostatnim, na co mógłby sobie pozwolić, było przydawanie nieprzyjaciółom argumentów przeciwko samemu sobie.

Lato 1795 roku było najcięższe w jego karierze. Pracował dorywczo przy sporządzaniu map i wyobrażał sobie nierealne kampanie przeciwko Włochom i Turcji. Był to jego swoisty sposób na unikanie myślenia o własnej przyszłości. Czego bowiem mógł oczekiwać od życia dwudziestopięcioletni generał, bez konkretnych perspektyw, osaczony przez zamkniętą i skostniałą kastę wojskowych, pośród których przyjdzie mu spędzić jeszcze wiele lat?

Wątpliwości go przytłaczały.

Tego dusznego sierpniowego poranka, zdeterminowany za wszelką cenę wyjaśnić kwestię swojej przyszłości, opuścił pokój w Hôtel des Patriotes Hollandais przy rue Saint Roch i udał się ku paryskim wzgórzom.

Gdy dotarł na miejsce, przeszukał kieszenie surduta. Po chwili odnalazł skrawek papieru, który poprzedniego popołudnia wzbudził w nim takie zainteresowanie. Ocierając pot z czoła, przeczytał go raz jeszcze:

Bonaventure Guyon, profesor nauk niebieskich

Udziela niezawodnych porad dotyczących spraw wszelakich, szczęśliwej i nieszczęśliwej przyszłości, obywatelkom i obywatelom Paryża. Szczególnie przepowiada przyszłe tryumfy Ojczyzny. Wyjawi dziewczętom tożsamość uwodzicieli, którzy na nie czyhają, i męża, który uczyni je szczęśliwymi. Przepowiada rodzicom fach, w którym dzieci zdobędą fortunę i sławę. A za wszystkie te patriotyczne przepowiednie przyjmuje

wyłącznie dobrowolne wpłaty, i to jedynie wtedy, gdy dowiedzie swojej biegłości w Nauce Rzeczy Przyszłych przez bardzo dokładne odgadnięcie Rzeczy Przeszłych.

Przyjmuje od wschodu do zachodu słońca.

Uznał, że właśnie tego mu trzeba – zdolnego i niedrogo astrologa, który wskaże mu, jaką ścieżką powinien podążać.

Bonaparte ponownie wczytał się w ogłoszenie, aby upewnić się co do adresu. Wypisane wilgotnym atramentem litery rozwiały wszelkie wątpliwości: była to ta posiadłość, dokładnie na szczycie Góry Świętej Genowefy, na tyłach paryskiego Panteonu.

Dostępu do bramy pod numerem trzynastym broniły przeżarte przez kołatki dębowe drzwi, które otworzył bez trudu. To, czego szukał, znajdowało się na końcu sieni. Zaczynał się tam bardzo długi ciąg schodów, który następnie przechodził w kolejny, krótszy, prowadzący do gołębnika. Tam właśnie, w głębi, na szóstym piętrze, niewymienionym pośród skrzynek na listy, przeczytał w końcu nazwisko profesora Guyona wypisane na miedzianej tabliczce.

– Proszę, proszę śmiało – mruknął głos po drugiej stronie drzwi. Najwyraźniej gospodarz usłyszał po drodze jego kroki. – Dziś za wejście nie policzę...

„Profesor nauk niebieskich” siedział za stołem zawalonym książkami i starymi planisferami. Biurko pokrywały konstelacje, skomplikowane zestawienia i wyliczenia oraz ponad pół tuzina wypalonych świeczek. Nad całym tym krajobrazem z wojskową władczością panował *monsieur* Guyon, człek o okrągłej twarzy pooranej zmarszczkami najróżniejszych rozmiarów, łysy i o skórze nakrapianej plamami. Astrolog podniósł wzrok, aby przyjrzeć się nowemu klientowi.

– Zapraszam, oficerze. Nie bójcie się. – Uśmiechnął się, odsłaniając poźółkłe uzębienie. – Siadajcie, gdzie chcecie. Za chwilę się wami zajmę.

Bonaparte zastosował się do wskazówek.

– Wiem, co sobie myślicie – wymamrotał Guyon, spoglądając na niego kątem oka. – Biedny wariat! Postradał umysł zamknięty w tej duchocie!

Generał nie otwierał ust. Usiadł na starej kanapie z rozprutym oparciem i czekał.

– Wiem, wiem... Metalowe pokrycie dachu bardzo pomaga w ogrzaniu tej kanciapy zimą – wyjaśnił przeproszającym tonem stary – ale latem to prawdziwe utrapienie.

– Za pozwoleniem, to wy jesteście profesor Guyon?

Pytanie sprawiło, że staruszek wyprostował się dumnie na krześle.

– A któż by inny, młodzieńcze? Nawet jeśli teraz trudno w to uwierzyć i sprawiam wrażenie biednego jak mysz kościelna, dawniej byłem majętny i otaczał mnie szacunek. Najwyraźniej jeszcze nie wiecie, że popadłem w niełaskę, ponieważ przepowiedziałem, że Ludwik XVI dokona żywota jako król bez głowy...

– Ja nie...

– I jak widzicie – kontynuował jednym tchem – Jego Wysokość odplacił mi za przestrożę wyrokiem. Gorzej, że później ci, którzy go ścięli, potraktowali mnie niczym parszywego psa, a to dlatego, że nie przepowiedziałem im powodzenia planowanego przez nich zamachu na władcę.

– Polityka to pasmo nieszczęść, *monsieur*.

Bonaventura Guyon przestał przekładać papiery na biurku i uważnie przyjrzał się klientowi.

– Jesteście może politykiem? – odchrząknął rozbawiony. – Mówiliście, że jak się nazywacie?

– Nie mówiłem.

– Panie...?

– Bonaparte – odpowiedział z dumą. – Napoleon Bonaparte. I nie jestem politykiem. Jestem generałem.

Astrolog uciekł spojrzeniem w bok, jak gdyby coś w myślach wyliczał. W rzeczywistości ganił siebie za swoje roztargnienie – nie zwrócił przecież uwagi na nieskazitelny mundur przybysza.

– Bona-parté – przesylabizował, smakując dźwięki. – Napo-leo Bonaparte... Generale, nie macie co się martwić o swoją przyszłość! Jest przesądzona, i to jak! Niemal tak, jak los Ludwika XVI. A przy okazji... Wiedzieliście, że w tarocie karta XVI to właśnie „ścięta wieża”? Nie wydaje się to wam ironiczne? Ścięta! Zupełnie jak król!

Szelmowsko uśmiechnięty od ucha do ucha Guyon nie czekał odpowiedzi. Astrolog z wielkim profesjonalizmem przystąpił do odczytywania przyszłości klienta z jego nazwiska, czemu ten przyglądał się oniemiały. Małym ogryzkiem kredy gospodarz zapisał coś na tablicy.

– Widzicie? Z waszego imienia i nazwiska można ułożyć niemal doskonale zdanie po łacinie – oznajmił wyraźnie ożywiony. – *Napoleo bona parte fruitur*. Napoleon cieszy się znaczną częścią, lwią częścią. Nie urodziliście się przypadkiem pod znakiem Lwa?

Generał pogładził się po podbródku z tym większym zdumieniem.

– Owszem. Za trzy dni mam urodziny.

– To wspaniale! Kiedy się urodziliście? W którym roku? I błagam, darujcie sobie te rewolucyjne formułki, chodzi mi o datę z kalendarza gregoriańskiego.

– W 1769 roku w Ajaccio na Korsyce.

– Włoch.

– Wyspa tego samego roku przeszła pod panowanie Francji – nadmienił Bonaparte.

– Ach, prawda! Najechaliśmy ją, czyż nie?

Bonaparte nie odpowiedział. Również tym razem Guyon bynajmniej tego nie oczekiwał. Ze spojrzeniem zagubionym w pliku papierów zapełnionych tablicami logarytmicznymi astrolog pogrążył się w zamyśleniu i przez kilka minut nie odezwał się ani słowem. Począł przesuwac

się z jednego końca stołu w drugi, jak gdyby cierpiał na jakieś natręctwo, które usiłował ukryć. Zadyszał. Co chwilę ocierał czoło chusteczką nieokreślonej barwy, aż w końcu parsknął.

– Proszę – zawołał wreszcie, opierając palec wskazujący na księżde efemeryd. – Co my tu mamy? Równo siedem dni przed waszym urodzeniem nad całą Europą, od Paryża po Kadyks, przeleciała kometa, która następnie zniknęła nad Teneryfą.

Następnie dodał tajemniczym tonem:

– To doprawdy interesujące... Kometa, wielka i bardzo jasna, pojawiła się u granic gwiazdozbioru Barana. Bez cienia wątpliwości to wspaniały sygnał.

– Sygnał? A co takiego oznacza?

– Proszę o cierpliwość – wyszeptał Guyon. – Astrologia to nauka wymagająca czasochłonnych obliczeń. Niemniej jednak na pierwszy rzut oka widzę, że jeśli urodziliście się 15 sierpnia, co w kalendarzu tebańskim odpowiada 23 stopniowi Lwa, z ogromnym prawdopodobieństwem osiągniecie powodzenie i fortunę. „Gwiazda królewska” wskazuje, że jesteście ambitni i nie stronicie od przygód. Zgromadzicie wielkie bogactwo...

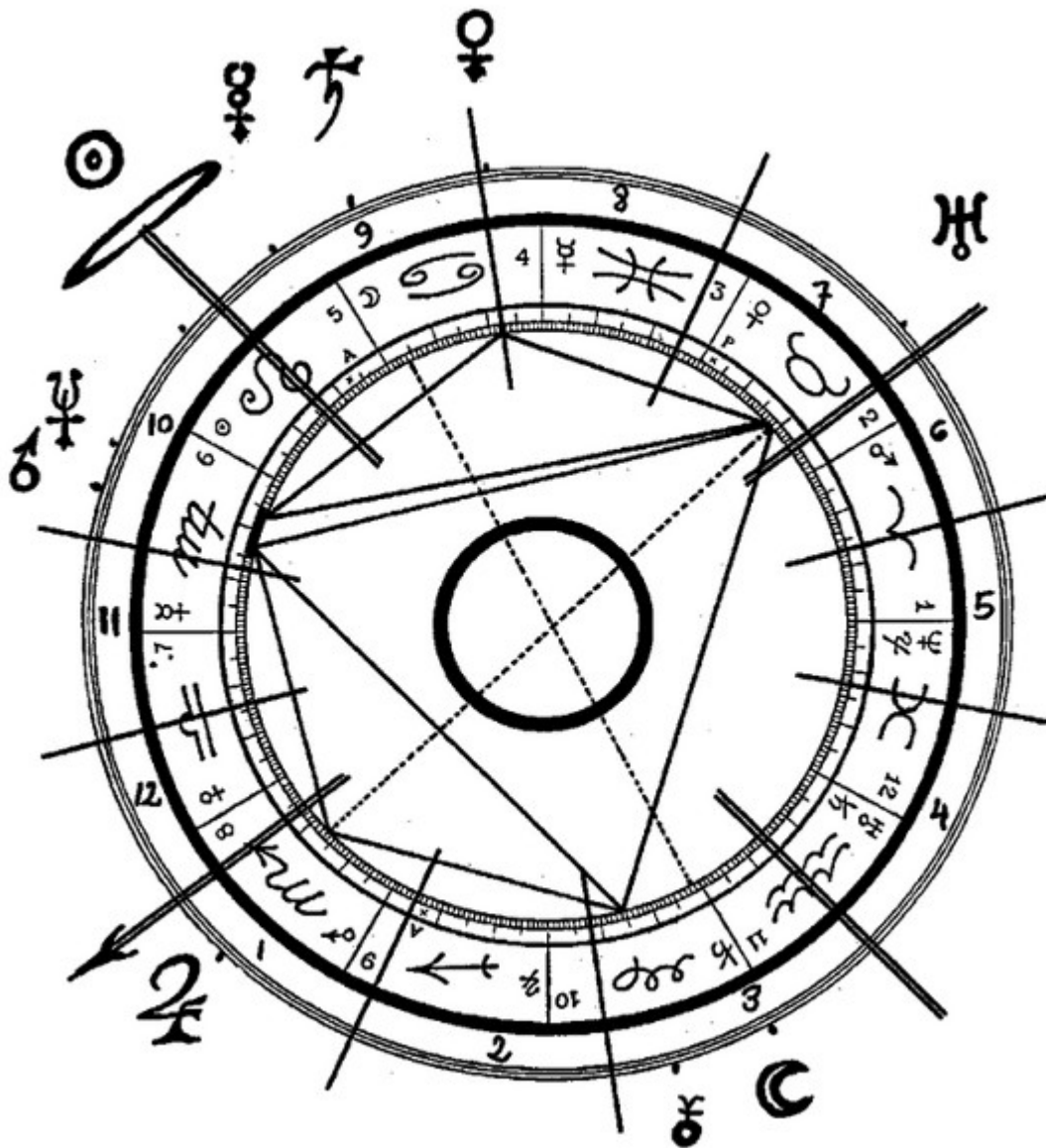
– Nie wychwalajcie mnie na próżno, mnie to niepotrzebne. Po waszej dyscyplinie, profesorze, oczekiwałem raczej konkretów.

– Ależ nie na próżno, generale! Gwiazdy i wasze imię wskazują, że macie siłę Lwa.

Przy użyciu cyrkla i linijki, nie odrywając wzroku od efemeryd z 1769 roku, Guyon wyrysował horoskop urodzeniowy Bonapartego. Figury opisane na trójkącie równobocznym utworzyły płataninę prostych i kątów, na których widok astrolog z niedowierzaniem uniósł brwi.

– Jesteście pewni, że urodziliście się w południe? – zapytał, nie odrywając spojrzenia od swoich wyliczeń. – I że było to 15 sierpnia?

Generał, rzecz jasna, na każde z pytań z pewną niechęcią odpowiedział twierdząco. Zaczynał wątpić, aby z tego galimatiasu mogło wyniknąć cokolwiek przydatnego dla określenia jego przyszłości.



HOROSKOP URODZENIOWY NAPOLEONA BONAPARTEGO

– Jesteście Lwem z ascendentem w Skorpionie. Wasz Księżyc znajduje się w Koziorożcu, w opozycji do Saturna, macie także Marsa ustawionego bardzo dobrze w znaku Panny. Będziecie wyśmienitym dowódcą polowym, *monsieur* Bonaparte.

– W porządku. Coś jeszcze?

– Cóż... – zawahał się. – Nie bierzcie tego sobie za pochlebstwo, ale połączenie Neptuna i Marsa w waszym horoskopie czyni z was jednostkę genialną. Musicie tylko wystrzegać się własnej tendencji do popadania w fatalizm. Opozycja Księżyca i Saturna wskazuje, że to jest właśnie słaby punkt waszej osobowości.

– Mówcie dalej.

Bonaparte w skupieniu i z niedowierzaniem przyglądał się własnemu horoskopowi. Jeśli to, co mówił Guyon, było prawdą, to oglądany właśnie arkusz papieru przedstawiał coś w rodzaju matematycznego portretu jego duszy, wierne odwzorowanie jego przeszłości, teraźniejszości i niepewnej przyszłości.

Guyon dalej wyłuskiwał szczegóły ze swoich wyliczeń, ale jego entuzjazm stopniowo z jakiejś przyczyny słabł. Wyglądało na to, że jest to horoskop osoby nad wyraz aktywnej, zainteresowanej okultyzmem w stopniu, który mógł mu pomóc w osiągnięciu władzy – tyle astrolog wydedukował, dojrzwawszy Jowisza w pobliżu ascendentu. Zarazem jednak wykres przedstawiał osobę o wyraźnym charakterze solarnym. Słońce w południu dnia jego narodzin potęgowało jego moc i magnetyzm Lwa, choć charakteryzowało go jako kogoś niezbyt uzdolnionego w sztuce prowadzenia konwersacji. Gwiazdy nie zdawały się zatem przepowiadać mu nic złego, mimo to „profesor nauk niebieskich” na koniec wykrzywił się w grymasie.

– Zobaczycie coś nie tak, Guyon?

– Nie, nie. – Odkaslnął i otarł sobie czoło. – Rzecz w tym, że nie widziałem równie korzystnego horoskopu od...

Starzec nie skończył zdania. Dotychczas gadatliwy astrolog ugryzł się w język, odwracając spojrzenie w bok. Bonaparte natychmiast zdał sobie sprawę, że coś jednak było nie tak.

Wówczas Guyon bez słowa podszedł do opartego o ścianę we wschodniej części strychu regału zastawionego kolbami, lampami naftowymi, móździerzami i buteleczkami z suszonymi roślinami. Wyglądało na to, że nagle musiał czegoś tam poszukać.

– Od kiedy, *monsieur*?

Na dźwięk pytania generała stanął jak wryty.

– Ach...! Od czasu, gdy byłem przeorem w opactwie trapistów.

– Wy? – dopytał zaskoczony Bonaparte. – Wy byliście duchownym?

– Właśnie – potwierdził astrolog. – Nie zwykłem wspominać o tych sprawach w rozmowach z klientami. Nie chciałbym ich spłoszyć...

– Z waszych ostatnich słów wynika, że nie jestem typowym klientem. Możecie mi zaufać. Nie obchodzi mnie wasza religijna przeszłość. Jeślibym was wydał, wszyscy w akademii wiedzieliby, że zwróciłem się o poradę do szarlatana, a to, wiercie mi, w ogóle nie ułatwiłoby mi dalszej kariery.

Guyon, choć nadal podejrzliwy, przyjął jego argumentację.

– W porządku, generale. Już wyjaśniam. Choć wątpię, aby kierujące mną powody was zainteresowały.

– Sam wolałbym to ocenić. Niewiele jest spraw, które by mnie nie interesowały.

– Wyśmienicie – uśmiechnął się Guyon, zacierając dłonie. – Posłuchajcie zatem. Astrologii nauczyłem się od bibliotekarzy opactwa w Lagny, którzy wprowadzili mnie także w tajniki

tarota i kabały. Tak wiele lat poświęciłem zgłębianiu tej wiedzy, że za panowania Ludwika XV *monseigneur* Rohan poprosił mnie, żebym przeniósł się na dwór i zajął wtajemniczeniem w nauki niebieskie samego monarchy.

– „Nauki niebieskie” to śliczny eufemizm.

– Nie mniejszym jest określanie naszych nowych władz mianem Komitetu Ocalenia Publicznego.

Bonaparte docenił zgryźliwość dawnego mnicha.

– Kontynuujcie.

– To właśnie na dworze miałem okazję ujrzeć horoskop identyczny jak wasz. Sporządziłem go dla niejakiego de Saint-Germain, który podówczas twierdził, jakoby miał ponad dwieście lat i który oczarował połowę dworu.

– Dwieście lat! Najwyraźniej jakiś bufon.

– Również tak uznałem, generale. Niemniej jednak księżę de Choiseul, zaufany człowiek Jego Wysokości, polecił swoim szpiegom, aby dowiedzieli się o tym jegomościu czegoś więcej. Niezbyt podobała mu się fascynacja, jaką budził w arystokratycznych damach.

– A kiedy to się działo?

– Jesienią 1765 roku.

– I co stwierdził de Choiseul?

– Niewiele, generale – odparł gospodarz. – Nie udało się znaleźć jego aktu urodzenia, żadnej wzmianki o jego przodkach, nie wiadomo było również, skąd czerpał środki, żeby dziś być w Paryżu, jutro w Amsterdamie, a za tydzień w Londynie. Zupełnie jakby spadł z nieba!

– Czyżby szpieg, *monsieur*?

– Jeśli tak, to całkiem niedyskretny, generale – zauważył Guyon. – Ubierał się jak człowiek zamożny, nigdy nie jadał w miejscach publicznych i odmawiał wyprawiania bankietów we własnym domu. Księża de Choiseul, z natury nieufnego aż do dnia śmierci przed dziesięcioma laty, zaniepokoiło to, że de Saint-Germain zaskarbił sobie zaufanie króla dzięki pewnym sztukom, które moglibyśmy określić... tajemnymi.

– Tajemnymi? – powtórzył Bonaparte. – Macie na myśli magię?

– Sami oceńcie, generale. Pewnego dnia Ludwik XV wręczył mu ogromny diament oszpecony wewnętrzną skazą. „Jesteście w stanie ją usunąć i sprawić, żebym dostał zań cztery tysiące franków?” – słyszałem, jak zapytał. Saint-Germain zabrał diament do domu, a po miesiącu oddał go Jego Wysokości w nieskazitelnym stanie. Kamień wielokrotnie wazono i badano. Nikt nie mógł w to uwierzyć. Klejnot utracił zaledwie kilka miligramów masy. To był ten sam diament, ale czysty.

– Jak on to zrobił?

– Bez wątpienia dzięki alchemii.

– I mówicie, że nikt nigdy nie wszedł do jego domu...

– Sami oceńcie: wobec niemożności ustalenia czegokolwiek w kwestii tego człowieka, książe de Choiseul poprosił mnie, żebym zyskał sobie jego zaufanie. „Człowiek Kościoła nie wzbudzi w nim podejrzeń” – założył. „Macie tyle czasu, ile będzie potrzeba”. I tak też uczyniłem.

– I coście stwierdzili?

– Że hrabia de Saint-Germain to człek więcej niż ciekawy. Kiedy spytałem go o datę i miejsce urodzenia, aby sporządzić mu horoskop, zawsze odpowiadał tak samo: „Urodziłem się w Nicei, spoglądając na Morze Śródziemne, ale musicie mi powiedzieć, datę którego z moich urodzeń wolicie do swojego horoskopu”. Uznałem, że to jakaś gra, jedna z jego szarad, później się jednak przekonałem, że tak nie jest. Że Saint-Germain istotnie był przekonany, że w ciągu dwóch ostatnich stuleci wielokrotnie umierał i się odradzał. „Powracam co osiemdziesiąt pięć lat. Sami wybierzcie datę” – nalegał.

– Znowu kłamstwa.

Bonaventure Guyon pokręcił głową. Wyglądało na to, że jego zdaniem sprawa nie była tak jednoznaczna.

– Hrabia podał mi pewną datę, 1509 rok, jako swoje „pierwsze narodziny”. Przy użyciu współrzędnych Nicei wykreśliłem jego horoskop i to wówczas ujrzałem, że jego główne linie, o ile mówił prawdę, wyglądają niemal identycznie jak te, które nakreśliłem wam. Miał w horoskopie takie same trójkąty jak wy: jeden z Uranem i jeden z Plutonem. Symbolizuje to ambicję i geniusz. On zatryumfował. Miał kobiety, podróżował, odniósł sukces. Wy, przyjacielu, zdobędziecie to samo... a może i więcej. Jesteście do siebie podobni, rzecz jasna, z punktu widzenia gwiazd.

– I czy również posiadam jego sekret umierania i ponownych narodzin?

Profesor niezwłocznie zdusił wyraźny w głosie Bonapartego ton sarkazmu.

– Nawet to osiągniecie, o ile będziecie szukać. Gwarantuję wam to.

– Jak możecie być tacy pewni? Tylko szalbierz lub szaleniec byłby gotów w coś podobnego uwierzyć...

Bonaventure Guyon, który już wcześniej zdał sobie sprawę ze słabego rozeznania swojego klienta w kwestiach niebiańskich, postanowił poprowadzić go w tym kierunku:

– W astrologii wszystko jest cykliczne, wiecie? Wszechświat ma formę sfery, tak więc wcześniej czy później wszystko się w nim powtarza.

– Również i horoskop?

– A czemuż by nie? – odparł. – Być może waszym przeznaczeniem jest powtórzyć los tego człowieka.

– Nikt nie odradza się cyklicznie! – zaprotestował Bonaparte.

– Jesteście pewni?

Pytanie Guyona było retoryczne. Starzec nie zaczekał na odpowiedź klienta i ciągnął dalej:

– Istnieje, *monsieur*, pewne stare prawo astrologii, o którym chciałbym wam opowiedzieć. Wiemy, że co trzydzieści lat Saturn powraca w to samo miejsce, w którym znajdował się w chwili narodzin danej osoby. To jeden z najbardziej nawracających cykli w naukach niebieskich. W wieku trzydziestu, sześćdziesięciu i dziewięćdziesięciu lat człowiek zmienia swój status. Tak jakby ponownie rodził się do nowej fazy życia.

– Nie wydaje mi się, aby na tym polegały działania de Saint-Germain...

– Ja was przed czymś przestrzegam, generale – przerwał mu Guyon. – Kiedy ukończycie trzydzieści lat, Saturn ponownie pojawi się w waszym dziewiątym domu, który oznacza filozofię życia oraz wielkie pytania o przeznaczenie i śmierć. Coś się wam przydarzy. I powiedziałbym, że to coś ściśle się wiąże z sekretem de Saint-Germain.

– W wieku trzydziestu lat? To jeszcze brakuje pięciu...

– Miną jak z biczem strzeł.

– Co mi zatem przepowiadacie na ten czas?

– Że kiedy nadejdzie ten wiek, wreszcie zrozumiecie, w jakim kierunku poprowadzić swoje życie. Wspomnijcie, że Jezus Chrystus został ochrzczony w wieku trzydziestu lat, że to właśnie wtedy przyjął rolę mesjasza i zaczął działalność publiczną. Ignacy Loyola został w tym wieku ranny w bitwie i w pewnej jaskini w pobliżu Montserrat, nieopodal Barcelony, postanowił wstąpić na drogę duchowną. To samo przydarzyło się Buddzie, a...

– Widać, profesorze, że weszło im to w nawyk. – Bonaparte uśmiechnął się kpiąco, obojętny na prorocstwo starca. – Powiedzcie mi coś innego. Jeśli chodzi o mnie, to gdzie, mój panie, będę szukać sensu życia i śmierci?

– Przede wszystkim bardzo daleko stąd. O reszcie zdecyduje Bóg.

– A jeśli tak się zdarzy, że wam za tę szaradę nie zapłacę?

– Nie płąćcie. Pierwsza wizyta jest za darmo. Uiście mi należność, kiedy powrócicie, generale – odparł niezrażony Guyon. – Los obdarzył mnie cierpliwością i wiem, że jeszcze będziecie potrzebować moich usług. W ten czy inny sposób się przekonacie, że jesteście mi coś dłużni. I że kiedy ukończycie trzydzieści lat, istotnie wszystko się dla was odmieni.

– W porządku – burknął. – Zaintrygowaliście mnie. Powiedzcie mi, gdzie mogę się więcej dowiedzieć o tym całym de Saint-Germain? Skoro mam już bliźniaka astralnego, to chętnie bym go poznał...

Wówczas Guyon obdarzył go tym samym co wcześniej szelmowskim uśmiechem.

– W tym celu, generale, nie potrzeba wam mojej pomocy. Cały Paryż już o nim słyszał.

ROZDZIAŁ 25

Cały Paryż?

Z braku lepszej rozrywki Bonaparte postanowił dla zabicia czasu niezwłocznie przetestować prawdziwość słów Guyona.

Ułatwiały mu to okoliczności historyczne. Choć cała Europa w każdej chwili mogła chwycić za broń – wówczas zaś potrzebowałyby swoich dobrze wyszkolonych generałów – Republika najwyraźniej postanowiła nie wikłać się w żadne konflikty zbrojne. Francja i Prusy dopiero co zawarły pokój w Bazylei, mało tego – w celu zapobieżenia wojnie realizowały politykę zwracania terytoriów Hiszpanii. Ludzie tacy jak on nie mieli gdzie szukać chwały.

Znużony beczynnością biurokratów, młody Bonaparte zdecydował się skupić aktywność na innym polu. Od swoich frustracji uwalniał się dzięki spotkaniom towarzyskim w modnych kawiarniach, takich jak Chez Laurent czy Procope. Pozwalały one jego umysłowi oderwać się od poważniejszych zmartwień, jednocześnie zaś – śledzić krążące po stolicy plotki. Jemu samemu łatwo przychodziło kierować te popołudniowe pogawędki ku tematowi, który akurat w danej chwili najbardziej go interesował, i na kilka dni właściwie je zmonopolizował tylko po to, żeby się przekonać, co w pewnych kręgach powiadano o tym osobliwym hrabim de Saint-Germain.

– Zniknął na krótko przed rewolucją. Wyparował!

Doulcetowi de Pontécoulant, jednemu z członków Komitetu Ocalenia Publicznego, z którym wszedł w najbliższe relacje, język rozwiązał się po drugim kieliszku czegoś mocniejszego. Bonaparte zaprosił go wraz z kilkoma innymi znamienitymi znajomymi do specjalnie zarezerwowanej sali w Procope. Napitki miały go kosztować majątek, miał jednak nadzieję zyskać jasność co do kilku spraw...

– Co za egzemplarz! – dodał w euforii de Pontécoulant. – W swoim czasie był na ustach wszystkich. Rewolucjoniści wszędzie go szukali, aby posłać go na gilotynę. Wyobraźcie sobie, obywatelu Bonaparte: w Wersalu znaleziono liczne listy do królowej, w których hrabia ostrzegał ją o istnieniu spisku mającego na celu zajęcie Bastylli i obalenie monarchii.

– I domyślałam się, że go nie znaleźli.

Bonaparte, ukrywając zainteresowanie, ponownie napełnił szklanekę przyjaciela aż po brzeg. Pozostali goście poszli jego śladem i wzniesli kolejny toast.

– Ani śladu! Jak gdyby zapadł się pod ziemię! – Komisarz jednym haustem opróżnił szkło. – A wierzcie mi, że taki człowiek, jak on, nigdzie nie uszedłby niezauważony.

– Taki człowiek, jak on? Rozwińcie, jeśli łaska.

– Dobrze – zawahał się. – Ten jegomość mówił we wszystkich językach, znał wszystkie kraje, malował, pisał, a na dodatek był wirtuozem klawikordu. Zaskarbił sobie względy wielkich dam dworu, obdarowując je flakonikami mikstur, które pozwalały im unikać zmarszczek. Do tego oszołomił je swoją erudycją poetycką: z taką samą łatwością recytował Dantego, co Moliera. Lecz najdziwniejsze jest to, że mimo ewidentnego powodzenia, jakim się cieszył, nigdy nie słyszano, aby z którąś z nich nawiązał romans. Nic cielesnego!

– Być może nie gustował w kobietach...

Julien Regnaud, młody kapitan rodem z Szampanii i kompan Bonapartego, rzucił komentarz takim tonem, jakby skazywał kogoś na gilotynę.

– Nie, nic z tych rzeczy. – Doulcet zaprzeczył gestem, w którym wyraźnie było znać wpływ alkoholu. – Saint-Germain musiał być jakimś mnichem lub może cierpiał na jakąś poważną chorobę weneryczną, nigdy bowiem nie słyszano, żeby wdał się w jakiś romans: ani z mężczyzną, ani z kobietą. Co więcej, często znikał z Paryża. Mawiał, że „potrzebuje odnowy” w swojej rodzinnej wiosce... czy coś podobnego.

– A wytłumaczył, jak zamierzał to osiągnąć?

– Bonaparte! – Komisarz wybuchnął gromkim śmiechem, ściągając na siebie uwagę wszystkich w lokalu. – Nie mówcie mi, że wy także chcecie osiąść sekret wiecznej młodości!

– Ale wyjaśnił to czy nie? – nalegał Regnaud.

Zainteresowanie ze strony oficerów sprawiło, że rozmówca zmienił nastawienie.

– Ciekawią was doprawdy osobliwe kwestie, obywatelu Bonaparte. A wy, kapitanie? Nie macie nic lepszego do roboty? Ja naprawdę nie wiem wiele więcej niż cała reszta tu obecnych...

– Poznaliście jednak ludzi, którzy mieli kontakt z Saint-Germain – przypomniał mu Bonaparte.

– Tak. I większość z nich już nie żyje.

– *Monsieur de Pontécoulant*, jesteście naiwny – parsknął kapitan Regnaud. – I z przykrością muszę przyznać wam rację: rzeczywiście tylko tracę tu swój czas.

– Mnie tym bardziej żal – odparował jadowicie Doulcet. – Czegóż bardziej bym nie pragnął, jak osiągnąć nieśmiertelność, choć, rzecz jasna, nie wyrzekając się przy tym seksu!

– Sądzicie, że Saint-Germain rozmyślnie zrezygnował z seksu?

– Któż to wie, kapitanie. – Złowieszczy uśmieszek *monsieur Doulceta* wzbudził w Regnaud obrzydzenie. – To tłumaczyłoby jednak, dlaczego tryumf osiągają zawsze jednostki wielkie duchem.

Rozpalony Regnaud uznał, że ten nieprzyzwoity komentarz stanowi aluzję do niego samego, i poczuł się urażony. Zanim więc pełniący honory gospodarza spotkania Bonaparte uczynił choćby gest, aby ostudzić emocje, kapitan opuścił salon, na pożegnanie donośnie zatrząskując

drzwi. Jego ostatni pomruk – Dureń! – nałożył się na kolejne pytanie Bonapartego, zahipnotyzowanego tymi doniesieniami.

– A zatem, *monsieur* de Pontécoulant, choćby wydało się to wam z mojej strony impertynencją, powiedzcie: czy hrabia de Saint-Germain wyjaśnił w końcu, w jaki sposób się regenerował, czy też nie? Skoro źródła waszej wiedzy już nie żyją – zauważył bardziej zdecydowanym tonem – nie musicie się ich obawiać ani bronić danego słowa.

Doulcet rozdygotaną ręką napełnił swój kieliszek i wypił go łąpczywie, zanim odpowiedział. Tymczasem grupka zaciekawionych żołnierzy utworzyła wokół nich zamieszanie, wymieniając się najrozmaitszymi komentarzami.

– Będę szczery, generale. Nie jestem wcale pewien – zastrzegł, starając się ukryć, w jak wielki ambaras wprawiało go mówienie o tej sprawie publicznie. – Musicie zrozumieć, że o hrabim tym krążą rozmaite, często wykluczające się wiadomości. Według niektórych jest to portugalski Żyd, zdaniem innych – prawowity syn Franciszka Leopolda Rakoczego, księcia Transylwanii, ponieważ swego czasu i tym tytułem się posługiwał.

– Naprawdę?

– Oczywiście. Sam nie wymyśliłbym czegoś równie wyszukanego.

– Bzdury!

– Wiem, wiem... Choć w Transylwanii krążą pogłoski o szlachcicach, którzy nieśmiertelność zawdzięczają picciu krwi ludzkiej lub w niej kąpielom. Choć z tego, co mi wiadomo, Saint-Germain odkrył pewną bardziej wyrafinowaną metodę osiągnięcia tego celu.

– Jaką, komisarzy? – naciskał Bonaparte.

– Już mówię, generale. Otóż słyszałem, że podczas swoich długich pobytów na terenie naszej kochanej Republiki wchodził na noc do piramidy, z której następnie wychodził odmłodzony.

– Przecież we Francji nie ma piramid!

– I tu się mylicie, obywatelu Bonaparte – przerwał mu z poczuciem wyższości de Pontécoulant. – Całkowicie się mylicie.

– Udowodnijcie.

– Przyjdźcie jutro do mojego gabinetu, a pokażę wam, gdzie je znajdziecie.

– Dużo wypiliście, *monsieur*.

– Mnóstwo zadaliście pytań, generale.

ROZDZIAŁ 26

Tego poniedziałkowego poranka z Pawilonu Flory roztaczał się wspaniały widok na ogrody Tuileries. Okienka na poddaszu dawnego Pałacu Królewskiego pozwalały dojrzeć bujny labirynt fontann i posągów zaprojektowany zgodnie z gustem świętego króla Ludwika. Sam gmach sprawiał wrażenie przepychu. Choć już od pewnego czasu nie był rezydencją monarchy, wciąż można było dostrzec jego dostojność i wyniosłość, tak mocno – mogłoby się wydawać – kontrastującą z ludowym duchem rewolucji.

Na szóstym piętrze budynku, na korytarzach prowadzących do pomieszczeń służby kartograficznej, gdzie pracował de Pontécoulant, panowała martwa cisza. Nad czym bowiem mieliby pracować? Dyrektoriat i tak nie zamierzał wykorzystać ich map w żadnej kampanii wojskowej.

Zanim Napoleon Bonaparte, wystrojony w ubranie wizytowe, uczesany i wyperfumowany, przekroczył próg gabinetu o najbardziej zdobionych drzwiach, jeszcze raz nacieszył oko widocznym na zewnątrz krajobrazem. Miejsce działało upajająco, stanowiło idealne przedstawienie władzy doczesnej. Z takiego miejsca – zamyślił się przez chwilę marzycielsko – dobry strateg mógłby podporządkować sobie cywilizowany świat. Strateg... taki jak on.

Stukot obcasów urzędnika wyrwał go z rozmyślań.

– Obywatelu Bonaparte, komisarz de Pontécoulant oczekuje was w swoim gabinecie.

Musiał ugryźć się w język, aby nie odpowiedzieć złośliwie pedelowi. Nie był przecież zwykłym obywatelem. Miał swój tytuł – był generałem. „Trzeba było ubrać się w mundur” – zganił się w myślach.

De Pontécoulant, w pudrowanej peruce związanej na karku czarną tasiemką, wciąż zdradzał objawy kaca po minionej nocy. Choć nie wyglądał już jak birbant i hulaka, to w jego zaczerwienionych oczach można było dostrzec ślady niedawnych wybryków.

– Bonaparte! – zawołał z głębi gabinetu o ścianach obwieszonych wielkimi mapami Francji.

– Jesteście bardziej punktualni niż większość żołnierzy naszego dzielnego wojska.

– Nie miałem dziś nic lepszego do roboty, *monsieur*.

– Fantastycznie! – ucieszył się de Pontécoulant. – W takim razie już ja zapewnię wam rozrywkę.

W rzeczywistości Bonaparte bynajmniej nie darzył sympatią tej pluskwy w wytworknym fraku i z jedwabnymi lokami. Owszem, interesowała go ze względu na własne cele i tolerował ją o tyle, o ile mogła zapewnić mu dobre referencje u ministra Aubry lub u Barrasa, którego wszyscy określali mianem „króla Republiki”. Sam Barras już od pewnego czasu nie krył się

z przejawianą wobec niego sympatią. Bonaparte wiedział, że jego przyszłość wykuje się właśnie tutaj, w pałacowych korytarzach, nie zaś w glorii pól bitewnych wojny, na którą nigdy go nie wyślą...

– Komisarzu, mieliście mi pokazać, gdzie są te francuskie piramidy. Pamiętacie, prawda?

– Oczywiście! – uśmiechnął się wyfraczony lizus. – To mało znany temat, lecz przykuł moją uwagę, odkąd przydzielono mnie do departamentu topografii w Pawilonie Flory. Wczoraj przypomnieliście mi o nim, wzmiankując o tym lawirancie Saint-Germain.

– Bez wątplenia to pomyślny zbieg okoliczności.

– W rzeczy samej. Znacie pewnie Autun?

De Pontécoulant otworzył szufladkę w swoim biurku, wyciągnął z niej ołówek i zakreślił kółkiem niewielki punkt na najbliższej mapie, położony nieco powyżej Lyonu.

– Nie, proszę pana.

– Otóż tam znajduje się pierwsza z piramid... W rzeczywistości pozostała z niej jedynie sterta nieforemnych kamieni, które wciąż można obejrzyć, jeśli udać się drogą ku Vézelay lub Dijon, a następnie odbić wzdłuż rzeki Arroux.

De Pontécoulant mówił tak, jak gdyby Bonaparte miał za chwilę poprowadzić w tamte rejony ekspedycję.

– Sądzymy, że wzniesiono ją w czasach rzymskich, że być może służyła za grobowiec dla jakiegoś majątnego patrycjusza, nie byliśmy jednak w stanie ustalić w tej kwestii nic pewnego. Rzecz jasna, przeprowadziliśmy wykopaliska. Podjęli się tego inżynierowie od dróg i portów, nie natknęli się jednak na nic godnego uwagi. Nie znaleźli tam choćby nawet jednej srebrnej monety. Zupełnie nic.

– I powiadacie, *monsieur*, że gdzie to się znajduje?

– Znajduje się półtora kilometra od góry znanej jako Briscou. Nietrudno ją dostrzec, gdyż choć zburzona, musiała mierzyć siedemnaście metrów długości podstawy na jakieś dwadzieścia siedem metrów wysokości.

– Niczym dziesięciopiętrowa kamienica w centrum Paryża.

– Otóż to.

– Ale powiedzcie mi coś, komisarzu. Natrafiliście na jakikolwiek trop, który łączyłby tę piramidę z hrabią de Saint-Germain?

– Niestety, nie. Przebadaliśmy nawet pewne źródło, które bije dokładnie pod tą piramidą, mając nadzieję znaleźć ślady jakichś osobliwych rytuałów lub, kto wie, może nawet ukryty przez hrabiego skarb. Ale, jak już wspominałem, niczego nie znaleźliśmy. Absolutnie nic.

– Domyślam się zatem, że kontynuowaliście poszukiwania w innych miejscach.

– W osadzie Commelle nieopodal Orry-la-Ville odkryliśmy kolejną. Nawet mnie wydało się to niewiarygodne, że w samym środku Francji napotkaliśmy dwie starożytne piramidy. Na szczęście w tym drugim wypadku udało nam się ustalić nieco więcej. Wzniesiono ją w XIII

wieku jako komorę grobową miejscowego rodu szlacheckiego, lecz kiedy nasi ludzie weszli do jej środka, również nie zastali żadnych śladów niedawnego użytkowania...

– Co za pech – mlasnął językiem Bonaparte, jak gdyby wczuwał się w sytuację tego podlega de Pontécoulanta.

– Wiecie co, Bonaparte? W tamtym okresie, między 1100 a 1200 rokiem kalendarza chrześcijańskiego, wzniesiono w Europie największą liczbę piramid. Zupełnie jakby stawianie, oprócz gotyckich katedr, tego typu konstrukcji stało się swoistą modą.

– Modą, powiadacie?

– Nie wiem, jaki termin byłby tutaj odpowiedniejszy. Zresztą tylko ten rzeczownik pozwala mi uspokoić ciekawość. Staram się myśleć, że budowali te piramidy z przyczyn czysto estetycznych, i już.

Bonaparte skrzywił się, po czym odparł:

– Ale przecież wy, komisarzu, wiecie jak mało kto, że średniowiecze nie było epoką hedonistów. Wszystko, co wtedy powstawało, miało swój praktyczny cel. W wypadku katedr chodziło o uczczenie Maryi Dziewicy. Ale w wypadku tych piramid?

De Pontécoulant pokręcił głową, co nie powstrzymało generała przed postawieniem kolejnego pytania.

– Trzymacie mnie w niepewności, komisarzu. Co jeszcze znaleźliście w ramach prowadzonych prac badawczych?

– Trzecią piramidę! Być może najbardziej zdumiewającą z nich wszystkich.

– Doprawdy?

– Zlokalizowaliśmy ją na górze nieopodal Nicei. Czy może, dokładniej rzecz ujmując, nad samym miastem.

Na wzmiankę o Nicei Bonaparte wyteńczył słuch. Guyon wyznał mu przecież, że to tam Saint-Germain dostąpił jednego z ponownych narodzeń.

– Dlaczego akurat ta wydała wam się ciekawsza od pozostałych? – zapytał.

– Oczywiście ze względu na jej wyjątkowe położenie. Nie jest znowu taka duża, wiecie? Kiedy ją wzniesiono, mierzyła nie więcej jak dziewięć metrów wysokości, choć teraz została po niej jedynie platforma, która wciąż góruje nad miejską zatoką i skąd roztaczają się godne pozazdroszczenia widoki na Morze Śródziemne. Gdyby nie była, a bez wątpienia jest, piramidą, równie dobrze mogłaby stanowić fundamenty pod świętą latarnię morską...

– Mówcie dalej.

– Dojście do niej wiedzie przez osadę Falicon, kaprawą wioskę zawieszoną na zboczu Mont Chauve. Jest tak oddalona od świata, że kiedy się tam udaliśmy, musieliśmy oczyścić mnóstwo chaszczu, aby znowu stała się widoczna.

– Byliście tam osobiście? – zdumiał się Bonaparte. Trudno było sobie wyobrazić, aby ten brzuchaty typ był zdolny wspiąć się na cokolwiek innego jak schody do café Procope czy też

jakiegoś akurat modnego burdelu.

– Cóż, tak – uśmiechnął się z dumą. – Zgodziłem się przyłączyć do ekspedycji, kiedy powiadomiono mnie o doskonałym stanie piramidy i o tym, że nikt nie był w stanie orzec, czy była to budowla grecka, rzymska lub egipska.

– Egipska! Teraz już przesadzacie...

– W żadnym razie, generale. Choć we wsi nikt o niej nie słyszał, odkryliśmy dokument katastralny z XII wieku, który stwierdza, że jego właścicielem jest niejaki Ahmed, egipski kupiec bławatny, ceniony w otoczeniu ze względu na jakość importowanej bawełny. Poza tym natrafiliśmy na bardzo interesujący szczegół toponimiczny: nazwa Falicon pochodzi od słowa *faucon*, czyli sokół, ten zaś jest jednym z głównych drapieżników w ikonografii egipskiej. Horus, że wam przypomnę, był bogiem z głową sokoła.

– To by wszystko tłumaczyło, nie sądzicie, *monsieur de Pontécoulant*?

– Co chcecie przez to powiedzieć?

Bonaparte uśmiechnął się tajemniczo.

– To bardzo proste: że niejaki Ahmed, zatęskniwszy za ojczystymi piramidami, postanowił wybudować sobie identyczną, aby spocząć w niej na francuskiej ziemi. W tym celu zaś poszukał najodpowiedniejszej lokalizacji.

– Albo ją odziedziczył.

– Odziedziczył?

– Bardzo możliwe. Miejscowość Falicon już znacznie wcześniej zamieszkiwali Rzymianie. Można tam nawet trafić na pozostałości po podziemnym akwedukcie z tamtych czasów – oznajmił urzędnik.

– Ale Rzymianie nie stawiali piramid, *monsieur*.

– To nieprawda. W Rzymie, co powinniście wiedzieć, wciąż można podziwiać piramidę Gajusza Cestiusza, zbudowaną w czasach Augusta i stojącą nieopodal współczesnej Bramy Świętego Pawła. Poza tym, generale, co wiecie o piramidach?

– Niewiele – przyznał Bonaparte. – Coś jednak wiem. Dopiero co przeczytałem osobliwe dzieło, *Sethos histoire ou vie, tirée des monumens anecdotes de l'ancienne Egypte*. Znaście je?

– Zarówno dzieło, jak i jego autora. To ksiądz, uznany hellenista, opat Jean Terrasson.

– Mnie przyjemnie zaskoczyła. Opat Terrasson szczegółowo opisuje próby, jakim w ramach inicjacji król Seti poddał się w Wielkiej Piramidzie...

– Dużo przy tym fantazjuje, generale. Nasz poczciwy opat nigdy nie był w Egipcie.

– Sprawia jednak wrażenie, jakby o Setim wiedział wszystko.

– A któż z nas wie dostatecznie wiele o rządach niejakiego Setiego, żeby przyłapać go na błędzie? Nikt, mój drogi przyjacielu! Księża to specjaliści w czerpaniu korzyści z cudzej niewiedzy!

Doulcet, wyraźnie rozbudzony, zdjął z siebie frak i rzucił go na jedną z ustawionych w gabinecie sof. Jego koszula w odcieniu wanilii była mokra od potu.

– Wierzcie mi, ten pocziwy opat wszystko sobie zmyślił – oznajmił, wstrzymując oddech. – W Wielkiej Piramidzie nigdy nie przeprowadzano podobnych inicjacji. A gdyby nawet przeprowadzano, bardzo trudno jest mi uwierzyć w to, żeby opat Terrasson mógł o nich cokolwiek wiedzieć. Przecież, jeśli w ogóle się odbywały, musiały to być ceremonie potajemne, niedostępne niewiernym, i z pewnością popadły w niepamięć na długo przed przybyciem do Egiptu pierwszych chrześcijan.

– Nie jestem w stanie obalić waszych argumentów, *monsieur de Pontécoulant* – odparł niespodziewanie potulnie Bonaparte. – Z satysfakcją stwierdzam, że wiele się dziś od was nauczyłem. Szkoda, że żadna z naszych lektur, tym bardziej poświęcone Setiemu dziełko opata Terrassona, nie pomogła nam rozwiązać zagadki hrabiego de Saint-Germain.

– Co to, już wychodzicie? Nie przekazimy czegoś razem, generale?

– Muszę już iść, panie komisarzu. Inne obowiązki mnie wzywają.

– Czyżby piramida z Falicon?

Bonaparte wyśmiał jego sugestię.

– To, przyjacielu Doulcet, przy okazji odwiedzin w Nicei. Jeśli przyjdzie co do czego, dam wam znać.

ROZDZIAŁ 27

LUKSOR, ZACHODNI BRZEG NILU

11 SIERPNI 1799 ROKU, ŚWIT

Wąsik i niestarannie ogolona broda Jeana-Baptiste'a Prospera Jollois wdzięcznie zadrżały, jak zawsze wtedy, kiedy miał oznajmić coś uroczystego. Oficer wyhodował ten zarost w celu przewyciężenia młodzieńczego kompleksu i żeby do niedawno ukończonych dwudziestu trzech wiosen dodać jeszcze cztery albo pięć. Nienawidził, gdy żołnierze mówili o nim „młody”, i w przyływie geniuszu zażądał od nich ostatnio, aby odtąd zwracali się do niego wyłącznie przy użyciu jego wdzięcznie brzmiącego pierwszego nazwiska: Prosper.

– Jakże ironiczne to czasy, baronie! – zawołał, trzymając w dłoniach spory odłamek pokrytego polichromią gipsu, podczas gdy podchodził w górę zbocza. – Dwa dni temu weszliśmy do królewskiego grobowca, wydobyliśmy ten kamień wyrzeźbiony przed trzydziestoma wiekami, dziś zaś ten z naszej winy rozpada się jak piaskowiec...

– Bo to jest piaskowiec, Prosperze. Czegoście się spodziewali?

Szorstka odpowiedź Édouarda de Villiersa nie zbiła go z tropu. Skupiał się bardziej na tym, żeby nie przewrócić się na tej stromej stercie gruzu, nie zaś na gderaniu towarzysza.

– Nic wam to nie mówi o kruchości człowieka i jego wytworów?

– To wam się udało! – mruknął. – Czy w przerwach od taniego filozofowania byliście w stanie ustalić cokolwiek przydatnego na temat naszego nocnego przewodnika, tego całego Omara Zalima?

Delikatne oblicze młodego Prospera momentalnie stężało. De Villiers nierzadko wydawał mu rozkazy, i to zazwyczaj mało przyjemne.

– Omara? Prawdę powiedziawszy, nie dowiedziałem się zbyt wiele, baronie. Ten cały Omar zdaje się człowiekiem z dobrego rodu. W Luksorze jest otaczany podziwem. Uważają go za kogoś inteligentnego, czego zresztą dowodzi to, co opowiedział nam w świątyni.

– A nie zdumiała was ta jego chęć, żeby zobaczyć się z Bonapartem?

– Teraz, gdy o tym wspominać, istotnie. – Nabrał powietrza. – Zupełnie jakbyśmy byli bliskimi przyjaciółmi „naszego kaprała”!

Prosper nie odpowiedział. O mało nie potknął się na brzegu ścieżki, po czym wznowił marsz na zachód.

Dwóch inżynierów wstało bardzo wcześnie. Pragnęli dotrzeć do wejścia do grobowca, który odkryli za libijskimi wzgórzami. Zamierzali rozpocząć odgruzowywanie drogi do wnętrza, zanim słońce zawędruje za wysoko, a upał uniemożliwi pracę pod gołym niebem.

Niesamowite wyznania Omara pośród ruin w Luksorze na swój sposób ożywiły w nich nadzieję, że w miejscu wiecznego spoczynku Amenhotepa napotkają coś mogącego przynieść im wielką radość.

– A nie wydaje wam się dziwne, że my nie wiemy nic o Omarze, tymczasem on zdaje się być na bieżąco z naszymi posunięciami?

Nowe pytanie de Villiersa padło, gdy podchodzili akurat pod górę.

– Rzeczywiście, jest to coś dziwnego, baronie – przyznał zadyszany Prosper, który zaczynał sądzić, że jego towarzysz zamartwia się bez potrzeby. – Początkowo mnie to wystraszyło, wiecie? Pomyślałem nawet, że może to szpieg starego Djezzara, a przecież obaj nie mieliśmy broni!

Na wzmiankę o budzącym przestрах Rzeźniku de Villiersa przeszedł dreszcz.

– Naprawdę?

– Cóż... – odparł z żalem. – Z pewnością była to z mojej strony głupota.

– Nie, nie. Nic z tych rzeczy. Tego ranka doszły mnie wieści, że w kawiarni Yusufa zamordowano jakiegoś człowieka.

– W tej spelunie z tancerkami brzucha? Zawsze byliście człowiekiem dobrze poinformowanym... – zauważył, nie kryjąc w swoim głosie ironii.

– Nie wygłupiaj się, Prosperze! Mówią, że zabity to człowiek Omara. I że to on go zamordował... nawet go nie tknąwszy.

– Proszę! – Wyrwał mu się chichot. – Ci ludzie uwielbiają fantazjować. Sami już ich zresztą znacie. Wierzą w dziny i latające dywany. Nie powinniście się tym przejmować...

– Nie chodziło mi o to, żeby was nastraszyć. Myślcie sobie, co chcecie, ale mężczyzna ten miał kręgosłup pogruchotany na kawałki, a żołnierze, którzy odkryli jego zwłoki i przesłuchali świadków, przyszli także do mnie, żeby spytać, czy coś o tym wiem.

– Wy? – Prosper otworzył szeroko oczy. – A to dlaczego?

– Wygląda na to, przyjacielu, że Omar raczył o nas wspomnieć. Głośno wymienił nasze nazwiska, po czym poraził tego faceta wzrokiem. Wierzcie mi, Omarowi nie należy ufać.

Młodzińcy, zlani już potem, spojrzeli po sobie.

– Rodzi się pytanie, czy powinniśmy donieść o nim Bonapartemu, czy też wpakowalibyśmy się tylko w większe tarapaty. Koniec końców – dodał baron – jeśli Egipcjanie zabijają się między sobą, to nie jest to nasz problem. Im ich będzie mniej, tym lepiej!

Podejście do Doliny Małp zajęło kolejne pół godziny. Ciężar plecaków i nieporęczność dźwiganych teczek uczyniły marsz jeszcze bardziej uciążliwym. Po drodze Prosper i Édouard nie przestawali zachodzić w głowę nad zdarzeniem z kawiarni i nad tym, co teraz powinni uczynić. W końcu, pół godziny później, dotarli do nasypu z odsuniętej zawczasu ziemi i znaleźli się przed grobowcem Amenhotepa.

Jego ponowny widok zrobił na obu młodzieńcach wrażenie. Kwadratowe wejście wykute w skale macierzystej przypominało otwór nory. Mając je znowu przed oczami, baron najwyraźniej zdał sobie z czegoś sprawę.

– Dobry Boże! – zakrzyknął, łapiąc się za głowę. – Omar był w tym grobowcu!

– Co? – wzdrygnął się Prosper.

– Omar wszedł do grobowca Amenhotepa. On nas obserwował!

Inżynier w jednej chwili odrzucił plecak, jak gdyby nagle wydał mu się z ołowiu, i zaczął rozglądać się nerwowo na wszystkie strony, wypatrując Bóg wie czego.

– Co się z wami dzieje? Skąd wam to przyszło do głowy?

– Pamiętajcie, że wspominał nam, że Amenhotep również wykorzystywał symbol krzyża?

– Tak. Niezła bzdura!

– W żadnym razie! Wprost przeciwnie! – wykrzyknął. – W grobowcu Amenhotepa jest krzyż. Nie pamiętacie?

Prosper pogładził się po bródce, przysiadłszy metr od wejścia do grobowca. Odkryli ten pochówek zaledwie ponad dzień temu i mieli niewiele czasu, żeby rozejrzeć się pośród czterech imponujących ciągów schodów prowadzących w dół i w komorze zawierającej sarkofag. Wszystko, co w środku widział, było, jak pamiętał, rozbite i porzucane. Wszędzie leżały skorupy naczyń, płyty gipsu odpadłe pod wpływem wilgoci, a towarzyszył temu straszny fetor. Kamienny sarkofag został splądrowany nie wiadomo kiedy... Nie pamiętał jednak żadnego przeklętego krzyża.

De Villiers nalegał.

– Widzieliśmy! Tam, na dole!

– Ale gdzie?

– W sali z sarkofagiem! W trzeciej komnacie grobowca. Na ścianie. Jest ogromny!

Prosper poczynił wysiłek, by go sobie przypomnieć.

– To *ankh*, który ktoś, kto był tam przed nami, musiał poddać przeróbce. Z klasycznego *crux ansata* zrobił krzyż niemal chrześcijański... I on tam jest!

– Chcecie powiedzieć, że Omar go widział? Że wszedł do grobowca i...?

– Sądzę, że powinniśmy zawrócić – stwierdził niespokojny de Villiers. – I to już.

– Co? – mruknął niechętnie Prosper. – Mając w zasięgu ręki znalezisko tego kalibru? Postradaliście zmysły? Teraz nagle zaczęliście bać się Omara?

De Villiers nie odpowiedział.

– Na Boga! Zastanówcie się przez chwilę. Jeśli rzeczywiście tam na dole jest krzyż, to dla nas tylko lepiej! Nie rozumiecie? – Prosper zerwał się na równe nogi, aby bardziej podkreślić znaczenie swoich słów. – Jeżeli Bonaparte istotnie jest tak zainteresowany związkami Egiptu z chrześcijaństwem, jak przedstawił nam to Omar, to kiedy udowodnimy mu, że dawni faraonowie wykorzystywali symbolikę krzyża, przyzna nam po medalu.

– Ponieważ wykorzystywali – wymamrotał szorstko.

– Co takiego?

– Wiemy, że go wykorzystywali. – Spojrzał na niego surowo. – To nie będzie żadne odkrycie. Inni uczeni z naszej ekspedycji sporządzili już na ten temat referaty. Twierdzą, że było to narzędzie, z którego bogowie korzystali, dając życie faraonom.

Prosper uśmiechnął się od ucha do ucha.

– Widzicie? Wyjdzie, że Omar ma rację. W chrześcijaństwie krzyż nie oznacza wyłącznie narzędzia tortur, na którym skonał Jezus, ale jest to symbol zwycięstwa życia nad śmiercią.

– Uważajcie, co mówicie! – zganił go baron. – Wiecie, że za tego typu obserwację Giordano Bruno skończył na stosie? Ten poczciwy mnich przed trzystu laty napisał, że pierwsi chrześcijanie obrali krzyż na symbol swojej wiary po tym, jak zobaczyli, jak ważny był on dla Egipcjan.

– Naprawdę? I coś takiego stwierdził mnich?

– Otóż to. Nie Omar pierwszy zdał sobie sprawę...

– Mnie to obojętne! Posłuchajcie. – Złapał go za barki. – Zejdźmy do tego grobowca. Wskażcie mi ten wspaniały krzyż. Skopiujmy go. Przerysujmy. I napiszmy do Bonapartego, o wszystkim tym mu donosząc. On nas za to odznaczy! – nalegał.

De Villiers sapnął, odwracając wzrok od towarzysza.

– A co, jeśli Omar nas wyprzedził? Wówczas może to być niebezpieczne.

– Dalej, człowieku! To niemożliwe. Co myślicie? Że przez całą noc tylko siedział tu i na nas czekał?

Inżynier nie skończył wypowiadać ostatniego pytania, gdy z pogrążonego w chłodzie wejścia do grobowca rozległ się dziwny lament. Było to ciche wycie, niemal niesłyszalne, jak gdyby wnętrzości Ziemi również postanowiły włączyć się do rozmowy.

– Dobra – wzruszył ramionami, nie zwracając na to uwagi. – To wchodzimy czy nie?

ROZDZIAŁ 28

KAIR

11 SIERPNI 1799 ROKU, ŚWIT

Wyprawa Nadii i Alego do Kairu na pokładzie jednego z barkasów należących do klanu ben Raszidów trwała znacznie krócej, niż to przewidywali. Wiatr nadymał żagle przez cały czas trwania rejsu, jak gdyby sam Szu – egipski bóg wiatru – postanowił dopomóc im w dotarciu do celu. Może to równe tempo, z jakim statek posuwał się naprzód, może zaś szmer wód rzeki rozstępujących się przed jego kilem absorbował uwagę Doskonałej przez niemal całą podróż. O tej spokojnej porze, podczas gdy leżała na dziobie i liczyła gwiazdy, jej umysł przeskakiwał z myśli na myśl. Naszło ją wspomnienie o Fatimie, dodała sobie otuchy, odtwarzając w pamięci szczęśliwe lata spędzone w towarzystwie rodziców, aż wreszcie dla rozrywki cofnęła się do dni, kiedy dziadek uczył ją pływać i czytać.

Pośród tego rodzaju rozmyślań zniemacka dojrzała inny obraz. Nie był to w istocie sen. Ani nie było to wspomnienie, choć obraz ten nawiedził ją już kiedyś wcześniej. Rzecz w tym, że gdy mrugała powiekami, gubiąc spojrzenie w głębi gwiazdozbioru Wielkiej Niedźwiedzicy, ponownie objawiły jej się te same ciemne szpony, które tak przejęły ją w gospodzie w Esna.

Widzenie zburzyło jej spokój i Nadia poczuła lekki dreszcz.

Najpierw zapragnęła otrząsnąć się z tego uczucia. Zło, które zamykało się wokół ciemnookiego wojownika, jakiego wyobraziła sobie w chwili ucieczki z Luksoru, ponownie ją oszołomiło. Tym jednak razem posągowa sylwetka tajemniczego nieznajomego uwolniła się od niebezpieczeństwa i zwróciła się w jej stronę. Święty Boże! Wnet miała go o krok od siebie, skąd przewiercał ją swoim niepokojącym spojrzeniem. Nigdy dotąd tak się nie czuła w pobliżu mężczyzny. W jego zachowaniu było coś, co nieprzeparcie ją przyciągało. Nadia ujrzała, jak porusza ustami, jak gdyby chciał coś powiedzieć, i choć nie usłyszała nawet słowa, to wreszcie miała okazję ujrzeć jego oblicze. Wizja nie trwała długo. Akurat tyle, żeby zdołała poczuć zapach, który go otaczał. Aby spostrzec, że jego rysy nie były egipskie i że za niszczycielską i śmiercionośną energią, jakiej przydawał mu jego fach, krył się człowiek spragniony czułości, samotny i pragnący być kochanym. Lecz odkrycie to jeszcze bardziej nią wstrząsnęło. W tym momencie Doskonała czuła, że człowiek ten ją pociąga, czuła magnetyzm siły zarazem męskiej i słodkiej, którą chciała mieć tylko dla siebie. Ujrzała, jak za nim goni, jak rzuca wyzwanie siłom, które im groziły, a kiedy wreszcie wyobraziła sobie, jak chwyta go za ramiona i zbliża się do jego ust, żeby pocałować je pierwszy raz, wojownik zniknął, pograżając ją w całkowitym zagubieniu.

Tym razem jednak wizja pozostawiła jej jeszcze jedno wrażenie: pewność, że przeznaczenie tajemniczego nieznanego i jej własne były połączone. Że – jakkolwiek dziwne mogłoby się to wydawać – oboje należeli do siebie nawzajem. Że od wieków czekali na siebie i że te ciemne szpony uczynią wszystko, co w ich mocy, aby ich rozdzielić.

„Nie zdołają!” – obiecała samej sobie.

Przez dłuższą chwilę Nadia ponownie przywoływała w myśli całą tę sekwencję. Powtórzyła ją tyle razy, że ledwie zdała sobie sprawę, że tymczasem dotarli do Kairu. Dopiero kiedy odgłosy miasta wyrwały ją z zadumy, ten dziwny sen odsunął się na dalszy plan. Winne temu było tysiąc posrebrzanych półksiężyców na minaretach Zwycięskiej⁶. Ich błyski wyciągnęły ją z jej stanu, sprowadzając z powrotem do rzeczywistości. Nie tak daleko od meczetów, na przeciwnym krańcu jej pola widzenia, wznosiły się geometryczne sylwetki trzech pradawnych budowli. Nadia nie zdała sobie sprawy z ich obecności.

Musiała przyznać, że nigdy dotąd nie widziała sceny tak wspaniałej jak ta, która właśnie rozgrywała się na jej oczach: wielkie pontony otoczone mrowiem feluk i łodzi wiosłowych przesuwały się pozornie bez ładu ku pierwszym nabrzeżom stolicy. Tłoczące się na brzegu tłumy ludzi gestami i krzykami wydawały im polecenia, zagłuszając wezwania muezinów na pierwszą tego dnia modlitwę.

– Zrzucić żagle!

– Opuścić nabrzeże!

– Rzucić cumy!

Nadia w zdumieniu przyglądała się tym działaniom. W pozornym chaosie naraz dostrzegła idealny porządek. W rzeczy samej, przybicie do brzegu jednostki, którą podróżowali, przebiegło tak sprawnie, że zaledwie pół godziny później wraz z wujem mogła opuścić pokład.

Pierwsze, co zaskoczyło ją po zejściu na ląd, to ogromna liczba żołnierzy, którzy patrolowali okolice nabrzeża. Nadia i Ali nigdy dotąd nie widzieli naraz tylu Francuzów. Namioty polowe i zagrody z kozami i końmi ciągnęły się wzdłuż naturalnej granicy, jaka oddzielała żyzne ziemie od pożółkłego naskórka Sahary. Wyglądało na to, że nie ma tam nic do chronienia oprócz piasku, dlatego tak liczna obecność wojska wydawała się intrygująca, aż w końcu ktoś im objaśnił, że cudzoziemcy przygotowywali się do odparcia kolejnego ataku sił Djezzara.

– Sądzę, że wewnątrz miasta będziemy bardziej bezpieczni – uznał, słysząc to, Ali.

Nadia jednak nie odpowiedziała.

Nagle zaniemówiła, ujrawszy wspaniały krajobraz od strony pobliskiego płaskowyzu Gizy. Takiego widoku nie miała jeszcze okazji kontemplować. Przed jej oczyma – wyrosłe na pustyni niczym za sprawą magii – wznosiły się trzy wielkie piramidy Egiptu. Kamienne kolosy przypisywane Cheopsowi, Chefrenowi i Mykerinosowi stały w tym miejscu od czterech tysięcy lat, stanowiąc dla kraju gwarancję harmonii. „Mój Boże! To przecież *maat!*” – zauważyła z podziwem w myślach, nie otwierając ust. O tej porze za sprawą wschodzącego

słońca błyszcząły, jak gdyby były wykonane ze szczerego złota. Dzieliły ich od nich pewnie jakieś dwa kilometry, zdawały się jednak w zasięgu ręki. Nadia nie widziała dotąd nic podobnego. Żadna inna budowla nie przypominała tych trzech monumentów. W porównaniu z nimi ruiny starożytnych Teb stawały się bez znaczenia. Bryły te rozaczały osobliwą aurę. Były czyste. Doskonałe. Godne bogów. I zdawały się promieniować wiecznością.

– Idziemy?

Głos wuja wyrwał ją z transu.

– Co...? Tak, jasne.

Zanim opuścili Gizę, mieli jeszcze okazję wymienić spojrzenia ze Sfinksem śpiącym u stóp drugiej z piramid. Nadia odniosła wrażenie, że jego niewzruszone oblicze wita ją w tej okolicy, którą starożytni Egipcjanie określali mianem Rostau – miejsca nieśmiertelności. Z uliczki osiedla, gdzie się znajdowali, widok głowy wynurzającego się z piasków lwa wyrzeźbionego w kamieniu sprawiał wrażenie sygnału. To miejsce, ta bezkresna równina, szeptały jej, że oto przybyła do najbogatszego na świecie skarbcza tajemnic.

Przemyślenia przerwał jej śmiech Alego.

– Co cię tak śmieszy, wuju?

– A co mnie może śmieszyć? Ty!

– Ja? Wyśmiewasz się ze mnie?

– Nie, nie. – Uśmiechnął się. – Na twojej twarzy widać to samo zdumienie, jakie ogarnia cudzoziemców, którzy przyjeżdżają do Egiptu i po raz pierwszy widzą piramidy.

– Nigdy dotąd nie widziałam czegoś podobnego.

– I nie zobaczysz! – zawołał. – Nie ma na Ziemi niczego, co mogłoby się z nimi równać. Faraon Cheops już się o to zatroszczył. To, co tam zachował, nie ma sobie równych.

– Co przechowują piramidy, wuju? Co masz na myśli?

Zdumienie Nadii sprawiło, że twarz Alego rozświetlił tajemniczy uśmiech.

– Te obiekty, Nadiu, nie są po prostu budowlami. My widzimy w nich martwy kamień, lecz w rzeczywistości to kolosalne maszyny – oznajmił.

Piękne oblicze Doskonałej zmącił grymas zakłopotania.

– Maszyny?

– Piramidy to instrumenty boskiego pochodzenia. Zbudowano je dla osiągnięcia nieśmiertelności. Tamta – dodał, wskazując największą budowlę – była pierwsza. Wiem, że trudno to pojąć, ale tak właśnie mówią nasi patriarchowie.

– I... to działa?

Ali uśmiechnął się wobec naiwności pytania.

– Wiemy, że Wielką Piramidę wzniesiono z myślą o pierwszych rytuałach nieśmiertelności, jakie poznał nasz gatunek, i że po dziś dzień to sama piramida decyduje o tym, kto zasłużył na ten dar. Jest to bardzo stare miejsce. Teksty, które sterowały tym artefaktem i odbywającymi

się tam ceremoniami, zostały rozproszone przez bogów, aby nie wpadły w niepożądane ręce, i dziś niewiele osób wie, jak się nimi posługiwać...

Nadia spojrzała na wuja kątem oka.

– Dziadek Gabriel przed wieloma laty opowiedział mi coś podobnego.

– Oczywiście – przyznał. – Był jednym z naszych patriarchów. Był wtajemniczony w sekret. Znał treść tekstów.

– A ty? – przerwała mu. – Znasz je?

– Wiem, że istnieją, ale niewiele więcej – odpowiedział wymijająco. – Słyszałem o papirusach, które opowiadają o tym, jak budowniczy Wielkiej Piramidy zaczerpnął pomysł konstrukcji z innej budowli, wzniesionej przed tysiącami lat przez samych bogów⁷. Mówi się, że tę pierwotną piramidę wznosił w Heliopolis bóg Tot. Zwano ją „nieśmiertelną”, choć znana jest również jako „Inwentarz”. Wewnątrz niej była granitowa komora, która kryła w sobie okazałą skrzynię z krzemienia, ta zaś zawierała w sobie mniejszą, sporządzoną z brązu, kolejną ze srebra, a wreszcie ostatnią ze szczerzego złota, w której sam Tot złożył tajemnicę życia. Tylko ten, kto się w niej położy i przejdzie „próbę piramidy”, otrzyma dar od bogów...

– Jak na kogoś, kto nie jest patriarchą, dużo o tym wiesz.

– Mam dobrych mistrzów. Poza tym podsunęli mi odpowiednie lektury.

– Papirusy? – spytała ze zdumieniem.

– Nie. Podania – uściślił Ali. – O Inwentarzu czy nieśmiertelnej piramidzie wspomina podanie z czasów Cheopsa, „podanie Dzedefre”. Słyszałaś może o nim kiedyś?

– O Dzedefre?

Ali przytaknął.

– Dziadek nic ci nie wspominał?

Nadia zaprzeczyła ruchem głowy.

– Dzedefre był jednym z synów faraona Cheopsa – kontynuował, podnosząc wzrok ku imponującej budowli. – Tekst, o którym mówię, to jedno z najsłynniejszych dzieł epoki wielkich budowniczych.

– I to podanie tłumaczy, jak działa piramida?

– Mówi nam, że najcenniejsza w monumencie jest skrzynia, która zawierała mądrość boga Tota. To tam złożył formułę życia, którą powierzyła mu sama Izyda.

– Ale to tylko podanie...

– Masz rację. Choć powinnaś wiedzieć, że niektóre z nich powstały, aby przekazywać wielkie prawdy. To opowieści, które przechodzą z pokolenia na pokolenie, za nic mając sobie mijające wieki i złą pamięć ludzi, aż w końcu trafiają do uszu tych, którzy potrafią je zinterpretować i wydobyć z nich prawdziwy przekaz.

– A ty, oczywiście, wiesz, jak to zrobić... – uśmiechnęła się.

Tym razem Ali uniknął spojrzenia siostrzenicy i zatopił wzrok w horyzoncie za trzema piramidami. Niebawem słońce miało zacząć mocno grzać.

– Wiedzą to zawsze starcy – odparł w końcu. – W tego rodzaju opowieściach zawsze pojawia się jakiś sędziwy mędrzec, który zna odpowiedzi, których szukasz.

– Dzedefre był starcem?

– Ależ nie, nie. – Pokręcił głową. – Dzedefre odwiedził jednego z nich w Sakkarze. Tak zaczyna się ta opowieść. W tamtym czasie starzec ten był jedynym mieszkańcem Egiptu, który znał umiejscowienie Inwentarza, a nawet rozplanowanie jego tajemnych komnat. I to dzięki niemu i jego objaśnieniom faraon Cheops i jego syn mogli szczegółowo go odtworzyć w formie piramidy, którą teraz masz przed oczyma.

Nadia sapnęła.

– I odtworzyli także skrzynię Tota?

– Owszem. Ją też.

– Ale skoro Cheops nigdy nie miał dostępu do pierwotnej skrzyni, to ta jego na niewiele mu się zdała.

– Mylisz się. Egzemplarz Cheopsa zawiera tę samą mądrość, tę samą tajemnicę Izidy, co skrzynia z pierwotnego Inwentarza.

– Nie rozumiem, wuju. Jak to możliwe?

– Ponieważ nauki Tota nie są czymś namacalnym, Nadiu. Nie można ich ani ukraść, ani dostrzec, ani odczytać. W rzeczywistości nie można ich również przenieść z jednego miejsca w inne. Po prostu są. A otrzymuje się je, gdy ktoś, kto na nie zasłuży, dotrze do tej skrzyni w tej oto piramidzie, położy się w niej, aby umrzeć... i zmartwychwstanie!

ROZDZIAŁ 29

LUKSOR, ZACHODNI BRZEG NILU

11 SIERPNI 1799, ŚWIT

Niewielkie i błyszczące oczka sprawiły, że znieruchomieli.

Prosper – pierwszy, który wkroczył do grobowca Amenhotepa, usłyszawszy tajemnicze wycie – zaraz pożałował swojej śmiałości. W odległości mniej więcej metra od jego twarzy wysmukła sylwetka syczącej, uniesionej kobry z nabrzmiętym na szyi kapturem i łuskami połyskującymi niczym zwierciadła tarasowała mu przejście.

Baron nie zaczął jeszcze schodzić w dół pierwszego odcinka korytarza wejściowego, tak więc światło wpadające do środka dosyć dobrze oświetlało gada. Stworzenie balansowało na brzuchu, groźne i zarazem zaciekawione, z satysfakcją przyglądając się nowej ofierze. Gdyby nie blask jego spojrzenia, Jean-Baptiste Prosper Jollois mógłby uznać je za posążek. Na jego nieszczęście nim jednak nie było.

Inżynier instynktownie oszacował możliwości umknienia wężowi. Wstrząsnął nim dreszcz. Gdy tylko bestia skończy mu się przypatrywać, zaatakuje najbardziej odsłoniętą część jego ciała – być może szyję – i zanim się spostrzeże, zada mu śmierć.

Prosper nie odważył się krzyknąć. Przykucnięty, z rękami opartymi na ziemi, pogodził się z myślą, że nie ma drogi ucieczki. Wcześniej niż później kobra dostrzeże, jak mruga oczami, i jednym ruchem rzuci się, żeby go ukąsić. Wówczas owszem, zawyje z przerażenia, ale kiedy baron de Villiers go odnajdzie, będzie mógł już tylko wyciągnąć go, konającego, na powierzchnię. Skręcając się z bólu i przyciskając pięści do żołądka, Prosper wyzionie ducha bez chwili, żeby pomyśleć o matce, o siostrach, o letniej posiadłości w Aix-en-Provence czy o swoim psie Lucasie. Jego życie zagaśnie w ramionach barona, a wraz z nim wszelkie jego sny o potędze.

Ssss.

Wówczas godzina zasyczała.

Francuz uznał, że oto wybiła jego godzina.

Ssss.

Tymczasem jednak coś odwróciło uwagę kobry!

– Nie ruszajcie się, Prosper!

Polecenie wydane przez Édouarda de Villiersa zabrzmiało pewnie za jego plecami. Zdezorientowany gad zawahał się przez moment, jak gdyby nie mogąc się zdecydować, na który z celów rzucić się w pierwszej kolejności.

– Nie spuszczać jej z oczu – polecił cichym głosem de Villiers.

Prosper zastosował się do rady.

Przez cały czas pobytu w Egipcie żadnego rozkazu nie wypełnił równie skrupulatnie.

Znienacka coś z precyzją wybornego szermierza przecięło powietrze na wysokości jego prawego ucha. Błyszczące ostrze szabli Édouarda przecięło na pół szyję gada, który w ciszy, wstrząsany spazmami, opadł na kamień grobowca.

– Na Boga, baronie! – Prosper podniósł się pobladły. – Prawie ucięliście mi głowę!

– Cisza!

Prosper gestem pokazał, że nie rozumie.

„Dlaczego się nie cieszy?”

– Cisza – powtórzył cichym głosem. – Słuchajcie.

Obaj na moment zamilkli, nie wążąc się choćby tchnąć. Wycie, które usłyszeli niewiele wcześniej u wejścia do grobowca, ponownie rozbrzmiało pośród kamiennych zakamarków.

– Słyszycie? – mruknął de Villiers, wskazując ku ciemności, która rozciągała mu się pod stopami i w której nikał korytarz. – Miałem rację! Ktoś tu jest.

– Sprawdźmy kto.

– N... Nie.

Baron wykrzywił twarz w grymasie dezaprobaty, ale zanim się spostrzegł, jego towarzysz zdążył wysforować się kilka metrów naprzód, oświetlając sobie zejście niewielką lampą.

– Ale, Prosperze, co, jeśli czekają tam kolejne węże?

– Zaryzykujemy. Schodźcie!

Édouard de Villiers wyciągnął więc z kurtki kilka świeczek i czym prędzej je zapalił. Ich światło, nikłe wobec otaczającego mroku, zadrżało, jak gdyby wahało się, czy chce się dalej palić.

Baron miał rację: za dwoma pierwszymi ciągami stopni, w głębi galerii wykutej w skale i ozdobionej niezrozumiałymi dla nich scenami, dało się słyszeć pomruki ludzi. Początkowo był to zaledwie szmer. Głęboki hałas, który dobywał się z wnętrza ziemi i od którego obu Francuzom włos się zjeżył na głowie.

Żaden z nich nie odezwał się choćby słowem. Zeszli, starając się nie potrącić żadnego skalnego odłamka. Ludzkie sylwetki z twarzami psa, kurtyzany odziane w prześwitujące szaty o niemożliwej do opisanego wytworności i ptaki z rozłożonymi skrzydłami zdawały się nie spuszczać ich z oczu.

– Słuchajcie – szepnął Prosper. – Słyszycie?

Baron czym prędzej dogonił towarzysza. Zeszli przez kolejne dwa ciągi schodów, aż w głębi czegoś, co wydawało się większą komnatą, namierzili możliwe źródło odgłosów, które ich tak zaskoczyły. Inżynierowie zagasili lampy i pokonali sześć kroków dzielących ich od końca tego korytarza.

– To mi się nie podoba – wybełkotał de Villiers. – Jeśli nas nakryją, nie wyjdziemy stąd żywi.

Prosper nie zwrócił uwagi na przestrogę i odsuwając się od twarzy towarzysza, ostrożnie wychylił głowę, aby rzucić okiem do sąsiedniego pomieszczenia.

Przez kilka chwil nie reagował.

W głębi sali podzielonej na dwa poziomy i otoczonej przez sześć kolumn misternie ozdobionych nowymi figurami i hieroglifami znajdował się sarkofag, w którym – Prosper nie był tego pewien – zdawała się spoczywać mumia!

Światło było skąpe – całą komnatę oświetlał zaledwie tuzin lampek oliwnych. Mimo to zdołał odróżnić znajome i wypielęgnowane oblicze Omara Zalima, który pochylał się nad nieruchomą sylwetką w sarkofagu.

– Omar...! – wyszeptał.

– Mówiłem – usłyszał za plecami głos de Villiersa. – Chodźmy stąd!

– Poczekajcie...

Coś przykuło uwagę inżyniera. Mężczyzna, który przewodniczył temu zebraniu, nie był dokładnie tym samym, którego widzieli zawczasu w świątyni w Luksorze. Ten Omar nie przypominał fellacha, ale księcia. Miał na sobie delikatną lnianą tunikę przewiązaną skórzanym, wysadzonym kamieniami pasem, jego rysy były zaś wyraźniejsze, niż to zapamiętał. Oczy podmalował kohlem, na jego podbródku i policzkach można było dostrzec białawy blask, w którym inżynier z miejsca rozpoznał makijaż, ramiona były zaś osłonięte skórzanymi rzemieniami. Najbardziej jednak zdumiały go dwie rzeczy: ogromny hak, jaki Omar trzymał w prawej dłoni, i to, że chodził wokół mumii... ta zaś się poruszała!

Prosper wyteżył wzrok, aby się upewnić, że się nie myli. Nie było jednak cienia wątpliwości. Kimkolwiek była osoba, która spoczywała tam pod okiem Omara i jego ekstrawaganckiego grona kompanów w maskach przedstawiających głowy zwierząt, poruszała się tak, jakby nie chciała się tam znajdować.

Wówczas ci na poły ludzcy, na poły zwierzęcy uczestnicy ceremonii zaintonowali dziwną psalmodię:

Och, Ozyrysie!

Nie dopuściliśmy się niesprawiedliwości wobec ludzi.

Nie traktowaliśmy ich nikczemnie.

Nie dopuściliśmy się grzechów w Miejscu Prawdy.

Nie próbowaliśmy poznać tego, czego poznać nie należy.

Nie bluźniliśmy przeciwko Bogu.

Nie kazaliśmy nikomu cierpieć głodu.

Nie doprowadziliśmy do łez.

Nie miej za złe ofiary, którą teraz czynimy w twoim imieniu.

Inżynier się cofnął. Dwaj spośród przebierańców, jeden z głową szakala, drugi zaś w wykonanej z pokrytego polichromią drewna masce sokoła, odwrócili się, aby wziąć wielką wagę z brązu, która czekała pod jedną ze ścian pomieszczenia, bardzo blisko ich kryjówek. Podczas gdy ustawiali ją na miejscu, pogrążony w ekstazie Omar kontynuował samotnie recytację tej monotonnej litanii, lewe ramię przyłożywszy do splotu słonecznego:

Nie pomniejszałem ofiar składanych w świątyniach.

Nie zbrukałem boskiego chleba.

Nie spólkowałem z mężczyzną.

Nie uprawiałem samogwałtu w miejscach świętych należących do boga mojego miasta.

Nie polowałem w szuwarach bogów.

Nie łowiłem ryb w ich lagunach.

Nie wznosiłem tam przeciw wodom.

Nie przeciwstawiłem się żadnej procesji.

Jestem czysty!

Jestem czysty!

Jestem czysty!

Po czym dodał:

Och, Ozyrysie! Pozwól mi ujrzeć drogę, która powiedzie mnie ku tobie.

Prosper, który dosyć dobrze zrozumiał recytowaną modlitwę, rozsądnie odczekał dłuższą chwilę, zanim ponownie się wychylił. Kiedy już wyjrzał, Szakal i Sokół skończyli ustawiać wagę w odległości zaledwie kilku kroków od jego kryjówek. W tym momencie, podczas gdy dwie mocno umalowane kobiety, które wyłoniły się z głębi sali, poczęły grać na sistrach, pomieszczenie zasnuł obłok kadzidła.

Wtedy pierwszy z nich przemówił. Jego poważny głos zadudnił w komnacie:

– Ty, Omarze Zalimie, który przeszedłeś bezlitosny osąd czterdziestu dwóch asesorów zmarłych, który byłeś w stanie ogłosić się niewinnym czterdziestu dwóch fundamentalnych grzechów prawdziwego wiernego, poddasz się werdyktowi wagi, aby poznać ścieżkę Ozyrysa?

– Tak. Poddam się – odpowiedział.

– W takim razie powinieneś wiedzieć, że jeśli przejdiesz rytuał, osiągniesz to, czego pragniesz, ale jeśli nie, twoje *ka* i twoje *ba* przepadną, pożarte przez Ammit, straszliwą bestię o głowie krokodyla, która zakończy twoją egzystencję i skaże cię na unicestwienie. Zgadzasz się?

– Zgadzam.

„Ka? Ba?”

Francuz zachodził w głowę, nie wiedząc, że były to dwie nierozłączne części, jakie Egipcjanie wyróżniali w ludzkiej duszy: iskra życiowa czy „sobowtór” i osobowość lub duch.

Prosper, zahipnotyzowany tymi scenami z zamierzchłych czasów, potarł podrażnione kadzidłem oczy. Z trudem mógł uwierzyć, że ich przewodnik, człowiek, który prosił ich, żeby wstawili się za nim u Napoleona Bonapartego, odprawia tego rodzaju egipską „mszę”.

Sokół nachylił się uroczyście nad jedną z szalek wagi, kładąc na niej alabastrowe naczynie niewielkich rozmiarów.

– Oto naczynie na *ib*. Winienesz złożyć w nim swoje serce – oznajmił.

– To zaś naczynie na *szes maat*, ducha sprawiedliwości – dokończył Szakal, kładąc na drugiej szali nieprzezroczystą miskę.

Trzecia postać, o ciele człowieka i głowie ptaka z długim i ostrym dziobem, wyszła przed zgromadzonych i zawołała przed wagą:

– Niech zatem będzie tak, jak o to poprosiłeś pradawnych bogów. Ja, Tot, ten, który stworzył samego siebie, ten, którego nikt nie urodził, ten, który rachuje z niebios i potrafi zliczyć wszystkie gwiazdy i nazwać je po imieniu, spiszę dla wieczności wynik tego wielce surowego sądu.

– Amen.

W miarę jak sistra napełniały pomieszczenie świszczącym dźwiękiem, który Prosperowi przypominał prychnięcia kobry, Omar uczynił coś, od czego Francuz oniemiał. Podszedł do dygoczącej mumii, która znajdowała się pośrodku pomieszczenia, wymamrotał coś niezrozumiałego, po czym bez chwili wahania uniósł trzymany w dłoni hak, aby jednym uderzeniem wbić jej go w pierś.

Spod bandażu rozległ się mrozący krew w żyłach skowyt.

Omar zarechotał złowieszczo. Jego pięść zacisnęła się na rękojeści, aby hak nie wysunął się z ciała, podczas gdy całą mumią – która, jak spostrzegł Prosper, na całej długości była skrępowana rzemieniami – wstrząsały dzikie konwulsje.

Omar z upodobaniem obrócił narzędzie w ciele. Z każdym jego ruchem mumia wyła tym donośniej. Było to coś przerażającego!

Trzasnęła kość. Potem kolejna. Następnie dało się słyszeć nieprzyjemne rżenie, jakby coś zasysało powietrze z otoczenia. Wreszcie wyćwiczonym ruchem nadgarstka Omar uniósł hak, z którego zwisało coś pulsującego.

Prosper niemal zemdlął z wrażenia.

„Boże! Przecież on wyrwał jej serce!”

Nieświadom obecności zuchwałego obserwatora, gdy mumia przestała się ruszać, a jej bandaż nasiał krwią, Omar podszedł do pierwszego z naczyń i umieścił w nim wycięty organ.

– Oto *ib* Fatimy ben Raszid – oznajmił. – A teraz pragnę ujrzeć, gdzie jest jej kuzynka, krew z jej krwi!

Przebieraniec w masce Tota przykrył serce, pokłonił się i umieścił naczynie na odpowiedniej szali. Maszyna miała już uczynić swoją powinność, gdy Tot ponownie odezwał się spod maski:

– Czy pragniecie czegoś jeszcze?

– Tak. – Podkreślone kohlem oczy Omara rozbłysły w ekscytacji. – Chcę wydrzeć generałowi Bonapartemu to, co przynależy Egiptowi. Chcę odzyskać *maat* dla dzieci Seta!

Édouard de Villiers i Jean-Baptiste Prosper Jollois nie wytrzymali ani minuty dłużej. Dopiero co byli świadkami morderstwa i otwartej deklaracji wrogości wobec dowódcy ich ekspedycji. Musieli natychmiast się stamtąd wydostać, powiadomić gwardzistów generała Desaix i – teraz już naprawdę – napisać do kwatery głównej Napoleona Bonapartego. I to już!

ROZDZIAŁ 30

KAIR

11 SIERPANIA 1799 ROKU, WCZESNY RANEK

Ali i Nadia niezwłocznie opuścili płaskowyż Gizy. Wuj wziął siostrzenicę za ramię, żeby poprowadzić ją pośród ciżby, która zmierzała ku centrum Kairu, i przez całą drogę nie puścił ani na chwilę. Początkowo sprawiał wrażenie zdezorientowanego. Błąkał się między dzielnicami, wymijając juczne zwierzęta i towary, aż w końcu widok ceglanego minaretu meczetu Al-Hakim pozwolił mu się odnaleźć. Ruszyli wówczas w stronę ulicy Bayn al-Qasrayn, co oznacza „między dwoma pałacami”, i obeszlili ocalałe pozostałości po fatymidzkich rezydencjach, którym plac zawdzięczał swoją nazwę. Splendor tych budowli – jeśli kiedykolwiek istniał – już dawno temu zdążył się ulotnić. U ich stóp mieszanina zapachów przypraw, potrawek z ulicznych kuchni i swąd obornika ujmowały chwały miejscu, które w zamyśle miało naśladować Raj.

W jednej z uliczek dochodzących do tej arterii, za pokrytą brudem zasłoną, niebawem otworzyło się przed nimi to, czego poszukiwał Ali. Pierwsze, co Nadia odczuła, przekroczywszy próg, była ulga. Wyteżone dotychczas słuch i węch z miejsca się uspokoiły, opuściło ją również dojmujące wrażenie bycia obserwowaną przez miliony par oczu. Dziewczyna nie była w stanie otrząsnąć się z tego uczucia od chwili, gdy opuściła Edfu. Zupełnie jakby coś niewidzialnego i wszechmocnego śledziło ją aż do tej chwili, teraz zaś nagle ją opuściło. Podziałało to na nią niczym balsam. Wuj poprowadził ją na czyste i przestronne podwórze na planie prostokąta, zamknięte niedawno pobielonymi ścianami z portykami, z niewielkim stawem otoczonym wspaniałymi glicyniami i wonnymi kwiatami, które napełniały przestrzeń słodkim aromatem.

Dwoje dzieci w przeciwległym kącie dziedzińca grało w grę przypominającą szachy. Na widok przybyszów podniosły się i pobiegly się ukryć. Chwilę później na powitanie wyszła kobieta o jasnej i przyjaznej twarzy. Wymamrotała coś niezrozumiałego i ucałowała Alego w policzek. Następnie, ogarnięta zaraźliwą euforią, wzięła Doskonałą za rękę i nie dawszy jej choćby okazji, żeby się pożegnać, poprowadziła na drugie podwórko, nakryte markizami i o wiele mniejsze od poprzedniego, gdzie odziany w jasne szaty starzec zdawał się kontemplować szmerzącą wodę w drugim źródleku.

– Nadiu? – wyszeptał, gdy tylko wyczuł jej obecność. Jego głos zadudnił poważnie niczym grzmot, nie brzmiała w nim jednak groźba. – To ty, prawda?

Czcigodny mędrzec obrócił głowę w jej stronę i przewiercił ją spojrzeniem swoich wspaniałych błękitnych oczu.

– Witaj. Nie bój się, proszę. – Zachęcił ją, aby się zbliżyła, przywołując na usta szeroki uśmiech. – Usiądź obok mnie. Od dawna już pragnąłem cię poznać...

Nadia, nieco zdezorientowana, usłuchała prośby. Mężczyzna był w nieokreślonym wieku, miał białą i zmierzwioną brodę, przerzedzone włosy, ostro zarysowany podbródek i kości policzkowe, emanował przy tym wyjątkowym magnetyzmem. Tembr głosu i mowa ciała przydawały mu autorytetu. Kobieta o bladym obliczu, być może jedna z jego żon, poprowadziła wówczas Nadię ku niemu i pomogła jej usiąść na poduszce obszytej kamieniami szlachetnymi. Następnie zostawiła ich samych.

– Jestem Starcem z Góry – oznajmił, gdy ta tylko zniknęła. – Twój bliscy uznają mnie za wielkiego obrońcę ben Raszidów. Za przewodnika duchowego waszego klanu.

– Wiele o was słyszałam... – przyznała.

– A ja o tobie – uśmiechnął się porozumiewawczo.

Nadia zarumieniła się na twarzy.

– O mnie?

– Tak. Wiem o tobie więcej, niż ci się wydaje. Mogę rozmawiać z duszami ludzi, a twoja już od pewnego czasu się ze mną porozumiewa.

– Jak to możliwe? Nawet nie znam waszego prawdziwego imienia. Nigdy z wami nie rozmawiałam.

– Wy, ben Raszidowie, od pokoleń nazywacie mnie Starcem z Góry. Podejrzewam, że od zawsze widzieliście we mnie starca. Bo też nim jestem. Ty jednak możesz mi mówić Balasan.

– Ba-la-san... – przesyłabizowała Doskonała, jak gdyby pragnąc przyswoić to imię.

– To tylko jedno z moich imion. W zależności od okoliczności jestem zmuszony je zmieniać. Nazywali mnie już Mistrzem Światła, Białym Bratem, starcem Dżedi... Jestem nawet wspomniany w podaniach. Koniec końców jestem najstarszym z zaprzyjaźnionego z dawnymi bogami rodu, który twoi bliscy określają niekiedy mianem błękitnych mędrców.

– A jak ktoś może zostać przyjacielem bogów, mistrzu Balasanie? – zapytała, przypominając sobie znienacka przestrogi dziadka Gabriela.

– Ach! Wszystko sprowadza się do tego, żeby odpowiednio wybrać, którym bogom zaoferuje się swoją przyjaźń. – Uśmiechnął się. – Z pewnością twój wuj Ali wspominał ci o ostatniej wiadomości, jaką od nich odebrałem, prawda?

Nadia skinęła głową.

– Mówił mi, że mieliście sen.

– Otóż to, moja mała. Bogowie wykorzystują nasze sny, aby się z nami kontaktować. Przybierają taką postać, jaką tylko chcą, twoją, moją, czyjąkolwiek, i się nam objawiają. Dzieje się tak od zarania dziejów. Chociaż sen, o którym ci mówię, nie był taki, jak pozostałe.

Był intensywny, oślepiający, objawiono mi zaś w nim, że oto nadszedł moment, żeby ben Raszidowie weszli w posiadanie *Księgi wiedzy i życia*.

– To również Ali mi powiedział, mistrzu.

Starzec skinął głową.

– Wiem, że wyda ci się to dziwne – ciągnął dalej. – Zwłaszcza komuś tak młodemu, ale już od pewnego czasu przyglądam się twojej rodzinie. Troszczę się o nią. Chronię ją. A to wszystko po to, żeby dotrzeć do ciebie.

Sękaty i krzepkie dłonie Balasana wyciągnęły się wówczas i ujęły dłonie Nadii. Doskonała spostrzegła, że były ciepłe, nawet delikatne. Nie cofnęła się.

– Do mnie? Dlaczego do mnie, mistrzu?

– Ponieważ masz ten sam dar, co ja. Ty również możesz odbierać wiadomości od bogów.

– Ja?

Nadia poczuła, jakby po plecach przeszedł jej prąd, wstrząsając nią w niekończącym się dreszczu.

– Ja nie...

– Nic przede mną nie ukryjesz – przerwał jej Balasan. – Pamiętaj, że twoja dusza do mnie mówi. I powiedziała mi, że twój los już się tobie objawił.

Nadia już miała ponownie zaprzeczyć, kiedy starzec znienacka spuścił z tonu.

– Czy wuj nie wyjaśnił ci, dlaczego tu jesteś? Nie opowiedział ci o pochodzeniu waszej rodziny? Ani nie powiedział, dlaczego my, błękitni mędracy, tak zazdrośnie strzeżemy naszego sekretu?

– N... Nie.

– Ani nie powiedział, dlaczego tak bardzo interesuje się tobą Omar Zalim?

– Nie, mistrzu.

Pogodne oblicze sędziwca na chwilę spochmurniało. Starzec z Góry, cokolwiek niezadowolony, poczuł, że będzie musiał wtajemniczyć Nadię tak prędko, jak to tylko jest możliwe. Musiał ją o coś poprosić, było jednak konieczne, żeby na to przystała.

– Widzisz, mała – powiedział, nie puszczać jej dłoni – bogowie zesłali na moje plemię dwa drogocenne dary. Pierwszym z nich jest wyjątkowa długowieczność. Niewielu z naszych krewnych nie dożywa stu lat. Dzięki temu spoglądamy na historię ze zgoła odmiennej perspektywy niż większość osób. Co do drugiego daru, to już go poznałaś. Zawsze, gdy coś ważnego ma się przydarzyć rodzajowi ludzkiemu, otrzymujemy sygnały z niebios. Prosto rzecz ujmując, widzimy nasze cele przed oczyma duszy. Naszą powinnością zawsze było mówić wam o tym i pomagać w spełnianiu boskiego planu.

Doskonała spojrzała na niego z zaniepokojeniem. Zmienacka obraz tajemniczego wojownika powrócił niczym niewygodne wspomnienie, poprosiła więc Balasana, aby zmienił temat. On jednak tego nie zrobił.

- Oj, dajże spokój! Wiem, że sama to wiesz – przyznał starzec. – Nadchodzą trudne czasy.
- Zdarzy się coś niedobrego? – zapytała poruszona.
- To już zależy od ciebie – odparł tajemniczo.
- Ode mnie?
- I od człowieka, którego widziałas otoczonego przez siły zła.

Nadia wzdrygnęła się i instynktownie wysunęła rękę z dłoni Balasana. Policzki rozpałała jej nagle fala gorąca. Sama myśl, że starzec przeniknął do najgłębszych zakamarków jej umysłu, bardzo ją oszołomiła.

- Co wy o tym wiecie?
- Ja także go widziałem – odpowiedział porozumiewawczym tonem. – Tyle że na jawie.

Doskonała otworzyła szeroko oczy.

- Naprawdę? – W jej pytaniu pobrzmiwała pewna niecierpliwość. – On istnieje?
- Otóż to, moja mała. Bogowie wybrali tego człowieka, aby otrzymał dar, o który od tysiącleci Mrok walczy ze Światłem. Jego i twoje przeznaczenie są ze sobą splecione. Powinnaś to wiedzieć.

Starzec pozwolił, aby Nadia przetrawiła jego słowa, ona jednak była zupełnie skołowana. Im bardziej starała się powstrzymać tę ostatnią wizję, tym wyraźniej i bardziej niepokojąco powracał jej w myślach wizerunek tego człowieka.

- Splecione? – wybełkotała zawstydzona.
- Tak – potwierdził Balasan. – Rad jestem, że to pojmujesz.

Dziewczyna ani drgnęła. Wstyd doszczętnie ją paraliżował.

– Nie bój się, moja mała. – Podniósł się, zachęcając do przechadzki po podwórku i tym samym wyprzedzając jej reakcję. – To, co czujesz, to echo najpotężniejszej siły we wszechświecie. To nic złego. Wprost przeciwnie: tu chodzi o coś wzniosłego. To siła przyciągania, która łączy przeciwne bieguny i tworzy to, czego wszyscy pragniemy. Życie!

- To... To jest miłość?

Balasan przytaknął.

- A dlaczego ja mam...?

– Wiesz – przerwał jej. – Opatrzność, przeznaczenie, siła wyższa, najwyższy plan, zamysł, przyszłość... Wszystko to określenia, którymi ludy na tej Ziemi nazywają najdonioślejszą manifestację *maat*. Aby zachować równowagę we wszechświecie, kieruje ona naszym życiem w sposób, który wydaje nam się niezrozumiały. Czy tego chcemy, czy też nie, łączy nas, przeplata i prowadzi. Ten wojownik, Nadiu, który ci się objawił, tylko wtedy przewycięży śmierć, jeśli wcześniej wejdzie w harmonię z energią, którą zaczęłaś wobec niego odczuwać. Wasze przeznaczenie wyraża odwieczną walkę między Erosem i Tanatosem. Miłością i śmiercią. Oboje zostaliście przywołani, aby dać sobie wzajemnie to, czego wam brakuje, i razem stworzyć coś wyższego. Doskonałego.

– A jeśli się nie zgodzę? – wyszeptała, przejęta tymi słowami.

– Wówczas zdradzisz wszystkich tych, którzy oddali życie za to, żebyś mogła wypełnić swoją misję.

– Moi rodzice, dziadek Gabriel... Wiem – westchnęła.

– I nie tylko ich.

– Co chcecie przez to powiedzieć? – zaniepokoiła się Nadia. W tonie, którym Balasan wypowiedział to ostatnie zdanie, pobrzmiwało coś złowieszczonego. – Chodzi o kogoś jeszcze?

– To walka, Nadiu, która nigdy nie ustaje. Twój ród uczestniczy w niej od początku dziejów. Co tysiąc pięćset lub dwa tysiące lat wojna między Światłością a Cieniami przybiera na sile. Dzieje się tak zawsze wówczas, gdy ciała niebieskie ustawiają się tak, żeby zesłać na Ziemię istotę ludzką zasługującą na sekret życia wiecznego i dać waszemu rodzajowi kolejną szansę na odkupienie się od śmierci. Wówczas my ją odnajdujemy, wyjawiamy jej czekające ją przeznaczenie i zapewniamy jej wszystko, czego potrzebuje, aby dopełnić cudu osiągnięcia nieśmiertelności. Zarazem jednak to właśnie wtedy dzieci Seta nieodmiennie zbroją się i stają z nami do walki. Taka już jest *maat*. Święta równowaga.

– Kto jeszcze oddał za mnie życie? – Pośpiech, z jakim Nadia mu przerwała, zaskoczył Balasana. – Powiedzcie mi!

Niebieskie źrenice starca się zwężyły. Nadia dostrzegła w nich kłopotliwy cień wahania, w końcu jednak przemówił:

– Fatima. Twoja kuzynka – odpowiedział.

– Fatima?! – wykrzyknęła, kryjąc twarz w dłoniach.

Poczuła w piersi nagłe ukłucie bólu, w wyniku którego fala adrenaliny przebiegła ją od góry do dołu. Ostra odpowiedź Starca z Góry pozbawiła ją tchu. Przez chwilę miała kłopot z nabraniem powietrza w płuca. A kiedy wreszcie to zrobiła, po policzkach spłynęły jej dwie duże łzy.

– Fatima nie... – załkała z niedowierzaniem.

– Wyczułem to ubiegłej nocy – dodał Balasan, z delikatnością w głosie przebijając się przez jej szloch. – Zalim zabił ją swoją magią, aby się dowiedzieć, gdzie jesteś. Poszukał pośród twoich bliskich i cię znalazł.

– Ale...

– Przykro mi, Nadiu. Rozpaczliwy krzyk jej *ka* mnie obudził. Była bardzo dzielna.

– Przecież... Przecież to była tylko dziewczynka! – zareagowała.

W miejsce ukłucia poczuła teraz pustkę i zawroty głowy. Odniosła wrażenie, że kolana odmawiają jej posłuszeństwa, a w żołądku wzbierają jej nudności. Balasan wyraźnie się przejął. Zbliżył się do niej i otoczył ją ramieniem:

– Wciąż jeszcze możesz coś dla niej zrobić – wyszeptał jej do ucha.

- Coś? – Oczy Doskonałej się zaczerwieniły, słowa z trudem dobywały się teraz z jej gardła.
- Co?
- Możesz ją pomścić, niweczając zapędy dzieci Seta.
- Odsunęła się od starego mistrza i otarła twarz, starając się zapanować nad bólem i ocenić znaczenie tej propozycji.
- Pomścić ją?
- Teraz kolej na twoją *maat* – odpowiedział nad wyraz poważnie. – Czas, żebyś uczyniła coś dla siebie. Abyś sięgnęła po moc bogini, którą nosisz w sobie, i wymierzyła sprawiedliwość.
- A co... Co niby miałabym uczynić?
- Spotkać się z człowiekiem z twoich wizji. Okażesz mu siłę miłości. Przygotujesz go na przyjęcie wieczności i pokrzyżujesz plany siłom Zła.
- Ale gdzie ja go znajdę? I jak?
- Balasan, wzruszony wysiłkiem ze strony dziewczyny, ponownie zwrócił się do niej z tym samym serdecznym uśmiechem, jakim obdarzył ją na początku.
- Człowiek ten jest już w Egipcie. Jutro podda się próbie, aby otrzymać nieśmiertelność. Aby jednak pradawna magia Izydy zadziałała, będzie potrzebował ciebie.
- Nie rozumiem... – Rozłożyła bezradnie ręce, starając się zapanować nad sobą.
- Balasan ponownie na nią spojrział.
- Moje dziecko, co ty wiesz o zmartwychwstałych?
- Znam tylko opowieść o Izydzie i Ozyrysie.
- Jest takich znacznie więcej! – zawołał. – Każda z nich dowodzi, że śmierć można przezwyciężyć. Że Fatima i twoi bliscy nie poświęcili się na darmo. Turkowie mieli Attisa, mężczyznę, który zmarł na krzyżu i trzeciego dnia zmartwychwstał za sprawą interwencji bogini Kybele. Był także Mitra, który odebrał sobie życie w ramach ofiary i wiedział, jak potem powrócić spośród umarłych. Czy Apoloniusz z Tiany, również Turek. Wszystkie te postaci łączy to, że ich powrót umożliwiła swoim działaniem jakaś wyjątkowa kobieta. Jezua powrócił na oczach Marii Magdaleny. Gdyby nie Izyda, nie udałoby się to Ozyrysowi. To samo można powiedzieć o pozostałych. Chcę ci przez to powiedzieć – starzec zaczerpnął powietrza – że bez ciebie jutrzejszy niezwykle istotny rytuał okaże się nieskuteczny. Aby wszystko zadziałało, potrzebna jest twoja moc. Twoja determinacja. Twój dar Izydy.
- Nadia przyjrzała mu się surowo.
- A czy mogę spytać, kim jest ten Ozyrys, do którego mam się zwrócić?
- Balasan zamilkł na chwilę. Następnie, gładząc delikatną dłoń Doskonałej, wyszeptał:
- To Bunapart, moje dziecko. To sułtan przybyły z za morza...
- Wojownik, którego widywałam w moich wizjach, to Napoleon Bonaparte? – dopytała oszołomiona.
- Tak właśnie jest.

– Skąd możecie być tego pewni?

– Już ci to powiedziałem. Poznałem go bowiem i usłyszałem, jak przemawia jego dusza. Znam również ciebie i słyszałem twoją duszę. Wiem, że pisane jest wam się spotkać.

– Ale to niemożliwe! Należymy do dwóch różnych światów!

– Tak właśnie działa *maat*. Zawsze przyciąga przeciwieństwa.

– Nigdy nie zdołam się do niego dostać! – zaproponowała, nie zwracając uwagi na słowa starca.

– Nie przejmuj się. Powiem ci, jak to uczynić. Bunapart dopiero co przybył do Kairu. Udasz się do niego. Ostrzeżesz go, że dzieci Seta przeniknęły do szeregów jego ludzi i planują go zdradzić. Powiesz również, że to ja przysłałem cię z tą wiadomością. Tyle wystarczy.

Nadia chwyciła się dłoni starego Balasana tak mocno, że prawie je podrapała. Na jej pięknym obliczu położył się cień stroskania.

– Naprawdę wśród cudzoziemców są również dzieci Seta, mistrzu?

– Tak – przyznał. – Także ich już widziałem. Siepacze mrocznych sił dotarli już wszędzie.

ROZDZIAŁ 31

KAIR

KILKA GODZIN PÓŹNIEJ

Gdy tylko Omar Zalim postawił stopę w Kairze, zaczerpnął głęboki haust powietrza. Rytuał odprawiony ubiegłej nocy w grobowcu Amenhotepa szczególnie rozświetlił jego spojrzenie. Zesłał mu ten rzadki i potężny dar, o którym wspominały pradawne papirusy i który tak niewielu ludziom udało się opanować: „Wszystko, co dzieje się w dowolnej części świata, jest ci powtarzane... Masz miliony uszu... Twoje oko jest jaśniejsze niż gwiazdy z nieba... Twoje oko widzi wszystko to, co ukryte”⁸.

Teraz, dzięki ofierze krwi, stał się nie tylko synem czarowników, ale także jasnowidzem.

Dlaczego wcześniej nie posłuchał instynktu starego mentora Gamala? Tak jak ten mu to przepowiedział, wystarczyło, żeby ścisnął w dłoniach bijące serce Fatimy ben Raszid, a został mu zesłany „wzrok doskonały”. Ożywczy ładunek prorocstwa, ta siła zdolna pokonać czas i przestrzeń, wyjawily mu, że Nadia ma nad nim jedynie kilka godzin przewagi. Że znajduje się w Kairze. I że jeśli Omar usłucha swojego nowego instynktu, to zdoła ją odnaleźć.

Dlatego tam był.

Rozradowany.

Pewny swojego posłannictwa.

Zadowolony z uzyskanych mocy, Omar rozejrzał się we wszystkie strony po nabrzeżu, jak gdyby mógł wywęszyć swoją ofiarę. I coś w tym rzeczywiście było, gdyż nie zawahawszy się w ogóle, ten olbrzym o mięśniach z żelaza i poranej bliznami skórze przekroczył punkt celny i zagubił się pośród tłumu, dokładnie wiedząc, dokąd skierować kroki.

Nadia – tego był pewien – wiedziała już, w jakim celu została zachowana.

„Teraz jest groźniejsza niż kiedykolwiek – pomyślał. – Muszę ją powstrzymać”.

ROZDZIAŁ 32

WIELKA PIRAMIDA

GIZA

Bonaparte nadal trwał pogrążony we wspomnieniach. Wciąż nie zdołał pojąć, co takiego się z nim dzieje. Dlaczego Wielka Piramida kazała mu powracać do tych sytuacji.

Teraz przynajmniej dostrzegał, jak był nierozważny, udając się do Nazaretu. Pozwolił się tam zaprowadzić na spotkanie z pustynnymi nomadami, którzy sprawiali wrażenie żywcem wyjętych z baśni tysiąca i jednej nocy. Co zaś było tym bardziej lekkomyślne, dobrowolnie dopuścił do tego, żeby podali mu oni rodzaj „lekarstwa na pamięć”, specyfik o nieznanym skutkach działania, który równie dobrze mógł pozbawić go życia.

Na szczęście tak się nie stało.

Nie licząc lekkiego pieczenia w żołądku, które z miejsca ustąpiło, skutki spożycia mikstury ograniczyły się do pobudzenia jego pamięci. Umysł generała się rozświecił, nabierając szybkości i przenikliwości, jakiej nie pamiętał, żeby kiedykolwiek wcześniej doświadczył. Jego oczy przestały dostrzegać chatę, w której spotkał się z błękitnymi mędrkami, i zaczęły ze zdumiewającą dokładnością widzieć sytuacje z przeszłości. Tak jakby spożyta substancja zabrała go na wycieczkę po własnym życiu. Jak gdyby chciała zmusić go do ponownego zastanowienia się nad pewnymi momentami jego istnienia, żeby wyciągnął z nich jakąś pominiętą naukę.

Była w tym wszystkim jakaś ewidentna intencja.

Ale jaka?

I dlaczego te obrazy wracały akurat teraz, wszystkie naraz, w samym sercu piramidy, i tak go doświadczały?

Zbyt dużo pytań, na które nie znał odpowiedzi!

Wówczas napłynęło ostatnie wspomnienie.

Wypita w Nazarecie mikstura zaprowadziła go raz jeszcze do Paryża, konkretnie do pewnego starego pomieszczenia pełnego wskazówek dotyczących przyszłości, która teraz była jego terażniejszością. W tej ostatniej wizji Bonaparte miał zrozumieć, jaki pęd popchnął go w ostatnich miesiącach ku Egiptowi i Palestynie, tak daleko od ojczyzny, pogrążając go w świecie wierzeń tak odmiennych od własnych. Miał wreszcie odkryć coś, co niewielu ludzi kiedykolwiek zdołało pojąć: rzeczywiście istnieje odgórny plan, który rządzi naszymi losami.

I z niejasnym przeczuciem, że każde kolejne wspomnienie opróżniało nieco jego duszę, poddał się tej ostatniej sennej wizji...

ROZDZIAŁ 33

PARYŻ

19 SIERPNIĄ 1795 ROKU

Bonaventure Guyon nie był w stanie oprzeć się uwodzicielskiemu brzękowi srebrnych monet. Napoleon Bonaparte postanowił powrócić do jego mieszkania, aby domknąć ostatni niedokończony wątek.

– Widzicie, że się nie myliłem? Wróciliście, aby zapłacić za moje usługi – uśmiechnął się „profesor nauk niebieskich”, zagarniając chciwym gestem monety.

– Potrzebuję więcej informacji na temat hrabiego de Saint-Germain.

– Również tego się domyśliłem.

– I co?

Guyon spojrział na niego, a jego twarz spochmurniała.

– Generale, mam was za człowieka rozsądnego. Ściganie kogoś o horoskopie identycznym jak wasz może wam przysporzyć problemów.

– Przestańcie owijać w bawełnę! Właśnie wam zapłaciłem. Mówcie więc: gdzie mogę znaleźć hrabiego de Saint-Germain?

Guyon ponownie zwrócił ku niemu swoje poznaczone plamami oblicze, za którym skrywał duszę, i zaczął coś bełkotać na temat zagadkowości badania przyszłości boskich stworzeń. Następnie, nie czyniąc dalszych uników, wyjaśnił, że nieuchwytny hrabia zwykł bywać w pewnej restauracji w mieście. To tam umawiał się z najbliższymi przyjaciółmi i organizował spotkania.

– Obawiam się jednak, generale, że od wielu lat nikt go już tam nie widuje.

– A zatem wystarczy mi to, co tam o nim opowiedzą.

– To niezła myśl – wybąkał astrolog. – Jeśli kiedykolwiek wymuszę mu się jakiegokolwiek wyznanie dotyczące jego pochodzenia lub sposobu na prowadzenie takiego życia, bardzo możliwe, że nastąpiło to właśnie w tym lokalu. Bo przecież tego chcielibyście się o nim dowiedzieć, czyż nie?

– Jak każdy – odpowiedział wymijająco Bonaparte.

– A zatem popytajcie tam – odparł astrolog, wskazując zakątek Paryża widoczny za oknami jego strychu. – Być może będą potrafili coś wam powiedzieć. Dam wam adres, ale nie mówcie, że dostaliście go ode mnie.

Generał przytaknął.

Nie miał czasu do stracenia, tak więc zaraz po opuszczeniu Guyona ruszył w dół ku Sekwanie, kierując się w stronę nowego celu.

Budynek, na który naprowadził go Bonaventure Guyon, mieszczący się pod numerem pięćdziesiątym pierwszym ciemnej uliczki rue de Montmorency, okazał się szarym lokalem o ścianach tak zmurszałych, że w każdej chwili zdawały się grozić zawaleniem. Czteropiętrowa kamienica zwieńczona typowym paryskim poddaszem mimo podupadłego wyglądu pozostawała najlepiej prezentującą się budowlą przy tej ulicy.

Odszukanie adresu nie zajęło Bonapartemu dużo czasu. Rue de Montmorency, nieopodal przebiegającej przez sam środek dzielnicy Le Marais rue Saint Martin, okazała się wąską uliczką pozbawioną jakichkolwiek oznak działalności handlowej. Zastanowiło go, że Saint-Germain zdecydował się na takie miejsce. Jak na człowieka, który w epoce przedrewolucyjnej chlubił się tytułem hrabiego i trwonił majątek na dworach połowy Europy, była to dzielnica niezbyt urokliwa. Kiedy jednak młody generał znalazł się już na ulicy, naprzeciw fasady wspomnianej restauracji, wydało mu się, że pojmuje subtelny wymiar takiej decyzji.

Rzeczywiście, wielkie litery wykute w kamiennej fasadzie oznajmiały, że tu znajduje się Auberge Nicolas Flamel, „najstarszy dom Paryża”. Gdziekolwiek spojrzeł, jego wzrok napotykał wpuszczone w ścianę medaliony i wykute symbole. Małe figurki aniołów i proroków wyłaniały się ze wszystkich stron, nadając całości wygląd bez mała katedralny.

Bonaparte docenił specyficzne poczucie humoru hrabiego. O ile pamięć go nie myliła, Nicolas Flamel był sławnym paryskim alchemikiem z XV wieku oraz uznanym drukarzem i kopistą, o którym powiadano, że wraz z małżonką, piękną i równie sławną Pernelle, zdołał uzyskać kamień filozoficzny. Saint-Germain, rzecz jasna, na pewno doskonale znał tę historię. Dla miłośników „świętej nauki”, zaznajomionych ze zjawiskiem kamienia filozoficznego, stanowił on synonim drzewa życia czy eliksiru wiecznej młodości. Z kolei Nicolas Flamel stanowił dla nich wszystkich prawdziwy autorytet.

– Ależ to jakieś bzdury, *monsieur!* Kamień filozoficzny istnieje wyłącznie w rojeniach wariatów!

Pani Nerval, krągłych kształtów kobieta z departamentu Aude, wdowa po dawnym właścicielu przybytku, obśmiała przypuszczenie nowego klienta, podając mu jednocześnie wspaniałego *saumon rôti et ses lentilles aux lard*⁹ wraz z kuflem wyśmienitego piwa.

– Wielu paryżan jest zdania, że kamień naprawdę istniał... – zaoponował bez większego przekonania, gestem zapraszając kucharkę, żeby przysiadła się do jego stołu. Byli sami. Tego dnia służba miała wychodne.

– Dajcie spokój, obywatelu generale! Wraz z rewolucją wszystkie te zabobony zostawiliśmy za sobą. To dobre dla księży.

– Nie, niech mnie pani źle nie zrozumie... Ja nie twierdzę, że w nie wierzę. Pytam z ciekawości.

– Aha, jasne – uśmiechnęła się szelmowsko. – Mówicie to dlatego, że widzieliście, co stoi wypisane na fasadzie, prawda?

Bonaparte przytaknął z uprzejmości. W rzeczywistości frontowa część restauracji była tak poczerniała od kuchennego dymu, że nawet przez myśl mu nie przeszło, że poza samą nazwą lokalu jest tam coś jeszcze do przeczytania.

– Trzeba wam wiedzieć, że dom ten postawił taki jeden mag, ten właśnie Nicolas Flamel, którego imieniem nazwano tę gospodę – ciągnęła, pozwalając klientowi zakosztować łososia. – Wierzcie mi, to kolejny wariat! Być może już o nim słyszeliście. Flamel był bogaczem z tych, jakich ze świeczką szukać: miał wypchaną sakiewkę, ale dręczyły go wyrzuty sumienia. Gdzie teraz takiego znajdziesz?!

Bonaparte skinął głową, oblizując wargi.

– Chodzi o to, że aby odkupić swój grzech bogactwa, podjął się budowy kamienic, takich jak ta, w różnych miejscach całego Paryża. Wszystkie je ozdobił przedziwnymi posągami i symbolami, ale do dziś uchowała się tylko ta. Najsolidniejsza ze wszystkich. Jest z 1407 roku, datę widać na nadprożu.

– Nadprożu? – przełknął.

– Tak. Nie wierzę, że jej nie zobaczyliście, generale.

– Nie, proszę pani.

– Tam jest coś w rodzaju modlitwy. Tak naprawdę, to gdyby zetrzeć te fragmenty z „amen”, „Ojcze nasz” i „Zdrowaś Mario”, można by uznać, że to jakiś edykt Komitetu Rewolucyjnego...

Madame de Nerval zaśmiała się w głos z własnego pomysłu na oczach zdziwionego oficera, który postanowił spróbować również podawanego w gospodzie wina.

– Przywołacie ten napis z nadproża z pamięci?

– Oczywiście! – odparła. – „My, mężczyźni i kobiety pracujący, mieszkamy w przedniej części tego domu, który postawiono w roku Pańskim 1407. Każdy z nas ma obowiązek odmawiać codziennie jedno *Ojcze nasz* i jedno *Zdrowaś Mario*, prosząc Boga, aby w swojej łasce darował winy biednym zmarłym grzesznikom. Amen”. Zdaje się, że o niczym nie zapomniałam...

– Niesamowite. Recytujecie jak z nut.

– A tak – potwierdziła z dumą. – I wiecie co? Mój mąż nieboszczyk bardziej chwalił nawet moją pamięć niż moje gotowanie.

– Założę się, że jesteście w stanie spamiętać niemal wszystkich swoich stałych klientów.

Bonaparte dostrzegł okazję, żeby poruszyć temat, który go zajmował. *Madame de Nerval* przytaknęła z pewnością siebie.

– I zapewne poznaliście wiele znamienitych osobistości.

– Ach! Nawet sobie nie wyobrażacie! Karmiłam tutaj pół dyrektoriatu.

– Wyobrażam sobie. A szlachciców także?

– Oczywiście, generale.

– W takim wypadku – uśmiechnął się – z pewnością widzieliście tu w okolicy niejakiego hrabiego de Saint-Germain...

– Saint-Germain! – Oblicze karczmarki rozświetliło się, jak gdyby nagle przypomniała sobie dalekiego krewnego. – Pewnie! To również wasz przyjaciel, generale?

– Oczywiście – skłamał.

– Tak, hrabia często tutaj przychodził. Bardzo zaprzyjaźnił się z moim mężem i często korzystał z naszej restauracji, jakby to był salon herbaciany. Uwielbiał podejmować tutaj znajomych moją tartą z trufli. To był dla mnie zaszczyt!

– Domyślam się, proszę pani.

Madame de Nerval sięgnęła do najbliższego kredensu po butelkę wina i zaproponowała klientowi, który odmówił, nalała sobie szklanek.

– Tak, tak. – Upiła pierwszy łyk. – Biedakowi przeciągał się remont w domu i zwracał się do nas o poratowanie noclegiem. Nigdy nie mieliśmy najmniejszego problemu ani z nim, ani z jego gośćmi. I choć w większości wygadywali same bzdury, to byli dobrzy ludzie. Hrabia, sami wiecie, wielki pan. Wychowany, szarmancki... Idealny!

W głosie właścicielki przybytku można było wyczuć pewną nostalgię za lepszymi czasami. Bonaparte zachęcił ją, żeby nalała sobie kolejną szklanekę wina, ona zaś bez oporów się napiła.

– Z rewolucją wszystko się pozmieniało, prawda? Domyślam się, że klientela zrobiła się bardziej... prostacka.

– Uff... – westchnęła. – Nawet sobie nie wyobrażacie.

– A jacy to przyjaciele się tutaj z nim widywali?

– Z hrabią? Aj, *monsieur*! – odparła śpiewnym głosem. – Rozmaici. Byli światli i byli skromniutcy, byli żołnierze i ludzie majątni. Widywaliśmy tu nawet duchownych i biskupów.

– I pewnie rozmawiali o polityce.

– Nie, nie. Nic z tych rzeczy. Nie przestawali mówić o Egipcie! Wiecie coś o Egipcie, generale?

Bonaparte przytaknął.

– Wiele o tym kraju czytałem. Tyle się jednak o nim mówi, że nie mam pojęcia, co z nieskończonych cudów tamtej ziemi mogłoby akurat zainteresować hrabiego...

– To ja wam mogę powiedzieć! – wcięła się *madame de Nerval*. – Piramidy. To był jego ulubiony temat.

– I już?

– No, dobra... – przyznała kobieta, nalewając sobie czwartą szklanekę. – Nie tylko one. Pewnego razu przez całą noc gadali o podróży niejakiego Paula Lucasa do Turcji...

– Ma pani fenomenalną pamięć, *madame*. Pani mąż nieboszczyk miał rację.

– Bez przesady. Mam siostrzeńca, który się nazywa Paul Lucas, to zapamiętałam. Ale też dlatego, że powiedzieli wtedy coś bardzo ciekawego. Pamiętam, że była mowa, jak to ten Paul przed osiemdziesięcioma laty spotkał pewnego derwisza, który przysięgał mu, że miał okazję osobiście poznać w Indiach Nicolasa Flamela...

– Flamela? – wciął się. – Żywego? Ale on przecież postawił ten dom w 1407 roku!

– I umarł dziesięć lat później, wiem. A nie mówiłam? Wszyscy oni powariowali!

Mimo obojętnego tonu gospodyni Bonaparte zauważył ciekawą rzecz. Kucharka wymówiła słowo „umarł” z wyraźnym grymasem. Tak jakby nie wydawało jej się ono w tym miejscu najwłaściwsze.

– Ale to niemożliwe.

– Również tak sądziłam, obywatelu generale, lecz mój nieboszczyk mąż był przekonany o prawdziwości tej historii. Zresztą ten cały Paul wiedział, że Flamel wydał zalecenia, aby pochowano go w kościele Świętego Jakuba, niedaleko stąd, a na grobie postawiono niewielką piramidę.

– Jeszcze jedna piramida!

– Tak, tak... Ale wiecie, co w tym najlepsze?

Bonaparte pokręcił głową.

– Że Saint-Germain, kiedy to usłyszał, wyjaśnił, że w tym jego dziwactwie krył się sekret, dzięki któremu Flamel powrócił do życia...

– Flamel powrócił do życia?

– To znaczy... W kościele Świętego Jakuba wciąż leży jego płyta nagrobna. Po ciele jednak ani śladu. Co wy o tym sądzicie?

– Ale jak Flamel mógł...?

– Zmartwychwstać? Ach. – Ponownie upiła łyk wina. – Mój mąż mówił, że to dlatego, że znał się na magii z Egiptu. Hej, obywatelu generale! Wy, tak ocytani, nie słyszeliście o słynnej *Księdze figur hieroglificznych* Flamela?

Bonaparte ponownie zaprzeczył ruchem głowy.

– Nawet mam tu egzemplarz... – dorzuciła kobieta.

– Naprawdę?

– A co! – *Madame* de Nerval zatoczyła się, ponownie kierując kroki ku kredensowi z winem. – Flamel jest patronem tego domu. Przynajmniej tyle możemy po nim mieć.

– I... Przeczytaliście ją?

– Nie to, że nie próbowałam, obywatelu generale. Ale to jakieś niestrawne dyrdymały. Wypisuje coś dziwnego o mocy, jaka bije z pewnych obrazków, i że dzięki nim, wiedząc, jak je czytać, można dojść do wiedzy przodków. Jak jednak niby miałyby się czytać obrazki? Przecież czytać można tylko litery!

– Sam bym tak powiedział...

– Dla mnie ta cała książka Flamela to jakiś galimatias, *une folie*. I teraz wyobraźcie sobie! Przy tym tu stole Saint-Germain powiedział kiedyś, że ją zrozumiał. Że rzeczywiście można odczytać obrazki Egipcjan i za pomocą magii wykorzystać je, by przywrócić życie zmarłym o czystym sercu.

– Saint-Germain o tym mówił?

Spojrzenie generała skupiło się na wilgotnych i nieco zasnutych mgiełką alkoholu oczach *madame de Nerval*.

– O, tak! Gadał o tej książeczce jak najęty. Mówił, że we Francji należałoby przywrócić prawdziwą wiarę Egipcjan.

– Prawdziwą wiarę Egipcjan? A co to, u diabła, miałoby znaczyć?

– Hrabia wam o tym nie wspomniał? A to dziwne! Ani o swojej obsesji na punkcie Marsilia Ficina?

– Nigdy o takim nie słyszałem, *madame*. – Rozłożył ręce. – Kto to jest? Także jakiś podróżnik?

– *O la la*, mój niedouczony oficerze! – Zaśmiała się z coraz to większą wesołością. – Ficino to Włoch z tych samych czasów co Flamel. Mieszkał we Florencji i według tego, co nam wytłumaczył hrabia, podjął się zgromadzenia wszystkich humanistów swojej epoki pod jednym dachem. Akademia, którą założył... zapoczątkowała renesans, *monsieur*! Mona Lisa, Kaplica Sykstyńska... Wszystko to dzięki niej.

Bonaparte aż podskoczył. Nie mógł uwierzyć, że ta nieszczególnie zadbana kucharka posługiwała się podobnymi pojęciami. Pod wpływem wina stała się jeszcze bardziej gadatliwa, postanowił więc spróbować szczęścia.

– Widzę, *madame de Nerval*, że jesteście osobą bardzo czytaną. Wyjaśnijcie mi więc, proszę, co ten Ficino ma wspólnego z odnowieniem religii egipskiej i z naszym wspólnym znajomym, hrabią de Saint-Germain.

– Mnóstwo, generale! Ficino przetłumaczył na łacinę ważne teksty tajemnego pochodzenia. Pierwszy zdał sobie sprawę, że religia egipska zaraziła całą naszą kulturę. Tak jakby to był jakiś katar... – Zaśmiała się.

– Wielce interesujące...

– No, może dla takich uczonych, jak wy. Mnie tam nic nie obchodzi, że Egipcjanie wykorzystywali krzyż jako symbol życia czy że Ozyrys zmartwychwstał tak jak Chrystus... Po co mi to!

Bonaparte rozparł się na krześle, zakładając dłonie na kark.

– To zależy. Być może on i Flamel zbadali, co takiego zrobił Ozyrys, aby zmartwychwstać...

– Też macie pomysły!

– A Saint-Germain? Co się z nim stało?

– Cóż... Po tym, jak nam to wszystko opowiedział, oznajmił, że zamierza poszukać więcej dowodów na to, że wszystko wzięło się od Egipcjan. Bardzo zabawnie się go słuchało. Wygadywał przedziwne rzeczy, jak choćby to, że te wszystkie baśnie, w których księżę budzi księżniczkę pocałunkiem, stanowią zniekształcone z czasem echo mitu o Izydzie i Ozyrysie. Pomyślcie sobie! Nawet tę baśń o szklanym pantofelku porównywał z mitem Ozyrysa, który ułożył się w sarkofagu pasującym do niego jak ulał. Znacie tę opowieść, generale?

– Oczywiście – przyznał. – O Kopciuszkę!

– Właśnie!

– A hrabia nigdy nie wyjechał do Egiptu, żeby zobaczyć piramidy?

Madame de Nerval otworzyła szeroko oczy.

– Ależ oczywiście! – zawołała. – Ale najpierw objechał za nimi całą Francję. Francję! Co za wariat!

– I coś znalazł?

Bonaparte przestał się bujać na krześle. *Madame de Nerval* pozwoliła swoim grubym łokciom opaść na stół i wsparłszy na dłoniach podbródek, odpowiedziała tajemniczym tonem:

– Oczywiście, generale! Saint-Germain zawsze osiąga to, co sobie założy.

– Jest pani pewna?

– Tak pewna, jak tego, że pewnego razu ściągnął tu potomka budowniczych piramid we Francji, żeby opowiedział o nich jego przyjaciółom. To był Egipcjanin. Wyobrażacie sobie? A mówił po francusku lepiej niż wy czy ja!

Bonapartego przeszedł dziwny dreszcz. Młody wojskowy milczał przez chwilę. Na te słowa przyszło mu do głowy tylko jedno pytanie:

– A pani go poznała?

– Jasne. Nazywał się Nikodem Buqtur i był praprawnikiem, czy jakoś tak, tego, który postawił jedną z tych piramid. W Nicei!

„Buqtur?”

ROZDZIAŁ 34

WIELKA PIRAMIDA

GIZA

„Buqtur?”

To arabskie nazwisko rozbrzmiało w pamięci Napoleona Bonapartego.

„To nie może być przypadek!”

Niestety, tego odległego popołudnia w 1795 roku nie przyszło mu sobie wyobrazić, że cztery lata później pozna innego człowieka o tym samym nazwisku. Aczkolwiek, jeśliby o tym pomyśleć, być może dlatego mikstura błękitnych mędrców przywołała mu wspomnienie tamtej wizyty.

Teraz, gdy zastanowił się nad imieniem tego osiadłego we Francji Egipcjanina, znajomego hrabiego de Saint-Germain, zdał sobie sprawę z zawartej w tej całej historii subtelnej ironii. W Ewangelii według świętego Jana pojawia się opowieść o innym Nikodemie. Mowa jest tam o tym, że wraz z Józefem z Arymatei był on jedynym, który zbliżył się do zwłok Jezusa i pomógł w jego zabalsamowaniu przy użyciu aloesu i mirry. Na swój sposób ten pierwszy Nikodem był odpowiedzialny za jego oczyszczenie i przygotowanie do powrotu do życia.

Kolejny przypadek?

I co on sam robił teraz w Egipcie, w rękach pomocnika o identycznym nazwisku?

Czy to również stanowiło kaprys losu?

Napoleon – jeszcze zanim jego umysł powrócił do Nazaretu, gdy tylko zbudził się ze snu wywołanego tajemniczym eliksirem pamięci – wiedział już, że nie.

ROZDZIAŁ 35

NAZARET

WIOSNA 1799 ROKU

Kontakt z lodowatą wodą błyskawicznie przywrócił go do rzeczywistości. Jego ciało przeszedł dreszcz i przypomniał sobie, że leży na macie w chacie z suszonej cegły nieopodal źródła Miriam w dawnym mieście Jezusa. Kiedy otworzył oczy, zobaczył, jak Tagar, Beduin o wyrazistych kościach policzkowych, potrząsa nim bez ustanku. Zdawał się robić to w dobrej wierze – chciał, żeby jego gość jak najszybciej odzyskał swobodę ruchów w nogach i ramionach. Specyfik, który mu podał, spowolnił jego funkcje życiowe do minimum, Tagar wiedział więc, że pierwsze minuty po przebudzeniu będą kluczowe dla powrotu Napoleona do przytomności.

Bonaparte zadygotał.

Kiedy tylko już mógł, wyciągnął ramię w kierunku Buqtura i gestem go poprosił, żeby ten podał mu koszulę.

Stary błękitny mędrzec przyglądał się tym działaniom z tym samym zaciekawieniem, z jakim ojciec obserwuje, jak jego latorośl zaczyna raczkować. Balasan stwierdził, że cudzoziemiec najwyraźniej skutecznie przeszedł sprawdzian *maat*, Bonapartemu wydało się zaś, że starzec po raz pierwszy naprawdę się uśmiechnął.

Był jednak wciąż oszołomiony i nie przywiązał wagi do tych słów. Kręciło mu się w głowie, tak więc wolał skupić całą energię na podźwignięciu się na nogi. Był gotów uwierzyć, że wszystko to, co właśnie „ujrzał”, było złym snem, a gdy się zorientował, jak bardzo jest osłabiony, zwrócił się o pomoc do swojego tłumacza.

– Eliaszu – wymamrotał pośród dreszczy. – Pomóż mi.

Kopt chwycił go pod pachy i wyciągnął na zewnątrz chaty, aby promienie słońca go wzmocniły. Bonaparte docenił wysiłek. Oparł się o ścianę z twarzą uniesioną ku niebu, ze spokojem stwierdzając, że ciepło ponownie przenika mu pod skórę. Kiedy tylko poczuł się lepiej, wyrzucił z siebie pytanie, które od pewnego czasu paliło mu wnętrze:

– Ty jesteś z Buqturów, prawda, Eliaszu?

Tłumacz skinął głową, nie otwierając ust. Bonaparte wymówił jego nazwisko z lubością, która wzbudziła w nim niepokój.

– To ty umówiłeś to spotkanie z mężami z pustyni... – ciągnął dalej ledwie słyszalnym głosem. – Wiedziałeś, co ze mną uczynią?

– Panie – odparł bardzo poważnie Eliasz, poprawiając koc, którym go był okrył – nie mówcie teraz. Musicie odzyskać siły. Długo spaliście i nie powinniście...

Bonaparte nie dał mu dokończyć. W jego oczach płonął ogień.

– Odpowiedz mi, proszę: dla kogo pracujesz?

Eliasz Buqtur rozłożył ręce.

– Służę tylko wam, mój panie...

Nie zabrzmiało to szczególnie przekonująco. Bonaparte wbił wówczas w niego surowe spojrzenie, tłumacz poczuł się zaś, jakby umierał.

– Nie kłam, Eliaszu... Komu służysz? – naciskał.

Buqtur uciekł od spojrzenia Bonapartego oraz błękitnych mędrców, którzy w tym momencie weszli, aby im towarzyszyć. Z twarzą odwróconą ku placowi odpowiedział:

– Służę wam, a także Panu, który jest w Niebie i który wszystko widzi.

Generał wykrzywił wówczas twarz w grymasie dezaprobaty.

– We śnie, w który wprowadzili mnie ci ludzie – powiedział, wskazując Balasana – odkryłem rzeczy, które dotyczą także ciebie.

– Jakie rzeczy, panie? – Gestem pokazał, że nie rozumie.

– Prawdy, które tłumaczyłyby niektóre twoje zachowania. Na przykład nigdy cię nie pytałem, jak nauczyłeś się mówić po francusku...

Eliasz poczuł zawroty głowy, żołądek podszedł mu do gardła, tymczasem twarz oblała się niekontrolowanym rumieńcem. Do czego to zmierzało? Buqtur i Napoleon Bonaparte poznali się w lipcu ubiegłego roku na plażach Abu Kir. Kiedy Bonaparte zszedł na ląd, Kopt czekał na niego na brzegu plaży i pozdrowił go w jego języku na czele niewielkiego komitetu powitalnego, oferując swoje usługi jako przewodnik i tłumacz. Przybysz, zgodnie z przewidywaniami, przyjął propozycję. Uznał całą sytuację za kolejny dowód, że los mu sprzyja. Fakt, że chrześcijanin władający arabskim oraz doskonałą francuszczyzną, zaznajomiony z kulturą i realiami kraju, znalazł się akurat w tym momencie na plaży, mógł stanowić jedynie dar od Opatrzności. Dobry omen. Już tego pierwszego dnia Kopt zaskarbił sobie jego pełne zaufanie. Jeszcze przed zachodem słońca pomógł mu porozumieć się z ulemami z meczetu w Abu Kir, zapobiegając przedwczesnemu przelewowi krwi. Buqtur przekonał ich, że potężna cudzoziemska armada, która zawitała u ich brzegów, przyniesie jedynie wolność i pomyślność. Dlaczego zatem rok później zadawano mu podobne pytanie?

– W mojej rodzinie od lat mówi się waszym językiem, generale – odpowiedział tonem przypominającym wymówkę. – Jesteśmy rodem kupców i mamy statki, które co dzień wyruszają z Aleksandrii do Grecji, Włoch i Francji, aby sprzedawać i wymieniać towary. To z nimi nauczyłem się francuskiego, panie.

– Powiedz mi coś jeszcze – Bonaparte nie odpuszczał. – Któryś z twoich krewnych zamieszkał w Nicei, prawda?

Eliasz zrobił minę pełną niezrozumienia, jak gdyby nie wiedział, o jakim miejscu mowa.

– W porządku, w porządku. – Bonaparte sapnął, opatulając się koszulą, aby jak najszybciej odzyskać ciepłotę ciała. – Zapytam zatem inaczej: kim, u diabła, jest Nikodem Buqtur?

Zawroty głowy przerodziły się nagle w mdłości. Przez moment Eliasz poczuł, że siły go opuszczają.

– Panie, skąd wy wiecie...?

– Odpowiadaj! – podniósł głos, który zadudnił na pustym placu. – Kim jest Nikodem Buqtur?

– To... – zawahał się – to starszy brat mojego ojca.

– Opowiadaj o nim!

Tłumacz, zdruzgotany, ponownie się zawahał, co powiedzieć. Nie umknęło to uwadze Bonapartego. Nawet jeśli wciąż znajdował się pod lekkim wpływem narkotyku, Eliaszowi się wydawało, że jego pan jest przytomniejszy niż kiedykolwiek. Pytał go o osobę, której nie miał prawa znać. Było to niemożliwe!

W następnym ułamku sekundy uznał, że lepiej będzie nie kłamać.

– Co konkretnie chcecie wiedzieć, generale? – wybąkał.

– To, co ujrzałem podczas tej podróży – odparł Bonaparte, ściskając pustą fiolkę otrzymaną od błękitnych mędrców – sprawiło, że w głowie zrodziła mi się pewna wątpliwość.

– Odpowiem na każde pytanie, panie.

– Do chwili, gdy przed rokiem dopłynęliśmy do brzegów Egiptu, prawie nikt w mojej flocie nie wiedział, że moim celem jest dotarcie właśnie tam. Tymczasem jednak ty czekałeś na mnie w Abu Kir...

Eliasz się wzdrygnął.

– Dlaczego? – domknął zdanie Bonaparte.

Beduini przypatrywali im się niewzruszeni z progu chaty, z szeroko otwartymi oczyma, zupełnie jakby byli w stanie zrozumieć każde słowo z toczącej się rozmowy.

Wówczas onieśmielony Buqtur, domyślając się tego, co podejrzewał jego pan, zareagował:

– Wszystko ma swoje wytłumaczenie, panie – oznajmił. – Mój stryj Nikodem od lat mieszka we Francji. Ledwie kilka miesięcy temu powrócił do Egiptu i opowiedział nam o przygotowaniach do waszej ekspedycji. I choć cel wyprawy waszych wojsk był wówczas pilnie strzeżonym sekretem, zawsze się trafi ktoś niedyskretny. Jedna z dam towarzyszących Józefinie, waszej małżonce, wyjawiała mu cel podróży, gdy kupowała od niego lnianą odzież i woale na pustynię i zapytała go o klimat panujący nad Nilem...

– Mów dalej.

– Nikodem, podobnie jak reszta naszej rodziny, całe życie czekał na coś podobnego.

– „Na coś podobnego”? Co chcesz przez to powiedzieć? – odparował.

– To jest tak, panie: od pokoleń wiedzieliśmy, że z krainy Lwa¹⁰ przybędzie do Egiptu człowiek, który pomoże nam w przywróceniu naszego dawnego splendoru. To kwestia sprawiedliwości. Kwestia *maat*, jak to zwykli określać pradawni kapłani. Skoro jedni cudzoziemcy doprowadzili Egipt do ruiny, inni cudzoziemcy odbudują jego wielkość. Hetyci, Rzymianie, chrześcijanie i muzułmanie od wieków ograbiają nasze spichlerze, dlatego zatem Francuzi, przybywający pod banderami nowego porządku, nie mieliby przywrócić nam wolności i zapewnić ponownej pomyślności? W Paryżu Nikodem wiele o was słyszał i gdy tylko zaczęły krążyć pogłoski o gromadzeniu wielkiej floty na wyprawę przez Morze Śródziemne, postarał się uzyskać możliwie dużo informacji.

– Szpiegował mnie?

– Nie obrażcie się, panie – poprosił go Buqtur. – Mój stryj cieszy się w Paryżu wysoką pozycją. Przyszło mu to z łatwością. Przyjaźni się z ważnymi i szacownymi obywatelami.

„Takimi jak Saint-Germain!” – pomyślał Bonaparte, nie odezwał się jednak słowem.

– Kiedy więc już upewniliśmy się co do waszej ekspedycji, uczyniliśmy wszystko, co tylko możliwe, aby was powitać i pozostawać u waszego boku. Wysłaliśmy emisariuszy do błękitnych mędrców i przekazaliśmy im wszystko, co o was wiedzieliśmy. Udostępniliśmy im wszelkie informacje, jakie zdołał zgromadzić mój stryj. Również wasz horoskop.

– Mój horoskop! – przejął się Bonaparte.

– Pragnęliśmy ich przekonać, że to wy jesteście tym oczekiwanym.

– Oczekiwanym?

– Wybranym. Tym, który okaże się godny życia wiecznego...

Bonaparte, zaskoczony tymi słowami, przez chwilę się zastanawiał. Doszedł również do ciekawej konstatacji:

– A zatem Bonaventure Guyon sprzedał mój horoskop twojemu stryjowi?

Tłumacz przytaknął.

– Sowiec go opłacił. Choć nie wszystko człowiek czyni dla pieniędzy...

– Nie wątpię. – Skrzywił się. – I skąd wiedzieliście, że przybędę do Nazaretu?

– Ach! To już kwestia przeznaczenia, panie. To kolejny znak, który tylko ułatwił to spotkanie z błękitnymi mędrcami.

Stary Balasan, który stał obok nich, wciąż śledził ich rozmowę tak, jak gdyby francuski, którym się posługiwali, nie stanowił dla niego żadnej przeszkody.

– Zapytam cię o to, Eliaszu, ostatni raz i żądam, żebyś odpowiedział w imię wierności wobec mojej osoby. – Śmiertelnie poważny Bonaparte odwrócił się plecami do czcigodnego starca i stanął na wprost czarnych oczu tłumacza. – Komu służysz?

Dokładnie przycięta bródka Kopta jakby się skurczyła.

– Już wam to mówiłem, panie: winny jestem posłuszeństwo tylko wam. Lecz moja dusza należy także do klanu – dodał.

– Do klanu?

– My, Buqturowie, należymy do bardzo starego egipskiego rodu o tysiącletniej tradycji. Tworzymy bractwo, które wierzy w jedynego Boga, stwórcę wszystkiego. Wierzymy, że pod tymi szatami Kopta chrześcijanina – stwierdził, wskazując swój czarny kaftan – kryje się dusza, która pragnie porozumieć się z Najwyższym. Napędza nas stara wiara w Najwyższą Równowagę, w *maat*, o której już wam wspominałem. Mój lud, panie, pragnie jedynie przywrócić na ziemi naszych przodków właściwy porządek religijny, a w waszym przybyciu dostrzegł pierwszą od wieków ku temu sposobność.

– Właściwy porządek?

– Otóż to, panie. Porządek, który – gdy już go przywrócić – rozbudzi na zawsze siłę, która czyni nas nieśmiertelnymi. Jeśli wy, z łaski tych oto pustynnych mędrców, pozyskacie dar, który opanowali faraonowie, jak Amenhotep, czy wysłannicy, jak Jezus, wyniesiecie z Egiptu największą prawdę...

Młody Bonaparte pokręcił głową.

– „Największa prawda” brzmi dość patetycznie.

– Ale taka nie jest.

– A co takiego mówi?

– Że śmierć nie istnieje, panie. Że jesteśmy czymś znacznie więcej niż to, co widać. Żywi nas boska energia, która nigdy nie ulega zniszczeniu, jedynie zmienia swoją postać. Pradawni bogowie stworzyli nas na swoje podobieństwo, kryjąc w nas esencję swojej nieśmiertelności. My ją posiadamy. Nie wiemy jednak, jak sprawić, żeby trysnęła z naszego wnętrza i nas odmłodziła. Oni... – powiedział, wskazując błękitnych mędrców. – Oni pomogą wam uczynić ten krok. A wy pomożecie nam.

Bonaparte przyjrzał się wówczas dwóm Beduinom. Obaj obserwowali go z wyrazem twarzy, którego ani Elias, ani on sam nie był w stanie odczytać. Zdawali się wszystko rozumieć. Wszystko wiedzieć. I odnosić do nich z ogromną czcią.

– Zapytaj ich zatem, Eliasz, kiedy i gdzie przekażą mi swój sekret – polecił Bonaparte, nie spuszczać z tonu. – Jeśli dzięki niemu zdołam przywrócić porządek w Egipcie, oni zaś dowiodą mi, że śmierć nie istnieje, przymknę oko na to, co przede mną ukryłeś w kwestii twojej rodziny i siebie samego, i obsypię cię honorami.

Kopt skrzętnie zastosował się do polecenia.

Balasan wysłuchał następnie z wielką uwagą tłumaczenia słów Bonapartego i się uśmiechnął.

– Nastąpi to tuż przed tym, zanim sułtan Bunapart osiągnie wiek Seda – odparł. – W Wielkiej Piramidzie. W pierwszej maszynie życia wiecznego...

– Pierwszej? – Bonaparte rozłożył ręce. – Znaczy to, że jest ich więcej?

Czcigodny Balasan pokiwał głową w zabawnym geście.

– O to – odparł – powinniście już pytać rodzinę Buqturów. To oni trzymali pieczę nad inną z tych machin w kraju, z którego przybywacie...

– Oczywiście! – przerwał Napoleon, spoglądając na niego kątem oka. – Piramida w Falicon!

Eliasz, który do tej pory wytrzymywał ogromne napięcie, skrył twarz w dłoniach. Jak to możliwe, że Bonaparte wiedział również i o tej konstrukcji?

ROZDZIAŁ 36

WIELKA PIRAMIDA

GIZA

„Cóż za ironia!”

Jęk zaskoczył samego Napoleona Bonapartego.

„Jakże nieprzewidywalny, jakże przewrotny bywa czasem los!”

Trzeba mu było zgromadzić flotę złożoną z ponad trzystu okrętów, przemierzyć Morze Śródziemne i rozmieścić w Egipcie i Ziemi Świętej ponad trzydzieści tysięcy ludzi, aby odkryć, że rozwiązanie dla jego życiowego – czy może raczej śmiertelnego – niepokoju znajdowało się kilka kilometrów od Nicei, niemal naprzeciwko jego rodzinnej wyspy.

Młody generał, któremu plecy zdrętwiały od kontaktu z dnem sarkofagu, poczuł wówczas dziwną ulgę. Tak, jakby jego ciało stawało się coraz to lżejsze i nic nie mogło zaburzyć tej spokojnej i dopiero co ujawnionej wizji zdarzeń.

Nie wiedział – choć zaczynał się już tego domyślać – że nieodwracalny proces „ważenia duszy”, jego duszy, był na bardzo zaawansowanym etapie.

Być może wciąż miał ujrzeć coś jeszcze. Pojąć jakieś działania innych i się nad nimi namyślić. Był jednak pewien, że koniec „próby piramidy” już się zbliża.

Pragnął wierzyć, że niebawem Tot skalibruje swoją wagę i orzeknie, jakie przeznaczenie czeka jego umęczonego ducha...

ROZDZIAŁ 37

KAIR

11 SIERPNI 1799 ROKU, POPOŁUDNIE

„To jakieś szaleństwo!”

Rozwodnione spojrzenie niebieskich oczu Nadii ben Raszid gubiło się w nicości, podczas gdy kobieta o białym obliczu, która przyjęła ją w domostwie Starca z Góry, starała się czym prędzej przygotować ją do jej osobliwej misji. To ona poprowadziła Doskonałą do ogromnego pomieszczenia, gdzie wraz ze skromnym gronem pomocnic rozebrała ją z brudnej odzieży podróżnej, wykąpała, natarła najprzedniejszymi olejkami i wyperfumowała. Nadia potulnie poddała się tym zabiegom. Myślami była daleko stąd. Tak długo przebywała w niewoli, poza marginesem życia i uczuć takich, jak miłość, że teraz, gdy znienacka otrzymała zadanie do wykonania w „świecie zewnętrznym”, wywoływało to w niej mieszane uczucia. Zaledwie przed dwiema nocami prowadziła żywot samotny i bojaźliwy. Cała jej rola sprowadzała się do nieniepokojenia Omara i zachowywania dyskretnej lojalności wobec własnego rodu. Nie miała niczego, co mogłaby uznać za naprawdę swoje, również żadnych zadań czy stojących przed nią wyzwania. Teraz z kolei wszystko to uległo zmianie. Znienacka jej perspektywy nie ograniczały się już do wykonywania nieistotnych zajęć, powierzono jej zaś misję o kolosalnym znaczeniu: miała odszukać najpotężniejszego człowieka na Ziemi i przekonać go, że jego życie jest w niebezpieczeństwie – i musiała to uczynić, wsłuchując się w głos własnego instynktu. Jakby tego było mało, sama zawczasu wyczuła tego wojownika, zdawało jej się niemal, że go zna, a choć strach i niepewność wciąż jej nie opuszczały, zarazem wzrastało w niej trudne do wytłumaczenia pragnienie. Pierwszy raz w swoim smutnym życiu czuła się powołana do tego, żeby uczynić coś doniosłego. Nagle ogarnęła ją pewność, że moment ten został zapisany gdzieś przed wiekami. Że Nadia ben Raszid nie była jedynie piękną niewolnicą z prowincji, skazaną na zapomnienie.

Doskonała westchnęła.

Niemal nie zdała sobie sprawy, że mała armia pomocnic skończyła już swoją pracę. Skrupulatnie pomierzyły ją w biodrach, w pasie i w biuście, a lniana suknia, którą dla niej wyszykowały, wyśmienicie prezentowała się w połączeniu z jej karnacją.

– Ślicznie wyglądasz, Nadiu! – zawołała z ukontentowaniem bladolica pani, gdy tylko skończyła ją stroić.

Zatopiona w rozmyślaniach Nadia spojrzała wówczas na swoje odbicie w lustrze, nie wiedząc, co powiedzieć. Ledwie się rozpoznała. Jej uroda stała się teraz tak widoczna, że

zapierała dech w piersiach. Sekret tkwił w szatach, które podkreślały jej wspaniałą figurę. Jej włosy wyprostowano, pozwalając im opaść kaskadami na jej odsłonięte ramiona. Prawą dłoń ozdobiono dwoma złotymi pierścionkami, lewą – koralową bransoletą, oczy podmalowano zaś kohlem.

Kiedy Ali ujrzał, jak Nadia wychodzi z pokoju, w którym ją zamknięto, potwierdził jej wrażenie.

– Wyglądasz jak sama bogini Izyda! – wykrzyknął.

Spuściła wzrok, zarazem zadowolona i przejęta. Dokładnie o tym mówił jej Starzec z Góry. Gdy przeistoczona w cień bogini życia i miłości myślała o czekającej ją misji, zdała jej się ona naraz czymś ekscytującym i zakazanym.

– Sądzisz, że będę w stanie dotrzeć do Bonapartego, wuju Ali? – spytała z głębokim przejęciem kogoś, kto nachyla się nad bezdenną przepaścią.

– Nie masz powodów do niepokoju, Nadiu – uspokoił ją, podając zarazem jeszcze jedną bransoletę, którą właśnie podniósł z ziemi.

– Ale czcigodny Balasan powiedział, że w jego otoczeniu są cudzoziemcy, którzy również pragną poznać tę tajemnicę. Możliwe, że nam przeszkodzą i...

– Ach, Nadiu! Choćby jego armia pełna była dzieci Seta, gdzieś jest zapisane, że się odnajdziecie.

Doskonała wzdrygnęła się, słysząc z ust wuja własne przemyślenia.

– *Inszallah* – wybąkała. – Oby.

– A zatem – mruknął – skoro ufasz swojemu przeznaczeniu, co cię trapi?

Z błyszczącymi oczyma poszukała jego spojrzenia:

– Jeśli Bonaparte to ten, co podejrzewam, wuju, będzie wiedział, że życie wieczne jest jak *maat*. Że może ci sprzyjać lub okazać się wrogiem w zależności od tego, jak do niego podejdziesz.

– Nie wiem, co chcesz przez to powiedzieć...

– Że być może Bonaparte przemyślał związane z życiem wiecznym niedogodności i uznał, że mu ono niepotrzebne. A wówczas... – jej oczy zaszyły wilgocią – wówczas to wszystko nie miałyby sensu.

– Ach, doprawdy, Nadiu! – sapnął Ali. – Nikt zdrów na umyśle nie uznałby tak wyjątkowego, właściwego bogom daru za coś nieprzyjaznego.

– Wiesz co? – odparła, odzyskując panowanie nad sobą. – Odkąd w Edfu opowiedziałeś mi, na czym polega tajemnica, której strzeże nasza rodzina, wiele o tym myślałam. I dar ten, tak samo jak i uroda, niesie ze sobą liczne komplikacje. Pomyśl. Możesz być Amenhotepem i przyglądać się, jak twoje życie rozciąga się ponad typowo ludzką długowieczność, ponieważ jednak dar ten dotyczy tylko ciebie, niebawem zdasz sobie sprawę, że nie obejmuje on nikogo

z twoich bliskich, wszyscy starzeją się więc, umierają i cię opuszczają. Po cóż komu życie wieczne, jeśli nie może dzielić go z tymi, których kocha?

Ali poczuł ukłucie w żołądku. Jej wywód był ze wszech miar logiczny. Niemniej jednak czym prędzej odparł go argumentem, po który sięgnąć mógł jedynie tak ważny członek klanu ben Raszidów:

– Nie brak ci rozsądku – przyznał. – Lecz właśnie na tym się zasadza ostateczny sens naszej walki. Jeśli teraz uda nam się sprawić, aby ten dar przypadł w udziale zwolennikom Horusa, będziemy mogli się postarać, żeby objął swoim działaniem całą ludzkość. Właśnie to usiłował uczynić Jezua, zanim go zdradzono. Pragnął przywrócić nas do tego Złotego Wieku, w którym żyliśmy wolni od śmierci, nim wypędzono nas z Raju... I prawie mu się to udało.

– A jeśli zawiodę?

Ali spojrzał na nią z wielką powagą.

– Nie zawiedziesz – zawyrokował. – Starzec z Góry zadbał o to, żebyś przed ostatecznym starciem dobrze poznała swojego przeciwnika. Dlatego przekazał cię w ręce Omara. Pragnął, abyś – kiedy nadejdzie odpowiedni moment – nie miała wątpliwości co do tego, po czyjej stronie stanąć. Nie masz wyboru, Nadiu. Jesteś po stronie Światła. I dzięki temu zwyciężymy.

Doskonała, której oczy wciąż były wilgotne, podniosła wzrok i spojrzała w oczy wuja. W tym momencie nie była silną, zdeterminowaną i gotową do boju kobietą, która dopiero co wyszła z pokoju. Była przestraszona dziewczynką.

– A co, jeśli Omar mnie znajdzie? I nie zdołam dotrzeć do Bonapartego? Albo on mnie nie przyjmie? – załkała.

Wówczas Ali ją przytulił. Rozumiał, że mogła odczuwać obawy, musiał jednak wzmóc w niej pewność siebie. Wiarę we własne przeznaczenie. Zarzucając jej więc na ramiona starą galabiję, aby skryć jej urodę do czasu, gdy przyjdzie pora ją ukazać, wyszeptał:

– Nie bój się. Jestem tu po to, aby cię chronić. Nie dopuszczę, żeby stało ci się cokolwiek złego.

– Obiecujesz?

– Oczywiście – przyznał.

To powiedziawszy, z uśmiechem od ucha do ucha zawołał:

– A teraz w drogę!

ROZDZIAŁ 38

Wczesnym popołudniem tej niedzieli 11 sierpnia 1799 roku Omar Zalim odnalazł już to, czego szukał. W samym środku miasta, w sercu dzielnicy pełnej straganów z owocami i meczetów, wznosiło się stare domostwo. Biła od niego moc, która zrobiła na nim wrażenie. Był to parterowy budynek o ścianach z palonej cegły, z niewielkim wejściem, które – jak często w podobnych budowlach – kryło za sobą istny labirynt pomieszczeń i dziedzińców. Dostępu do środka broniła jedynie materiałowa zasłona, która sprawiała wrażenie, jak gdyby za moment miała rozpaść się na strzępy.

Lecz miejsce to – o czym Omar wiedział, odkąd tylko je ujrzał – nie było tym, na co wyglądało.

Zespół zabudowy, wybrany umyślnie, aby nie zwracał niczyjej uwagi, chroniła wyjątkowa energia, która czyniła go niezniszczalnym. Faraonowie zwykli ją określać mianem *san ankhu*. Była to niewidzialna magnetyczna membrana, którą rozciągnięto wokoło, aby odpychała wszelkie nieprzyjemne moce. Nowy instynkt Omara – ten, który zyskał przy inskrypcjach grobowca faraona Amenhotepa, ożywionych dzięki obrzędowi krwi, który doprowadził go w to miejsce – podpowiadał mu, że właśnie w tym domu jego wrogowie skrywali Nadię ben Raszid. I że powinien jak najprędzej wejść do środka i ją pochwycić.

Ale jak?

Jaka magia miała mu umożliwić przebicie się przez podobny pancierz?

Czyż ten, kto stworzył tę osłonę, nie wykazywał nieskończenie większej maestrii w tajemnych sztukach niż on sam?

Ta ostatnia fala wątpliwości wprawiła go w zamyślenie.

„Błękitni mędrcy! – zawyrokował w przyływie jasności umysłu. – Muszę się pospieszyć!”

Z zewnątrz zabudowania przedstawiały się żałośnie i w ogóle nie przykuwały uwagi. Brakowało wysokiego parkanu czy muru, dostępu nie strzegły także żadne posterunki ani inne zabezpieczenia. Żadna tabliczka nie wskazywała na tytuły domowników czy rodzaj działalności, jaką mogli się trudnić. Niemniej jednak, mimo braku widocznych barier, za każdym razem, gdy Omar usiłował zbliżyć się do budynku – a czynił to już wiele razy w ciągu ostatniej godziny – czuł, jak jego mięśnie ogarniała słabość, jego żołądek tężał, powodując mdłości, żyła przechodząca mu przez skroń zaczynała zaś pulsować, przyprowadzając go o koszmarne bóle głowy.

„To jakieś błękitne zaklęcie – utwierdził się w przekonaniu. – I to z tych silnych”.

O tym jednak, że Nadia rzeczywiście znajduje się w środku, ostatecznie przekonała go nie ta magia, ale komentarze sąsiadów. Garbarz, który prowadził warsztat naprzeciwno, widział, jak tego samego ranka, bardzo wcześnie, weszła tam młoda, prześliczna dziewczyna w towarzystwie osiłka o szorstkiej fizjonomii.

„To Ali” – domyślił się, tymczasem w przełyku zagościł mu gorzki posmak.

Syn rzemieślnika, dziewięcioletni chłopiec, który przyjaźnił się z dziećmi z tego domostwa, zapewnił go, że ich krewni spodziewali się wizyty kogoś ważnego i nawet przygotowali nocleg na przyjęcie przybyszów.

Wszystko zatem potwierdzało podszepty jego instynktu.

Przekonany, że to tylko kwestia czasu, zanim Doskonała postanowi wychylić się ze swojej nowej nory, Omar pozostał na czatach.

Kiedy około trzeciej po południu dostrzegł, że brudna zasłona nad wejściem wreszcie się podnosi i z domu wychodzą dwie postacie, serce mu podskoczyło. Zza rogu, gdzie się skrył, uważnie przyjrzał się tej parze. Wydało mu się, że to dwoje sędziwych staruszków. Ostrożnie wychylili się na zewnątrz, po czym wspierając się na sobie nawzajem, ruszyli chwiejnym krokiem w górę ulicy.

Omar się zawahał.

Jego palce zacisnęły się na wiernym sztylcie z Damaszku, postanowił jednak zaczekać.

Staruszkowie byli ubrani w brudne i powycierane galabije, mieli osłonięte głowy i ruszyli ulicą Bayn al-Qasrayn tak niepewnym krokiem, że spodziewał się, że zaraz z domu wyjdzie ktoś jeszcze, aby im pomóc. Nic takiego się jednak nie stało. O tym, że osoby te nie stanowią żadnego zagrożenia ani nie są to poszukiwani przez niego zbiegowie, przekonało go ostatecznie to, że różni ludzie podchodzili do nich, żeby się serdecznie przywitać. Musieli to być zatem służący. Być może sąsiedzi. Ktoś nawet poprowadził staruszków do najbliższego straganu z warzywami.

Lecz właśnie w tym momencie Omar zdał sobie sprawę z czegoś innego.

Drzwi do domostwa pozostały otwarte. Zasłona nie skrywała już wejścia do przestronnej sieni, która z kolei zdawała się prowadzić na jasne, wewnętrzne podwórko... I poczuł, że osobliwy węzeł w żołądku, który dotychczas nie pozwalał mu się zbliżyć do progu domu, zniknął!

Oto miał swoją szansę.

„Żadne zaklęcie, nieważne, jak mocne, nie przetrwa nieskończenie długo wobec równowagi w przyrodzie – pomyślał. – Tak właśnie działa *maat*”. On zaś był zdeterminowany, żeby wykorzystać okazję, która mu się nadarzyła.

Bez namysłu przekroczył próg i przemierzył pierwszy dziedziniec w poszukiwaniu jakichś śladów Doskonałej.

W pierwszej kolejności jego uwagę zwróciła samotność tego miejsca. Następnie zaś cisza.

Dom był czysty, wszędzie było widać drzwi bez zamków i schody. Przeszukanie każdego zakamarka zajęłoby mu sporo czasu.

– Szukasz czegoś, Zalimie?

Potężny głos za jego plecami wytrącił go z rozmyślań. Poznaczony bliznami mężczyzna sięgnął ręką do pasa, chcąc dobyć broni, lecz kiedy się odwrócił, aby stwierdzić, kto go rozpoznał, niemal upuścił sztylet z wrażenia. Mówiący był człowiekiem starszym, o wiekowym spojrzeniu oczu tak błękitnych, że zdawały się wyblakłe w ciągu wieków. Wpatrywał się w niego z pewnością, stojąc pośrodku podwórza.

– Ta, której szukasz, wyruszyła już na spotkanie z przeznaczeniem – oznajmił, nie zdradzając żadnych oznak zaskoczenia.

Omar rozpoznał w nim źródło *san ankhu*, która jeszcze chwilę temu chroniła to miejsce, i ze złością zganił się w myślach za to, że umożliwił wymknięcie się tamtym dwóm staruszkom.

– Wiem, kim jesteś, i obyś był przekłety... – odpowiedział, świadom, że pozwolił się okpić.

Niewzruszony starzec odparł:

– W takim razie wiesz również zapewne, co tutaj robię, prawda, Omarze Zalimie?

Bliskość tego osobnika powodowała w nim wyjątkowy dyskomfort. Zaczął odczuwać drobne skurcze w czubkach palców i trudności przy napełnianiu płuc powietrzem. Blizny zaczęły go swędzieć. Gdyby mógł skorzystać z pełni swoich mocy, wybiegłby stamtąd za dwójką zbiegów. Ale nie mógł. Już było za późno. Wiedział, na kogo przyszło mu się natknąć.

– Wy, błękitni mędrcy, powracacie tylko wówczas, gdy rozpoznacie wybrańca, któremu można powierzyć ambrozię pradawnych bogów – wymamrotał niechętnie, nie odrywając spojrzenia od jego oczu i czyniąc nie lada wysiłek, aby utrzymać się w pionie. – Szkoda, że postanowiliście sprzymierzyć siły z potomkami Horusa, zamiast z nami, synami Seta.

– Jesteście Ciemnością – padła odpowiedź.

Niespodziewane uderzenie gorąca sięgnęło jego policzków, a wzrok mu się zamglił. Starzec roztaczał wokoło coraz to potężniejszą moc.

– Noc to domena gwiazd, astronomów, bazarzy, kultury, magii – odparł zasapany. – Dlaczego nam nigdy nie zaufaliście? Wszechświat to nocne stworzenie. Podobnie jak ludzkość.

Czcigodny Balasan – gdyż to jego Omar miał przed sobą – splótł palce dłoni we współczującym geście.

– Wciąż jeszcze nie pojąłeś, prawda, synu? – uśmiechnął się. – My nie opowiadamy się po niczyjej stronie. Spełniamy powinność, jaką powierzono nam przed wiekami: pomagać tym, którzy zasługują na życie wieczne, w jego osiągnięciu. I tyle.

– I wolicie obdarzyć nim cudzoziemca zamiast samych Egipcjan?

Starzec z Góry ponownie się uśmiechnął.

– Widzę, Omarze, że jesteś dobrze poinformowany.

– Ujrzałem to we wnętrznościach jednej z ben Raszidów dzięki tekstom pogrzebowym Amenhotepa...

Omar poczekał, aż zdanie to trafi do rozmówcy, z którego twarzy ani na moment nie zniknął jednak grymas wyższości. Czarownik stracił rezon.

– Wspieracie niewłaściwy odłam – kontynuował bardziej niecierpliwym tonem. – Ród Nadii pragnie schedy po bogach wyłącznie dla siebie. Jeśli jej dopomożecie, będziecie współnikami w ich grzechu skąpstwa. Oni usiłują zaburzyć *maat*. Chcą ją nam ukraść!

Balasan nadal jednak trwał niewzruszony.

– Ani ty, ani nikt z twoich popleczników nie może nic zrobić, aby temu zapobiec – uśmiechnął się, zdwajając moc roztaczanego ochronnego pola siłowego. – Zło, którego się dopuszczasz, nic tutaj nie zmieni. Bunapartowi i dziewczynie pisane jest się spotkać. Ich przeznaczenie zawczasu wyrysowano.

– Przeznaczenie można złamać! – zawył, padając na kolana.

– Tego akurat nie można. Wielka ceremonia Sed znowu ruszyła i nic po tej stronie życia nie zdołaloby jej powstrzymać.

Na te słowa w oczach Omara rozbłysło osobliwe światło.

– A po drugiej stronie? – zapytał z posadzki.

Pytanie po raz pierwszy zaskoczyło Balasana, który wahając się, odparł:

– Nie rozumiem...

– Wy, błękitni mędracy, macie pewien interesujący dar. – Czarnoksiężnik podniósł się, świadom wrażenia, jakie wywierały jego słowa. – Możecie według woli poruszać się między życiem doczesnym a zaświatami. Panujecie nad *ba* i nad *ka*, nad obiema połówkami duszy ludzkiej. Nad tą, która pozostaje ze zmarłym, i nad tą, która łączy się ze Stworzycielem. Dzięki tej mocy udaje wam się objawiać po tej i po tamtej stronie życia...

– Owszem, to część naszej wiedzy – przyznał niepewnie.

– Tak naprawdę jednak – Omar podźwignął się z wysiłkiem – wszyscy dysponujemy narzędziem, żeby tego dokonać: *ka*!

– Istotnie. Choćbyś nawet na to nie zasługiwał, ty również je masz – oznajmił Balasan, który po raz pierwszy stracił panowanie nad przebiegiem rozmowy.

– W rzeczy samej! I gdybym w tym momencie umarł, moje *ka* opuściłoby to ciało i wkroczyłoby w domenę wieczności, gdzie czas i przestrzeń nie mają znaczenia. Czy może się myłę?

– Nie, nie mylisz się.

– Gdybym umarł, Balasanie, mógłbym dzięki mojej nowej formie istnienia zakłócić waszą świętą ceremonię i sprawić, żeby Bonaparte poniósł klęskę. To, czego nie mogę dokonać teraz, po tej stronie życia... będzie możliwe w zaświatach, czyż nie?

Balasan wystrzył wzrok.

– Nie zrobisz tego – rzucił rozkazującym tonem.

– A dlaczego nie? – Zachwiał się. – Znam zaklęcia. Wchodziłem do pradawnych grobowców i recytowałem inkantacje z tamtej strony. Przystudiowałem korytarze prowadzące w zaświaty...

– Nie zrobisz tego! – powtórzył.

Omar Zalim pozwolił, żeby jego rysy rozjaśnił złowieszczy grymas:

– W tej grze, czcigodny mędrce, trzeba grać ostro. Tajemnica wiecznego życia nie może wpaść w nieczyste ręce. To *maat*. A *maat*, jak dobrze o tym wiesz, dotyczy nas wszystkich.

Studziesięcioletni starzec się wzdrygnął.

Nie był w stanie przeszkodzić Omarowi Zalimowi, gdy ten oburącz uniósł sztylet, który ciągle dzierzył, a następnie gwałtownym gestem wbił go sobie w sam środek piersi. Oczy czarownika momentalnie się zaszklily, źrenice Balasana na ten widok zapłonęły zaś żywym ogniem. Krew maga poczęła chlustać na posadzkę, plamiąc starcowi ubranie.

– Zobaczmy się po drugiej stronie, Starcze z Góry. – Omar zdławił ostatnie rżenie, ponownie padając na kolana. – I pokonam was... wszystkich!

ROZDZIAŁ 39

KAIR, DZIELNICA AZBAKIJA

11 SIERPNI 1799 ROKU, ZMIERZCH

– Chcielibyśmy się rozmówić z generałem Bonapartem – oznajmił wygolony, krzepko wyglądający Egipcjanin, który stanął kilka kroków przed wizjerem. Towarzyszyła mu kobieta z zasłoniętą twarzą, która nie odezwała się choćby słowem.

Żołnierz pełniący wartę przy bramie kwatery dowodzenia zawahał się. Mało który muzułmanin wymawiał poprawnie nazwisko jego dowódcy, nie mówiąc już o prawidłowej identyfikacji jego stopnia w hierarchii wojskowej. Dla wartownika był to pierwszy taki wypadek, a obszarpany i zużyty strój przybysza, przypominający bez mała przebranie, bynajmniej nie przypadł mu do gustu.

– Kto chce się z nim widzieć? – zapytał wrogo.

– Ali ben Raszid i jego siostrzenica Nadia. Dopiero co przybyliśmy z Górnego Egiptu tylko po to, aby się z nim spotkać. Chodzi o sprawę najwyższej wagi.

– O co dokładnie chodzi? – zapytał nieufnie żołnierz.

– O sprawę życia i śmierci! – odparował nader szorstko Ali. – Powiedzcie mu, że błękitni mędracy przysyłają nas, aby przestrzec go przed grożącym mu niebezpieczeństwem.

– Doprawdy? – Na dotychczas kamiennej twarzy żołnierza zarysował się lekki uśmiezek. – A kimże są ci mędracy?

– Powiedzcie mu o nich! Powtórzcie, co powiedziałem, jeśli nie chcecie napytać sobie biedy.

Wartownik zmarszczył brew. Nie przywykł do sytuacji, w której cywil mówił mu, co ma robić. Niemniej jednak w zachowaniu tego człowieka było coś, co przekonało go, że jego pośpiech nie był bezpodstawny.

– Niech będzie. Poczekajcie tutaj – odparł.

I zanim zniknął za bramą, dorzucił:

– Ale jeśli to, co mi powiedzieliście, okaże się nieprawdą, to wraz z waszą towarzyszką będziecie mieli nie lada kłopoty. Zrozumiano?

Ali odpowiedział mu szerokim uśmiechem.

ROZDZIAŁ 40

Niespełna dwadzieścia cztery godziny temu Bonaparte powrócił z plaż Abu Kir. Niesiony euforią, choć wyczerpany, rozkoszował się w samotności triumfem odniesionym w ostatniej kampanii przeciwko wojskom otomańskim. Zawsze czynił to w ten sposób. Na kanapie w swoim gabinecie, służącym mu również za sypialnię, na trzecim piętrze pałacu w Azbakijja, zastanawiał się teraz, jak nazwać swoje najnowsze zwycięstwo. Była to dla niego ważna sprawa. Podczas lektury klasyków odkrył, że akt nazywania jak nic innego upodobił go do Boga. Koniec końców w Księdze Rodzaju wyczytał, że Najwyższy Stwórca nadawał swojemu dziełu charakter dopiero w momencie obdarzenia go nazwą. On zaś pragnął w ten sam sposób postąpić z każdym z własnych dokonań. „Bitwa pod piramidami” lub „Bitwa pod górą Tabor” znalazły się już w jego notatkach i w raportach, które wysłał do Paryża. Jak jednak powinien nazwać to ostatnie zwycięstwo?

Musiał się nad tym zastanowić.

Raz za razem w pamięci powracała mu najbardziej wyrazista scena ze zmagania pod Abu Kir. Główną rolę odegrał w niej generał Joachim Murat, usytuowany kilka metrów od Bonapartego, podczas jednej z ostatnich szarż mamelukiej jazdy. W zdumiewającym akcie odwagi Murat ruszył konno na nieprzyjaciół z obnażoną szablą, jednym uderzeniem ucinając lewą rękę adiutantowi Djezzara. Cóż za chwila! Oszłomienie i przerażenie wojownika szybko udzieliło się jego ludziom, którzy z przestachem patrzyli, jak ich basza został upokorzony niczym byle złodziej. Bonapartego zaś zachwyciło to, jak jednym cięciem szabli udało się przesądzić o losach bitwy. Cięciem identycznym jak to przewidziane w prawie islamskim dla tych, którzy usiłują przywłaszczyć sobie cudzą własność. Od momentu, gdy ostrze pozbawiło wroga ręki, zawstydzeni mamelucy rzucili się do bezładnej ucieczki, wybierając śmierć przez utopienie na plażach Abu Kir zamiast okaleczenia z rąk francuskich żołnierzy.

Cóż za nauka!

Bonaparte pojął, że opanowanie złożonego świata symboli, „słowa pierwotnego”, oznaczało zdobycie władzy równej samym bogom. Nikt nie zrozumiał tego w takim samym stopniu jak on. Nawet generał Kléber, najbystrzejszy z jego ludzi, dał się oczarować wyczynowi Murata, zarazem jednak nie pojmując, dlaczego wywołał on tak wielkie poruszenie w szeregach nieprzyjaciela.

– Jesteście wielcy niczym świat! Widzicie? – zakrzyknął podniecony, w samym środku pola bitwy potrząsając wodzem za epolety.

Bonaparte nie pozwolił jednak, aby euforia odebrała mu trzeźwość umysłu. Wprost przeciwnie. Dokładnie przyglądał się całej sytuacji, zadziwiony, że Kléber, stojący przecież na czele bractwa masonskiego i znający się na symbolice, nie połapał się w tym wszystkim. Zaślepienie człowieka będącego jego prawą ręką po raz kolejny utwierdziło go w przekonaniu, że słusznie odrzucił jego zaproszenie do warsztatu, któremu Kléber przewodniczył.

To, że jedyny w swojej armii był obdarzony podobną zdolnością interpretacji symboli, nie powodował u niego bynajmniej dyskomfortu. To właśnie ta zdolność czyniła go wybitnym oficerem. I w dalszym ciągu miał nim pozostać, o ile tylko doceni i będzie umiał wykorzystać sposób postrzegania świata przez otaczających go ludzi.

Jean-Baptiste Kléber był, mimo wszystko, najbardziej spośród nich spostrzegawczy. I nie wynikało to wyłącznie z jego przymiotów fizycznych i świetnego wzroku, ale także ze znajomości historii, psychologii i geografii oraz umiejętności dostrzegania znaków od Opatrzności tam, gdzie inni widzieli jedynie przypadki. Podczas kampanii w Palestynie dał kolejny dowód posiadania tych zdolności.

– Nazaret przyniósł wam szczęście, na które zasługujecie! – zauważył, potrząsając nim, wciąż upojony zwycięstwem, w dniu, gdy wyratował go od Djezzara. Jezus pokonał tutaj śmierć. Wy – naszych wrogów. Błogosławieni jesteście tak jak On!

Wypowiedział te słowa w osobliwym, niemal proroczym tonie, czym wzbudził w Bonapartem pewne poruszenie. Później jednak, po spotkaniu z błękitnymi mędrkami, ten ostatni zupełnie zapomniał o całym zdarzeniu.

Gdy Bonaparte odpoczął już od bitewnych zmagania, odświeżył się i ogolił, z nowym zainteresowaniem przypomniawszy sobie zachowanie generała. A co, jeśli Jean-Baptiste Kléber miał rację? Co, jeśli szczęście, *baraka*, już mu towarzyszyło? Czyż nie nadszedł wreszcie czas, aby z jego pomocą ruszyć na podbój Europy? Całego świata? Czyż odnoszone zwycięstwa nie przeistaczały go w żywą legendę, w nowego Aleksandra? I czy nie byłoby idealnym zaakcentowaniem dla jego ambicji, gdyby przed poczynieniem tego kroku umocnił swoją reputację, z powodzeniem przechodząc próbę, o której wspominali mu błękitni mędracy?

Właśnie w tym momencie drzwi do jego gabinetu się otwały.

– Za pozwoleniem, panie generale – wyrwał go z zamyślenia dyżurny oficer.

– Wejdźcie, kapitanie – rzucił niechętnie. – Co się dzieje?

– Właśnie przyszła pilna depecha od generała Desaix znad Górnego Nilu, panie.

– I o co w niej chodzi?

– Wygląda, że to coś poważnego – odparł jakby przepraszająco kapitan. – Dwaj członkowie Komisji Naukowej, inżynierowie de Villiers i Prosper Jollois, zapewniają, że przeciwko wam uknuto spisek.

Napoleon Bonaparte nie zdawał się poruszony i ruchem głowy dał mu do zrozumienia, żeby kontynuował.

– Muszę przyznać – dodał kapitan – że to ich ostrzeżenie jest cokolwiek... dziwne. Podają bardzo konkretne szczegóły. Nie wydaje się więc, żeby to była plotka. Obawiają się, że wasza ekscelencja mogłaby wpaść w ręce miejscowej sekty i że z jej winy utracimy panowanie nad krajem. Mówią...

– Mówią coś jeszcze?

– Utrzymują, że wasze życie jest w wielkim niebezpieczeństwie, panie. Że na czele tego kultu stoją bezlitośni mordercy.

Bonaparte przyglądał się oficerowi z niedowierzaniem.

– Doprawdy? – zapytał nie bez sarkazmu.

– Tak, panie.

– A wam, kapitanie, wszystkie te ostrzeżenia wydały się prawdopodobne?

Oficer przełknął ślinę, a jego oblicze pobladło.

– Pytacie mnie, panie, o moje zdanie?

– Nie inaczej.

Oficer zawahał się w podenerwowaniu.

– Jasne, że nie, kapitanie! – gromki śmiech generała uspokoił na powrót posłańca. – Niepodobna, żeby moi ludzie dawali wiarę takim rzeczom. Miejscowa sekta! Brednie, kapitanie! To jakby wierzyć w zaklinaczy węży! Tutejszy lud ma bardzo bujną wyobraźnię. Co oni sobie myślą? Że jacyś beduińscy fanatycy mnie oszołomią? Kapitanie, nie kłopotcie się nawet odpowiedzią na tę depeszę.

– Ee... Jest jeszcze jedna sprawa, panie, o której muszę was poinformować.

Bonaparte zamilkł.

– Dwoje Egipcjan jakiś czas temu stawilo się pod głównym wejściem do pałacu, domagając się widzenia z waszą ekscelencją.

Generał ponownie spowaźniał.

– Dwoje Egipcjan? Chcecie powiedzieć, kapitanie, że dwoje obywateli, pieszo?

– Na to wygląda.

– I czego chcą?

– Przyszli, aby was ostrzec... – zawahał się – przed niebezpieczeństwem.

– Oni także?

Oficer przytaknął z zatroskaną miną.

– Możliwe, panie, że to coś poważnego – wyznał zaniepokojony zbieżnością wieści.

– Dlaczego zatem nie podadzą tej wiadomości straży? To straż zajmuje się moim bezpieczeństwem.

Kapitan zawahał się przez chwilę, nie wiedząc, czy naciskać:

– Chcą rozmawiać wyłącznie z wami, panie – wykrztusił w końcu. – Poprosili nas, żeby wam wspomnieć, że przysyłają ich... błękitni mędracy. Czy coś to wam mówi, panie?

Generał podniósł się z kanapy i stanął tuż przed oczyma oficera:

– Użyli tego określenia? „Błękitni mędrzy”? Jesteście pewni?

– Tak, panie.

– W porządku, kapitanie – przysłał, odwracając się i zaplatając dłonie za plecami. – Przyjmę ich. Wprowadźcie ich na górę za pół godziny. Muszę skończyć moją medytację. Aha... I każcie mi przynieść najlepsze wino, jakie mamy w piwnicy. Pokonaliśmy Turków i mam co świętować.

ROZDZIAŁ 41

Tuż przed przyjęciem Egipcjan w gabinecie Bonaparte poczuł, że coś zaburzyło chwilę spokoju, na jaką sobie pozwolił. W istocie rzeczy wnet miał zdać sobie sprawę, że nawiedza go pewnego rodzaju przeczucie. Zrozumiał to, kiedy zajmowane przez niego pomieszczenie zaczęło wypełniać się subtelnym aromatem, rywalizującym z oparami wspaniałego burgunda, którego dopiero co odkorkował. Ten nagły zapach wprowadził go w zdumienie. Generał był sam, aromat nie docierał jednak z żadnego możliwego do określenia miejsca. Nie wydawał się także niepożądanym rezultatem fermentacji przyniesionego mu prześwietnego Gevrey-Chambertin. Woń była słodkawa, delikatna, ale dostatecznie intensywna, żeby zdecydował się wychylić przez okno w poszukiwaniu jej źródła. Na próżno. Na zewnątrz nie było nikogo. Zapach ten nie wydawał mu się zresztą zwyczajny. Był jakby znajomy. Bliski. Niemal intymny.

Gdzie już wcześniej mógł się z nim spotkać?

Znienacka, dzięki ciągowi szybkich skojarzeń, Bonaparte zdał sobie sprawę, od jak dawna nie był z kobietą. Jego żona Józefina była bardzo daleko, w Paryżu, a w ostatnich jej listach można było odczuć jedynie rozczarowanie jego przedłużającą się nieobecnością. On sam – nazbyt dumny, żeby dopuścić się względem niej niewierności – nie miał ani czasu, ani nastroju na flirty od chwili zejścia na egipski ląd. Teraz jednak, za sprawą wyczuwanego aromatu, uświadomił sobie ten brak. Niebawem miał skończyć trzydzieści lat, tymczasem stopniowo, prawie niezauważalnie, wyrzekł się jednego z wielkich darów życia.

Nieco oszołomiony, zamyślił się przez chwilę nad tym spostrzeżeniem. Po co podbijać cały świat, jeśli u kresu drogi nie będzie się nim z kim nacieszyć? Czemu służy życie, jeżeli nie temu, aby mieszać je i łączyć z innym życiem?

Wówczas poczuł drugą falę zapachu, która przypomniła mu, gdzie po raz pierwszy doznał takiego dreszczu.

Bonaparte się uśmiechnął.

Działo się to w jego snach.

W Nazarecie.

Po bitwie pod górą Tabor.

Podczas drzemki, w trakcie której zmysłowa bogini wyszeptala mu coś, co teraz rozbrzmiewało mu w czaszce z niespodziewaną siłą. Jak gdyby była to wiadomość stanowiąca odpowiedź na jego ostatnie przemyślenia:

„Tylko miłość będzie zdolna cię ocalić”.

„Ocalić? Ale przed czym? – zapytał sam siebie. – Przed spiskiem?”

Bonaparte pokręcił głową, uznając taką myśl za absurdalną.

W tym samym momencie z rozmyślań wyrwał go głos kapitana gwardii. Nie słyszał, kiedy wszedł. Czy to on, czy towarzyszący mu dwaj dragoni pod bronią.

– Proszę wybaczyć, panie. – Oficer stanął kilka kroków przed nim. – Egipcjanie, którzy prosili o widzenie, czekają na zewnątrz. Powiedzieć im, żeby weszli?

Natychmiast odzyskał panowanie nad sobą.

– A, tak. Rzeczywiście... Niech wejdą.

Pan Egiptu nie był jednak ani trochę przygotowany na to, co zaraz miało go spotkać.

Do pokoju zajmowanego przez generała wszedł korpulentny mężczyzna w burej i znoszonej galabii, za nim zaś kobieta, której obecność natychmiast zwróciła uwagę Bonapartego. Oboje przybyli pod eskortą. Mężczyzna miał około czterdziestu lat, a jego szerokie barki wzbudzały respekt. Ukłonił się na powitanie, tym samym pozwalając dojrzeć swoją towarzyszkę. Być może to jej uległa, niemal zalękniona postawa tak go przyciągnęła. Albo może jej wzrost czy elegancka sylwetka, ledwie dostrzegalna pod skrywającą ją szatą. Jasne było jednak to, że przybyszka miała zasłoniętą twarz i rozsiewała wkoło ten sam aromat, który od pewnego czasu Bonaparte wyczuwał w swoim gabinecie!

Generał aż podskoczył.

„Jak to możliwe?” – zapytał sam siebie, jednocześnie zauważając, jak przyspiesza mu tętno.

– Podejdźcie – polecił damie, umyślnie ignorując przybyłego z nią mężczyznę.

Poczyniła kilka kroków naprzód, aż znalazła się przed jego biurkiem.

– Powiedzcie mi, jak się nazywacie?

– Nadia ben Raszid, generale – odparła.

Gdy usłyszał, jak jej delikatny głos rozbrzmiewa doskonałą francuszczyzną, jego zmieszanie przybrało na sile. Już nie tylko jej zapach wydawał mu się znajomy, ale także ten aksamitny i oblekający ton.

Wówczas Ali – także poprawnie po francusku – poprosił go o pozwolenie na zdjęcie turbanu i umożliwienie Nadii rozdiania się ze stroju podróznego. Generał, bacznie obserwowany przez dragonów, przychylił się do prośby.

Kiedy Nadia pozbyła się wierzchniego okrycia, jej wygląd oczarował go bez reszty. Spod szmat wyłoniła się młoda, smukła i majestatyczna dziewczyna w lnianej sukni, która zwiewnie dopasowywała się do jej figury. Promieniała czymś szczególnym, zastanawiającą mieszanką spokoju, elegancji i niewinności, która go ujęła. Światło w gabinecie wypełnionym mapami, książkami i znaleziskami archeologicznymi nadsyłanymi przez uczonych z wszystkich zakątków kraju było jednak niewystarczające, aby mógł należycie przyjrzeć się jej delikatnym rysom twarzy.

– Podejdźcie do okna – polecił delikatnie, usiłując jej nie spłoszyć.

Dziewczyna usłuchała.

Napoleon zamilkł z wrażenia. Złociste światło, w jakim był skąpany pałac w Azbakijja, odsłoniło harmonijne, smagłe oblicze najwyżej osiemnastoletniej młódki, której czarne włosy okalały doskonale policzki oraz długą i smukłą szyję. Dopiero jednak kiedy dziewczyna podniosła wzrok na generała i ich spojrzenia się spotkały, ten przejął się nie na żarty.

„Do wszystkich diabłów! To przecież ona!”

Umysłem Bonapartego zawładnęła w tym momencie niemal nadprzyrodzona pewność. To spojrzenie niebieskich oczu, ten drobny i doskonały nosek, te usta... należały do bogini, która przyśniła mu się w Nazarecie!

„Jestem Izyda. Jestem tu od zawsze – powiedziała mu wówczas. – Przyszłam opatrzeć twoje rany. Tylko miłość będzie zdolna cię ocalić”.

Bonaparte starał się ukryć swoje głębokie zdumienie.

„Istnieje! – powiedział sam sobie. – Naprawdę!”

I cokolwiek niepewnie, świadom, że nie powinien pożądać nieznajomej, wybełkotał:

– Przychodźcie świętować, *mademoiselle*?

Z głębi tych jakże doskonałych policzków rozlał się delikatny rumieniec.

– Świętem jest przybyć na spotkanie z nowym panem tej ziemi – odpowiedziała. – Mam nadzieję, że się nie obraziliście, że tak nalegaliśmy, aby się z wami zobaczyć.

– Tam, skąd przybywam, damy nie zwykły odwiedzać żołnierzy w ich kwaterach.

– Jestem świadoma niestosowności tej sytuacji – spuściła wzrok – ale okoliczności, które nas tutaj przywiodły, są nietypowe.

Bonaparte zauroczony słuchał jej wyjaśnień.

– Panie – dodała Nadia, a jej głos przybrał ton, który tym bardziej przyspieszył mu tętno – naciskaliśmy, żeby się z wami zobaczyć, ponieważ musimy was przestrzec przed czymś ważnym.

– Przestrzec? – dopytał. Niemal zapomniał o powodzie całej tej wizyty. – Przed czym?

– Mój panie, otaczają was zdrajcy.

Ogień, który buchał z tej istoty, robił na nim tak potężne wrażenie, że nawet nie zwrócił uwagi na to, że w innych okolicznościach byłaby to niewybaczalna bezczelność.

– Obawiam się, *mademoiselle* ben Raszid, że to żadna nowość – odparł uprzejmie. – Nie dalej jak dziś otrzymałem z Luksoru list, w którym donoszą mi o czymś podobnym. Tego rodzaju groźby wracają co pewien czas, kto jednak chce być wodzem, musi nauczyć się z nimi żyć.

Ali i Nadia spojrzeli po sobie w zdumieniu.

– Z Luksoru? – zapytała.

– Dwaj spośród moich najlepszych uczonych twierdzą, że jakaś sekta pragnie mojej śmierci.

– I lekceważycie ich ostrzeżenia?

Szczera troska dziewczyny wzruszyła Bonapartego.

– Nie, nie. W żadnym razie. Choć zdrajcy często stanowią dla władców zło konieczne. Nikt o mojej pozycji nie jest wolny od zawiści innych.

– Musicie jednak, panie, mieć oczy z tyłu głowy! – zauważyła z niepokojem Nadia. – Zdrajcy są bliżej, niż się to wam wydaje.

Bonaparte przypomniał sobie, że nie byli sami. Kapitan gwardii i żołnierze z eskorty wciąż stali kilka kroków od miejsca, w którym toczyła się rozmowa, poczuł się więc zmuszony naprostować jej słowa.

– To bardzo poważne oskarżenie ze strony kogoś spoza tej kwatery dowódczej, *mademoiselle* – zauważył poważniejszym tonem. – Nie znam was. A jeśli byłem łaskaw was przyjąć, to dlatego, że straż oznajmiła mi, że przysyłają was błękitni mędracy. Czyżbym się mylił?

– Nie mylicie się, panie – odparła Nadia, nie tracąc ani krzty ze swojego uroku. – To oni powiedzieli nam o istnieniu tych zdrajców.

Oczy Bonapartego rozbłysły. W głowie rozbrzmiały mu zastanawiające dzwonki alarmowe. Czy mógł zaufać tej zdumiewającej istocie? Czy mówiła mu prawdę? Czy padł ofiarą jakiegoś genialnego podstępu? Co do jednego przynajmniej nikt nie był w stanie go oszukać: ta kobieta śniła mu się tuż przed spotkaniem z błękitnymi mędracami w Nazarecie. Było to słabe powiązanie, ale jednak powiązanie. To właśnie tam sędziwy Balasan uświadomił mu, że przeznaczeniem jego życia było dotrzeć do Egiptu, i obiecał, że przed ukończeniem trzydziestu lat zostaną mu wyjawione sekrety życia wiecznego. „Wiek Sed” – jak określił to patriarcha. Teraz powziął podejrzenie, że oba zdarzenia były jakoś powiązane... Musiał jednak stwierdzić, jak.

– Powiedzcie – zbliżył się do Nadii i ponownie poczuł ten upajający aromat – co takiego wiecie o błękitnych mędracach? Powinienem znowu się z nimi zobaczyć.

– Po co, panie?

Pytanie, z którym zniecka wtrącił się Ali, zaskoczyło go. Bonaparte obrócił się w stronę milczącego dotychczas olbrzyma, zostawiając Nadię za sobą. W oczach przybysza również można było dostrzec płomień determinacji.

– Mam swoje powody. I pozwolę sobie stwierdzić, że was one nie dotyczą – odparował podenerwowany.

Ali nie dał się zbić z tropu.

– Ależ dotyczą, panie – odpowiedział bardzo poważnym głosem. – Mój ród od stuleci pomaga temu bractwu mędrców. Schodzą oni z gór jedynie co dwa tysiące lat, a czynią to zawsze po to, aby wybrać śmiertelnika zasługującego na otrzymanie ich wiedzy.

– Ja już się widziałem z błękitnymi mędracami! – rzucił z jeszcze większą irytacją.

Pragnienie, które Bonaparte odczuwał przed sekundą, zniecka przerodziło się w zaciekłość.

– Wiemy – przyznał niewzruszony Ali. – I bez wątpienia, panie, ponownie ich spotkacie, choć może nie tam i nie tak, jak byście się tego spodziewali.

– Zdajecie się bardzo pewni siebie. – Zmarszczył brew, zaintrygowany otrzymaną odpowiedzią.

– Dawno temu, generale, nasz ród zaskarbił sobie ich zaufanie. Teraz zaś przysłali nas, żebyśmy przygotowali waszą świętą inicjację.

Bonaparte zmrużył oczy i ponownie, tym razem z podejrzliwością, przyjrzał się dziewczynie.

– Moją inicjację...

W milczeniu zaczął przechadzać się po gabinecie.

Sama możliwość, że piękność, która stawiała się u jego drzwi, może stanowić element wrogiego spisku, sprawiała, że kipiał z wściekłości. Musiał przypomnieć sobie, że są na wojnie, że wiele osób w Egipcie darzy go głęboką nienawiścią. Nie powinien więc pod żadnym pozorem tracić czujności.

– Powiedzcie mi zatem – odezwał się w końcu, zwracając się do Alego – skąd mam wiedzieć, że nie należycie do tej sekty z Luksoru, przed którą przestrzegają mnie moi ludzie? Dlaczego miałbym wam zaufać?

Nadia, która przyglądała się im, nie wając się wtrącić, pospieszyła z odpowiedzią:

– Gdybyśmy, panie, to my byli tymi fanatykami, doprawdy sądzicie, że tak oto stawilibyśmy się przed wami? Nie mamy przy sobie broni. Spójrzcie na nas. Przynosimy wam jedynie ostrzeżenie oraz wiedzę, którą mamy się z wami podzielić.

Dziewczyna zdawała się mówić szczerze. Lecz mimo to wciąż się wahał.

– Jakąż to wiedzę?

Doskonała spostrzegła, że w spojrzeniu generała ponownie było znać zaciekawienie. Ich twarze znalazły się w odległości kilku centymetrów od siebie i wyraźnie poczuła fale, jakie zaczęły między nimi krążyć. Była to swoista mieszanka podejrzliwości i pożądania, którą wkrótce zaczęła doskonale pojmować. „Boże! – pomyślała. – On czuje to samo!” W ułamku sekundy Nadia rozpoznała to niepokojące spojrzenie. O tych właśnie ustach fantazjowała w podróży do Kairu. „Balasan miał rację – przejęła się. – To on jest tym wojownikiem!”

– A więc? – Bonaparte wyrwał ją z rozmyślań. – Jakiego rodzaju wiedzę mi przynosicie?

Nadia odzyskała panowanie nad sobą:

– Chodzi o wiedzę inicjacyjną, panie.

– Brzmi interesująco – wyszeptał.

– Ponieważ taką jest. Jak jednak pewnie wiecie, żadna inicjacja nie może dokonywać się w obecności osób trzecich – dodała, czyniąc krok w tył i spoglądając na straż, której zadaniem było strzec bezpieczeństwa jej rozmówcy.

– Chcecie, żeby nas zostawili samych?

Pytaniem tym zaskoczył nawet siebie samego. W jednej chwili oszacował możliwe w takiej sytuacji zagrożenia, nie dostrzegł jednak żadnego, z którym nie mógłby sobie poradzić.

Nieśmiało przytaknęła.

– Niech będzie – uśmiechnął się Bonaparte.

To powiedziawszy, zwrócił się ku oficerowi gwardii i rozkazał mu, żeby wraz z dragonami wyprowadził Alego i zaczekał na zewnątrz na kolejne rozkazy.

Kiedy tylko drzwi zamknęły się za ostatnim z żołnierzy, Nadia poczuła, jak w gardle rośnie jej gęsia skórka, zarazem jednak pojęła, że oto nadeszła chwila, na którą ją przygotowano. Zauważyła bowiem, jak przez ostatnie minuty wyostrzyła jej się percepcja. Odkąd rozpoznała w Napoleonie Bonapartem mężczyznę ze swoich wizji, ściganego przez cienie, całym ciałem była zdolna odczytywać jego reakcje. Teraz miała go przed sobą, on zaś przeszywał ją spojrzeniem na poły zuchwałym, na poły zaś zaciekawionym, zastanawiając się, jakąż to wiedzę z myślą o nim skrywa. Niemal była w stanie czytać mu w myślach i zrozumieć jego wątpliwości. Lecz poza niepewnością wzrastała między nimi również jakaś niewytłumaczalna zażyłość. Jak gdyby istotnie rozpoznawali siebie z innego miejsca, a może nawet i z innego czasu.

– Nie boicie się mnie? – zapytał generał. Aksamitny ton jego głosu wywołał u niej dreszczyk.

Nadia starała się opanować napływ sprzecznych emocji, które nią targały. Oczywiście, że się go bała. Jakże miałyby się nie bać człowieka o podobnej władzy. Uzbrojonego cudzoziemca, o którym słyszała tyle strasznych rzeczy. Zarazem jednak coś kazało jej sądzić, że wcale nie był taki. Że czuł się w tej sytuacji równie zagubiony co ona. Że było im pisane wspólnie dopłynąć do celu.

– Nie wydajecie mi się mężczyzną z rodzaju tych, którzy uczyniliby krzywdę kobiecie – odparła, tłumiąc swoje odczucia.

Spojrzał na nią bardzo poważnie.

– Mógłbym w jednej chwili zatrzymać was za spiskowanie. Nie pomyśleliście o tym?

Doskonała otworzyła oczy w zdumieniu.

– Tak naprawdę... to nie – uśmiechnęła się nieśmiało, podczas gdy Bonaparte jeszcze bardziej się do niej zbliżył. Dostrzegała walkę, jaką pragnienie toczyło w nim z poczuciem powinności.

– Ktoś powinien był was nauczyć, żeby miarkować swoją ufność.

Wypowiadając te słowa, Bonaparte ujął ją za nadgarstek. Jego dotyk parzył, ale Nadia była zdeterminowana nie okazać strachu.

– Ktoś zaś powinien był nauczyć was dobrych manier, *monsieur* – odparła, nie wrywając się. – Przyszłam przestrzec was przed niebezpieczeństwem. Nie wydaje mi się, aby wtrącenie do celi było za to należyłą rekompensatą.

– Ach, nie? Powiedzcie zatem, jakiej to rekompensaty oczekujecie?

– Wystarczyłaby i symboliczna.

Bonaparte natychmiast puścił Nadię, co sprawiło, że z jej oblicza znikły resztki nieufności.

– Wybaczcie mi, *mademoiselle*. Macie rację. Zdaje się, że zapomniałem o swoich manierach.

Wtem jednak, jak gdyby pchany nieopanowanym impulsem, pogładził delikatnie jej policzek. Dotyk sprawił, że oboje zadrżeli, nagle zapominając o tym, jakże byli różni.

– Nie powinniście tutaj zostawać – powiedział bez większego przekonania. – Teraz to wy jesteście w niebezpieczeństwie.

– Wciąż nie darowałam wam tego, co wam obiecałam – zaproponowała równie słabo.

– Czyżby? A co to jest?

– Już nie pamiętacie? Inicjacja...

ROZDZIAŁ 42

Eliasz Buqtur, zdumiony, pospieszył otworzyć drzwi swojej sypialni na trzecim piętrze zaniedbanego budynku przylegającego do pałacu w dzielnicy Azbakijja. Generał Bonaparte dał mu dzień wolnego, ten zaś spędził na Chan al-Chalili, popijając miętową herbatę z przyjaciółmi i spacerując po zgiełkliwych uliczkach bazaru. Tak więc w żadnym razie nie spodziewał się, że o wpół do dziesiątej w nocy, kiedy już miał się kłaść na spoczynek, ktoś zacznie pukać do jego drzwi.

– Mamy dla was pilną wiadomość.

Dwaj dragoni z muszkietami na ramieniu podali mu białą zalakowaną kopertę. Zgodnie z otrzymanym rozkazem zaczęli, aż otworzy ją w ich obecności.

– Co to jest? – wymamrotał, wbijając wzrok w niezrozumiały symbol umieszczony na środku pieczęci.

– To instrukcje, panie – wyjaśnił mu zdecydowanym tonem wyższy z żołnierzy. – Powinniście się ubrać i niezwłocznie ruszyć z nami.

Przytłoczony domniemaną zawartością przesyłki, z łomoczącym sercem i potem występującym na czoło, Eliasz Buqtur poprosił, żeby dali mu chwilę na doprowadzenie się do porządku. Zabrał kopertę i skończył otwierać ją w łazience, przy świetle świecy.

Ze środka wypadła karta, nieprzypominająca jednak żadnej talii, z jakimi spotkał się dotychczas w życiu.



XX LA RÉSURRECTION

Gdy tylko Buqtur ją ujrzał, natychmiast zrozumiał. Tego rodzaju wiadomość mógł mu przesłać jedynie Jean-Baptiste Kléber. Na jego czole pojawił się wyraźny grymas zaniepokojenia. Kiedy przychodziło skontaktować się z członkami Warsztatu, generał uciekał się do tego typu zagrywek tylko w sytuacjach nadzwyczajnej wagi.

Warsztat.

Ile wycierpiał, aby zachować w tajemnicy swoje z nim powiązanie!

I poczuł napływ kolejnej fali zgryzoty.

Przed nieco ponad rokiem jego wuj Nikodem Buqtur namówił go, aby dołączył do jego rady starszych. Powiedział mu, że przyjęcie do tego rodzaju tajemnego bractwa było równoznaczne z przynależeniem do egipskiej elity, która pokieruje krajem po francuskiej inwazji. Z kolei sam Nikodem został wtajemniczony w Paryżu, a dzięki Warsztatowi uzyskał łatwy dostęp do francuskiej kasty panującej, a nawet do samego hrabiego de Saint-Germain. Nie kłamał. Chodziło o pewną z pozoru nieszkodliwą instytucję, coś w rodzaju masonerii, bardzo wygodnej w spokojnych czasach... lecz potwornie skutecznej i bezlitosnej, kiedy jej członkowie postanawiali coś osiągnąć. Tym czymś zazwyczaj była władza.

Co zatem Wielki Mistrz Kléber pragnął mu powiedzieć za pośrednictwem tej karty? „Wskrzesał go” – jak głosiła karta – z myślą o jakiejś misji?

Wizerunek anioła przyzywającego do życia trzy mumie wzbudził u Kopta przedziwne poczucie pośpiechu. Cała trójka zmarłych, pozawijanych w bandażu, zdawała się powstawać z tego samego sarkofagu, bez wahania, jak gdyby stosując się do tajemniczego rozkazu, który kazał im działać.

To właśnie tego się po nim spodziewano?

Żeby w końcu wypełnił misję, do której go przygotowali?

Warsztat często wykorzystywał do komunikacji język symboli. Na jego spotkaniach wszystko przepuszczano przez sito metafory, obrazu albo gestu. Jego hierofant, generał Kléber, na wszelkie możliwe sposoby usiłował zwerbować Napoleona dla ich sprawy, ale *le petit caporal* konsekwentnie odmawiał. Uznawał, że tego rodzaju zgromadzenia są zdecydowanie poniżej poziomu jego geniuszu i że oznaczałyby dlań wyłącznie stratę czasu. Alzacyjny nigdy nie zapomniał mu tego dyshonoru.

Być może Kléber wzywał go, aby rozpocząć swoją zemstę?

Czy stanie się jej narzędziem?

Czy znajdzie w sobie tyle odwagi, żeby zdradzić swojego pana?

Obmywszy twarz, Elias wdział polowe spodnie i bluzę z jasnej bawełny, po czym na wierzch wciągnął ciemną galabiję. Wolał być przygotowany na każdą ewentualność. W razie konieczności – nawet i na ucieczkę.

Dragoni poprowadzili go ku niewielkiemu budynkowi mieszczącemu się zaledwie trzy przecznice od pałacu, w którym kwaterował Bonaparte. Kopt dobrze znał to miejsce. Wzywano go tam już wcześniej. Jedyne za sprawą ciągłych nieobecności Bonapartego, któremu zawsze towarzyszył w wyprawach poza Kair, był zmuszony zredukować częstotliwość swoich wizyt bardziej, niżby tego chciał.

Żołnierze zatrzymali się u progu drewnianych drzwi zwieńczonych prostokątnym fryzem, on zaś przeszedł przez nie bez słowa. Oddzielały one świat zewnętrzny od *Het Nub*, czyli

„Złotego Salonu”, w którym podejmowano wszystkie najważniejsze decyzje. Było to przepiękne pomieszczenie należytych rozmiarów, oświetlone przez blisko dwadzieścia lampek, w których płonęły wonne olejki. W ich poświacie ledwie dawało się dostrzec pięcioramienne gwiazdy, które zdobiły jego wspaniałe błękitne sklepienie.

Gdy Buqtur wkroczył w półmrok pomieszczenia, „Złoty Salon” pierwszy raz w życiu wydał mu się niegościnnie.

Wydany na głos rozkaz potwierdził jego przypuszczenie, że się go spodziewano:

– Podejdźcie, proszę, bracie Eliaszu! Podejdźcie!

Głos brzmiał znajomo.

To, że Gaspard Monge, zręczliwy matematyk z twarzą konia, były minister marynarki i dyrektor Instytutu Egipskiego założonego kilka miesięcy temu przez samego Bonapartego, zawołał go po imieniu, podziałało na niego uspokajająco. Monge poczynił krok naprzód, stając w miejscu, gdzie Buqtur mógł go dojrzeć.

Monsieur Monge zawsze odnosił się do niego z serdecznością. Przez pierwsze miesiące pobytu w Egipcie „pocziwy Gaspard”, jak zwykli go nazywać wszyscy, za radą wuja Nikodema nakładł mu do głowy mnóstwo cudownych opisów Francji. „Jedynie piramidy przynoszą twojemu narodowi glorię większą niż gloria Francji – utyskiwał z nieszczerem zrezygnowaniem. – Pod wszelkimi innymi względami mój kraj nie ma sobie równych”.

Buqtur, chwytając się w myślach tamtych wspomnień, podszedł na środek sali.

Gdy znalazł się naprzeciwko uczonego, ten ponownie podniósł głos, jak gdyby w cieniu kryli się inni bracia, pragnący śledzić tok rozmowy.

– W porządku, Eliaszu. Powróciliście wczoraj z kolejnej podróży u boku naszego generała Bonapartego, czyż nie tak?

Wówczas dostrzegł *monsieur* Jérôme’a, sekretarza Warsztatu, który siedział w końcu pokoju nad ogromnym zeszytem z aktami. Krył się za dębowym stolikiem, na którym spoczywały kałamarz oraz niewielka kolekcja piór i ołówków. W miarę jak oczy Buqtura przyzwyczajają się do panującego oświetlenia, zdołał również wypatrzyć ciemne sylwetki sześciu innych osób, które stały w pobliżu.

– Co... O co tu chodzi? – zaprotestował, wyczuwając skalę zgromadzenia.

– Proszę, bracie Eliaszu, odpowiedz nam, a wszystko będzie dobrze. Byliście do wczoraj z Bonapartem, tak czy nie?

Eliasz przytaknął.

– I czy w którymkolwiek momencie słyszeliście, żeby rozważał potajemny wyjazd z Egiptu?

Nietypowe pytanie, zadane przez inny z cieni, wysoki niczym wieża, niechybnie przedstawiający generała Klébera, podziałało na niego paralizująco.

– Nie, bracie... – odparł zaniepokojony. – Jakże możecie choćby podejrzewać, żeby nasz generał mógł porzucić swoją armię po odniesionych ostatnio zwycięstwach?

Kléber, który ani na moment nie wynurzył się z mroku, wyciągnął swoje długie ramię ku innemu z obecnych, udzielając mu głosu.

– Bracie Muracie, bądźcie łaskawi mu wyjaśnić – polecił.

Na środek pokrytej wzorem szachownicy posadzki Warsztatu wyszła nowa postać, również wysoka i krzepka. Był to Joachim Murat, bohater, który przed zaledwie kilkoma dniami dokonał cudu, zmuszając Turków do ucieczki i nie tracąc przy tym żadnego ze swoich szwadronów. Rozpoznawszy go, Buqtur uśmiechnął się nerwowo. Wojskowy wyglądał na wypoczętego po walkach.

– Mamy powody, aby sądzić, że generał Bonaparte zamierza niebawem nas opuścić, bracie Eliaszu – oznajmił głosem, w którym było znać strapienie. – Kiedy poprosił mnie, żebym wybrał się z nim na plażę nieopodal Deltę Nilu, przy okazji naszej ostatniej i zwycięskiej kampanii, napomknął, że niebawem opuści ten kraj. Że Francja potrzebuje go bardziej niż my. Dowiedzieliśmy się także, że w tajemnicy wydał już szczegółowe dyspozycje zaopatrzenia i uzbrojenia w aleksandryjskim porcie dwóch fregat... Wyobrażacie sobie, co by to oznaczało?

Kopt nie odpowiedział.

– To wam powiem! – ciągnął Murat. – Że plan wprowadzenia Bonapartego do naszej czcigodnej Łoży Memphis i przygotowania go na otrzymanie sekretu, który w waszej obecności błękitni mędracy przyobiecali mu w Nazarecie, może spełznąć na niczym.

– Ale... To niemożliwe! – zaoponował. – Jutro jest ten dzień. To oni go wyznaczyli.

Na te słowa kolejny z uczestniczących w zebraniu cieni wystąpił naprzód, dostając się w zasięg światła.

– Bracie Eliaszu – powiedział. – Jesteście jedynym z nas, który widział z bliska oblicza błękitnych mędraków. I to dzięki wam i waszym kontaktom generał Bonaparte mógł przed kilkoma miesiącami spotkać się z nimi w Nazarecie.

Tłumacz przytaknął.

– Jesteście Koptem z pochodzenia i wyznania. Nieprawdaż?

– Tak, *monsieur*.

– A wiecie może, dlaczego mędracy wybrali akurat jutrzejszy dzień na inicjację Bonapartego?

Tym razem Eliaz Buqtur nie zdołał zidentyfikować postaci pytającego. Najwyraźniej należał do Warsztatu od niedawna. Był to starzec o surowej aparycji – także Francuz – o niezdarnej gestykulacji i cerze pokrytej licznymi plamami. Nigdy dotąd go tu nie widział.

– Nie musicie odpowiadać – dodał wyniosłym tonem. – Wiemy, że wszystko to wynika z pewnej kwestii natury astrologicznej. Jutro o świcie gwiazdozbiór Lwa wzejdzie przez „miejsce wskrzeszenia” na wschodzie, a ptak Benu, jak starożytni Egipcjanie zwykli określać konstelację Feniksa, znajdzie się na południu. Wiecie, co oznacza podobna koniunkcja?

Kopt pokręcił głową.

– Jedyne, co wiem – odparł, niezorientowany w całym tym żargonie – to że za kilka dni Bonaparte skończy trzydzieści lat, a tyle wynosi jeden „cykl Sed”. Jest to właśnie odpowiedni moment na przeprowadzenie rytuału nieśmiertelności.

– Macie może pojęcie, na czym będzie polegał?

– To formuła odwołująca się do *maat* – wyjaśnił Buqtur. – Błękitni mędracy wiedzą, że aby zneutralizować śmierć, należy ją zrównoważyć jej przeciwieństwem.

– Jej przeciwieństwem? A cóż takiego przeciwstawia się śmierci, bracie Eliaszu?

– Powinniście to wiedzieć. – Buqtur się uśmiechnął. – Miłość.

Po całej sali przebiegł szmer.

– Nie wiem, bracia, co tak was dziwi. Tak mówi cała egipska tradycja – zauważył Elias, przesuając wzrokiem po zgromadzonych cieniach. – Izyda wskrzesiła Ozyrysa, ponieważ go kochała. Gdyby nie ta najwyższa siła, nie szukałaby ciała ukochanego ani nie zdołałaby wrócić go do życia.

– Jeśli macie rację, to bardzo się obawiam, że Warsztat nic tutaj nie zdziała... – zawyrokował jeszcze bardziej przybity generał Murat. – Bonaparte kocha wyłącznie siebie samego. Nie narodził się nikt taki, kto zdołałby wycisnąć tę energię z jego duszy.

Eliasz Buqtur zmierzył doświadczonego wojaka spojrzeniem od stóp do głów.

– I tu się mylicie – poprawił go. – Błękitni mędracy nie wyznaczyliby na jutro daty jego inicjacji, gdyby nie mieli zawczasu przygotowanej właściwej inkarnacji Izydy. Nosicielki miłości, która zdoła pokonać śmierć, jaką Bonaparte nosi w sobie. Wierzcie mi, ci ludzie niczego nie pozostawiają przypadkowi.

W pomieszczeniu rozległ się kolejny pomruk. Cienie zaczęły dyskutować szeptem, tak jakby jego uwaga coś im uświadomiła. Murat przyłączył się do grupy, lecz po chwili powrócił, aby chwycić Kopta za barki.

– Macie rację, bracie – powiedział.

Eliasz się zawahał.

– Błękitni mędracy mają już dla niego Izydę!

– Skąd... Skąd to wiecie? – Teraz to on wyraził zdumienie.

– Nie dalej jak dzisiejszego popołudnia dwoje Egipcjan zażyczyło sobie widzenia z generałem Bonapartem. Nasi informatorzy w pałacu w Azbakijja słyszeli, jak oznajmniają oni, że przynoszą wieści o miejscu pobytu błękitnych mędrców. Przybysze – mężczyzna i przepiękna kobieta – zostali natychmiast przyjęci. Mężczyzna wyszedł z kwatery dowództwa przed godziną. Ona wciąż jeszcze jest z Bonapartem. Wiecie, co to oznacza?

Starannie przycięta bródka Eliasza Buqtura zatrzęsa się, jak gdyby się czegoś przestraszył.

– Mężczyzna i kobieta... – wybełkotał. – Wiemy, kto to taki?

– Ach, tak. Oczywiście. Są znani Warsztatowi – włączył się wielki hierofant Kléber.

Pytający wyraz twarzy pobladłego i zniecierpliwionego Kopta skłonił go do rozwinięcia wypowiedzi. Mówiąc dalej, przeszedł na środek sali i zaczął krążyć wokół tłumacza.

– Wy, Buqturowie, jesteście bardzo szczególnym rodem. Kiedy poznaliśmy się w Paryżu, wasz wuj Nikodem opowiedział mi o podniosłej misji, którą przekazujecie z ojca na syna: strzeżecie *maat*, egipskiej harmonii. W tym zaś celu prowadzicie odwieczną walkę z innym pradawnym rodem.

„Ben Raszidowie!”

Eliasz poczuł, jak napinają mu się mięśnie żuchwy.

– Sęk w tym – ciągnął Kléber – że ten klan przysłał do miasta dwoje swoich członków. To właśnie oni przyszli do Bonapartego. A jedno z nich, jak już powiedział brat Murat, to przepiękna kobieta. Wasza Izyda.

– Nadia ben Raszid.

Kléber zapytał:

– Znacie ją?

– To może być tylko ona. Opiszcie mi ją.

Hierofant tak uczynił, na co Buqtur reagował coraz bardziej niepokojącymi skinieniami głowy. Opis mówił o młodej, cichej dziewczynie o przenikliwym spojrzeniu, pilnowanej przez ogromnego krewnego, który nie odstępował jej choćby na krok.

– A zatem mężczyzną tym musi być jej wuj, Ali ben Raszid, Wielki Mistrz. Skoro jednak ona tutaj jest – nerwowo gładząc się po brodzie, przełknął ślinę – znaczy to, że człowiek, którego pieczy ją powierzyłem, poniósł klęskę.

– Jakiś człowiek jej dla was pilnował?

– Od dziewięciu lat, Wielki Mistrz. Tak się składa, że na długo przed tym, zanim Warsztat pojawił się w Egipcie – odparł. – Jak pewnie wytłumaczył to wam mój wuj, prowadzimy z ben Raszidami długotrwały bój o panowanie nad *maat*. Ta kobieta jest bezpośrednią dziedziczką linii kobiet pochodzących od samej Izydy, tak więc trzymaliśmy ją w Luksorze pod okiem czarownika w oczekiwaniu na pojawienie się Ozyrysa przewidzianego przez Opatrzność.

– Bonapartego.

– Otóż to. Lecz skoro błękitni już ją uwolnili, bardzo się obawiam, że nie zdołamy powstrzymać tego, co nastąpi...

– A ten czarownik? – zdenerwował się Kléber. – On nic nie może zrobić?

– Omar...?

Oblicze Eliasza spochmurniało na znak zatroskania. Od lat go nie widział. Najzwyczajniej w świecie nie było to konieczne. Teraz jednak wszystko się zmieniło. Cały wszechświat zdawał się walić mu na głowę.

– O ile tylko ten człowiek żyje, panie, będzie walczył do ostatniej chwili, aby zagarnąć sekret życia wiecznego. Możecie być tego pewni.

- A jeśli zginął? – zapytał Wielki Mistrz.
 - Jeżeli zginął... – zająknął się, po raz pierwszy dopuszczając w myślach taką ewentualność
 - w takim wypadku sam będę musiał przejąć inicjatywę.
 - Rozumiem.
 - Pozwólcie mi powstrzymać tę kobietę, zanim przechyli szalę wagi na niewłaściwą stronę – dodał z nagłym pośpiechem Eliasz. – Pozwólcie mi wrócić do kwatery dowództwa i pokrzyżować im plany, Wielki Mistrzu.
- Hierofant z wielką powagą wysłuchał jego słów, ale kiedy już odpowiedział, wyraził zgodę. Również na jego obliczu malowało się zaniepokojenie.
- A zatem zobaczymy się w piramidzie, panie – pożegnał się Kopt. – Próba, która czeka naszego generała, niebawem się rozpocznie.
 - Wiecie dokładnie, bracie, kiedy ma się odbyć?
 - Już, Wielki Mistrzu. Już!

ROZDZIAŁ 43

PLASKOWYŻ GIZA

12 SIERPNI 1799 ROKU, ŚWIT

Balasan wspiął się na szczyt skalistego masywu Maadi, z trudem powłóczęc lewą nogą. Choć pod względem sił przewyższał każdego człowieka w podeszłym wieku, jego nogi stopniowo ogarniał artretyzm i wiedział, że niebawem stanie się inwalidą wyciągniętym na jakimś posłaniu, tak odległym od chwil świetności, kiedy stał na czele „błękitnych strażników”.

Z tej perspektywy otwierał się przed nim wspaniały widok. Mierzący siedemdziesiąt trzy metry długości Sfinks z Gizy odpoczywał u jego stóp, skąpany w srebrzystej poświacie księżycy. Był to nieomylny znak, że znajdował się na świętej „Ziemii Zmarłych”. W miejscu, w którym wreszcie miał wypełnić ostatni element swojej misji.

– Bóg jest wielki – wymamrotał rozemocjonowany.

Czcigodny mistrz stanął na ziemi zaledwie kilkaset metrów na południe od piramid w Gizie, bardzo blisko arabskiego cmentarza al-Ahram. Poprosił swojego wiernego asystenta Tagara, żeby ten zostawił go na chwilę w samotności. Musiał zbliżyć się do tego miejsca w stanie medytacji, ze wzrokiem wbitym w przykrywające go morze gwiazd. Musiał przygotować się na coś, co nieuchronnie miało nastąpić za niespełna dwadzieścia cztery godziny.

Niemal wszystko było już gotowe.

Maat niebawem miało ożywić to miejsce.

Pradawni bogowie dadzą rodzajowi ludzkiemu kolejną okazję.

Balasan od zmierzchu krążył po Gizie. Obserwował zachód słońca, siedząc na rozłożystych lędźwiach Sfinksa, skąd się upewnił, że niebo należycie dokończyło za piramidami swój kosmiczny cykl. Kamienny lew wykuty przez dawnych mieszkańców Egiptu od zawsze spoglądał na wschód. Piramidy Cheopsa, Chefrena i Mykerinosa stały na zachodzie. I choć wraz z upływem stuleci Sfinks już dawno utracił swoje ciemnoniebieskie powieki, to wciąż pełnił funkcję strażnika, dla której został wyrzeźbiony. Był spokojny, zarazem zaś dziki, zaprojektowany tak, aby nic – ani nikt – nie wytrąciło go z równowagi. Co więcej, tego świtu Balasan doznał na plecach kolosa szczególnego uczucia. Zupełnie jakby wzruszył się na widok ośmiu gwiazd konstelacji Lwa błyszczących ponad Gizą. Lew u góry, lew u dołu. Tak w niebie, jak i na ziemi. „Tak w świetle – pomyślał – jak i w strefie mroku”.

Teraz noc była zupełnie ciemna i niewiele już brakowało, aby wszystko się rozstrzygnęło. Ostatni raz rzucił okiem na monument, po czym tak szybko, jak tylko mógł, zszedł do zaimprovizowanego obozowiska. Musiał jeszcze tylko sprawdzić jedną, ostatnią rzecz.

Główny namiot znajdował się w pobliżu turni Maadi, z dala od tras francuskich patroli. Balasan ostrożnie skierował się w dół krętej ścieżki, jaka zaczynała się kilka kroków od szczytu. Następnie przemierzył obozowisko i przedostał się do środka namiotu, zamykając za sobą poły plandeki. Pragnął jak najszybciej podzielić się swoim ostatnim aktem magii z niespodziewanym gościem, jakiego zesłało mu przeznaczenie. Ten zaś czekał tam na niego, leżąc na ziemi i nie poruszając choćby jednym mięśniem. Wokoło stały rozstawione lampki oliwne.

– Miałeś szczęście, Zalimie – uśmiechnął się do zwłok Omara, które leżały zabandażowane na dywanach. – Dużo szczęścia.

Ciało, rzecz jasna, nie odpowiedziało.

Po tym, jak Omar na jego oczach odebrał sobie życie, Starzec z Góry pojął, że być może obecność Zła podczas nadchodzącej ceremonii nie była wcale czymś niepożądanym. Za kilka godzin, za sprawą tej samej mikstury, którą podał Bonapartemu w Nazarecie, jego *ka* miało oddzielić się od starczego ciała, aby zaproponować Bonapartemu życie wieczne. Ktoś jednak powinien przedstawić mu również odmienny wybór. „Tak będzie sprawiedliwie. Tak będzie w zgodzie z *maat*”. Tym kimś miał być Zalim.

Spocony i zmęczony wysiłkiem, jaki wiązał się z zejściem z Maadi, Balasan nachylił się nad zawiniętymi zwłokami i wyszeptał im do ucha:

– Chwila, na którą czekaliśmy: ty, ja, Buqturowie i ben Raszidowie, nadeszła – oznajmił. – Gwiazdy ustawiły się w porządku. Znaki wyglądają pomyślnie...

– Jak myślicie, mistrzu, co się dzisiaj zdarzy?

Urodziwy uczeń Tagar przerwał jego wyznanie. Niepostrzeżenie wszedł tymczasem do namiotu, a jego zadane półgłosem pytanie zmusiło Balasana, żeby się wyprostował.

– Teraz wszystko jest już w rękach Nadii, Tagarze – odparł starzec, otrzepując ubranie.

„Uśmiechnięty anioł” podszedł, aby pomóc mu się podnieść.

– Nazbyt ufacie tej dziewczynie, mistrzu.

– Tak już działa wszechświat – odparował, odwracając się ku niemu. – Nadia, choć sama tego nie wiedziała, została wychowana z myślą o tej chwili. Musi przekazać Bunapartowi życie. Sprawić, żeby poczuł to, w czego istnienie nie wierzył. Dziś pokaże mu, co to miłość.

– Miłość, mistrzu?

– Miłość to droga do śmierci i próg życia, którego pragnie.

– Nie rozumiem tego, mistrzu.

Balasan w pieszczotliwym geście pogładził go po włosach.

– Pomyśl, Tagarze. Kiedy człowiek się zakochuje, czyż jego dotychczasowe życie nie umiera? Czyż miłość nie stanowi granicy między tym, kim byliśmy i kim będziemy? Miłość sprawia, że spostrzegasz, jak nędzne było twoje istnienie, zanim ją poznałeś, i popycha cię, żebyś ponad wszystko zachował nowe „ja”, które wraz z nią się rodzi. Jeśli Nadia będzie

w stanie ukazać ten dar Bunapartowi, odkryje on, że jego życie nigdy nie będzie już takie samo. Że dziś całe jego istnienie odmieni się na zawsze. Jeśli zdoła go w sobie rozkochać, człowiek, który wejdzie do piramidy, będzie inny. Nieśmiertelny.

– I Nadia zdoła dokonać tego sama?

– Sama? – Balasan się uśmiechnął. – Kto powiedział, że będzie to robić sama?

– Wysłaliście ją, aby się zjednoczyła z Sułtanem Zachodu!

Stary błękitny mistrz pojął przejęcie swojego ucznia. Tagar wciąż był bardzo młody. Wciąż nie rozwinął zdolności psychicznych właściwych błękitnym mędrcom. Nie orientował się w niektórych podstawowych kwestiach, takich jak to, że aby inicjacja odniosła pożądany skutek, należało oddziaływać zarówno na ciało, jak i na duszę kandydata. Najdelikatniejszy element polegał właśnie na tym, żeby uwolnić esencję neofity – jego *ka* – od więzów materii i dopiero wówczas na nią oddziaływać. „To jest właśnie zadanie Nadii. Dziś to pojmie” – powiedział sam sobie. I wiedząc, że będzie to dla niego najważniejsza lekcja w życiu, poprosił Tagara, żeby ten towarzyszył mu przy ostatnim elemencie planu.

– Zamknij ze mną oczy – powiedział. – Podaj mi ręce i powiedz mi, Tagarze: jaka jest podstawowa cecha miłości?

„Uśmiechnięty anioł” uczynił, jak prosił go mistrz, i uważnie namyślił się nad odpowiedzią. W końcu odparł:

– Jej podstawową cechą jest zdolność łączenia. Miłość łączy to, co wcześniej było rozdzielone.

– I tworzy powiązania między tym, co tworzy, roztaczając równowagę, *maat*. Czyż nie? – dopowiedział, nie otwierając oczu. – Teraz, Tagarze, wiedząc, że istnieje potężny związek między naszą misją a zadaniem Nadii ben Raszid, skup się na niej. Wyobraź ją sobie. Odszukaj ją w swoim sercu, a razem będziemy mogli ją poprowadzić.

– My?

– Ty czyni to, co powiedziałem.

Tagar mocno zacisnął powieki. Natychmiast poczuł, jak *sotpu sa* dawnych budowniczych Gizy, ich święte fluidy, zaczynają krążyć po wszystkich komórkach jego organizmu. Balasan nadal był potężną istotą. Jego umysł oczyścił się z obrazów. Skupił się na pustce. Tagar i jego mistrz zgrali swoje oddechy i obaj spostrzegli, jak mylą im się ręce. Zaczęli odczuwać przyjemne kołysanie, jak gdyby płynęli właśnie Nilem. I wówczas, gdy już umościli się w tym uczuciu, Tagar otworzył usta:

– Widzę ją, mistrzu – wyszeptał ze zdumieniem. – To Nadia. Jest naga...!

– Bardzo dobrze – przyznał, dostrzegając tę samą scenę, piękną i sugestywną. – A teraz nasza magia pomoże jej dokończyć misję.

ROZDZIAŁ 44

KAIR, DZIELNICA AZBAKIJA
12 SIERPNI 1799 ROKU, ŚWIT

Bonaparte nigdy dotąd nie widział kobiety takiej jak Nadia ben Raszid.

Co prawda ledwie skosztował wina, teraz jednak wobec jej oszałamiającej urody czuł się zupełnie pijany. Gdy pogładził ją po policzku, rozbudziło to w nim apetyt, o jaki już samego siebie nie podejrzewał. I wbrew temu, co podpowiadał mu zdrowy rozsądek, owładnięty zniecka mieszaniną ekscytacji i zaskoczenia, przyciągnął ją do siebie i otoczył ramionami. Natychmiast poczuł cudowne ciepło jej ciała i aromat lotosu, jaki bił od jej skóry, dostrzegł również zmieszanie widoczne w jej wielkich niebieskich oczach.

– Mój Boże – wymamrotał. – Prawdziwa z ciebie bogini.

Nadia ponownie poczuła ścisk w gardle. Jej oddech stał się urywany. Nigdy dotąd nie była tak blisko z mężczyzną, nie wiedziała także, co właściwie powinna uczynić. Niemniej jednak było w tej sytuacji coś fascynującego. Ciemne spojrzenie jej niedawno poznanego wojownika było ciepłe i czułe. Nie zwiastowało niczego złego. Zaczęła zdawać sobie sprawę, że kontakt z nim wywołuje reakcję w całym jej jestestwie.

– Jestem z krwi i kości, *monsieur* – odparła, ujmując dłoń, którą położył jej na policzku. – Widzicie?

Skinął głową, mamrocząc coś, aby ją uspokoić.

– Nie chcę was wystraszyć...

– I nie straszycie. Tyle tylko, że ja nigdy wcześniej...

Na te słowa spojrzenie Bonapartego się rozświeciło.

Nagle, wiedziony oszołomieniem, jakie powodował w nim widok kogoś, kogo widział już wcześniej w swoich snach, przywarł ustami do jej ust. Był to pocałunek przemyślany, ciepły i niespieszny, tak nieskończenie delikatny, że chciałby, żeby nigdy się nie skończył.

Nadia zadrżała.

– Ale... to nie ja powinnam was wtajemniczać, *monsieur*? – zaprotestowała bez przekonania z półotwartymi ustami, czekając na więcej.

– Może później... – wyszeptał, po czym nachylił się nad nią ponownie.

Bonaparte dał się ponieść kolejnej fali pożądania.

Drugi pocałunek był głębszy, dłuższy i bardziej intensywny niż pierwszy. Doskonalej zdało się, że rozpływa mu się w ramionach. Zniecka poczuła, jak w jej wnętrzu rozpała się wulkan. Jego magma zwilżyła jej trzewia, podczas gdy nagła fala ciepła przebiegła ją od stóp

do głowy. Spłoszona własną reakcją, chciała się od niego odsunąć, ale nie dała rady. Generał podniósł głowę i przypatrywał jej się z uśmiechem, który ją rozbroił.

Wówczas Bonaparte przesunął delikatnie usta, aż dotarł do jej szyi, ona zaś, otumaniona rwącym potokiem nowych wrażeń, niemal nie spostrzegła, że jego dłonie opuszczają się wzdłuż jej ramion, zmierzając ku delikatnym krągłościom jej piersi. Gdy zauważyła, że jedną z nich pieści już po wierzchu sukni, wydała z siebie jęknięcie. Jej wojownik ostrożnie posuwał się naprzód, podbijając coraz to nowe terytoria. Ona zaś nie czuła się na siłach, aby mu się przeciwstawić.

– Nadiu ben Raszid... – wymamrotał jej do ucha. – Pożądam cię.

Na dźwięk takiej deklaracji serce aż jej podskoczyło. W jednej chwili tętno przyspieszyło jej tak bardzo, że teraz dudniło jej w skroniach.

Pożądlive dłonie generała nie przestawały działać. Uporały się z jej suknią, którą rozluźniły. Spostrzegła, że jej piersi, nie wiedzieć jak, wydostały się na zewnątrz, skupiając na sobie całą uwagę kochanka. Nastąpiła chwila zawstydenia. Głębokiego wstydu. Lecz ulotnił się on w jednej chwili, gdy tylko na jednym z sutków poczuła wilgotne usta Bonapartego.

– Nadiu...

– Panie...

– Wtajemnicz mnie!

Głowa zaczęła jej się kołysać. Reakcja na śmiałe pieszczoty generała przesyciła wszystkie jej zmysły. Miliony połączeń nerwowych w jej mózgu zdawały się w tej chwili skupiać wyłącznie na rozkoszy. Coś w jej środku wybuchło. I zniemacka dziewczyna straciła świadomość tego, gdzie się znajduje. Poruszyła się. Szarpnęła. Wreszcie stężała, uderzając dłońmi o potężny tors Bonapartego.

On natychmiast zdał sobie sprawę, że coś jest nie tak. „Nie tak szybko” – zganił się w myślach, podczas gdy wypuszczał ją z objęć. Nie mógł przewidzieć, że Nadia nagle zacznie poruszać się przed nim jak oszalała. Doskonała przymknęła swoje olśniewające niebieskie oczy i teraz, z rozpuszczonymi włosami, kreśliła w powietrzu figury w takt muzyki, którą słyszała tylko ona. Pograżona w głębokim transie, tańczyła niczym łabędź między meblami i sprzętami gabinetu. Przez chwilę generał się obawiał, że jego towarzyszka postradała zmysły. Jej ruchy nie przypominały jednak płasów wariata, było w nich znać wyraźną harmonię.

„Co to jest? – zapytał sam siebie. – Jakiś miłosny taniec?”

Napoleon Bonaparte nie wiedział, że Nadia przestała panować nad sobą. Wystarczyło, żeby jej wojownik wydał rozkaz („Wtajemnicz mnie!”), a zawładnęła nią egzotyczna, kocia energia, która zniemacka uwolniła całą zmysłowość, jaka kryła się w jej pięknym ciele.

„Jestem córką Izydy. Mówię w jej języku. W jej języku tańczę”.

Przesłanie to uderzyło ją, przypominając wszystko, czego nauczyła się od swojego dziadka Gabriela i innych członków klanu ben Raszidów. W jakiś tajemniczy sposób cała ta wiedza

zdawała się spływać na nią w tej właśnie chwili.

Teraz to siła nadprzyrodzona popychała ją do działania. Prowadziła ją. Sprawiała, że frunęła przed zdumionym obliczem pana Egiptu.

– Nic wam nie jest?

Miała przed sobą mężczyznę, który nigdy dotąd nie widział bogini. Napoleon Bonaparte był tak oszołomiony, że nie odważył się poruszyć. Przebiegł po niej spojrzeniem, jednocześnie zafascynowany i onieśmielony. Natychmiast zdał sobie sprawę, że jest jedynym widzem spektaklu, którego być może już nigdy więcej nie zobaczy. Żadna z kobiet, jakie dotychczas poznał, nie ukazała mu się od tej strony. Być może dlatego z miejsca pochwycił, że Nadia swoimi ruchami nie chciała go jedynie podniecić. Odnosił wrażenie, że odsłaniają one coś atawistycznego, niemal świętego, co go ujęło. Będąc pod wrażeniem, kiedy spostrzegł, że zbliża się ku niemu, nie poruszył choćby mięśniami. Nie była to już ta sama śliczna dziewczyna, która przyniosła mu wiadomość – teraz miał przed sobą pewną siebie damę, potężną i pełną głębi. Bonaparte poczuł, jak ciało na powrót mu tężeje, gdy chwyciła go za dłonie i pociągnęła w kierunku łóżka. Ta kobieta była jak sen: jej drobne i twarde odsłonięte sutki wieńczyły delikatną pierś, która przechodziła w brzuch godzien greckiego posągu, wyłaniający się spod lnianej sukni. Jej delikatne ramiona, gładkie włosy i nieskończone nogi sprawiały, że tracił zmysły.

Skąd się wzięła podobna istota?

Jak to możliwe, że nikt dotąd mu o niej nie powiedział?

– Wiedzieliście, panie, że pożądanie to najpotężniejsza i najstarsza odmiana energii? – wyszeptała, rozpinając mu koszulę i poczynając go pieścić. – Działa niczym magnes. Jeśli jego bieguny znajdują się w odpowiedniej odległości, wytwarzają niesamowitą moc. Może ona poruszyć wszechświat. Lecz jeżeli przez przypadek się zetkną, całe to napięcie znika. Topnieje. Umiera...

Bonaparte w dalszym ciągu nie wiedział, co powiedzieć. Nie rozumiał, co się dzieje.

Kiedy Nadia skończyła rozpinąć mu ubranie, zdała sobie sprawę, że nie ma już drogi odwrotu. Natłok uczuć ją przytłaczał. Zamknęła oczy, czując, jak do głowy napływają jej skandaliczne myśli, świadoma, że jakaś kobieca i pierwotna energia przejęła władzę nad jej czynami. Teraz była już Izydą.

– Wciąż nie powiedziałaś, gdzie znajdują się błękitni mędrcy... – jęknął Bonaparte pod wrażeniem pierwszych jej pieszczot.

Doskonała zadziwiła samą siebie. Po raz pierwszy miała przed sobą półnagiego mężczyznę, ale zamiast odczuwać paralizujący strach, odniosła wrażenie, że nic jej nie grozi.

– Nie, mój panie. Nie powiedziałam – odparła, jeszcze bardziej skracając dystans między nimi.

– Ani co o nich wiesz... – wybąkał.

– Tego także nie.

– Nie wyjaśniłaś również, dlaczego tak przejmujesz się moim bezpieczeństwem – dodał z otwartymi szeroko oczyma.

Nadia ponownie zaprzeczyła ruchem głowy, wplatając place w długie i ciemne włosy Bonapartego.

– W dawnych czasach, gdy władali nami bogowie, prawdziwe królowe łączyły się tylko z nimi. Uważnie wybierały, z kim dzieliły łóżce – wyszeptała, w żadnej mierze nie panując nad własnymi słowami.

– Pochlebiasz mi. Jakbyś sądziła, że jestem bogiem...

W dolnej części ciała poczuł narastający, intensywny ucisk. Wzdrygnął się, niespiesznie zdejmując buty.

– Być może dziś nim zostaniecie – westchnęła, zapraszając swojego wojownika, aby legł twarzą w dół na łóżku. – Być może odkryjecie nawet, że wywodzicie się od synów tych bogów i że zasługujecie na dar, który tyle razy nam już przyobiecali: na nieśmiertelność.

– Nie wiem, o czym do mnie mówisz.

Dłonie Nadii zeszły ku jego skroniom i poczęły delikatnie je rozmasowywać.

– Mówię wam, panie, że pożądanie znajduje się u progu śmierci i nieśmiertelności. Prysłano mnie, abym pomogła wam go przekroczyć.

– To jest ta wasza inicjacja? – westchnął.

– Podoba się wam?

Lecz Bonaparte już jej nie słuchał. Usta Doskonałej poczęły całować jego szyję, jego ramiona, jego plecy, wyzwalając falę rozkoszy, która niemal pozbawiła go przytomności. Przez chwilę mu się zdawało, że słyszy ją, jak śpiewa. Objawiła mu się lekka niczym wiatr, gdy unosiła się nad nim i pozbywała sukni, a gdy burza jej włosów prześlizgnęła się po jego opalonych barkach, przeszedł go dreszcz.

– W porządku... Wtajemnicz mnie w wasze sekrety, a ja wtajemniczę cię w moje – powiedział w końcu, odwracając się i z wyraźnym zdecydowaniem przyciągając ją ku sobie.

– Nie tak szybko, panie. Moja inicjacja zakłada pewną ceremonię... – Zdanie Nadii przerwało westchnienie.

– Ta mi się podoba – przyznał.

– ...i pewną naukę.

– Wiele się od was uczę... – zgodził się, gładząc ją po brzuchu i z jawną zuchwałością muskając istotę jej kobiecości.

Ona powstrzymała go, kładąc mu palec wskazujący na ustach.

– Cii!

– Pozwól mi się dotknąć... – zaoponował.

Nadia nadal była zdumiona własną determinacją. Nigdy nie czuła się tak kobieco, tak pewna tego, że przemawia przez nią energia dawnych bogiń. Wiedziała, co i kiedy ma uczynić. Dlatego zwiennie wzniosła się tuż ponad męskość kochanka, pozwalając mu po raz pierwszy odczuć ciepło, jakie było z jej wnętrza. W tym momencie Doskonała poczuła się wyjątkowo. Była wilgotna. Spragniona. Czymkolwiek jednak była siła, która nią władała, zmusiła ją ona do powściągnięcia instynktu.

– Najpierw wysłuchajcie, co mam wam do powiedzenia – kontynuowała, nie dotknąwszy ciała Bonapartego. – Swego czasu bogini Izyda dołączyła do boga Ozyrysa, aby wspólnie władać Egiptem. On zginął zamordowany, ale Izyda przywróciła go do życia dzięki magii, którą teraz wam pokazuję. Czujecie? To miłość go ocaliła.

Bonaparte wysłuchiwał tych słów, jak gdyby stanowiły odległe i znajome echo. Już kiedyś to słyszał, lecz pulsująca uroda tego ciała zbytnio mąciła jego uwagę, aby mógł sobie przypomnieć okoliczności tej sytuacji.

– Miłość dała mu życie? – wątlym głosem zdołał dopytać.

– Jej ukochany odżył jedynie na tyle, żeby zdołać osiągnąć najwyższą rozkosz... Powiadają, panie mój, że następnie odrodził się do nowego życia w świecie bogów. Pożądanie uczyniło go nieśmiertelnym.

– *La petite mort* – wyszeptał z oczyma przymkniętymi w rozkoszy. – W twoich ustach słowo „miłość” brzmi niczym słodka groźba.

– Nie, to nie tak – odparła.

Bonaparte ponownie spróbował zdobyć obiecującą domenę przyjemności, jaką ofiarowała mu ta dziewczyna. Pragnął zbyć jej opowieść, uciszyć głos rozsądku i zagubić się między jędrnymi i gościnnymi biodrami, które ocierały mu się o brzuch, zarazem jednak nie opuszczało go przemożne przecucie, że bogini ta jeszcze przez chwilę będzie mu się opierać.

– Po co mi to wszystko opowiadasz? – spytał, zmuszając do wysiłku struny głosowe, które odmawiały mu posłuszeństwa.

– To przestroga dla tych, którzy – jak wy – pragną podążyć ścieżką boga.

– Przestroga?

– Tak. Egipt da wam to, o co go prosicie, ale najpierw musicie przejść tę samą próbę, jaką przeszedł Ozyrys...

– Pięknie opowiadacie, *mademoiselle* – uśmiechnął się – ale z całego Egiptu pragnę tylko was.

Nadia zniecka poczuła, jak wojownik całym swoim ciałem przywiera do niej. Poczuła, że wspólnie ich ciała potrafią się zrozumieć. Instynktownie uniosła biodra, lecz kiedy Bonaparte już sądził, że nadeszła pora, aby je zjednoczyć, Nadia – czy raczej energia, która nią władała – dała mu do zrozumienia, że to wciąż nie czas.

– Jeszcze nie skończyłam... – wyszeptała mu do ucha tajemniczym tonem.

– Boże! Chcesz mi coś jeszcze opowiedzieć?

– Niedługo skończycie trzydzieści lat... To wiek Sed. Wiecie, co to znaczy?

Bonaparte zapatrzył się w nią, niezbyt wiedząc, co odpowiedzieć.

– Błękitni mędracy mi to objaśnili – przyznał niechętnie. – To stary rytuał, któremu faraonowie poddawali się co trzydzieści lat.

– A tyle właśnie skończycie za trzy dni.

– Istotnie. Ale nie chcę o tym więcej mówić – zaprotestował. – Nie teraz.

– Musicie mnie wysłuchać, panie! – spięła się.

On ją zlekceważył. Przesunął się pod nią, aż wyczuł jej miejsce najwrażliwsze i najbardziej żywe. Doskonała pragnęła zagłębić się w tym uczuciu. Żeby nie tylko jej piersi muskały tors Napoleona, żeby nie tylko ich brzuchy się stykały. Zanim jednak mogła pozwolić mu posiąść jej niewinność, musiała dokończyć swoją świętą misję. To przecież dla niej tutaj była.

– Nie rozumiecie! – jęknęła. – Czeka na was Sed. Tej nocy...

– Tej nocy muszę udać się do Gizy... – uciszył ją.

– Wiem! Dlatego muszę wam to powiedzieć!

Bonaparte wyczuł, że oto nadeszła jego chwila. Począł całować Nadię po szyi poniżej linii jej bujnych włosów. Rozkosz, którą czuła, stawała się nazbyt intensywna i mąciła krystaliczną precyzję, z jaką zwracała się do swojego wojownika. Jej więź z siłą bogini w każdej chwili mogła się ulotnić.

– Nikt nigdy nie stwierdził, co się dzieje podczas tych rytuałów, panie – wyrzuciła z siebie jednym tchem. – W dawnych czasach lud widział jedynie, jak faraon wchodzi w korytarze swojej piramidy, a następnie wyłania się z nich odmłodzony. Ten zaś cud... – Doskonała przełknęła ślinę, usiłując nie stracić wątku – ma wiele wspólnego z energią seksualną.

– Hm... To doskonale – zamruczał. Mrużąc oczy, ponownie zaczął pieścić podniecone piersi dziewczyny.

– Wciąż nie rozumiecie – powstrzymała go. – Przysłano mnie tu, aby to w was rozbudzić tę energię! Będziecie jej potrzebować podczas ceremonii!

– Właśnie ją rozbudziłaś. A teraz pozwól, żebym cię zaspokoił!

– Nie! Proszę, jeszcze minutę! – Jej opór tym bardziej podniecał Bonapartego. – Nie pojmujecie? Tej nocy zaprowadzą was do piramidy, aby podczas rytuału obdarzyć was życiem wiecznym, żeby jednak je otrzymać, musicie najpierw umrzeć! Musicie to zrozumieć!

– A co mnie to teraz obchodzi...

– Starożytni Egipcjanie wierzyli, że kto umrze, ten będzie żył wiecznie. I przeciwnie: kto kurczowo trzyma się życia, umrze po wsze czasy. To was uratuje.

– Czy nie mówiłaś wcześniej, że kochać znaczy umrzeć? – mruknął, starając się urwać temat.

– Istotnie.

– A zatem – uśmiechnął się – pozwól, żebyśmy razem umarli...

Nadia nie mogła się już dłużej powstrzymać. Pojmując, że wiadomość od bogini dotarła już do adresata, otworzyła ciało przed wojownikiem znanym z wizji. Nigdy nie była równie pewna, że pragnie przekroczyć ten próg. Tego wieczoru w końcu miała poznać sekret, jaki dzieli między sobą kobieta i mężczyzna. Była to – jak rozumiała – zapłata, jaką otrzymywała od *maat* w zamian za wypełnienie misji. Delikatnie, z wbitym w nią spojrzeniem mężczyzny, którego właśnie uwolniła od szponów złego, Nadia poczuła, jak jej ciało oddaje się najgłębszemu uściskowi, jaki tylko mogła sobie wyobrazić. Nie było bólu. Jedynie ogień. Nadia poczuła, jak fala intensywnego, wstrząsającego napięcia ogarnia ją i zalewa. W tym momencie oboje dowiedli, że ich ciała się znają, że w pewnym sensie nie po raz pierwszy się dotykają. Że ich serca już się kiedyś wspólnie otworzyły. Być może w mroku dziejów, kiedy ich duchy nosiły inne imiona i zamieszkiwały inne strony. Bonaparte odniósł wrażenie, że podczas tego frenetycznego tańca jego kochanka szepcze słowa pełne mocy. Wiedzę tajemną. Nie wiedział, że usłyszała je zawczasu od mędrca, który przeistoczył ją w boginię i że stanowiły pradawną gwarancję równowagi we wszechświecie.

Opatrzność!

Przeznaczenie!

Siła Wyższa!

Karma!

Najwyższy Plan!

Zamysł!

Przyszłość!

Była to chwila wieczna i przedziwna.

Zaraz potem piękna Nadia wytrąciła się z transu. Za późno już było, aby go podtrzymać. Jej ciało trzymało się teraz rozpaczliwie ciała tego nowego Ozyrysa, uwalniając pierwotną i dziką energię, jakiej nigdy dotychczas nie zaznała. Siłę, za sprawą której, dopóki trwała rozkosz, czuli się tak odlegli od śmierci. Nieśmiertelni.

Niezdolni zapanować nad sobą, w końcu dali się ponieść żarowi, od którego oboje w tej samej chwili zdali się opaść z sił.

„Opaść” – powtórzyła w myślach, nie wiedząc sama, skąd słowo to przyszło jej do głowy.

„Paść” – pomyślał, nie ważąc się odezwać słowem.

ROZDZIAŁ 45

KAIR, DZIELNICA AZBAKIJA

12 SIERPNIĄ 1799 ROKU, WCZESNY RANEK

Elias Buqtur przybył na miejsce tak wyraźnie zaniepokojony, że żaden z żołnierzy na warcie nie śmiał go zatrzymać. Wielkimi susami pokonał schody dzielące go od kwatery Bonaparte, przed drzwiami sypialni generała zamienił zaś kilka słów z kapitanem straży.

– Generał ma za sobą kiepską noc – oznajmił oficer, gdy tylko go ujrzał.

– Kiepską noc?

Grymas rzeczywistego zatroskania na twarzy tłumacza zrobił na oficerze dobre wrażenie.

– Tak, panie Buqtur. Miał koszmary. Coś musiało mu zaszkodzić, przez cały świt zrywał się bowiem co chwila i cierpiał na uporczywe zawroty głowy. Teraz przynajmniej nie ma już gorączki.

Kopt z przejęciem dopytał kapitana:

– Czy ktoś przy nim czuwa?

– Niemal całą noc spędził w towarzystwie kobiety. Ona się wszystkim zajęła. Generał rozkazał nam, żebyśmy jej słuchali. Poprosiła o wilgotne ręczniki i ciepłą wodę i doglądała go jeszcze godzinę temu czy nawet dłużej, a kiedy wreszcie zasnął, odeszła w towarzystwie krewnego.

– Kobieta?

– I do tego bardzo piękna, bez dwóch zdań – nieco szelmowsko uśmiechnął się kapitan.

– Wiecie, jak się nazywa?

– Oczywiście, proszę pana – odpowiedział oficer, przeglądając rejestr wizyt. – O, tutaj. Nadia ben Raszid.

Buqtur poczuł się tak, jak gdyby ktoś kopnął go w żołądek. Potwierdziły się jego najstraszniejsze obawy. Najgorszy wróg wszystkiego tego, co sobą reprezentował, właśnie spędził noc z Napoleonem Bonaparte, na osobności, mając go w swoich ramionach dłużej, niż gotów był to sobie wyobrazić. Działania przedsięwzięte przez lożę, z którą potajemnie się sprzymierzył – przez Warsztat – zawiodły. Omar Zalim w swojej jedynej misji poniósł klęskę. A wszystko to zaledwie kilka godzin przed spodziewanym triumfem.

Elias usiłował nie pokazać po sobie, jakie wrażenie zrobiły na nim te słowa, i zapytał kapitana, czy generała można obudzić. Pojawiła się sprawa najwyższej wagi, którą koniecznie musiał z nim omówić.

– Wchodźcie, skoro chcecie. Nie sądzę, żeby spał – odparł.

Rzeczywiście, Bonaparte siedział na łożku. Wokół głowy miał zawiązany ręcznik, a w jego oczach można było dostrzec oznaki skrajnego wyczerpania.

– Buqtur! – zawołał, gdy tylko ujrzał, jak ten przekracza próg. – Wydawało mi się, że dałem ci dzień wolnego.

– To było wczoraj, panie.

– Wczoraj? To tyle czasu spędziłem w łożku?

– I z tego, co słyszałem, w świetnym towarzystwie – dorzucił cynicznie tłumacz.

– Niezbyt to pamiętam, Eliaszu. Mam za sobą parszywą noc. Jak gdyby coś wewnątrz mnie usiłowało opuścić moje ciało... Ciągłe kręciło mi się w głowie. Byłem gotów sądzić, że zaraz umrę. Na szczęście pomogła mi pewna kobieta.

– Tak właśnie słyszałem. – Przygryzł wargę. – Co o niej wiecie, generale?

– Właściwie nic.

– Niepotrzebnie się narażacie. Wiecie o tym?

– Nie pouczaj mnie. Nie teraz.

– Oczywiście, panie – zgodził się Eliasz.

– Ta kobieta stawiała się przede mną i stwierdziła, że zna błękitnych mędrców, tak więc postanowiłem ją wypytać. Właściwie nic więcej.

– Cóż za zbieg okoliczności, panie – zauważył tajemniczo. – Właśnie o nich chciałem z wami pomówić.

– Doprawdy?

Bonaparte rozbudził się w miarę możliwości, podnosząc się z łożka i kierując kroki ku wannie.

– Tego popołudnia powinniśmy wyruszyć w stronę Gizy – zauważył Buqtur, idąc krok w krok za nim. – Ten właśnie termin błękitni mędrcy wybrali wam w Nazarecie na przekazanie swojej tajemnicy. Pamiętacie, prawda?

– Pamiętam aż za dobrze, Eliaszu – odburknął.

– Jeśli nie macie nic przeciwko temu, panie, sam mógłbym zająć się przygotowaniem niewielkiej ekspedycji, abyśmy dotarli do piramid przed zmierzchem.

– Zdajesz się zniecierpliwiony...

– Tylko punktualny, panie. Do waszych trzydziestych urodzin brakuje dokładnie trzech dni. W Nazarecie błękitni mędrcy wyznaczyli wam na dziś spotkanie w Wielkiej Piramidzie, aby przekazać wam sekret życia. To dzień objawienia, panie.

– Tak... Sed – wymamrotał.

Buqtur na te słowa pogładził się po bródce. Zaskoczyło go, że generał zachował to określenie w pamięci.

– Cieszy mnie, że pamiętacie.

„Jakże mógłby zapomnieć?”

Bonaparte uczestniczył przecież w potkaniu z sędziwym Balasanem i jego pomocnikiem, usłyszał więc, podobnie jak Eliasza, nieodwołalny termin. Tyle tylko, że minionej nocy pewna śliczna Egipcjanka wślizgnęła się do jego sypialni, żeby mu o tym przypomnieć. „Zbieg okoliczności?” Rzeczywiście, dzień ten mógł go zastać w delcie Nilu czy w ogniu walk z mameluckimi niedobitkami gdzieś na środku pustyni, ale nie – znajdował się w Kairze, zaledwie kilka godzin drogi od piramid, być może cokolwiek wymęczony, ale z odpowiednim zapasem czasu, żeby się do nich dostać.

– W porządku – powiedział. – Polecę Kléberowi, żeby przygotował eskortę. Wyruszymy w południe.

– Doskonały pomysł, panie. Generał Kléber to wspaniały wybór.

– Niech więc tak będzie.

To powiedziawszy, zsunął z siebie jedwabny szlafrok i nagi zanurzył się w aromatycznej kąpieli.

ROZDZIAŁ 46

PŁASKOWYŻ GIZA

12 SIERPNI 1799 ROKU, POPOŁUDNIE

Odległość dzielącą ich od Gizy pokonali na pokładzie wielkiego barkasu, na którego głównym maszcie powiewał trójkolorowy sztandar Republiki. W chwili wejścia na pokład generał Napoleon Bonaparte stłumił w sobie westchnienie. Przebywał w Egipcie już od roku i mógł tylko ubolewać nad tym, jak daremne okazały się jego wysiłki zmierzające do rozpowszechnienia tej flagi pośród miejscowej ludności. Egipcjanie byli zdecydowani odrzucać wszystko, co przybywało z Europy, w tym również wymyślone w Paryżu pogańskie ceremonie, tamtejsze symbole czy pełne pompy defilady.

Na pokładzie jednostki oczekiwał go generał Kléber, pododdział eskorty liczący dwudziestu pięciu ludzi z nabitymi muszkietami, tłumacz Eliasz Buqtur, kapitan łodzi i cztery osły z sakwami wyładowanymi wodą pitną i prowiantem.

Kiedy tylko podnieśli kotwicę, kapitan poinformował go, że przedostaną się przez Kair, płynąc dawnymi kanałami nawadniającymi, aby następnie dotrzeć do Gizy. Coroczny wylew Nilu pozwalał w tym okresie doświadczyć czegoś wyjątkowego: część miasta przemieniała się w coś na kształt Wenecji, a wody rzeki zalewały domy, meczety, ulice i magazyny. I nikt nie zdawał się tym poirytowany. Dla Egipcjan wylew Nilu od stuleci oznaczał błogosławieństwo i żyzność gruntów. Kraj zapewniał sobie dzięki temu kolejny rok plonów i dostatku.

– Za pozwoleniem, panie, muszę zadać wam jedno pytanie – odezwał się Jean-Baptiste Kléber, który odczekał, aż dowódca statku zakończy wyczerpujące objaśnienia. Obaj przeszli w stronę rufy, oddalając się od reszty pasażerów w poszukiwaniu dyskretnego miejsca odpowiedniego na rozmowę.

– Słucham, generale.

Wówczas Kléber wypalił:

– Jesteście pewni tego, co zamierzacie uczynić?

– Co macie na myśli?

– Panie, zgodziliście się poddać rytuałowi magicznemu, którego moc pozostaje nam nieznana. Zapijemy się w słabo strzeżone okolice i nie chciałbym, żebyśmy wpadli w zasadzkę. Poza tym – rosły Alzacyjny zawahał się przez chwilę – wiecie równie dobrze, co ja, że czarna magia tutejszego ludu jest bardzo potężna.

– Nie musicie się tym przejmować – uspokoił go Bonaparte. – Jestem pod ochroną.

– Ochroną? To znaczy w sensie magicznym?

Bonaparte skinął, przywołując w myślach pełną ciepła „ceremonię” odprawioną przez Nadię.

– Czyżby was to dziwiło? – zapytał. – Akurat was, generale?

Kléber milczał.

– Czy nie należycie, generale, do tej samej loży masońskiej, do której dołączyli mój ojciec i mój starszy brat Józef? Nie zaliczacie się do grona tych, którzy wierzą w potęgę magii, i nie zawieracie jej nawet własnego bezpieczeństwa? Nie myślcie sobie, że zapomniałem o waszej pasji wobec symboli magicznych czy wobec tarota... Tym bardziej – bąknął Bonaparte – nie możecie się przecież bać jakiejś próby dzielności wewnątrz starego monumentu.

Generał poczuł, jak rozpalają mu się policzki.

– Tak. Macie rację.

– To, co mnie czeka wewnątrz piramidy, to zapewne jakiegoś rodzaju inicjacja, bardzo podobna do tych, jakie organizuje wasza loża. Sami wiecie, rytuał, w którym się umiera, aby następnie zmartwychwstać.

Kléber udał zdziwienie.

– Co chcecie przez to powiedzieć?

– Mówię symbolicznie, generale. Kto umiera, Jean-Baptiste, ten żyje po wsze czasy – wyszeptał porozumiewawczo. – Kto zaś trzyma się życia, umiera na wieczność.

– Nie... Nie rozumiem was, panie. Jesteście dziś usposobieni nader metafizycznie.

– To właśnie, drogi przyjacielu, wczorajszej nocy przyszedł mi powiedzieć w sypialni pewien anioł – uśmiechnął się. – Sam także nie do końca to rozumiem. Lecz być może dziś...

– Pozwólcie, że z nieufnością odniosę się do aniołów tego typu, panie – odciął się suchym tonem Kléber, jednocześnie zagłębiając spojrzenie w pianie, jaką wzbijał kil płynącego barkasu. – Znam europejskie rytuały inicjacyjne, ale nie egipskie. We Francji, panie, słynne są opowieści o postaciach, które osiągnęły nieśmiertelność, takich jak Nicolas Flamel lub hrabia de Saint-Germain...

– Wszystkie te historie, Kléber, są mi dobrze znane.

– Otóż w ich wypadku nigdy nie mówiono, że aby żyć, musieli umrzeć.

Bonaparte zmierzył surowym spojrzeniem podwładnego, po czym wyprowadził go z błędu.

– Między ich rytuałami a naszymi nie powinno być aż tak dużej różnicy. W Paryżu, drogi przyjacielu, krążyły pogłoski, że hrabia de Saint-Germain w celu doznania odnowy udawał się do piramidy na Lazurowym Wybrzeżu. Być może właśnie tam umierał, aby się odrodzić. Wewnątrz piramidy. I wiecie co? Odnoszę wrażenie, że dziś zostanie mi ukazane coś podobnego. Być może posiadam pradawną naukę o życiu i będę mógł się z wami nią podzielić...

Przy tych słowach spojrzenie młodego Bonapartego rozbłysło.

– A jeśli poznanie tej nauki oznaczałoby, że musicie pozostać w Egipcie?

Bonaparte aż podskoczył. W tonie zadanego pytania było coś, co się mu nie spodobało:

– Co takiego insynuujecie, Kléber? Jestem w Egipcie z własnej woli. Jeśli przyjdzie mi tutaj pozostać, to zostanę. Jeśli zaś musiałbym stąd wyjechać, również to uczynię.

Olbrzym więcej już nie pytał. Obaj postali przez dłuższą chwilę w milczeniu, ani jednak Elias, ani którykolwiek z członków załogi nie odważył się im przeszkadzać.

Młody Bonaparte ponownie zatopił się w rozmyślaniach nad dziwną nocą, jaką spędził z Nadią. Niemal wszystkie jego wspomnienia sprowadzały się do kolorów, zapachów i słodkawego, gęstego posmaku, który zachował w ustach. A także do dziwnego uczucia „śmierci” u jej boku. Nigdy dotąd nic podobnego mu się nie zdarzyło. Nigdy wcześniej nie był w łóżku z kobietą, aby następnie nie obudzić się z poczuciem triumfu. I mimo odczuwanego w tej chwili intymnego niepokoju złapał się również na innym pragnieniu: czy jeszcze będzie miał okazję ją zobaczyć?

Pozostała część rejsu upłynęła przyjemnie i bez jakichkolwiek przeszkód. Do Gizy dotarli około wpół do ósmej wieczorem, akurat w porę, aby ujrzeć, jak słoneczna tarcza chowa się za najmniejszą z piramid zespołu.

– Witajcie w Rostau! – zawołał Elias, gdy tylko postawił stopę na piasku, zaledwie osiemset metrów od płaskowyzu, na którym wznosiły się piramidy.

– Witajcie... gdzie?

– W Rostau, mój panie – odparł z dumą. – Tak nazywali to miejsce starożytni Egipcjanie. Znaczy to „królestwo Ozyrysa” lub „miejsce wieczności”. Wiedzieliście, że sądzono, że jest to coś w rodzaju pomniejszonej, ziemskiej kopii zaświatów, dokąd udają się dusze zmarłych?

– Ziemskiej kopii?

– Egipcjanie, panie, uważali, że ich ziemia powstała jako zwierciadło raj. Każdy budynek, każde miasto czy każda wioska, którą wzniesli nad Nilem, miała naśladować coś, co istniało już w tym królestwie zaświatów. Rzeka na przykład stanowiła echo Drogi Mlecznej. Z kolei piramidy odpowiadały określonym gwiazdom na nocnym firmamencie.

Bonaparte rzucił okiem na płaskowyz i z zaskoczeniem stwierdził, że na całej rozległej płaszczyźnie złocistego piasku nie dostrzega żywej duszy. Na moment do głowy przyszły mu obrazy z opustoszałego Nazaretu, gdzie jakby za sprawą magii, bez wierzchowców czy bagaży, objawili mu się błękitni mędracy. Tutaj jednak ich nie dostrzegał, nie miałoby także gdzie skryć się przed jego spojrzeniem.

„Obiecali, że przyjdą” – pomyślał.

Gdy dotarli do przystani, załoga rozłożyła z dziobu jednostki chybotliwy pomost z desek. Pół godziny później podróżni wraz ze zwierzętami dotarli do stóp Wielkiej Piramidy, nadal nie widząc nikogo dookoła. Kolosalny Sfinks, aż po pierś zakopany w ziemi, pozostał z tyłu, wiecznym spojrzeniem dalej wpatrując się na wschód. Tam również nikogo nie dostrzegli.

Po tym, jak obeszli największą i najdoskonalszą z tych sztucznych gór i dotarli do jej północnego zbocza, Elias Buqtur polecił zatrzymać konwój.

– Zaprawdę jest to dzieło tytanów – sapnął, spoglądając na Bonapartego.

– Wchodzi się z tej strony, prawda?

Buqtur się uśmiechnął. Jego pan miał dobrą pamięć. Pierwszy i jedyny raz widział to miejsce przed bez mała rokiem, tuż po tym, jak pokonał mameluków w starciu, które sam ochrzcił mianem bitwy pod piramidami. Wówczas nie wszedł do środka. Nie widział takiej potrzeby. Teraz z kolei wyglądało na to, że spieszy mu się, żeby to uczynić.

– Istotnie, jedyne wejścia znajdują się z tej strony monumentu: jedno, pierwotne, otwiera się na wysokości piętnastego rzędu bloków. Tam – oznajmił Buqtur, wskazując coś w rodzaju dwuspadowego nadproża wyróżniającego się z poziomego ciągu kamieni. – Drugie wybił kalif al-Mamun, aby dostać się do złożonych w piramidzie skarbów. Dojrzyście je nieco niżej, na wysokości piątego rzędu.

– Wygląda jak pęknięcie.

– Ponieważ jest to pęknięcie, panie.

Również Kléber dostrzegł dwa wgłębienia w ogromnej wapiennej ścianie monumentu i posłał naprzód żołnierzy, aby je zbadali i upewnili się, że nikt nie kryje się w środku.

Okolo godziny ósmej wieczorem, gdy słońce wisiało już bardzo nisko, a płaskowyz zabarwił się na pomarańczowo, Bonaparte, Kléber i Buqtur podjęli decyzję o wejściu. Oczekali już wystarczająco długo na wypadek, gdyby – podobnie jak w Nazarecie – błękitni mędracy wysłali na ich spotkanie komitet powitalny, wszystko jednak wskazywało na to, że tego sierpniowego dnia byli jedynymi, którzy postanowili udać się w te okolice. Bonaparte i jego wierny tłumacz nie dali za wygraną i siląc się na entuzjazm, nakłonili rośłego Alzaczyka, aby wziął kilka pochodni i wraz z trzema ludźmi ruszył za nimi do wnętrza monumentu.

Jean-Baptiste Kléber przystał na to z wielką ochotą.

Grupka z pewną ostrożnością podeszła do wyłomu uczynionego przez al-Mamuna. Otwór był mniej więcej wysokości człowieka, szeroki zaś akurat na tyle, żeby weszli do środka gęsiego. W świetle zachodzącego słońca nieregularne krawędzie szpary przypominały zęby w zniekształconej paszczy, gotowej na ich pożarcie.

– To wejście bardzo różni się od pierwotnego – wytłumaczył Buqtur, już wewnątrz budowli rozpalając pochodnie. – Za tym pierwszym ciągnie się opadający korytarz długości stu osiemdziesięciu metrów i wysokości zaledwie półtora metra, prowadzący do podziemnej komory niewzbudzającej zainteresowania. Tędy z kolei, drogą wykutą przez al-Mamuna, dostaniemy się do najważniejszych pomieszczeń. Pozostawały one nieznanne aż do czasu, gdy siedemset lat temu odkrył je ten Arab.

Jego wyjaśnienia przerwało trzepoczące skrzydłami stado nietoperzy. Wewnątrz unosiła się kwaśna woń. Kwaśna woń i zapach stęchlizny. Od jak dawna nikt tędy nie przechodził? Jeden z dragonów Klébera przeżegnał się bojaźliwie.

– Idziemy? – zapytał Buqtur, upewniając się, że wojskowi podążają za nim. Mimo krępej budowy ciała tłumacz mógł się pochwalić godną pozazdroszczenia zwinnością.

– Oczywiście! – przystał Bonaparte.

– Korytarz, którym ruszymy ku górze, jest nachylony pod kątem dwudziestu sześciu stopni – dodał Buqtur, gdy doszli do końca chodnika wykutego przez al-Mamuna. Echo jego słów gubiło się wewnątrz budowli w najzupełniejszych ciemnościach. – Jak możecie stwierdzić, jest wykonany w gładzonej skale. Trzeba uważać, żeby się nie poślizgnąć.

Bonaparte wysunął pochodnię przez otwierającą się przed nimi czeluść. Ścieżka, ciemna niczym wilcze gardło, kwadratowa i ciasna jak komin, wznosiła się ku nieskończoności, gubiąc się wewnątrz piramidy. Odczuł dziwny dreszcz, po części strachu, po części podniecenia, pod wpływem którego przykucnął, dopasowując się do skąpych wymiarów kanału.

– Ile razy już tutaj byłeś, Eliaszu? – zapytał.

– Wielokrotnie, panie. Moja rodzina od pokoleń przemierza te pomieszczenia. Kiedy po raz pierwszy przyszedłem tutaj z ojcem, miałem zaledwie dziesięć lat.

– I domyślałem się, że się bałeś.

– To nie był strach. To było przerażenie.

Bonaparte i dragoni się uśmiechnęli.

Cała szóstka zaczęła powoli wspinać się w górę wykutego przez piramidę niby-rynsztoka, chwytając się ścian, żeby nie ześlizgnąć się na dół.

– A domyślasz się może, dlaczego błękitni mędracy nie przybyli na wyznaczone spotkanie? – zapytał wprost Eliasza, gdy tylko ruszyli ku górze.

– Być może, panie, czekają na nas na miejscu. Odwagi!

Echo słów Buqtura przemknęło przez zatechły i pochyły korytarz, pozwalając się domyślić, że mają jeszcze przed sobą spory kawałek do przejścia. Z każdym krokiem ogarniało ich coraz bardziej dojmujące poczucie klaustrofobii. Kléber, który zamykał pochód, przeklinał pod nosem pradawnych architektów tej nory. W takim miejscu jego bez mała dwa metry wzrostu okazywały się przekleństwem. Tymczasem zaś Eliasz w dalszym ciągu trajkotał bez ustanku, być może usiłując zagłuszyć przytłaczające uczucie, że oto znalazł się pogrzebany pod trzema milionami kamieni:

– Wiecie co, panie? Niektórzy uważają, że piramida imitowała drogę, jaką dusze muszą przemierzyć, aby dostać się w zaświaty. Powiadają, że tutaj, w środku, zostawiano faraona samego, żeby chodził po tych korytarzach i przyzwyczajał się do tego, co czekało go po śmierci...

– Samego?

– Tak jest, mój panie.

Bonaparte, przejęty, przyspieszył kroku, jak gdyby pragnąc odpędzić te ostatnie słowa. Istotnie, wyglądało to tak, jak gdyby pochłonęła ich śmierć.

Kiedy najmniej się tego spodziewali, korytarz otworzył się na poziomą posadzkę, gładką i wykonaną z ogromnych płyt, gdzie wreszcie byli w stanie się wyprostować. To płomień pochodni dał im do zrozumienia, że sufit zniknął i że w końcu mogą powstać.

– Gdzie jesteśmy? – spytał Bonaparte.

– W sercu piramidy, panie!

Buqtur otrzepał pył z czarnej koszuli i zachęcił obecnych, żeby zbliżyli wszystkie żagwie ku sobie. Kiedy ich blask przybrał na sile, wszyscy podnieśli wzrok.

– Piekło i szatani...! – zakrzyknął Kléber. – To jest ogromne!

W istocie tak było. Przed nimi, jakby za sprawą magii, widniało bez mała dziewięciometrowe sklepienie dwuspadowe. Pod nim kolejna rampa wznosiła się ku jakiemś pomieszczeniu powyżej, tuż pod ich stopami otwierał się zaś nowy korytarz, tym razem biegnący poziomo, który nikał pośród mroku. Kléber zostawił jednego z dragonów w miejscu krzyżowania się chodników i zaczął, aż przewodnik wyda kolejne dyspozycje.

– Najświętsze miejsce piramidy znajduje się u góry – rozwiął jego wątpliwości Elias. – Wchodzimy?

– Jeszcze wyżej?

– Idziemy, panowie – uśmiechnął się. – To ja tutaj jestem gruby. Proszę, nie pozwólcie, żeby to piramida was pokonała.

Obu generałom galeria wydała się rdzeniem ogromnego mechanizmu zegarowego. Na jej ścianach nie widniało choćby pojedyncze zdobienie, nie pojawiał się jakikolwiek hieroglif – nic. Przez chwilę poczuli się niczym owady wewnątrz wieży zegarowej, niezdolne zrozumieć, co mają przed oczyma. Co pewien czas pojawiała się niewielka nisza o nieznanym zastosowaniu lub zwiastująca jakąś niespodziankę szpara. Na nich zaś, niczym wsporniki więźby dachowej, spoczywało siedem długich gzymsów, które przecinały wewnątrz na podobieństwo trzpieni, które gdzieś w oddali miały się połączyć z niewidzialnym kołem zębatym.

– To wchodźmy!

Bonaparte zdawał się podekscytowany. Trzewia piramidy oddziaływały na niego upajająco.

– Co jest tam na górze, Eliaszu? – zapytał, gdy wraz z asystą dragonów znalazł się już w połowie rampy.

– Komora Króla, mój panie.

– Komora Króla?

– Tak. To w niej znajduje się sarkofag faraona.

– Kogoś tutaj pochowano?

– Tak naprawdę, panie, nikt tego nie wie – wydyszał, starając się za nim nadążyć. – Nigdy nie odnaleziono tu żadnej mumii. Nawet wówczas, gdy al-Mamun sprofanował piramidę i pierwszy raz ją spenetrował.

– Wchodźcie wszyscy! Musicie to zobaczyć!

Olbrzymi Kléber kilkakrotnie się poślizgnął, nim odkrył, jak na takiej powierzchni powinien stawiać kroki, żeby się nie przewracać. Kiedy już to jednak opanował, pomknął niczym kot na samą górę, teraz zaś popędzał ich, aby do niego dołączyli.

– To doprawdy wspaniała komnata! Wchodźcie, generale!

Rzeczywiście, pomieszczenie było nieporównanie bardziej imponujące niż wszystko, co widzieli do tej pory. Gdy Bonaparte ujrzał je w świetle pochodni, aż sapnął. Choć ściany skrywał mrok, tkwiące w nich drobinki miki i skaleni połyskiwały niczym diamenty. Sala miała jakieś dziesięć metrów długości na pięć szerokości i pokrywały ją wielkie płyty pieczołowicie poukładane na posadzce, ścianach i suficie. W głębi komnaty cicho czekał wykonany z tego samego materiału sarkofag, obtłuczony w jednym z narożników, pozbawiony pokrywy i pusty.

– Oto miejsce inicjacji – wymamrotał Eliasza. – To tutaj przeprowadzało się rytuał Sed.

– Pusto tu – zauważył z rozczarowaniem Bonaparte.

– Tak, mój panie. Pusto.

– Dlaczego nikt tu na nas nie czeka, Eliaszu? Czyżbyśmy przybyli za późno?

Kopt, wciąż jeszcze zmęczony po podejściu, odpowiedział, gdy tylko odzyskał dech w piersiach:

– Nie wydaje mi się, mój panie.

– A zatem? Gdzie są błękitni mędrcy? Czyż nie mieli nam tu przekazać tajemnicy, co obiecali w Nazarecie?

Buqtur sapnął jeszcze kilka razy, nim wrócił do siebie. W przeciwieństwie do cudzoziemców, na jego obliczu nie było widać żadnych oznak niepokoju.

– W istocie, panie, jest tak, ponieważ zavezowano tu wyłącznie was – oznajmił, spoglądając na towarzyszącą im uzbrojoną eskortę.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Że być może do niczego nie dojdzie, o ile nie zostawimy was tu samego, panie.

– Samego?

– Błękitni mędrcy jasno dali do zrozumienia, że to na was czekali. Być może dopóki będziemy tu wszyscy, dopóty się nie pojawią. Być może... – zawahał się – to nie oni, a sama piramida do was przemówi.

– Nie podobają mi się te twoje przypuszczenia, Eliaszu.

Buqtur zmarszczył brew:

– A zatem je zignorujcie. My jednak – dodał, spoglądając na Klébera – przy nadchodzącej ceremonii będziemy tutaj zbędni.

– Ceremonii? – zdumiał się Bonaparte. – Jeśli jednak nie błękitni mędracy, to kto ją odprawi? I gdzie?

– Nie powinniście się tak przejmować, panie. Aby doszła do skutku, najpierw musi się wydarzyć kilka innych rzeczy.

– Ach, tak?

– Panie – oznajmił mu wytworną francuszczyzną Buqtur. – Zanim piramida wyjawia wam swoją naukę, musicie opróżnić tu swoją duszę.

– A cóż to takiego ma znaczyć?

– Niebawem się przekonacie – uśmiechnął się Elias. – To bolesny proces. Wytrzymacie?

– Zrobię to – przystał Bonaparte.

– W samotności?

– Nie boję się.

Elias objął go.

– Panie, ta próba zawsze odbywała się w ten sposób. Takie jest prawo. Tak przewyciężyli ją Cezar czy Aleksander Macedoński. I obaj, jak dobrze wiecie, stali się panami Egiptu. Tak również dziś uczynicie to wy, o ile nadal pragniecie, aby przypadł wam ten zaszczyt i żebyście mogli władać naszą ziemią.

Bonaparte otworzył brązowe oczy, w których było widać pragnienie:

– A zatem, Eliaszu, gdzie będziesz na mnie czekał?

– Na zewnątrz, mój panie.

– Wy także, Jean-Baptiste? – zapytał, spoglądając na olbrzyma, który nie spuszczał tłumacza z oka.

– Także, generale.

Nic więcej nie powiedzieli.

Choćby słowa.

I przez pewną chwilę, przyglądając się, jak pochodnie eskorty niktą w głębi korytarzy, które doprowadziły ich w to miejsce, Napoleon Bonaparte poczuł pewność, że – w ten czy inny sposób – jego godzina wybiła.

ROZDZIAŁ 47

Skala Maadi, wznosząca się na południe od piramid, uniemożliwiła Tagarowi obserwację wydarzeń po drugiej stronie piramidy Cheopsa. Według wyliczeń mistrza Francuzi powinni byli tam przybyć tuż przed zmierzchem.

Uważny „uśmiechnięty anioł” zdawał się zatroskany. Towarzyszył swojemu mistrzowi aż do chwili, gdy Nadia ben Raszid wypełniła swoją część misji, przywracając Bonapartego do życia. Wiedział zatem, że teraz należało zrównoważyć ten czyn przez śmierć, tym samym dopełniając inicjacji wybrańca. Od tego zależała równowaga *maat*.

Około dziewiątej wieczorem rozgwieżdżone ciało Nut – egipskiej bogini sklepienia niebieskiego – zakryło już piramidy. Starzec z Góry przez ostatnie godziny inkantował psalmy nad zwłokami Omara Zalima. Wyjaśnił mu, że usiłuje dzięki temu zabiegowi zatrzymać *ka* syna Seta, aby dopomóc własnemu w wykonaniu ostatniej misji.

– Ale mistrzu, zdołacie wytrzymać taki trans? – zapytał Tagar.

Balasan przebił go spojrzeniem tych błękitnych oczu, które w szczególnie ważnych momentach zdawały się rozświećlać blaskiem. I nie tracąc ani krztyny spokoju, jaki osiągnął dzięki modłom, wyjaśnił, że wraz z wypiciem eliksiru oddzieli swoje *ka* od własnego ciała i poprowadzi je na spotkanie z cudzoziemcem.

– O mnie się nie martw, Tagarze – wyszeptał. – Zadbaj tylko o to, żeby otulić moje ciało, podczas gdy ja zajmę się zadaniem.

Dla obu była to chwila pełna piękna. Od siedemnastu wieków członkowie ich bractwa nie podzielili się z nikim tą niebiańską wiedzą. Żaden człowiek nie zasłużył sobie przez ten czas na honor, jakim była boska pomoc w osiągnięciu życia wiecznego podczas ziemskiej egzystencji. Tym razem zaś wszystko przebiegało spokojnie.

Tagar, młody towarzysz mistrza, był jednak niespokojny. Aby ceremonia Sed zadziałała, *ka* obu nieruchomych ciał, które miał przed sobą, uczyniły zaś to, co było im pisane, Napoleon Bonaparte musiał nie żyć.

Pytanie brzmiało więc: czy rzeczywiście już nie żył?



Nigdy dotąd nie pozwolił się prowadzić samemu instynktowi. Nie był nawet pewien, czy zdoła zawiesić rozsądek i wziąć udział w tym, co bez wątpienia wyglądało na kolejny etap „sprawdzianu piramidy”, któremu postanowił się poddać. Generał nie miał już jednak nic do stracenia.

Zdecydowany, wyciągnął ręce przed siebie w poszukiwaniu gładkiego i zimnego granitu.

Namacawszy zbiornik dokładnie tam, gdzie się go spodziewał, wdrapał się na jego brzeg i wyciągnął się na długość w jego wnętrzu. Był gotów zaczekać, aż wypadki potoczą się same, bez jego ingerencji, i wyjść z tej niekomfortowej sytuacji możliwie pasywnie.

„Co miał na myśli Elias, mówiąc, żebym opróżnił tutaj duszę i pozwolił, by ją zważono?” – zapytał sam siebie, opierając plecy o dno zbiornika.

Odetchnął głęboko.

Uczył to raz, drugi, trzeci.

Uwolnił umysł od wszelkich myśli.

Wyciągnął nogi i ramiona, aż zdołał wygodnie je ułożyć i o nich zapomnieć.

I zamknął oczy.

W tym właśnie momencie Napoleon Bonaparte dokonał straszliwego odkrycia: ta kamienna trumna miała dokładnie jego wymiary...

ROZDZIAŁ 48

WIELKA PIRAMIDA, PŁASKOWYŻ GIZA

12 SIERPNI 1799 ROKU

Musiał się nad tym dwukrotnie zastanowić. Było czymś nielogicznym, żeby samemu mierząc zaledwie metr sześćdziesiąt wzrostu, wypełnić zbiornik o czterdzieści centymetrów odeń większy. Paradoks ten skupił jego uwagę na dłuższą chwilę. Leżąc jak długi, postarał się wyciągnąć ciało do granic możliwości, aż poczuł, że rzeczywiście dalej już się nie da. Jakimś cudem zupełnie zajął całą długość zbiornika. Jak gdyby całe jego ciało nabrzmiało do wymiarów tej kamiennej struktury.

„Ale jak to możliwe?”

Bonaparte się zawahał.

W ciemności, niezdolny czegokolwiek dostrzec, pogrzebany pod nieprzeniknioną, kamienną skorupą piramidy, nie był w stanie orzec, czy coś w jego organizmie się zmieniało, czy też nie. Czuł się dziwnie duży i lekki, jak gdyby jego kończyny zmieniły długość, a jednocześnie funkcje życiowe stopniowo zamierały.

Niebawem zdał sobie sprawę, że panuje jedynie nad umysłem. Zachował świadomość. Rozumował doskonale. Reszta narządów powoli przestała jednak funkcjonować.

Nie oddychał.

Nie czuł dotyku granitu.

Jego ciało nie słuchało jakichkolwiek wydawanych mu dyspozycji.

I wówczas, niespodziewanie, nadeszło coś, co sprawiło, że postradał resztki panowania nad samym sobą.

Najpierw nastąpił rozbłysk światła.

Przed oczyma pojawił mu się bardzo intensywny biały punkt, który ruszył ku niemu z ogromną prędkością, w ułamek sekundy zajmując całe jego pole widzenia. Towarzyszył mu potworny ból. Bonaparte miał poczucie, że pochodzi to z jego organizmu. Naraz źrenice mu się rozwarły i spiekły pod wpływem tej przytłaczającej siły, wszystkie palce zacisnęły się zaś gwałtownie. „Boże!” – chciał zawołać. Ale nie mógł. Język mu zniknął. Najprościej w świecie nie było go tam, gdzie zawsze. Uszy przestały rejestrować subtelne brzęczenie ciszy.

Przez trudną do określenia chwilę czekał, aż ból przeminie.

„Co się ze mną dzieje?”

I kiedy już mu się zdawało, że odzyskuje panowanie nad sobą, drugie wyładowanie poraziło go doszczętnie.

Atak był dokładną powtórką pierwszego. Potężny i straszliwy. Obracający w popiół. Ponownie rozsadził mu czaszkę, przynosząc rozpacz i wyczerpanie.

„Co się ze mną dzieje?!” – pomyślał z przejęciem.

W głębi jego duszy zagościło przerażenie.

Potem nastąpiła pustka.

Nic.

Cisza.

Nie potrafił powiedzieć, ile czasu zajęło mu pozbieranie się po tym drugim wstrząsie. Niemniej jednak – jak gdyby usiłując go uzasadnić – Bonaparte uczył się myśli, że najwyraźniej musi to stanowić element „próby piramidy”.

„To bolesny proces” – przypomniał sobie przestrożę Balasana. A w umyśle pojawiło mu się wówczas niepokojące podejrzenie:

„A co, jeśli przed czymś mnie ostrzegali?”

Wówczas generał skupił się na ciężącej nad nim ciemności. Nie wiedział, czy oczy ma otwarte, czy zamknięte, mimo to uczynił tytaniczny wysiłek, aby przebić się przez mrok.

Dzięki tym staraniom stało się coś... odkrywczego.

Ciemność, która do tej pory panowała w pomieszczeniu, zaczęła przeistaczać się w zielonkawą poświatę.

Tak jakby całe życie był ślepy i dopiero teraz po raz pierwszy przejrzał na oczy. Nagle na powrót był w stanie dostrzec ogromne płyty, którymi wyłożono komnatę. Z wnętrza sarkofagu rozpoznał miejsca ich łączenia, malutkie pęknięcia, a nawet błyski ich niedoskonałości, które widział teraz z dotąd nieznaną jasnością. Mimo wielkiego wysiłku nie był jednak w stanie namierzyć źródła tego poblasku. Gdziekolwiek spojrzeł, światło miało tę samą intensywność, zupełnie jak gdyby dobywało się z kamienia.

Wówczas – wbrew wszelkim swoim obawom – zdołał się podźwignąć. Niespodziewana zwinność napełniła go radością. Rzucił okiem dookoła i upewnił się, że całe pomieszczenie było skąpane w tej samej poświacie.

Nie było to przywidzenie.

Te dwa tajemnicze wyładowania podziałały cudownie na jego umęczone ciało. Mógł się poruszać, choć nadal nie miał czucia w członkach. Mógł mówić, ale nie wiedział, gdzie ma usta. Widział, nawet jeśli nie był pewien, czy ma otwarte oczy.

„Coś przedziwnego! – pomyślał, przypominając sobie nagle rozpaczliwe przestrogi, jakie Nadia dawała mu w łóżku. – A jeżeli ja nie żyję?”

– Wasza intuicja się nie myli, Sułtanie Zachodu!

Bonaparte podskoczył z wrażenia.

Gdzieś za jego plecami rozległ się poważny, ale przyjazny głos, męski i chrapliwy.

– Obróćcie się! – polecił. – Spójrzcie na nas!

Kiedy zwrócił się w stronę, skąd padł rozkaz, dostrzegł dwie zielone, niezwykle świetliste sylwetki, które – Bóg jeden raczy wiedzieć, w jaki sposób – przedostały się do wnętrza komory. Wyglądały dziwnie, nierzeczywiście, jak gdyby tak naprawdę ich tam nie było, a miał przed oczami ich dalekie odbicie, niczym obraz zagubiony na powierzchni stawu.

– Nie bójcie się! – odezwał się ponownie głos. – Powierzono nam poprowadzenie was przez tę nową płaszczyznę waszego istnienia.

Nie wiedząc, co powiedzieć, Bonaparte spróbował odgadnąć, gdzie już wcześniej słyszał ten charakterystyczny tembr głosu. Gdzie wcześniej czuł się otoczony przez tak pewne i objaśniające słowa. Gdzie po raz pierwszy określono go mianem Sułtana Zachodu. Najbardziej jednak przykuło jego uwagę to, że człowiek ten mówił, nie poruszając ustami, jak gdyby był w stanie włączyć mu te słowa wprost do głowy.

Postać momentalnie rozjaśniła jego wątpliwości:

– Drogi Bunaparcie, jestem Starcem z Góry. Czy raczej – doprecyzowała postać – jestem prawdziwym Balasanem. Jego *ka!* Wieczną esencją tego, który przyobiecał wam ukazać dar od bogów.

„Ale jak to możliwe...?”

– ...że mówię w waszym języku? Że czytam wam w myślach? Że mówię, nie otwierając ust? – uprzedził wszystkie jego wątpliwości. – Jesteście na progu Amenti, Bunaparcie. U wejścia do Zaświatów starożytnych. Tutaj nie podlegamy ograniczeniom właściwym naszym ciałom. Nasze umysły nie muszą artykułować dźwięków, aby się porozumieć.

Generał ze zdumieniem przyjrzał się obu postaciom. Wbrew temu, jak mu się w pierwszej chwili wydawało, różniły się między sobą. Druga z nich w milczeniu przewiercała go intensywnym spojrzeniem. Mrocznym spojrzeniem. Jak gdyby wyczekiwała na sprzyjającą chwilę, żeby się na niego rzucić. W pewien sposób wyczuł, że twór ten również pragnął coś mu powiedzieć. Że chciał go przed czymś przestrzec. Balasan najwyraźniej wyczuł to osobliwe połączenie, jakie otworzyło się między nimi, ponieważ czym prędzej postarał się je przeciąć.

– Wciąż pożądamie nieśmiertelności, Bunaparcie? – zapytał.

„Oczywiście”.

– Pamiętacie, że aby ją osiągnąć, faraonowie musieli przejść pewne próby, prawda?

Bonaparte nie odpowiedział.

– Czynili to zaraz po śmierci.

„Czy on mi mówi o próbie *post mortem*?” – zaniepokoił się.

Blask *ka* Balasana przybrał na sile, jak gdyby koncentrował się przed udzieleniem odpowiedzi.

– Ta piramida odwzorowuje w skali labirynty, z którymi dusza człowiecza mierzy się po drodze w zaświaty – oznajmił. – Tak jak opowiedziałem wam w Nazarecie, to bóg Tot

przekazał pierwszym władcom Egiptu plany tej cudownej „machiny nieśmiertelności”. A uczynił to, żeby zbudowali ją z kamienia i żeby służyła ludziom jako miejsce przygotowań, jako miejsce inicjacji przed podróżą, którą właśnie rozpoczęliście.

„Podróżą? Jaką podróżą?”

– Podróżą ku wieczności, rzecz jasna.

Ka sędziwego Balasana zauważyło dreszcz, jaki przebiegł rozmówcę.

„A zatem nie żyję?”

– W istocie, Bonaparcie.

„A wy?”

Unieśli brwi.

– Powiedzmy, że my, błękitni mędracy, potrafimy przemieszczać się między oboma światami – odrzekł. – Dlatego dobrzy z nas przewodnicy dusz.

Cisza, która nastąpiła po tym zdaniu, zdawała się trwać wiecznie. Trzy postaci spoglądały po sobie bez słowa. Przez chwilę, podczas gdy starały się znaleźć odpowiednie słowa, aby wznowić rozmowę, ich ciała roztaczały wkoło coś więcej poza tą niezdrową poświatą. Lecz jak tu wytłumaczyć wojownikowi, że zginął, nie obnażywszy nawet swojego miecza? Jak sprawić, żeby zrozumiał, że jego śmierć była w rzeczywistości błogosławieństwem?

Wówczas Bonaparte wybuchł:

„Niech to szlag, nie chcę żadnego przewodnika! Obiecaliście mi nieśmiertelność, Balasanie... I zabiliście mnie!”

Jego gniew sprawił, że sylwetki przybyszów zaiskrzyły.

– Nie można znaleźć ścieżki ku życiu wiecznemu, nie przechodząc uprzednio przez śmierć – odparł. – Gdybyście żyli, ceremonia Sed nie doszłaby do skutku. Nie byłibyście tutaj.

Zaraz potem to samo *ka* spróbowało go uspokoić:

– Dalej, mamy dużo do zrobienia.

„A co takiego robią zmarli?” – zapytał z goryczą Bonaparte.

Balasan zbył jego ironię milczeniem.

– Przekonajmy się, czego nauczyliście się o dawnych egipskich wierzeniach. Pamiętacie, jak Set zgładził swojego brata Ozyrysa?

Bonaparte, bardziej przerażony niż wściekły, pokręcił głową, nie będąc w stanie wykrztusić odpowiedzi.

– Set zaprosił go na ucztę wraz z siedemdziesięcioma dwoma innymi gośćmi – spokojnie wyjaśniło *ka* Balasana. – Najważniejszy moment uroczystości nastąpił, kiedy gospodarz pokazał zaproszonym wspaniały sarkofag, który wykonał własnoręcznie. Pamiętacie? Prawdziwe чудо. Set, dumny ze swojego dzieła, zaproponował gościom, żeby je wypróbowali – ułożyli się w nim i ujrzeli wspaniałe zdobienia, teksty i inskrypcje. Aby ich zachęcić,

obiecał, że ten, kto będzie dokładnie pasował do wymiarów skrzyni, otrzyma ten skarb w prezencie.

„Tak... Pamiętam. To również opowiedziałeś mi w Nazarecie” – odburknął w myślach, nie poruszając ustami.

– A zatem pamiętacie, jak na oczach gości Ozyrys pierwszy ułożył się w skrzyni, wzbudzając tym samym podziw wśród zgromadzonych. Sarkofag wydawał się stworzony właśnie dla niego. Miał dokładnie jego wymiary.

„A Set wykorzystał okazję, aby pochować go żywcem i wrzucić do Nilu – dopowiedział tonem przygany. – Nie ma nic straszniejszego niż zdrada”.

– Wy, Bunaparcie, jesteście doskonałym odwzorowaniem tamtego Ozyrysa. Ułożyliście się w sarkofagu starego boga i spostrzeegliście, że ma on wasze wymiary. A uczyniliście to za sprawą zdrajców...

– To nie zdrajcy! To wierni słudzy Seta! Wypełnili swoją misję!

W głowie rozbrzmiał mu inny głos, bardziej surowy i straszliwy niż ten Balasana. Bonaparte z miejsca wiedział, że pochodzi od drugiej postaci.

„A ty kim jesteś?” – zawahał się, skupiając spojrzenie na jej niepokojącej i mrocznej energii.

– Nie wierzcie we wszystko, co wam powie Starzec z Góry! – brzmiała odpowiedź.

Słowom tej istoty towarzyszyło osobliwe uczucie bólu. Z jakiejś przyczyny, podczas gdy oczy drugiego *ka* błyszczały niczym złoto, Bonaparte poczuł w mięśniach pieczenie, które przechodziło w głęboki i nieznośny ból. Z każdą kolejną wypowiedzianą sylabą cierpienie się nasilało. Przez chwilę odniósł wrażenie, że *ka* powodowało je z rozmysłem, jak gdyby cała jego rola sprowadzała się do wyrządzenia mu krzywdy.

– To, co czujecie – dodała istota z cieniem sadyzmu w głosie – to pozostałości po waszym dawnym życiu. Ból to ostatnie, co was z nim łączy. Jeżeli mnie posłuchacie, przywrócę was do świata, z którego przychodzicie. Jeśli nie, już zawsze będziecie egzystować pod tą ponurą i bezcielesną postacią.

Pieczenie stało się nie do zniesienia.

„Dosyć! – pisnął. – Błagam, uciszcie się!”

Ka sędziwego Balasana poruszyło się i wcięło między nich dwóch.

– To Omar Zalim, jeden z synów Seta – oznajmił. – Przyszedł tu, aby zrównoważyć szale twojego sądu ostatecznego. To ty zdecydujesz, kogo z nas posłuchać. Światła czy Mroku. Żywota wiecznego czy fałszywego życia.

Słowa te podziałały na Bonapartego niczym zbawienny balsam – niewidzialna woda, która ugasiła płomień trawiący jego ciało i przywróciła mu spokój.

– Oto co teraz trzeba wam wiedzieć – kontynuował. – Umarliście. Przestaliście istnieć, jak niegdyś uczynił to Ozyrys. W tym momencie jesteście jedynie esencją istoty, którą byliście dotychczas. Zastanawialiście się może, dlaczego widzicie w ciemności? Skąd się wzięło to

uczucie przeglądania własnego życia, jakie towarzyszyło wam w ostatnich godzinach? Bo czy w czasie, kiedy leżeliście w tym sarkofagu, nie ukazały się wam najistotniejsze chwile waszej wędrówki w poszukiwaniu życia wiecznego? Otóż tego, drogi Sułtanie Zachodu, dostępują wyłącznie umarli.

Trwało chwilę, zanim Bonaparte zdobył się na reakcję. Był do głębi wstrząśnięty.

„I w ten sposób umieramy? Tak po prostu? Nie zdawszy sobie nawet z tego sprawy?” Fala niepokoju wezbrała mu w niewidocznym gardle.

– Nie powinno to was aż tak niepokoić – pocieszył go Balasan. – Koniec końców Stwórca obdarzył ludzi nieśmiertelną duszą. To w niej zawiera się wasza prawdziwa natura. Jedyne, co porzuciliście, to wasze ciało. Pancierz z przemijającej materii, który, wierzcie mi, powoduje jedynie rozczarowanie.

Generał zadygotał.

– Nie słuchajcie go! – zakrzyknęło drugie *ka*, ponownie powodując nieznośny ból. – Obieca wam nieśmiertelność bez cielesności. Życie wieczne pod postacią ducha. Wy zaś pragniecie zmartwychwstania takiego, jak Ozyrys. Jak Jezus. Chcecie powrotu do życia.

Niewidoczne usta Bonapartego otworzyły się, aby zaczerpnąć powietrza. Palenie robiło się intensywne. Sprawiało mu ból.

– A co złego jest w życiu wiecznym? – odparło *ka* Starca z Góry. – Życie naprawdę, oznacza po prostu pozbyć się zużytego ciała. Prawdziwym życiem jest śmierć, prawdziwą śmiercią jest życie. Stwórca obdarzył was nim, abyście docenili również materię, którą stworzył, lecz darował wam je tylko na ograniczony czas. Stanowicie Jego część. Część Jego istoty. Dlatego waszym przeznaczeniem jest do Niego powrócić. Wy, ludzie, nie pojmujecie, że waszym początkiem i waszym celem jest przeistoczenie się w samego Boga. Dołączycie do istoty tak wielkiej, jak sam wszechświat, pełnej nieskończonej mądrości i miłości. Rozwiniecie się.

„Ale tak szybko!?” – Od góry do dołu przeszył Napoleona dreszcz paniki. – Dlaczego muszę umrzeć tak szybko? Dlaczego w ten sposób, bez glorii, nie w bitwie?”

– Przybyliście po życie wieczne... i oto je macie – dodało *ka* Balasana. – Czego więcej pragniecie?

– Wraz z nim powrócić do życia! – ryknęło w jego imieniu drugie *ka*.

Słowa te go obezwładniły.

Znienacka zrozumiał, że przyjęcie propozycji Starca z Góry oznaczało podążanie dalej przez korytarze zaświatów odwzorowane w tej piramidzie. Podążanie naprzód bez oglądania się za siebie. Porzucenie niedokończonych projektów, kampanii wojskowej w Egipcie, pragnienia odmiany dziejów Francji, porzucenie Nadii...

– Ach, tak, Nadia – uśmiechnęło się widmo Balasana, ponownie odczytując jego myśli. – Ona również dopomogła zamknąć wasz Ozyrysowy cykl.

Na twarzy Bonapartego pojawił się wyraz niezrozumienia.

– Otóż to. Podobnie jak uczyniła to Izyda w mrokach przeddzień, ona również wydobyła dla was dar życia po śmierci.

„O czym wy mówicie?”

– Wszystko było zapisane. Nadia wyrwała was z waszej doczesnej śmierci, którą zwiecie życiem, i jednocząc się z wami, dała wam ŻYCIE. Następnie zaś przysłała was tutaj, co wy uważacie za śmierć, lecz co w rzeczywistości jest progiem prawdziwego życia.

Bonaparte ponownie podskoczył. Balasan wyraźnie mu współczuł.

– Wszystko było zapisane – powtórzył. – Wciąż jednak pozostaje wam podjęcie ostatniej decyzji. Jeśli po opróżnieniu i zważeniu duszy, czego właśnie doświadczyliście, postanowicie ruszyć korytarzami zaświatów, wasza esencja pozostanie na Ziemi w brzuchu Nadii. Tak i nie inaczej będzie wyglądała wasza nieśmiertelność fizyczna. Nic poza tym. Owoc wasz będzie niczym sokół Horus, syn bogów, którzy kochali się po śmierci.

„Jeśli zdecyduję? – zawahał się. – Co to niby znaczy? Czyżbym miał inny wybór?”

– Zmarły, który poddał się osądowi bogini Maat i został uznany za czystego, który dowiódł, że szczerze poszukuje życia wiecznego, może zwrócić się, dokąd zechce – wymamrotało *ka* Balasana. – Albo powraca na ziemię, skąd przybył, albo udaje się ku dwunastu regionom zaświatów, albo zwraca się ku gwiazdom i przeistacza się w jedną z nich. Tak mówi nasza Księga Umarłych.

„A zatem mogę wybrać swój los? – zapytał. – Wciąż mogę wrócić?”

Generał założył już, że sam również stał się *ka*. Że jego cielesność nieodwracalnie pozostała z tyłu. I że jego świadomość gnieździła się teraz w jego pierwotnej esencji. Lecz ostatnie słowa starca sprawiły, że poczynił krok w tył.

– Widzicie? Zdajecie sobie sprawę z tego oszustwa? – obruszyło się *ka* Omara Zalima, w desperacji ciskając się w ciemności. – Błękitni mędrzy od wieków w ten sposób pozbawiają ludzi życia wiecznego. Strzeżcie się tej pułapki! Załadajcie tego, co się wam należy! Powróćcie do świata żywych!

Pierś Napoleona Bonapartego ponownie rozsadzał ból. Aby wrócić do siebie, musiał ponownie skryć się w sarkofagu, gdy jednak tylko ognisty głos Zalima zamilkł, zdołał się pozbierać. W tym momencie w głowie zaczął mu wirować milion sprzecznych uczuć. Przestroga Nadii. Nalegania Buqtura, żeby zabrać go w to miejsce. Niepokojące obrazy swojego przeznaczenia. Przewidywania paryskiego astrologa. Poszukiwania zaginionego nieśmiertelnego, hrabiego de Saint-Germain. Wszystko, absolutnie wszystko to ścisnęło się w jednej chwili w zakamarkach jego świadomości, po czym wybuchło pewnością.

– Ilu ludziom dane było wybrać swój los, mistrzu? – zapytał Balasana, podnosząc się z sarkofagu z determinacją, żeby rozstrzygnąć tę sprawę.

– Niewielu – padła odpowiedź.

– I domyślam się, że większość z nich zdecydowała się na drogę, którą mi proponujecie, prawda?

– Drogę mędrców. Istotnie.

Bonaparte wbił w starca swoje pozagrobowe spojrzenie, jak gdyby nosił w sobie dlań niespodziankę. Następnie, pełen spokoju, spojrział na czern Omara:

„Wydaje mi się zatem, mistrzu, że nie jestem jednym z nich – oznajmił. Odbicie błękitnego mędrca zamigotało. – Podjąłem decyzję, mistrzu Balasanie. I nie brzmi ona tak, jak mi to sugerowaliście. Pragnę powrócić”.

Oba *ka* w milczeniu przyjrzały się swojemu rozmówcy.

W końcu Starzec z Góry postanowił zabrać głos.

– Postanawiacie zatem powrócić do ciała, tak jak uczynili to przed wami Ozyrys lub Jezus? Powrócić do świata cierpienia, do więzienia materii?

„Tak. Takie jest moje życzenie”.

– W takim razie – strapiony opuścił spojrzenie – waszej woli stanie się zadość.

„Powróć do życia, do mojego ciała?”

– Powróćcie do śmierci, Bunaparcie.

„Tam jest moje przeznaczenie!”

– Być może. Trzeba wam jednak wiedzieć, że kiedy ponownie wybije wasza godzina, czeka was nowy osąd po tej stronie. Ponowne ważenie duszy. A wówczas, po życiu niewolnym od błędów, nie przyjdzie wam tak łatwo wspiąć się ku światłości.

„Godzę się z tym ryzykiem. Chcę powrócić” – nalegał.

– A co z życiem wiecznym? Dacie mu je, zanim go wrócicie? – szarpnęło się u jego boku *ka* Omara Zalima.

Starzec z Góry pierwszy raz obrócił się ku temu ośrodkowi energii, która tak się go uczepiła, żywiona pragnieniem pradawnej zemsty. Zmierzył go wzrokiem i ze spojrzeniem kogoś, kto lituje się nad głupcem, orzekł:

„Ten człowiek zmarł w piramidzie, a teraz powróci do życia. Jakiegoż więcej trzeba mu dowodu na własną nieśmiertelność?”

EPILOG

I

Trzynastego sierpnia 1799 roku około godziny szóstej trzydzieści rano Napoleon Bonaparte wyszedł o własnych siłach z czeluści Wielkiej Piramidy w Gizie. Ponownemu spotkaniu z generałem Kléberem towarzyszyły duże emocje. Obaj się uściskali, szczęśliwi z pomyślnego zakończenia „próby piramidy”. Kléber nie wiedział jednak, że ma przed sobą człowieka zmartwychwstałego. Cały w nerwach, zdążył już pospieszyć ku otworowi wejściowemu wybitemu przez al-Mamuna, gotów ruszyć Bonapartemu na ratunek, tam również, w obecności pododdziału, który służył im za eskortę, zadał pytanie, które przez wiele lat mieli później przytaczać na osobności:

– Co się wam stało, generale?

Młody strateg, wstrząśnięty tym, co właśnie przeżył, udzielił tej samej odpowiedzi, jaką miał potem wielokrotnie powtarzać aż do śmierci na wygnaniu na Wyspie Świętej Heleny dwadzieścia dwa lata później:

– Choćbym wam opowiedział, i tak byście mi nie uwierzyli.

II

Zaledwie dziesięć dni po tym zdarzeniu, i zgodnie z obawami członków Warsztatu, Bonaparte potajemnie opuścił Egipt. Uczynił to pod eskortą dwóch okrętów, fregat La Muiron i Carrère, które umożliwiły mu przechytrzenie blokady morskiej Egiptu, jaką prowadziła marynarka brytyjska. Raz jeszcze szczęście mu sprzyjało. Nie dość, że nie dopadł go admirał Nelson, to jeszcze nieprzyjaciel, który zniszczył jego flotę i trzymał jego wojska odcięte nad Nilem, nie zdał sobie sprawy z jego ucieczki.

W ten oto mało honorowy sposób Bonaparte porzucił wszystkich tych, którzy walczyli z nim ramię w ramię, aby zdobyć tajemnicę życia. Znaleźiska z grobowca Amenhotepa III zostały zarchiwizowane i wiele lat później przesłane do Egiptu, gdzie przyszło im zaczekać, aż inny uczoney, Jean-François Champollion, zdoła przetłumaczyć pismo starożytnych Egipcjan. Elias Buqtur dożył swoich dni na francuskim Lazurowym Wybrzeżu, gdzie, wydalony z Warsztatu, bez reszty oddał się pracom nad uruchomieniem „machiny nieśmiertelności” z piramidy Falicon. Na próżno. Jeśli zaś chodzi o piękną Nadię, to wszelki słuch po niej zaginął.

Więcej wiemy o tym, co po „próbie piramidy” działo się z młodym Bonapartem. Po ucieczce z Egiptu schronił się w rodzinnym Ajaccio, dokąd dotarł 28 września 1799 roku. Jedenaście dni później wylądował we Fréjus na francuskim stałym lądzie, zaledwie około stu kilometrów od Nicei i piramidy Falicon.

Obiecujący generał był już w istocie innym człowiekiem. Żołnierz ten znacznie różnił się od tego, który przed ponad rokiem opuścił brzegi Francji. Prawdą jest, że od tego świtu 13 sierpnia Bonaparte już nigdy nie poczuł strachu przed śmiercią. Być może dlatego stał się jednym z najzuchwalszych i obdarzonych największą *baraką* strategów w dziejach.

Czego bowiem miał się jeszcze bać?

W Egipcie dane mu było odkryć, że śmierć – gdy go osiągnie – nie będzie dla niego oznaczać końca. Stał się zatem naprawdę nieśmiertelny.

III

Pozostaje jeszcze wyjaśnić tylko jedną kwestię.

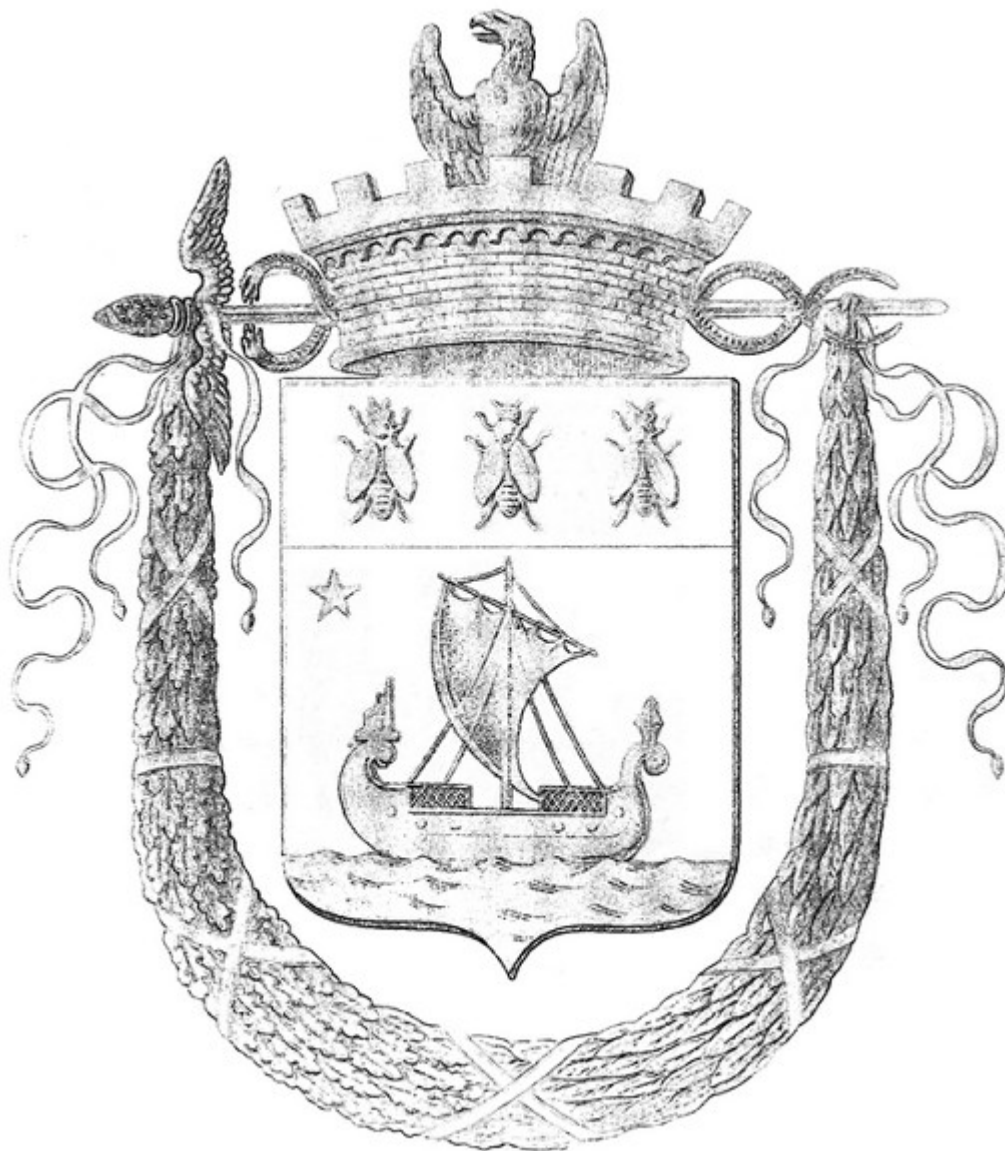
Biorąc pod uwagę, że historyczna inicjacja Napoleona Bonapartego wewnątrz Wielkiej Piramidy była aktem intymnym i spowitym w cieniu, historykom wciąż bardzo trudno jest zawyrokować, jak wielki miała ona wpływ na jego późniejsze losy. To zrozumiałe. Jeśli badaczom przeszłości pozostała jakaś dziedzina do zgłębienia, to jest nią ocena przyczyn natury psychologicznej, które powodowały działaniami ważnych dla niej postaci.

Niemniej jednak w tym wypadku Bonaparte pozostawił nam przynajmniej dwie bardzo widoczne wskazówki co do tego wpływu.

Pierwsza z nich pojawia się niebawem po jego powrocie do Francji, po zamachu stanu, który pozwolił mu sięgnąć po władzę nad Europą. Zdeterminowany wyzyskiwać dla swoich celów otaczające go symbole, postanowił dodać do godła Paryża dwa nowe, bardzo znaczące szczegóły. W dokumencie datowanym na styczeń 1811 roku wzmiankuje się, że do tradycyjnej łodzi na falach Sekwany, która widnieje w herbie miasta, powinno się odtąd dołączać statuę bogini Izydy. Jej wizerunek miał znajdować się na dziobie jednostki i wskazywać kierunek miasta, powyżej zaś należało umieścić pięcioramienną gwiazdę, identyczną jak te, które zdobią sufity dawnych egipskich świątyń. Bonaparte ustanowił komisję uczonych pod przewodnictwem Louisa Petit-Radelina, aby ta potwierdziła, że pierwsza bogini miasta była powiązana z egipską Izydą, i to nawet już w kwestii samego imienia. Prawdopodobnie to dzięki konkluzjom opracowanym przez to gremium zmiany w heraldyce nie ograniczyły się do powyższego, Bonaparte dodał zaś jeszcze do herbu trzy złote pszczoły, symbol boskiej władzy słonecznej dawnych faraonów. Pszczoły, które zresztą będą się również pojawiać na jego najważniejszych oficjalnych portretach.

Tutaj nie ma już miejsca na spekulacje: *le petit caporal* przywiózł z Egiptu najświętsze tamtejsze symbole, otoczył się nimi, a nawet umieścił je w nowym herbie francuskiej stolicy.

Czyżby oddawał w ten sposób hołd swojej inicjacji w piramidzie latem 1799 roku? To więcej niż prawdopodobne. Tłumaczyłoby to również, dlaczego w czasie, kiedy stał się już panem i władcą Francji, mianował ministrem sztuk pięknych Dominique'a Vivanta Denona, jednego z najwybitniejszych uczonych uczestniczących w jego ekspedycji nad Nil i autora monumentalnego dzieła *Description de l'Égypte*, w którego dedykacji ponownie natykamy się na pszczołę i pięcioramienną gwiazdę umieszczone wokół wielkiej litery „N”. Na początku XIX wieku Bonaparte przeistoczył się już w Napoleona, jakiego zna historia, i postanowił uczynić z Paryża własne Teby.



HERB PARYŻA ZAPROJEKTOWANY PRZEZ NAPOLEONA BONAPARTEGO

I to właśnie tam pozostawił nam drugą wskazówkę.

Sześć spośród piętnastu nowych fontann, jakie polecił zbudować w mieście do 1806 roku, było inspirowanych motywami egipskimi. W ten oto sposób Napoleon uczynił z Paryża fizyczne odzwierciedlenie tego, co ujrzał po wypełnieniu ceremonii Sed. Co więcej, posunął się nawet do ustanowienia nowej religii nawiązującej do wiary faraonów, o której prawie nikt dziś nie pamięta i która poniosła całkowitą klęskę.

Co zatem w Egipcie odcisnęło na nim tak głębokie piętno? Stoczone bitwy? Tamtejsze budowle? Czy może niepamiętana dziś inicjacja wewnątrz Wielkiej Piramidy?

Dla mnie odpowiedź na to pytanie jest jednoznaczna.

PODZIĘKOWANIA

Powieść ta, zanim ujrzała światło dzienne, przeszła przez liczne i bardzo mądre ręce. Niektórym z tych osób chciałbym wyrazić moją szczególną wdzięczność. Pierwszą był mój *editor princeps* José María Calvín, który za sprawą kaprysu losu dba dziś o moje dzieła w Brazylii. Następnie kolej na moją agentkę Antonię Kerrigan, która – niczym w micie o Sfinksie – zadała mi właściwe pytania, jakie miały zadecydować o mojej karierze literackiej. Nie mogę jednak zapomnieć o pierwszej i najbardziej krytycznej czytelniczce rękopisu, Evie Pastor, której wyostrzony instynkt odegrał decydującą rolę przy tworzeniu wszechświata Nadii ben Raszid.

Na szczególną wzmiankę zasługują Antonio Piñero, Nacho Ares i Robert Bauval, eksperci odpowiednio w dziedzinie dziejów biblijnych i Egiptu, którzy nadzorowali czy naświetlali pewne aspekty podczas prac nad fabułą. Podobnie Julio Antonio López, historyk i antropolog, który dopomógł mi w interpretacji horoskopu Napoleona Bonapartego. Dziękuję Clarze Tahoces, specjalistce od snów, od której tak wiele się nauczyłem. José Gabrielowi Astudillo i Loli Barredzie, przewodniczącemu i sekretarz generalnej Hiszpańskiego Stowarzyszenia Malarzy i Rzeźbiarzy, podziękowania należą się za ich wsparcie w dziedzinie graficznej. Dziękuję również Davidowi Zurdo i Davidowi Gombau, zawsze gotowym służyć pomocą w sytuacjach, które na co dzień przytrafiają się pisarzowi. Jeśli korzystając z ich informacji i sugestii, dopuściłem się jakiegokolwiek błędu, to jedynym odpowiedzialnym za to jestem ja sam.

Na koniec chciałbym zapewnić o mojej wdzięczności Raquel Gisbert i Puri Plazę, moje redaktorki w wydawnictwie Editorial Planeta, za uwagę, z jaką raz za razem przepatrywały tę powieść. Dzięki ich darowi obserwacji mogłem zmierzyć się z tekstem, który powstał dwanaście lat wcześniej, rozbiłem go na kawałki, tak jak Set uczynił to z Ozyrysem, a następnie, tchnąwszy weń od nowa siłę słowa, nadałem mu nowe życie... tym razem, mam nadzieję, że wieczne.

POSŁOWIE OD AUTORA

Być może któryś z moich najwierniejszych czytelników to pamięta.

Powieść podobna do powyższej ukazała się po raz pierwszy wiosną 2002 roku pod tytułem *El secreto egipcio de Napoleón*¹¹. Została przełożona na osiem języków i doczekała się licznych reedycji, mimo to zawsze miałem wrażenie, że pośród mojego dorobku literackiego stała się czymś w rodzaju kopciuszka. Powstała w okresie między *Bramami templariuszy* a *Tajemną wieczerzą* i choć obie te powieści doczekały się większego rozgłosu, to przy niej nauczyłem się korzystać z fikcji literackiej jako narzędzia interpretacji pewnych niejasnych fragmentów w historii.

Nie była to jednak jedyna nauka, jaką z niej wyciągnąłem.

Podobnie jak to się dzieje z dziećmi, częstokroć książki przynoszą nam mnóstwo życiowych lekcji. I jedne, i drugie stają się zwierciadłem tego, czym jesteśmy, i dają nam najdokładniejsze odbicie własnej duszy, o jakim moglibyśmy pomarzyć. Powrót tej opowieści na półki księgarni – w istocie rzeczy przypominający wskrzeszenie godne Ozyrysa – nie tylko zmusił mnie do przejrzenia jej pod kątem narracji, gdyż przy okazji zobaczyłem, kim byłem, co sądziłem i co czułem jakiś czas temu, co zmusiło mnie do napisania tych słów wyjaśnienia i wyjawienia pewnej drobnej historii, która aż do tej pory pozostawała w ukryciu, a która będzie stanowić dla czytelnika ostatni fragment układanki.

W pierwszej kolejności muszę wyznać, że w okresie, w którym pracowałem nad rękopisem tej opowieści, znalazłem się w decydującym momencie życia: podjąłem oto decyzję, żeby stać się pełnowymiarowym pisarzem, i zapragnąłem, aby moje książki nie tylko dawały rozrywkę, ale także skłaniały do refleksji nad wielkimi pytaniami, jakie nas otaczają. Jak czytelnik może się domyślić, nie była to prosta decyzja. Dopiero co skończyłem trzydzieści lat, miałem przed sobą obiecującą przyszłość w dziennikarstwie i wiele do stracenia na tak niepewnym gruncie, jakim jest twórczość literacka. Niemniej jednak, wbrew temu, co sugerowałby zdrowy rozsądek, pojawiła się okoliczność, która przechyliła szalę, przez co ochoczo podjąłem postawione przed sobą wyzwanie. Temu początkującemu pisarzowi, samotnemu i pozbawionemu mentorów, zaczęła bowiem towarzyszyć niezdrowa obsesja. Dopadła mnie myśl równie nagła, co przerażająca: po raz pierwszy poważnie pomyślałem o śmierci. O własnej śmierci. I dostrzegłem w literaturze skuteczne narzędzie, aby się jej przeciwstawić.

Już tłumaczę.

W tamtym czasie zdałem sobie sprawę z czegoś, co miało stać się jednym z niewielu osobistych przekonań, co do których mam absolutną pewność. Otóż największym wyzwaniem,

z jakim mierzymy się zarówno kolektywnie, jak i indywidualnie, nie jest bynajmniej odkrycie, czy jesteśmy sami we wszechświecie, czy istnieje lekarstwo na raka ani czy pewnego dnia zdołamy położyć kres wszelkim wojnom, nierównościami lub problemowi głodu na naszej planecie. Naszym wielkim celem jest coś równie starego, jak samo życie. I równie jak ono tajemniczego. W pewien sposób chodzi o tę samą troskę, która uczyniła nas ludźmi, za sprawą której nauczyliśmy się grzebać naszych bliskich, wynaleźliśmy sztukę i religie, a nawet stworzyliśmy to, co teraz określamy mianem kultury. Nasz gatunek zorganizował się po to, żeby spróbować wyjaśnić to zagadnienie, czego dowodzą pierwsze pisma i najdawniejsze budowle w dziejach ludzkości, wszystkie co do jednego skupiające się na „śnie o nieśmiertelności”. Dlatego nie dawała mi spokoju świadomość, że pierwotne wątpliwości dotyczące śmierci od tysięcy lat pozostają nierozwikłane: dokąd bowiem udajemy się po tym, jak zamkniemy powieki? Co po nas zostaje, gdy znikniemy z powierzchni tego świata? Czy mamy może jakąś niewielką szansę, żeby uniknąć takiego przeznaczenia?

Zastanówmy się nad tym przez chwilę.

Próżno szukać takiego osiągnięcia w dziedzinie nauki, takiego lekarstwa, takiej wiary czy takiego mędrca, które byłyby w stanie choćby zadrapać kurtynę, jaka nas oddziela od śmierci. Choć jest to pewny los, jaki nas czeka, współczesny człowiek woli odwracać głowę, nie myśląc nawet o tym, jak mógłby go przezwyciężyć. Nikt – powiadają – nie wyszedł zwycięsko z podobnej konfrontacji. To – jak podkreślają – krucjata z góry skazana na niepowodzenie, już od chwili naszego przyjścia na świat.

Ale... Co, jeśli tak by nie było?

I gdyby istniała alternatywa?

W intensywnych dniach spędzonych na pisaniu tej książki przyswoiłem pewną „prawdę”, która sprzeciwiała się temu aksjomatowi. Uznałem, być może wbrew zdrowemu rozsądkowi, że życie nie jest podróżą donikąd, co tak doskwiera materialistom. To rzeczywiście podróż ku śmierci. Tę jednak należałoby rozumieć zaledwie jako kolejny wyzwalaający krok w ramach naszego ludzkiego doświadczenia. Konieczny element, który pozwala nam uwolnić się od tego, co doczesne, i zachować jedynie to, co najważniejsze.

Zachować duszę.

Nie był to bynajmniej wniosek oryginalny. Wprost przeciwnie – na początku XXI wieku ten młody pisarz mierzył się z atawistyczną „idea-matką”. To Platon był pierwszym filozofem, który utrzymywał, że kiedy śmierć dopada człowieka, gaśnie jedynie jego cząstka śmiertelna. Uważał, że to właśnie wówczas uwalnia się zamieszkująca nas i nieprzemijająca zasada i jesteśmy popychani ku naszemu prawdziwemu przeznaczeniu.

Tak zatem, motywowany podobnego rodzaju przemyśleniami, postanowiłem zająć się tą „wielką kwestią” w ujęciu powieściowym. Poszukiwałem swobodnej przestrzeni, w której

mógłbym snuć refleksje z dala od gorsetu, jaki narzuca nam nasza logika, najlepszy teren dla mojego eksperymentu znalazłem zaś właśnie w literaturze.

Od pierwszego dnia prac rękopis tej powieści nosił roboczy tytuł, który doskonale współgrał z moimi intencjami: *Nieśmiertelna piramida*. Egipt – o czym czytelnik miał okazję się przekonać, jeśli śledził moje słowa aż do tego miejsca – stał się dla mnie przebogatym źródłem inspiracji. Miało to sens. Jego liczące trzy tysiące lat dzieje, zapoczątkowane na długo przed Grecją filozofów, bez reszty skupiały się na śmierci. Dlatego zapragnąłem, żeby głównym bohaterem powieści była Wielka Piramida z Gizy, największa budowla ludu Egiptu, obmyślana, żeby pokonać czas, a zarazem przeżyć każdego człowieka.

Rzecz jasna, zdawałem sobie sprawę, że o Wielkiej Piramidzie powstały już dziesiątki powieści. Potrzebna mi była odmienna perspektywa. Oryginalna. Dlatego zdecydowałem się włączyć do mojej opowieści nie byle jaką postać drugoplanową: młodego generała Bonapartego, którego, jakkolwiek niewiarygodne by się to wydawało, w 1799 roku spotkało w niej doświadczenie, którego wpływ – olśniewający jak w wypadku objawienia – od ponad dwóch stuleci umykał uwadze jego biografów.

Oto była nić przewodnia, której potrzebowałem!

Wówczas jednak, gdy zdecydowałem o tytule, scenerii i bohaterze, a także sporządziłem już pierwszą wersję tekstu, przydarzyło mi się coś, czego nie było w scenariuszu.

Niebawem po powrocie z kolejnej podróży do Egiptu, podczas gdy wykorzystywałem kilka dni odpoczynku na Costa del Sol, aby nanieść pewne poprawki w rękopisie, przytrafił mi się uraz wzroku, w wyniku którego niemal zostałem ślepcem. Nagle, podporządkowując się zaleceniom lekarza, wylądowałem rozłożony na kanapie w nieznanym mi pokoju, w którym panował półmrok, unieruchomiony i bez jakiegokolwiek możliwości czytania czy pisania. W takich oto okolicznościach zdałem sobie sprawę z czegoś, co dogłębnie mną poruszyło: moje położenie nie różniło się zbyt od tego, w jakim umieściłem młodego Bonapartego na pierwszych stronach tej powieści. W istocie rzeczy przypomniało mi to sytuację, jaka zdarzyła mi się kilka lat wcześniej właśnie w piramidzie w Gizie, wewnątrz której – absolutnie nielegalnie – spędziłem noc i skąd zaczerpnąłem inspirację do napisania tej książki.

Kiedy więc wszystkie te uczucia kłębiły się we mnie, pewna bliska mi osoba zwróciła uwagę na podtytuł, jaki dodałem w roboczej wersji tekstu (*El secreto egipcio de Napoleón*), a po jego przeczytaniu zasugerowała mi, żebym uczynił z niego pełnoprawny tytuł.

„Czemu nie?” – pomyślałem.

Pomysł wydał mi się ciekawy. Pojawił się w sprzyjającym momencie. Wydał mi się nawet znakiem od Opatrzności. Dlatego pod tym właśnie tytułem książka ukazała się po raz pierwszy w marcu 2002 roku.

Z perspektywy czasu wydaje mi się jednak, że błędnie odczytałem przeznaczenie. Lekką ręką umieściłem Bonapartego – w 1799 roku nikt jeszcze nie mówił o nim „Napoleon” –

ponad najważniejszym celem tej opowieści, jakim była refleksja nad śmiercią i nieśmiertelnością, kamiennego kolosa zaś, który mnie do niej zainspirował, zepchnąłem na dalszy plan. Dlatego dziesięć lat później, przewyciężywszy osobiste ciemności z tamtego okresu i znalazłszy idealnego redaktora na potrzeby wskrzeszenia tego tekstu, postanowiłem przywrócić mu tytuł, którego nigdy nie powinien utracić, a przy tym przejrzeć jego zawartość i ponownie wysłać go do druku.

Nieśmiertelna piramida nie jest tak mroczna jak *El secreto egipcio de Napoleón*. W dalszym ciągu jest to być może najbardziej ezoteryczna z moich powieści, lecz teraz pojawia się w niej mniej postaci niż w pierwotnej wersji, ponadto fabuła uległa uproszczeniu – na tyle, na ile umożliwiała to szkatułkowa konstrukcja procesu „opróżniania duszy” Bonapartego.

Ufam więc, że decyzja o zmianie tytułu i przeredagowaniu tekstu była właściwa i umożliwiła czytelnikowi pełne uczestnictwo w tej intensywnej i obfitującej w różne konsekwencje przygodzie.

*Ultramort, prowincja Girona
lato 2013 roku*

-
- ¹ *Baraka* (arab.) – błogosławieństwo, dar, także szczęście i pomyślność (przyp. tłum.).
- ² Przybyciem Hapi (bóstwa nilowego) były nazywane coroczne wylewy Nilu (przyp. tłum.).
- ³ Tak żartobliwie nazywali Napoleona żołnierze uczestniczący w jego wyprawie (przyp. tłum.).
- ⁴ Pochodzący z arabskiego termin „alchemia” wywodzi się z określenia *al-chimija*, to z kolei nawiązuje do słowa *kemi* (czarny), jakim w starożytności zwykło się określać Egipt (przyp. autora).
- ⁵ Data według rachuby islamskiej, liczonej od hidżry. Chodzi o 820 rok naszej ery (przyp. autora).
- ⁶ *Al-Qahira* – Kair – znaczy po arabsku „zwycięska” (przyp. autora).
- ⁷ Papirusy te naprawdę istnieją. Pierwszy z nich w 1890 roku przetłumaczył niemiecki filolog Adolf Erman. W dokumencie tym, znanym jako „papirus Westcar”, pojawia się wzmianka o tej pierwotnej piramidzie. Egipciolodzy uznają go za „zmyślony” tylko dlatego, że wspomnianego monumentu nie udało się odnaleźć. Przynajmniej na razie (przyp. autora).
- ⁸ Papirus Anastasi, IV, 6 (przyp. autora).
- ⁹ Pieczony łosoś z soczewicą i ze słoniną (przyp. tłum.).
- ¹⁰ Z punktu widzenia astrologii Francji jest przypisany znak Lwa (przyp. autora).
- ¹¹ Egipska tajemnica Napoleona (przyp. tłum.).